

JOHN MARSDEN

JUTRO 7

Po drugiej stronie świtu

tłumaczenie
Anna Gralak

znak *litera*
nova

Kraków 2012

Podziękowania

Oto osoby, którym chciałbym bardzo podziękować za pomysły, informacje i historie: Dallas Wilkinson, Ross Barlow, Lizzie Matthews, Roos Marsden, Jeanne Marsden, Charlotte Lindsay, rodzina Farranów (zwłaszcza Elizabeth), Barry Traill, Chris Kalff, Lesley Tunnecliffe (*Write Inside the Mind*), Lachlan Monsbourgh i Lachie Dunn.

Szczególne podziękowania składam Annie McFarlane za zredagowanie manuskryptu i Paulowi Kenny'emu za wnikliwe i hojne wsparcie, jakie okazywał tej serii od pierwszych dni.

*Dla ludzi z Tybetu, Timoru Wschodniego i Papui Zachodniej
(Irian Jaya)*

1

Nocą hałas helikoptera wypełnia cały świat. Od tego dźwięku dudni w uszach. Pozostałe zmysły też są w beznadziejnej sytuacji. Jasne, nadal widzisz, czujesz zapach i dotyk. Widzisz ciemny zarys śmigłowca, który opada jak ogromna mucha końska, badając ziemię zaledwie dwoma słabymi białymi światłami. Poznajesz zapach paliwa lotniczego. Uderza ci prosto do głowy i wywołuje oszołomienie, jak po niewielkiej ilości alkoholu. Czujesz napór powietrza, który robi się coraz silniejszy, targa ci włosy, a potem bije w całe ciało. Tyle że ledwie to zauważasz. Wszystko przysłania hałas. Jak ekspres do kawy z turbodoładowaniem. Zasłaniasz uszy rękami, ale to na nic; nadal nie jesteś w stanie się odgradzić od tego huk.

Nocą wszystkie dźwięki są głośniejsze, a o trzeciej nad ranem helikopter hałasuje bardzo, bardzo mocno.

Jeszcze bardziej, kiedy się boisz.

W środku lasu zazwyczaj nie spotyka się głośnych dźwięków. Kakadu o zmierzchu, traktory na polach, muczące bydło – te wszystkie hałasy mieszczą się w granicach normy. Dlatego helikopter naprawdę się wyróżniał.

Niewiele mogliśmy na to poradzić. Lee, Homer i Kevin stali w różnych miejscach na polach, skąd obserwowali bramy i drogi dla terenówek. Zrezygnowaliśmy z pierwszego planu, zgodnie z którym Kevin i Fi mieli zostać w Piekło, żeby opiekować się dziećmi. W ostatniej chwili uznaliśmy, że potrzebujemy jak najwięcej ludzi. Byliśmy bardzo zdenerwowani, nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Dlatego Kevin poszedł z nami, a Fi musiała pilnować dzieci sama.

Ta decyzja nie dawała mi spokoju. Miałam wrażenie, że cała wojna sprowadza się właśnie do tego: do zadręczania się decyzjami. W naszym wypadku dobre decyzje przeważały nad złymi, ale konsekwencje pomyłek były straszne. W wojennym teście nie wystarczyło zdobyć dziewięćdziesięciu dziewięciu procent punktów – nie, jeśli ten jeden procent oznaczał czyjeś życie.

Gdyby tym razem coś poszło nie tak, stracilibyśmy Fi, Casey, Natalie, Jacka i Gavina. Ta decyzja okazałaby się zdecydowanie zła. Jeszcze kilka dni temu moglibyśmy spokojnie zostawić Fi samą. Ale teraz już nie. Nie po strzelaninie, która wydarzyła się dwadzieścia cztery godziny temu. Nie po poranku spędzonym na zakopywaniu rozdartych przez kule, rozszarpanych ciał ośmiu żołnierzy, których zabiliśmy.

No więc chłopcy pilnowali, czy nie nadciągają kolejni żołnierze wroga, choć w najlepszym wypadku mieliby najwyżej kilka minut, żeby nas ostrzec. Było zbyt wiele różnych dróg, którymi mogli nadejść żołnierze. Poza tym nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie wyląduje śmigłowiec. Poprzednim razem wylądował mniej więcej półtora kilometra od celu, co i tak było niezłym wynikiem, biorąc pod uwagę trudności, jakie musiała sprawiać nawigacja w takich warunkach. Tyle że jeśli znowu miał wylądować tak daleko, nasza warta była bezużyteczna.

Ale pilot dobrze się spisał. Nie poleciał tam, gdzie wylądowaliśmy poprzednim razem. Dotarł tam, gdzie powinniśmy byli wtedy wylądować. I dobrze, bo nadal znajdował się na obstawionym przez nas terenie. Uradowana widokiem zbliżającego się olbrzymiego czarnego kształtu, ogłuszona młóceniem śmigła i rykiem silnika, na chwilę zapomniałam o potencjalnych nieproszonych gościach.

Za ciemnym pleksiglasem śmigłowca zobaczyłam światełka kontrolek na desce rozdzielczej i zieloną poświatę przyrządów nawigacyjnych. Przez burzę pyłu i liści nie mogłam dojrzeć ludzi, widziałam tylko kilka ciemnych głów. Miałam nadzieję, że pilotuje Sam, który przywiózł nas poprzednim razem. Polubiłam go i podziwiałam. Jak na faceta, którego widziałam tylko raz, a w dodatku krótko, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Ale tym razem nie potrafiłam zgadnąć, kto siedzi za sterami.

Helikopter wylądował niczym ciężarna krowa kładąca się na ziemi i natychmiast otworzył się boczny właz. Ze śmigłowca wyskoczyła postać w ciemnym ubraniu, która następnie odwróciła się, żeby zdjąć z pokładu ogromną skrzynię. Pobiełam naprzód. Przez właz wyskoczyły jeszcze dwie osoby, w mundurach, i wszyscy czworo bez słowa ustawiliśmy się w szeregu, żeby podawać sobie pudła i beczki. Poczułam, że dyszę, jakby związany z tym wysiłek był bardzo wyczerpujący. Raczej nie był, ale taki się wydawał.

Niespełna trzy minuty później pierwszy żołnierz złapał za boki włazu, podciągnął się i zniknął w środku. Drugi poszedł za nim i helikopter zaczął się unosić. Jeśli przy kontrolkach siedział Sam, nie miałam szansy nawet go zobaczyć, a co dopiero się przywitać.

Zresztą tak naprawdę na nic nie było czasu, nawet na myślenie. Uświadomiłam sobie, że skoro na pokład śmigłowca wróciły dwie osoby, to jedna nadal jest na ziemi. Oprócz niej było tam też mnóstwo rzeczy. Po rozmowie z pułkownikiem Finleyem nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać. Wiedzieliśmy tylko, że przez dwadzieścia cztery godziny będzie u nas gość. Moja ciekawość sięgnęła zenitu.

Ale nie miałam czasu jej zaspokoić. We dwójkę zaczęliśmy nieść skrzynki w stronę sterty skał oddalonej o sto metrów na zachód. To była najbliższa kryjówka. Nie zdołalibyśmy zanieść tego wszystkiego do Piekła za jednym razem, a nie było czasu, żeby tam pójść i wrócić przed świtem. Usłyszałam chrzęst kamieni i odwróciłam się w samą porę, żeby zobaczyć Lee, który wchodził na pagórek, wynurzając się z ciemności. Przez chwilę wyglądał tak, jakby był ubrany w tę ciemność, jakby się nią owinał, ale poruszał się tak szybko, że zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, stanął obok mnie.

– Jak poszło? – szepnął, rozglądając się bez przerwy, jakby był na kiepskim hajcu i bał się pełznących do niego pajaków.

– Jest bezpiecznie? – zaniepokoiłam się, bardziej przejęta tym, że opuścił posterunek, niż odpowiedzią na jego pytanie.

– A jak myślisz? Jasne, że nie.

Wszyscy byliśmy strasznie zdenerwowani. Ale nie podobało mi się to ciągle rozglądanie się Lee.

– No więc przyleciał? – zapytał Lee.

– Tak. Z mnóstwem rzeczy. – Skinęłam w stronę skrzyni, którą właśnie ciągnęłam. – Złap za drugi koniec, dobrze?

Zanieśliśmy ją razem, a potem wróciliśmy po następną. Tymczasem zjawili się Homer i Kevin, którzy wzięli dwie skrzynki. Nasz gość zajął się drugim ładunkiem, więc ja i Lee mogliśmy już odpocząć.

Nagle noc znowu zrobiła się spokojna. Helikopter już dawno odleciał – hałas był tylko wspomnieniem – i powietrze zrobiło się czyste, słodkie. Trudno było uwierzyć w wojnę, wrogów i zagrożenie. Wszystko zostało bezpiecznie ukryte i stanęliśmy zbici w kupkę na skraju skarpy.

Czuliśmy się zakłopotani. Właściwie nie mogę mówić za pozostałych, ale ja tak się czułam, a oni tak wyglądali. Od dawna nie widywaliśmy żadnych obcych ludzi. Nie licząc zdziczałych dzieci – a ich właściwie nie należało uwzględniać – bardzo długo byliśmy zupełnie sami.

Facet wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat. Był ubrany w mundur polowy, ale bez czapki. Z tego, co zobaczyłam w świetle księżyca, miał czarne włosy i dość ciemną twarz oraz gęste brwi stykające się nad nosem. Lekko odstające uszy i nieogoloną brodę. Pachniał papierosami. Niczego więcej nie miałam czasu zauważyć. Zaczęła się pospieszna rozmowa, a słowa terkotały jak karabin maszynowy.

– Jak daleko jest wasza kryjówka?

- Trzy godziny marszu.
- Czy sprzęt będzie tu bezpieczny?
- Raczej tak.
- Możemy zostawić kogoś na warcie – powiedział Lee.
- I tak nic nie działo, jeśli zjawi się patrol – zauważył Homer.
- Jesteśmy daleko od cywilizacji – oznajmiłam.
- Jeśli namierzyli śmigłowiec... – zaczął mężczyzna.

Zrozumiałam, o co mu chodzi. Helikopter mógł zostać wychwycony przez radar albo coś w tym rodzaju. Ale nawet jeśli z Wirrawee wysłano patrol, mógł się zjawić najprędzej za dwie albo trzy godziny, kiedy nas już dawno tu nie będzie.

„Cholera – pomyślałam – czeka nas trochę ciężkiej roboty”. Ale na głos powiedziałam:

– Będziemy musieli to wszystko przenieść.

– Dokąd?

– W stronę Szwu Krawca. Do rana moglibyśmy pokonać połowę drogi. Dzięki temu jutro będziemy mieli mniej noszenia.

– Gdzie jest ten Szew Krawca? – zapytał mężczyzna.

– Na północnym wschodzie.

– Kiedy porozmawiamy, chyba będziecie woleli to zanieść w innym kierunku – powiedział.

Słyszając te słowa, zastygłam bez ruchu. Wyglądało na to, że skrzynki nie są wypełnione snickersami.

– W porządku – odezwałam się po namyśle. – Mów.

Nagle żołnierz stał się ostrożny.

– Każda droga prowadząca w stronę Stratton będzie w sam raz – powiedział.

Ale sposób, w jaki wymówił te słowa, uświadomił mi, że to nie Stratton jest celem.

Zamilkłam, analizując w myślach możliwe obiekty, jakbym przeglądała ich listę na komputerze, ale ostatecznie wszystkie odrzuciłam.

– Już wiem – odezwałam się w końcu. – Znam pewne bezpieczne miejsce. Ale musimy się pospieszyć.

Zajęliśmy się ładunkiem. Nowozelandczyk wyjął dwa plecaki i powiedział, że powinniśmy je zanieść do naszej kryjówki. Wszystko poza tym należało zabrać. W piątkę byliśmy w stanie to załatwić dwoma kursami, ale każde z nas musiało dźwigać spory ciężar.

Miejscem, które przyszło mi do głowy, były mokradła – bagna na wschodniej granicy naszego gospodarstwa. Mój dziadek je osuszył za pieniądze z rządowej dotacji, które rozdawano w tamtych czasach. Przemienił je w pastwisko. Przed moimi narodzinami tata sprowadził tam buldożery i rozkopał teren z powrotem. To był radykalny krok. Większość farmerów chciała przemieniać każdy centymetr kwadratowy w ziemię uprawną i miała gdzieś naturalne ukształtowanie terenu i dziką roślinność. Ale mój ojciec był uparty: postanowił odtworzyć tamte mokradła. Dziadek strasznie się wściekł, a sąsiedzi myśleli, że nam odbiło. Mimo wszystko tata uznał, że mokradła zapewnią dobre, stałe źródło wody, że dzięki nim wrócą ptaki żywiące się owadami, a do tego zyskamy ogromną przecinkę na wypadek pożaru.

Okazało się, że miał rację. Pamiętam, jaki był dumny, kiedy na wysepkach pośrodku mokradeł zagnieździły się ibisy.

W pierwszym sezonie było osiem albo dziewięć par, w drugim dwadzieścia, a teraz co roku przylatywało kilkaset.

Całkiem fajna sprawa. Mały wkład w ochronę środowiska naturalnego.

Pomyślałam o mokradłach przede wszystkim dlatego, że gdyby patrol ścigał nas z psami, bagna pokrzyżowałyby mu szyki. Nie wiedziałam, co jest w skrzynkach, ale sądząc po zachowaniu tego faceta, musieli do nich włożyć coś ważnego. Dlatego doszłam do wniosku, że warto pokonać parę kilometrów więcej, żeby ukryć te rzeczy na wysepkach. Mokradła zajmowały mniej więcej osiem hektarów, więc przeczesanie takiego terenu wymagałoby kilku psów i ładnych paru dni.

Dotarliśmy tam dość szybko. Stęknęłam z ulgą i rzuciłam na ziemię swoją skrzynkę. Przede mną, przywiązana do śruby w pniaku, czekała stara żółto-zielona łódeczka, którą pływałam w

dzieciństwie. Miała tylko jedno wiosło. Nie wiem, co się stało z drugim, ale brakowało go, odkąd pamiętam.

Wszyscy chcieliśmy się zająć przewiezieniem skrzynek na wysepkę, ale ostatecznie to zadanie przypadło w udziale mnie i Kevinowi, bo ja znałam najlepszą kryjówkę, a Homer musiał poprowadzić pozostałych do miejsca, w którym wylądował śmigłowiec.

Wejście do łódki przysporzyło nam drobnych trudności, głównie dlatego, że Kevin próbował ją odepchnąć i jednocześnie wskoczyć do środka. Ale po chwili gwałtownego kołysania, w której kurczowo trzymałam się obu burt łódki, udało nam się odpłynąć od brzegu.

Pozostali szli z powrotem wzdłuż mokradeł i nie mogli się powstrzymać: Lee musiał rzucić w naszą stronę garścią błota, a Homer kamieniem. To był bardzo zły pomysł. Żołnierz huknął jak gaźnik w samochodzie:

– Co wy wyrabiacie, do cholery?! – warknął na nich. – Matko Boska! Wykażcie się odrobiną rozsądku.

Ja i Kevin spojrzeliśmy na siebie i zachichotaliśmy. Ale w zasadzie trudno było mieć do żołnierza pretensje. Pewnie się zastanawiał, dlaczego, na Boga, wysłali go aż z Nowej Zelandii do tej bandy nastoletnich frajerów. Szedł za chłopakami po trawie i nie spuszczał z nich oka. Zdecydowanie nie był w nastroju do sięgania po błoto albo kamienie.

Rozproszeni głupimi popisami Lee i Homera obróciliśmy się z Kevinem o trzysta sześćdziesiąt stopni, a zanim znów obraliśmy właściwy kurs i spojrzeliśmy na brzeg, ich już nie było. Mignęła mi tylko wysoka, chuda sylwetka Lee znikająca jak cień za czubkiem wzgórza.

Nagle zrobiło się potwornie zimno, ciemno i poczułam się samotna, mimo że był ze mną Kevin.

Rozmawialiśmy niewiele. Wiosłowaliśmy tylko, płynąc niezdarnym zygzakiem, dopóki nie dobiliśmy do błotnistego brzegu. Zanieśliśmy pudełka i pakunki do lasu, wywołując rejwach wśród ptaków, które prawdopodobnie nie widziały tam ludzi, odkąd ja i Homer narobiliśmy podobnego zamieszania kilka lat wcześniej.

Pierwsza wyprawa była w porządku. Pod koniec drugiej byłam taka zmęczona, że kiedy Lee sięgnął po błoto, zerkając w bok z poczuciem winy, chcąc się upewnić, że Nowozelandczyk nie patrzy, puściłam wiązanekę, po której natychmiast wyrzucił błoto z powrotem do wody.

– Okej, nie musiałaś tak bluzgać – powiedział ponuro. – Wcale nie zamierzałem jej rzucić.

Problem w tym, że już myślałam o powrocie do Piekła. Zanosilo się na kolejny późny finisz. Za piętnaście piąta rano, po całodziennym użeraniu się z Gavinem i resztą dzieci, zakończonym taszczeniem tych tobołów, nie potrafiłam z siebie wykrzesać poczucia humoru. Próbowałam przywiązać łódkę, ale lina była taka gruba i śliska, że ciągle wypadła mi z rąk, a potem nie mogłam zrobić węzła. Chłopaki przyniosły gałęzie i chrust, żeby zamaskować łódkę i pozostawione przez nas ślady. Wszyscy ślizgali się w błocie i przeklinali.

Przybysz z Nowej Zelandii stał na skraju mokradeł i patrzył w dal, ale chyba cały czas nas obserwował. Znowu pomyślałam, że nie zrobiliśmy na nim najlepszego wrażenia. W nastawieniu tych zawodowych żołnierzy było coś takiego, że miałam ich głęboko w nosie – aż po zatoki. No i dobrze. Przestałam się już przejmować, co myślą inni.

2

Nie bardzo wierzę w instynkt, ale kiedy w ostatnich mrokach nocy wspinaliśmy się na grań, czułam dziwny niepokój. Rozmawialiśmy niewiele. Byliśmy zbyt zmęczeni. Kiedy się zatrzymaliśmy, żeby chwilę odsapnąć, Nowozelandczyk wreszcie się przedstawił. Ryan miał dwadzieścia osiem lat, mieszkał pod Dunedin i był inżynierem. Nie chciał nam zdradzić swojego nazwiska.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Nie potrafilibyście go wymówić – odpowiedział.

– Pytam poważnie: dlaczego?

– Względy bezpieczeństwa.

Stałam w półmroku, oparta o eukaliptus, i zastanawiałam się, co ma na myśli. Dość szybko

zrozumiałam, o co mu chodzi: gdyby nas złapano i zmuszono do wyjawienia wszystkiego, co wiemy... No tak, im mniej wiedzieliśmy, tym lepiej.

Przeraziłam się, kiedy do mnie dotarło, że Ryan bierze pod uwagę takie scenariusze. Poczułam, że czasami zachowujemy się zbyt bez trosko.

Zagubiona w myślach, przestałam się przysłuchiwać prowadzonej szeptem rozmowie. Kiedy znowu się skupiłam, usłyszałam, że Homer zasypuje Ryana pytaniami. Dostał kilka odpowiedzi. Okazało się, że Ryan należy do nowozelandzkich sił SAS i ma stopień kapitana, co było chyba dość imponujące jak na dwudziestoosmiolatka.

Mówił chropawym głosem, bardzo silnym i zdecydowanym, jak silnik traktora. Czuło się, że można na nim polegać. Brzmiał tak, jak sama chciałabym brzmieć: jakby zawsze wiedział, co robić, i nigdy nie był zaniepokojony ani zdenerwowany. „Niepokuś i Nerwusek, dwa szczenięta”. Przeczytałam to w jakiejś książce. Jaki miała tytuł? Nie mogłam sobie przypomnieć. Rok bez szkoły i mój mózg zmienił się w masło orzechowe.

Sposób, w jaki Ryan warknął na Lee i Homera, nie pasował do tego niezawodnego głosu. Jasne, facet miał prawo się na nich wkurzyć, ale bałam się, że będzie taki za każdym razem, kiedy zrobi się gorąco. Wybuchowy i niemiły.

Zmęczyłam się i znowu przestałam słuchać. Rozmawiali o sytuacji w Nowej Zelandii. O tym też Ryan nie chciał za dużo mówić, ale z innego powodu. Po prostu nie był pewien, czy rozmawianie w lesie jest bezpieczne.

Ja też nie byłam tego pewna. Zatrzymaliśmy się spory kawał od strefy zrzutu, wróg nie dawał o sobie znać, a o tej porze byliśmy najprawdopodobniej jedynymi ludźmi wystarczająco głupimi, żeby włączyć się poza domem. Mimo to burczało mi w brzuchu jak w wulkanicznych źródłach miasta Rotorua i chyba jeszcze nigdy nie czułam większego zdenerwowania.

Dlatego wsłuchiwałam się w muzykę cichych głosów wokół, ale nie zwracałam uwagi na słowa.

Znowu ruszyliśmy w drogę. Wspinaczka na Szew Krawca nie miała końca. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek trwała aż tak długo, nawet w najgorszych okolicznościach. Problem polegał na tym, że odkąd pułkownik Finley zapowiedział, że będziemy mieli gościa, właściwie nie zmrużyłam oka. Od tamtej pory minęło niewiele więcej niż dwadzieścia cztery godziny, ale miałam wrażenie, że upłynęły dwa tygodnie. Znałam każde drzewo, każdą dziurę, każdy zakręt na szlaku, lecz mogłabym przysiąc, że ktoś wziął tę drogę i rozciągnął ją jak kawałek gumy do żucia, aż stała się o sto procent dłuższa.

Czarne niebo powoli szarzało, a przed świtem pokryło się mętną szarością. Zaczęły się pojawiać kształty. Nagle mogłam zobaczyć drzewa oddalone o sto metrów w górę szlaku. Dzięki Bogu, byliśmy już prawie na szczycie. Wszyscy zamilkli. Chyba każdy z nas był zmęczony i trochę zadyszany po ostatnim stromym odcinku wspinaczki. Spojrzałam na grań, do której mozolnie się zbliżaliśmy. Czułam się tak, jakbym oglądała czarno-biały film. Film, w którym niespodziewanie pojawili się nowi aktorzy. Cały rząd: trzech, czterech, pięciu.

Byłam taka zmęczona, że przez chwilę nie wierzyłam własnym oczom. Przypominali szereg żołnierzy duchów. Zastygłam. Byłam w szoku. Poczułam mrowienie i pieczenie w całym ciele. Idący przede mną Kevin też ich zobaczył i też się zatrzymał. Chyba właśnie to mnie przekonało, że są prawdziwi. Homer, Lee i Ryan wlekli się dalej z opuszczonymi głowami. Ku mojemu zdumieniu żołnierze na grani nadal szli, odwróceny do nas bokiem. Wtedy zauważył ich Homer, który szedł teraz na przedzie naszej grupy. Znieruchomiał jak na stop-klatce. Pozostali dwaj w końcu zauważyli, że coś jest nie tak, i też zamarli w bezruchu.

Nasza piątka była idealnym celem. Gdyby patrol przeszedł do ataku, musielibyśmy zanurkować w zarośla i mieć nadzieję, że uda nam się znaleźć jakąś osłonę. Ale – co niewiarygodne – żołnierze szli dalej. Też wyglądali na mocno zmęczonych.

W zasadzie byli lepszym celem niż my, odznaczali się na horyzoncie jak kaczki na strzelnicy na jarmarku w Wirrawee. Może też nie spali całą noc.

Ostatni z nich przeszedł i zniknął mi z pola widzenia. W lesie nadal było cicho i spokojnie, jakby nigdy nie chodził tędy żaden człowiek.

Gapiliśmy się na siebie wstrząśnięci, a potem, nie czekając na niczyją sugestię, wtopiliśmy się jak duchy w zarośla po lewej stronie. Podkradliśmy się ze dwadzieścia metrów, a następnie zebraliśmy w jednym miejscu. Chyba wszyscy trochę się trzęśliśmy. To nastąpiło tak niespodziewanie. Po prostu nigdzie nie byliśmy już bezpieczni.

Pierwszą reakcją Ryana okazała się złość. Wcale mu się nie dziwię. Powierzył nam swoje życie i omal go nie stracił. Podejrzewam, że byliśmy zbyt zmęczeni i za mało myśleliśmy. Ale w środku nocy, z dala od cywilizacji, po tym jak zaledwie kilka godzin temu zabiliśmy i zakopaliśmy cały patrol, byliśmy przekonani, że zaczną go szukać dopiero za parę dni, więc wmówiliśmy sobie, że wszystko będzie dobrze.

Zawsze miałam wrażenie, że Nowozelandczycy nie są pewni, czy naprawdę wiemy, co robimy. Po rozmowie z nimi nabrałam przekonania, że uważają nas za zgrają dzieciaków, które zrobiły parę szalonych, stukniętych rzeczy i upiekło im się dzięki zwykłemu fartowi. Po raz pierwszy poczułam, że pułkownik Finley wreszcie, naprawdę i całkowicie bierze nas na poważnie, kiedy powiedzieliśmy mu przez radio, że zmiotliśmy cały patrol wrogich żołnierzy, nie ponosząc żadnych strat. A teraz, zaledwie chwilę później, znowu popsuliśmy sobie reputację. To było bardzo dobijające.

– No, nieźle – powiedział do nas Ryan, po czym zwrócił się do mnie: – Świetny refleks, Ellie.

Ze wszystkich porów w jego ciele – a przynajmniej z tych widocznych – wydobywała się para. Teraz to on był zaniepokojony i zdenerwowany. Najpierw ochrzanił Homera i Lee za rzucanie błotem, a teraz po raz drugi podskoczyło mu ciśnienie. Bałam się, że jego wąsy staną w płomieniach.

Zabawnie było kłócić się szeptem, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Zresztą tym razem nie wystraszyłam się ataku. Zawsze miałam problem z dogadaniem się z ludźmi z wojska.

Z majorem Harveyem, a czasami nawet z pułkownikiem Finleyem. Ale teraz spojrzałam Ryanowi prosto w oczy i powiedziałam:

– Znamy te góry na wylot. To druga grupa żołnierzy, którą tutaj spotkaliśmy w ciągu czternastu miesięcy. Nie można było tego przewidzieć.

W zasadzie mówiłam prawdę, chociaż ostatnio miałam wrażenie, że w górach roi się od żołnierzy jak w filmie o drugiej wojnie światowej.

W porządku, może i byliśmy nieostrożni. Ale widocznie wysłali tu większe siły, niż przypuszczaliśmy. Przecież nie wszystko da się przewidzieć. Kiedy coś idzie źle, nie zawsze trzeba szukać winnego. Dlatego postawiłam się Ryanowi i dlatego czułam przy tym, że mam rację.

Trochę go zatkało. Dosłownie połknął to, co zamierzał powiedzieć: widziałam, jak jego jabłko Adama wędruje w górę i w dół. Po chwili stwierdził:

– Nie ma sensu tego roztrząsać. Zdecydujemy, co dalej.

– Musimy zejść do Piekła – powiedziałam. – Jest tam Fi i czworo dzieci. Opiekujemy się nimi. Nie chcę, żeby dłużej siedziały tam same, kiedy po górach biegają obcy żołnierze.

To też nie zrobiło na Ryanie dobrego wrażenia.

– Czworo dzieci? W jakim wieku? Matko Boska, to jakieś przedszkole. Skąd one się wzięły?

Nie wyglądało na to, że naprawdę chce usłyszeć odpowiedź. Zresztą i tak nie było na nią czasu ani miejsca.

Po następnej chwili milczenia dodał:

– Czy wszyscy musicie iść do... Jak wy to nazywacie? Może część z was zostanie tutaj? Załatwiłbym swoje sprawy i załapałbym się na specjalny kurs powrotny o północy.

– Tak wygląda plan? – zapytał Homer. – Przyleciałeś tu tylko na dwadzieścia cztery godziny?

– Oczywiście. Jeśli śmigłowiec będzie mógł bezpiecznie wylądować, jutro stąd znikam. Noc później mam następne ważne spotkanie i nie zamierzam go przegapić. Jeśli uznam, że tutaj nie jest bezpiecznie, uruchomię radio i wyznaczę inne miejsce lądowania.

Wokół dały się słyszeć westchnienia. Sprawa się komplikowała.

– Myślę, że powinniśmy zejść do Piekła – powiedział Homer. – Tam będziemy bezpieczni. To nasza baza, mamy w niej wszystkie rzeczy i możemy się zorganizować przed akcją, do której nas wyznaczycie. Zresztą dotrzemy tam bez problemu.

Ryan już miał się nie zgodzić, ale spojrzał na nasze twarze i to, co na nich zobaczył, najwidoczniej go przekonało. Dlatego ostatecznie tylko wzruszył ramionami i powiedział:

– Musimy być cholernie ostrożni.

Pomyślałam, że to jedno z najgłupszych zdań podczas całej tej wojny, ale czasami miewałam wystarczająco oleju w głowie, żeby ugryźć się w język, i to była właśnie taka chwila.

Kiedy znowu ruszyliśmy w drogę, myślałam o wszystkich możliwych odpowiedziach, jakich mogłam mu udzielić: „Nie, mam lepszy pomysł: ustawmy się jak do tańca conga i wejdźmy na górę w podrygach”. „Hej, Ryan, wspomniałam ci już, że mam dyplom z jodłowania?” „A tak na marginesie, czy przypadkiem nie przyszła pora na naszą poranną maoryską pieśń wojenną?”

Szliśmy na szczyt ukryci w zaroślach, a pięćdziesiąt metrów od celu zatrzymaliśmy się, żeby Homer i Kevin mogli sprawdzić teren. Kevin aż się rwał do roboty. Zastanawiałam się, czy to zasługa obecności Ryana. Może nasz przyjaciel tak bardzo chciał zaimponować zawodowemu żołnierzowi, że dla odmiany nie miał nic przeciwko nadstawianiu karku.

Chłopaki zniknęły na pół godziny. Potem Homer mignął mi wśród skał na końcu szlaku. Przez ułamek sekundy widziałam jego czarne włosy, ale szybko znowu zniknął mi z oczu. Mój żołądek wykonał powolny obrót o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, a potem dosłownie się rozpadł. Wiedziałam, że to oznacza złe wieści. Skoro Homer pozostał w ukryciu, to widocznie miał powód. Spojrzałam na pozostałych. Przynajmniej nie spali i obserwowali. Machnęłam w ich stronę, jakbym chciała powiedzieć: „Schowajcie się!”. Natychmiast się ukryli.

Dziesięć minut później znowu zobaczyłam Homera, tym razem znacznie bliżej, a potem, prawie równocześnie, ukazał mi się Kevin schodzący ze wzgórza po drugiej stronie. Poruszali się jak komarnica, delikatnie i ostrożnie. Podkrađłam się wyżej i spotkałam z Homerem za głazem. Kiedy dotknęłam jego przedramienia, poczułam, że przepływa przez nie tysiąc woltów. Gdyby go podłączyć do sieci energetycznej Wirrawee, można by włączyć wszystkie latarnie na ulicach, a i tak zostałyby jeszcze na podgrzanie wody w basenie.

– I co? – zapytałam.

– Są rozstawieni wzdłuż Szwu Krawca – powiedział. – Patrzą na Piekło. Nie mam pojęcia, co oni wyrabiają. Ale to cholernie podejrzane.

– Może zauważyli coś z powietrza – podsunęłam.

– Tak, niewykluczone. – Dyszał, a po chwili dodał: – Boże, dłużej tego nie wytrzymam.

Za moimi plecami rozległ się stukot kamieni. Odwróciłam się i zobaczyłam Ryana.

– Co się dzieje? – zapytał.

Homer powtórzył złe wieści. Obydwoje spojrzeliśmy na Ryana, czekając na jakiś błyskotliwy komentarz. Ale on wydawał się trochę zakłopotany.

– W zasadzie nie mam dużego doświadczenia w takich sytuacjach – powiedział. – Jak myślicie, co teraz?

Poczułam, jak brwi wędrują mi w górę, ale szybko przejęłam nad nimi kontrolę.

– Nie możemy pozwolić, żeby zaczęli schodzić do Piekła – powiedziałam. – Przecież jest tam Fi i dzikusy.

– Brakuje nam broni – zauważył Homer.

– W skrzynkach jest jej mnóstwo – powiedział Ryan.

– Teraz są już za daleko – odezwałam się. – Ile masz do tego nabojęw? – zapytałam, kiwając głową w stronę karabinu Ryana.

– Osiemdziesiąt.

Wszyscy mieliśmy karabiny maszynowe zabrane wrogim żołnierzom, ale zostało nam tylko trzydzieści nabojęw na cztery osoby. Mogło się wydawać, że to dużo, lecz wiedziałam, że patrol na Szwie Krawca ma ich ze dwa tysiące.

– Jest ich tylko pięciu? – zapytałam Homera.

– Chyba tak.

Przyszedł Kevin, a potem Lee, który wcześniej był na zboczu. Przekazaliśmy mu nowiny.

– Podejdźmy bliżej i sprawdźmy, co da się zrobić – zaproponowałam.

Ryan nerwowo odchrząknął.

– Eee... Nie bardzo wiem, jak wam to powiedzieć – zaczął.

Czekaliśmy. Nie miałam pojęcia, do czego on zmierza, ale najwyraźniej chodziło o coś ważnego.

– Dostałem wyraźne rozkazy – ciągnął, z każdym słowem coraz bardziej czerwony. – Nie wolno mi się angażować w walkę. Pod żadnym pozorem. Oczywiście nie licząc sytuacji, w której sam zostanę zaatakowany.

– Aha – powiedziałam.

– No dobra – powiedział Homer.

– Niewiarygodne – dorzucił Kevin, co moim zdaniem było lekką przesadą, biorąc pod uwagę niektóre numery, jakie sam odstawiał podczas tej wojny.

Lee tylko popatrzył w dal, na grań, i nie powiedział ani słowa.

– No dobra – powtórzyłam za Homerem. – W porządku. Przynajmniej już wiemy. Chyba lepiej usłyszeć to teraz niż później.

Podejmując ogromny wysiłek umysłowy, skupiłam się, żeby nie dać się rozproszyć negatywnym emocjom.

– Zaczekaj tutaj – powiedziałam do Ryana. – Wrócimy po ciebie, kiedy zbadamy sytuację. Dasz nam swoją amunicję. Zostawimy cię z, powiedzmy, dziesięcioma nabojami, dobrze?

– Jasne – zgodził się swoim chropawym głosem. – Słuchajcie, naprawdę mi przykro z tego powodu, ale najwidoczniej uważają, że jestem potrzebny jeszcze do kilku zadań...

– W porządku – powiedziałam.

Po prostu chciałam już iść. Patrol wążący wokół Piekła nie dawał mi spokoju, a moja nadpobudliwa wyobraźnia ukazywała mi go już w połowie drogi w dół, zbliżającego się do Fi i dzieci.

Zrobiliśmy porządek z karabinami i zaczęliśmy powolne, długie skradanie się na grań. Kiedy się oddalałam od Ryana, rąbnął pięścią w drzewo i mruknął:

– Matko Boska, to takie niesprawiedliwe.

I chyba mówił szczerze. Nie byłam do końca pewna.

Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było powolne tempo, ale zwyczajnie musieliśmy zachować megaostrożność. Kiedy dotarliśmy na górę i ruszyliśmy w stronę Wombegonoo, poczuliśmy pierwsze ciepło dnia. Jasne światło mnie przestraszyło. Normalnie nie walczyliśmy w takich warunkach. Byliśmy nocnymi zabójcami.

Walka we czwórkę przeciwko pięciu żołnierzom też nie wróżyła niczego dobrego.

Pokonaliśmy już połowę drogi na Wombegonoo, a nadal nikogo nie widzieliśmy. Idący obok mnie Homer był naprawdę zdenerwowany. Wszystko, co miało jakiś związek z Fi, wytrącało go z równowagi.

– Wcześniej byli o wiele bliżej – mruknął do mnie, mając na myśli to, że odkąd po raz ostatni widział żołnierzy, musieli się przemieścić dalej wzdłuż grani. Albo przedostać się na drugą stronę i zejść do Piekła.

Wtedy zobaczyłam jednego z nich. Stał na szczycie Szatańskich Schodów i patrzył w dół urwiska. Trzymał coś, ale nie wiedziałam, co to takiego. Razem z Homerem przyjrzelśmy się Szwowi Krawca w poszukiwaniu pozostałych. Po mojej prawej Lee i Kevin robili to samo. Kiedy znowu spojrzałam na Szatańskie Schody, żołnierza już nie było. Przez chwilę myślałam, że spadł w przepaść. Ale Lee, który dość szybko poruszał się po zboczu, machnął do nas i kiedy biegłam pochyłona, żeby schować się za drzewem, kątem oka zauważyłam linę zwisającą z wielkiego eukaliptusa.

Wtedy zrozumiałam, co się dzieje. Zjeżdżali z krawędzi na linie.

Potem wydarzenia potoczyły się z prędkością, która nie dopuszczała żadnych myśli ani uczuć, a jedynie szalony pęd adrenaliny umożliwiający podjęcie właściwych decyzji, oddanie celnych strzałów i utrzymanie się przy życiu. Po mojej prawej nastąpiło jakieś poruszenie – nie

dźwięk, tylko niejasne wrażenie, że doszło do zakłócenia przepływu powietrza. Gwałtownie się odwróciłam i zobaczyłam, co się dzieje. Lee i Kevin robili coś pod innym drzewem. Między nimi zauważyłam czyjeś ciało. Zostawiłam Homera i pobiegłam do nich sprintem z uniesionym karabinem. Ale oni mnie nie potrzebowali. Wzięli jeńca. Młoda kobieta w mundurze klęczała na ziemi z rękami za głową. Kevin mierzył jej w twarz z odległości zaledwie trzech, czterech metrów. Byłam pod wrażeniem, lecz nagle zdałam sobie sprawę z czekających nas problemów. Wzięcie jeńca oznaczało ogromne komplikacje. Ale jak już wspomniałam, nie było czasu na myślenie: znaleźliśmy się w samym środku akcji. Cokolwiek miało się wydarzyć w ciągu kilku następnych minut, musieliśmy postawić na swoim, musieliśmy wygrać. W tej wojnie nagrody za zajęcie drugiego miejsca wręczano w kostnicy.

Ta kobieta pilnowała liny. Powiedziałabym, że nie musiała się przy tym bardzo wysilać: po prostu stała i miała ją na oku. Żołnierze owinęli linę wokół pnia, zabezpieczając ją skórzanym paskiem przed przetarciem. Lee wyjął nóż i patrząc na mnie, wykonał gest, jakby chciał ją przeciąć.

Przecząco pokręciłam głową i próbowałam coś wymyślić. Boże, było ciężko. Czułam ogromne zmęczenie, nie tylko po wydarzeniach ostatniego dnia i dwóch nocy, ale po całej długiej i wyczerpującej wojnie. Zjawił się Homer. Ucieszyłam się na jego widok. Z jakiegoś powodu już sama jego obecność pomogła mi się skupić, uporządkować myśli.

– Słuchajcie – powiedziałam ściszym głosem – zostawmy na razie tę linę.

Nie umiałam tego ubrać w słowa, ale w głębi duszy wiedziałam, że to słuszna decyzja. Gdybyśmy przecięli linę, każdy, kto akurat na niej nie wisiał, od razu by się domyślił, że jest jakiś problem. Żołnierze wtopiliby się w zarośla Piekła i nigdy byśmy ich nie znaleźli.

– Ja i Homer pójdziemy dalej szlakiem – dodałam – i spróbujemy ich zaskoczyć na dole urwiska.

– Pójdę z wami – powiedział od razu Lee. – Kevin może się nią zająć sam.

Nie spierałam się. Byłam mu zbyt wdzięczna za towarzystwo. Miałam na ręku zegarek Lee, więc włączyłam stoper i zwróciłam się do Kevina:

– Przetnij linę za osiem minut.

Uznałam, że jeśli będziemy się ruszali wystarczająco szybko, w osiem minut uda nam się zejść z urwiska.

Ruszyliśmy szlakiem, jakbyśmy nie wiedzieli, co to strach. Myślę, że wszyscy troje mieliśmy przed oczami Fi i dzieci, te bezradne dzieci, które uważały się za wielkich twardzieli. Biegliśmy cicho, ale szybko. Tak się złożyło, że prowadziłam. Przeskakiwałam przez pniaki, ześlizgiwałam się ze skał, brałam ostre zakręty i pochylałam głowę pod gałęziami. Tylko raz spojrzałam za siebie. Chłopaki były tuż za mną. Niczego więcej nie musiałam wiedzieć.

Ilekoć uderzałam się o drzewo albo o ostrą krawędź skały, wiedziałam, że zbieram do kolekcji kolejne zadrapanie, ranę albo siniaka. Pot lał się ze mnie strumieniami. Mieszał się z moją krwią. Zignorowałam zarówno krew, jak i pot, skupiając się na dwóch ważnych sprawach: na prędkości i ciszy. Wszystko oprócz tego było nieważne.

Kiedy nie patrzyłam na ścieżkę, próbując unikać kolein, wybojów i wielkich stert mokrych liści, spoglądałam na zegarek. W ciągu dwóch minut i czterdziestu pięciu sekund dotarliśmy do pierwszego mostku wybudowanego przez pustelnika. Przy pierwszym z Szatańskich Schodów znaleźliśmy się po trzech minutach i pięćdziesięciu sekundach, przy drugim po czterech minutach i czterdziestu sekundach, a przy trzecim po pięciu minutach i dwudziestu sekundach. Szło nam naprawdę dobrze. Dokładnie minutę później przedostaliśmy się przez szczelinę między urwiskami. Oceńłam, że potrzebujemy jeszcze półtorej minuty, co bardzo nas zbliżało do wyznaczonego terminu ośmiu minut. Nie mogliśmy sobie pozwolić na spóźnienie. W tym wyścigu życie zależało od elementu zaskoczenia.

Usłyszałam, jak biegnący za mną Homer odbezpiecza karabin. Zrobiłam to samo. Bieg pędem przez las z odbezpieczonym i naładowanym karabinem jest trochę niebezpieczny. Postanowiłam, że jeśli kiedykolwiek zobaczę tatę, na pewno mu o tym nie powiem. Ale Homer postąpił właściwie. Dzięki temu przypominałam sobie, że to wyścig nie tylko z czasem, ale i ze złymi ludźmi, że to bitwa i muszę się całkowicie przestawić na tryb bojowy. Nie było czasu na

rozgrzewkę, rozciąganie i na przemówienia rozgrzewające do walki. Musiałam być gotowa do strzału.

Do zabijania.

Ostatnie spojrzenie na zegarek uświadomiło mi, że minęło siedem i pół minuty. Jakieś trzydzieści sekund później dotarliśmy na dół urwiska. Wiedziałam, że tam będą. Zwolniliśmy dopiero na ostatnich dwudziestu metrach. Tylko na tym krótkim odcinku przeszłam do marszu, a potem do szybkiego skradania się. Byłam tak skupiona, że zabrakło miejsca na zdenerwowanie. To się nazywa koncentracja. Cała moja energia, fizyczna, psychiczna i emocjonalna, popłynęła w kierunku czekającego nas zadania.

Zobaczyłam ich i w tej samej chwili oni zobaczyli mnie. Różnica polegała na tym, że ja spodziewałam się tego spotkania, a oni nie. Dzięki temu zyskałam chwilę przewagi. Ale szybko, z czymś w rodzaju obezwładniającego przerażenia, zdałam sobie sprawę, że chwila to za mało. Ich było sześciu, a nas troje. Homer źle policzył. Nasza mała przewaga czasowa była niewiele warta, gdy czekało nas tak nierówne starcie. W otwartej bitwie nie mieliśmy szans pokonać sześciu żołnierzy.

Mimo to odruchowo uniosłam karabin i mój palec zakrzywił się na spuście. Poczułam się bardzo dziwnie, jakby całe powietrze wyparowało mi z płuc i opuściło ciało. Właściwie nie było to żadne rozpaczliwe uczucie, po prostu wrazenie, że zabrakło mi tchu. Nieszczególnie się nad tym zastanawiałam, uznałam to tylko za bardzo dziwny aspekt całej sprawy.

Sześciu na troje. Nie, nie do końca. Tak naprawdę było siedmioro na czworo, tylko że jeszcze o tym nie wiedziałam. Ich siedmioro, nas czworo. Czwarty był Kevin. U nich siódma była kobieta spuszczaająca się po linie ze skały. Kołysała się nad najbardziej stromym urwiskiem na Szatańskich Schodach. I wtedy Kevin przeciął linę.

Ciekawe, czy dostała jakieś ostrzeżenie, Musiała wiedzieć, że coś jest nie tak, że coś jest bardzo nie w porządku, kiedy lina zaczęła falować i drżeć. Najpierw usłyszałam krzyk. Boże, jak ona krzyknęła! Jej głos wypełnił całe Piekło. To był płacz, pisk, czysta agonía. Ilekroć o nim myślę, skóra na karku robi mi się zimna, jakby ktoś przyłożył mi tam kostkę lodu. Kiedy wraca do mnie tamten krzyk, czas zastyga w miejscu i zapominam, co akurat robię, wpadam w coś w rodzaju katatonii.

Zabawne, że gdy teraz o tym myślę, dzieją się takie rzeczy. Wtedy mój umysł pracował trochę lepiej. Moje najbardziej prymitywne ja wie, że krzyk tej spadającej kobiety, krzyk, który byłby w stanie ściąć mleko i krew, który zdawał się trwać pół minuty, który wydobył się z najgłębszych czeluści piekła, dał nam jedną jedyną szansę.

Gdy żołnierze stali zahipnotyzowani, jakby ptasznik australijski wstrzyknął im swój paraliżujący jad, zgięłam prawy palec wskazujący i pociągnęłam za spust.

Ta-ta-ta-ta karabinu maszynowego na tle krzyku spadającej bez końca kobiety utworzyło najpotworniejszą muzykę, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Trwała tylko chwilę. Przerwał ją głuchy huk ciała uderzającego o ziemię. Prawie go nie zauważyłam. Padały już inne ciała. Nie miały za sobą tak długiej drogi jak ciało tamtej kobiety, ale finał był ten sam. Hałas przybrał na sile, kiedy zaczęli strzelać Homer i Lee. Pewnie pociągnęli za spust sekundę po mnie, ale w takich okolicznościach sekunda może odmienić ludzkie losy.

Strzelaliśmy jeszcze trochę, ale nie było potrzeby. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stało sześciu żołnierzy, żywych i czujnych, teraz leżały ciała rozerwane siłą kul. Wszędzie było widać krew, kawałki mięsa i skrawki mundurów. Moje piękne Piekło zostało zniszczone na zawsze. Nie mieliśmy przed sobą niczego oprócz śmierci. Teraz naprawdę byliśmy w piekle.

Dziwne, ale najmniej zmasakrowane okazało się ciało kobiety, która spadła z urwiska.

Homer podbiegł do niej, do osoby, której przedśmiertny krzyk ocalił nam życie, i sprawdził jej puls. Nie trwało to długo. Moją uwagę przykuł Lee. Zaciął mu się karabin, więc wymienił go na broń jednego z martwych żołnierzy, po czym wyprostował się i powiedział do mnie:

– Jeden uciekł.

– O nie.

– Tak, pobiegł tam, wzdłuż urwiska. Ale zostawił karabin.

– Co z nim zrobimy, do cholery?

Podszedł do nas Homer.

– Zostawmy go – powiedział od razu.

Już miałam się wtrącić, zdecydowanie zaprotestować, ale Homer ciągnął dalej:

– Nie ma karabinu. Moglibyśmy zmarnować na poszukiwania cały tydzień, a i tak go nie znaleźć. Lepiej zabierzmy stąd Fi i dzikusów, a potem wróćmy do Kevina i Ryana. Na dłuższą metę to jedyne rozwiązanie.

Jak to często bywało, Homer trzeźwo spojrział na problem i znalazł rozwiązanie. No, może nie rozwiązanie, ale najlepszy plan.

Doskonale wiedziałam, że Fi i dzieci słyszały strzały i krzyki, a teraz panikują. Nawet Gavin mógł usłyszeć taki hałas, a to mówi samo za siebie. Uznałam, że rzeczywiście trzeba szybko do nich dotrzeć, zanim zrobią coś głupiego.

Wahałam się jeszcze przez chwilę, a potem poszłam za chłopakami. Jedno było pewne: nie mogłam nic więcej zrobić na dole urwiska pod Szatańskimi Schodami.

Byliśmy zaledwie dziesięć metrów od szlaku. Gdy tylko ponownie na niego weszłam, odbiłam w prawo i ruszyłam w stronę polany. Nagle usłyszałam głosy. Nie należały do dziewczynek, dzieci, do Fi i dzikusów, ale do Homera, Lee i jakiegoś faceta. Facet wydawał się nieszczęśliwy. Naprawdę nieszczęśliwy. Płakał, jęczał i błagał.

Jeszcze raz odbezpieczyłam karabin i pobiegłam. Ale nie musiałam biec daleko. W tym gęstym lesie dźwięk docierał tylko na małą odległość. Pokonałam dwa zakręty i wtedy ich zobaczyłam.

Gdyby telewizja kiedykolwiek zaczęła nadawać program zatytułowany *Najzabawniejsze chwile z czasów wojny* z mnóstwem zabawnych filmików z udziałem ludzi odnoszących rany, zabijanych i wylatujących w powietrze, musiałoby się w nim znaleźć miejsce na tę scenkę.

Nigdy nie zaprzętałam sobie głowy pułapkami zastawionymi przez Jacka i Gavina, którzy tak pilnie przy nich pracowali. Naprawdę: gdyby w szkole był przedmiot „Pułapki”, ci dwaj mogliby sami poprowadzić lekcje.

Ale szczerze mówiąc, nigdy nie brałam ich poważnie. Mimo że sama o mało nie skręciłam kostki w koleinie Jacka, ani przez chwilę w nich nie wierzyłam.

Teraz byłam zmuszona zmienić zdanie.

Najważniejszym przedsięwzięciem Gavina był dół, w którym mieli lądować intruzi. Przykrył go liśćmi i gałęziami. Problem polegał na tym, że Gavin – jak to Gavin – uznał to za fantastyczny pomysł i wziął się do realizacji planu z ogromnym entuzjazmem, ale po kilku godzinach kopania rozłożonego na kilka dni postanowił się poddać. Nawet mimo pomocy Lee nie wykorzystał potencjału swojego planu. Początkowo zamierzał wykopać dół o takiej głębokości, żeby żołnierz nadział się na ostre kije ustawione na dnie. Ale ostatecznie dół miał tylko metr i nie było w nim żadnych kijów.

To chyba dobrze, bo raczej nie zniosłabym widoku ciała nadzianego na kije według pomysłu Gavina.

W każdym razie żołnierz, który uciekał jak szalony z masakry na dnie urwiska, wpadł w ten dół z rozpędu i najwidoczniej złamał nogę.

W tej wojnie Gavin zawsze śmiał się ostatni. To było dobijające.

Nie miałam stuprocentowej pewności, czy żołnierz złamał nogę. Równie dobrze mógł zerwać ścięgno albo coś w tym rodzaju. Tak czy siak, potwornie cierpiał, skręcał się i wił, a do tego bez przerwy mówił w swoim języku. Nie wiem co. Przez połowę czasu brzmiało to jak błaganie, a przez drugą – jak prawdziwa złość. Wygramolił się z dołu, ale nie próbował uciekać. Za bardzo go bolało. Tak to już jest z bólem. Bez względu na to, w którym miejscu ciała się ulokuje, zawsze czujesz się tak, jakbyś dostał kopa w brzuch.

Żadne z nas nie zawracało sobie głowy tym człowiekiem. Boże, nie mogę uwierzyć, że stawaliśmy się tacy brutalni, tacy bezduszni.

Homer powiedział tylko:

– Przez jakiś czas nie będzie mógł nam zaszkodzić.

Lee i Homer ruszyli przed siebie, ale ich zatrzymałam.

– Słuchajcie, może lepiej się zastanówmy. Chyba powinniśmy wysłać kogoś na górę, żeby sprawdził, czy nie ma więcej żołnierzy i czy u Kevina wszystko w porządku.

Stali i zastanawiali się nad moimi słowami, a potem Lee powiedział:

– Tak, masz rację, pójdę tam.

– Co z Ryanem? – zapytał Homer.

– Będzie musiał poczekać.

Wszystko było coraz bardziej zagmatwane, wszędzie jacyś ludzie, ale musieliśmy zachować spokój. Prawie padaliśmy ze zmęczenia, lecz jakimś cudem musieliśmy znaleźć siłę, żeby działać dalej. Uzgodniliśmy z Lee sygnał: jeśli wszystko będzie w porządku, miał przywiązać do drzewa na Wombegonoo swoją zieloną koszulkę, a w razie problemu – brązową koszulkę Homera. Homer zdjął T-shirt, wydając z siebie prymitywne stęknienie, i podał go Lee, który pomknął szlakiem jak zjawą w lesie.

Patrząc, jak odchodzi, czułam, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, że żaden wróg nie podoła jego inteligencji i sile.

W końcu nauczyłam się znowu mu ufać. Całkowicie.

3

– Idźmy powoli i spokojnie wzdłuż grani i wypatrujmy najmniejszego znaku kłopotów – zarządził Homer.

Wszyscy znosiliśmy to dość ciężko. Słyszając odgłosy strzelaniny, Fi o mało nie wyskoczyła ze skóry, a dzieci dostały hysterii. Jeszcze nigdy nie widziałam równie zdenerwowanego Gavina. Kiedy mijaliśmy żołnierza z poturbowaną nogą, dzieciaki gapiły się na niego, jakby miał trzy głowy i jaskrawoniebieski tyłek.

Pięćdziesiąt metrów w górę szlaku spotkaliśmy Kevina i Lee, którzy sprowadzali jeńca do Piekła. Lee zasugerował, że żołnierze powinni być razem, żeby pomóc sobie nawzajem, ale moim zdaniem ta kobieta nie nadawała się do niczego. Wyglądała jak szalona. Jakby oślepla. Nie skupiała na nas wzroku. Śliniła się i mamrotała do siebie w tym dziwnym śpiewnym języku. Była młoda i silna, ale niewola najwidoczniej wywarła jakiś dziwny wpływ na jej umysł. A może zachowywała się tak na co dzień. Może była pod wpływem narkotyków, nie wiem.

Cofnęłam się z Lee i przywiązaliśmy ją do drzewa, robiąc na linie specjalne węzły. Musiałam się na tym skupić, bo istniało ryzyko, że kobieta się z nich nie wyswobodzi, i ciągle miałam przed oczami jej szkielet po śmierci głodowej, nadal przywiązany do drzewa. Ale naprawdę wierzyłam, że w ciągu kilku godzin je rozsypła. Nie potrzebowaliśmy więcej czasu. Kiedy to robiliśmy, wymyślała nam i była strasznie wkurzona. Z pewnością odzyskała jasność umysłu, bo syczała na mnie i warczała jak dziki kot zapędzony w kozi róg. Razem z gościem z przekrzywioną nogą, który jęczał, płakał i błagał, tworzyło to paskudną scenę, więc bez większego żalu zostawiłam tych dwoje i pobiegłam za resztą na górę.

Gdy tylko tam dotarliśmy, sapiąc i dysząc, Gavin znowu się na coś przydał. Robił siku przy drzewie, sześć metrów od szlaku. Kiedy skończył, zaczął gorączkowo do nas machać. Jego uwagę przykuł błysk metalu głębiej w lesie.

Pobiegliśmy tam. Plecaki żołnierzy i dwa zestawy radiowe tworzyły zgrabny krąg na ziemi. Nie było czasu niczego otwierać. Zanieśliśmy to wszystko nad urwisko i zrzuciliśmy w najgęstsze zarośla, jakie znaleźliśmy, zapewniając tym rzeczom bezpieczeństwo na najbliższe kilkaset lat.

Szliśmy na paluszkach po Szwie Krawca z nerwami napiętymi jak postronki i ze ściśniętymi żołądkami. Nie sposób było odgadnąć, jakie jeszcze niespodzianki ma dla nas w zanadrzu ta wojna: patrole, helikoptery, snajperów, kto wie? Wcale bym się nie dziwiła, gdyby wąskim szlakiem nadjechał czołg, miażdżąc po drodze kamienie, drzewa i wombaty – a na końcu nas.

Każdy pokonany odcinek przynosił ulgę. Dotrzeć do tamtego eukaliptusa. Do tej białej skały. Za następny zakręt. Dojść przynajmniej do rozwidlenia niedaleko Mount Martin, gdzie szlak dla terenówek zaczyna biec w stronę mojej rodzinnej posiadłości.

Ryan czekał niedaleko miejsca, w którym go zostawiliśmy. Ukrył się wśród skał, skąd miał

dobry widok na obie strony Szwu Krawca.

Trzeba przyznać, że zjawienie się naszej piątki naprawdę go uradowało. Najwyraźniej zaprzyjaźnił się z nami szybciej, niż przypuszczaliśmy. Radość Ryana z naszego powrotu dorównywała jego przerażeniu na widok dzikich dzieci. Na szczęście miał na tyle rozsądku, żeby zamilknąć, ale za każdym razem, kiedy na nie spojrzał, kręcił głową, jakby był zastępcą dyrektora szkoły, a one uczniami, którzy zostali za karę po lekcjach.

Nie miał dla nas żadnych wieści. Niczego nie widział i nie słyszał, nawet naszej strzelaniny. Zdziwiłam się, że ściany Piekła tak dobrze odgradzają je od świata. Zdecydowanie nadawały się na idealną kryjówkę. Może później będę miała więcej czasu, żeby poczuć smutek po jej stracie.

Szybko zdałam Ryanowi relację z najnowszych wydarzeń.

– Musimy się stąd szybko wynieść – powiedziałam. – Jeśli zechcesz mi zaufać, pokażę ci część mojego dawnego gospodarstwa, w której powinno być bezpiecznie. Będziemy musieli wrócić kawałek tam, skąd przyszlismy.

– Muszę ci ufać – powiedział tylko.

Poczułam, że zaczynam go lubić. Może to zasługa prezentów. Jeden z plecaków, które kazał nam zabrać, był wypełniony smakołykami. Świeży chleb! Boże, jaki luksus! Awokado. Weet-bixy. Dwie butelki dietetycznej pepsi. Kit-katy. Iced vo-vo. Vegemite. Nie mogliśmy zrobić sobie przerwy na śniadanie, ale z drugiej strony nie wytrzymałybyśmy dłużej bez jedzenia. Potrzebowaliśmy go, żeby mieć siłę, fizyczną, ale jeszcze bardziej dlatego, że brakowało nam siły psychicznej.

Każde z nas złapało jakiś smakowity kasek, wypchaliśmy sobie nimi kieszenie, rozglądając się niespokojnie, a potem ruszyliśmy szlakiem: ja i Homer na przodzie, Lee i Ryan z tyłu. Jedliśmy po drodze. Trochę się upačkaliśmy. Mniej więcej co dziesięć kroków sięgałam do kieszeni po następny kęs i jednocześnie uważnie obserwowałam otoczenie.

No więc wkładałam rękę do kieszeni i wyjmowałam stamtąd zmiażdżony miąższ awokado na dwóch palcach, okruszki połamanego kit-kata albo oderwany kawałek chleba. Dawniej często próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądałby mój żołądek po posiłku złożonym z, powiedzmy, makaronu, lodów z polewą czekoladową na deser i kieliszka wina, gdyby mój ojciec był akurat w łaskawym nastroju. Chodzi mi o to, że gdyby dało się zobaczyć, co jest w brzuchu, wyglądałoby to tak obrzydliwie, że człowiek nie miałby ochoty więcej jeść. Ale gdybym tamtego ranka zajrzała do swojej kieszeni z jedzeniem, znalazłabym w niej coś bardzo zbliżonego.

Szybko napchałam się do syta. Jack był największym łasuchem, ale tym razem ja i Fi okazałyśmy się godnymi rywalkami.

Zlizując okruszki kit-kata z palców, zastanawiałam się, kto zapakował te smakołyki. Założę się, że nie pułkownik Finley. Nie wiem, czy zwracałby sobie tym głowę, a poza tym nie byłam pewna, czy zależało mu na nas wystarczająco mocno, żeby aż tak nas rozpieszczać. Ale przynajmniej zadał sobie trud, żeby zapytać przez radio, czego byśmy chcieli. Może miał więcej wyobraźni, niż mi się wydawało.

Mimo prezentów Ryan budził w dzieciach trwogę. Tak bardzo się go wstydziły, że przez kilka pierwszych godzin w ogóle nie chciały z nim rozmawiać. Minęło dużo czasu, odkąd widziały dorosłych stojących po ich stronie. Gavin odstawił swoje popisowe fochy: nie chciał podejść do Ryana ani nawet brać od niego jedzenia. Wszystko musiało przejść przez ręce Homera. To chyba dość zrozumiałe, bo dzieci były bardzo podejrzliwe wobec żywności, którą dostawały od dorosłych w Stratton. Wyglądało na to, że żołnierze podrzucali im jakieś zatrute produkty.

Na widok Ryana Casey schowała się za mną, a kiedy znowu ruszyliśmy w drogę, nie odstępowała mnie na krok. Natalie w identyczny sposób trzymała się Fi. Jack przez jakiś czas zachowywał się jak palant, popisował się i robił głupoty, biegał tu i tam, zgrywał waźniaka. Ale szybko go uciszaliśmy. Nie mogliśmy sobie pozwolić na hałasy.

Było mi głupio, że dzieci są takie niemiłe dla Ryana. Rozczarowały mnie. Wydawał się dość porządnym facetem i chyba naprawdę go gryzło, że nie mógł z nami pójść, kiedy ruszyliśmy na poszukiwanie patrolu. Na każdym kroku próbował nam to wynagrodzić: pomagał z plecakami, zapinał paski i zachęcał wszystkich do częstowania się jedzeniem.

Kiedy pokonaliśmy kawał drogi, wykazał nawet odrobinę poczucia humoru. No, w zasadzie chwilami starał się aż za bardzo, ale ogólnie rzecz biorąc, trzymał całkiem przyzwoity poziom i czasami nie potrafiłam się powstrzymać od śmiechu.

Narzuciliśmy mordercze tempo. Gdybyśmy przyspieszyli jeszcze bardziej, dzieci zaczęłyby padać jak muchy. Ja prowadziłam, kierując się w stronę najdalszych pól. Dzięki jedzeniu w żołądkach mieliśmy przynajmniej trochę więcej sił. Przez pierwsze dwie godziny szliśmy naprawdę szybko, potem musieliśmy zwolnić. Ale zdążyliśmy pokonać spory odcinek i czuliśmy się bezpieczniej. Opuściliśmy już góry i wyszliśmy na bardziej płaski teren, gdzie roztaczał się widok na wiele kilometrów. Na takim obszarze groził nam przede wszystkim atak z powietrza, więc ciągle się odwracaliśmy, żeby spojrzeć na mglisty horyzont. Nie było czasu na relaks. Skoro w Piekło przestało być bezpiecznie, to już nigdzie nie było bezpiecznie.

Kiedy dzikusy opadły z sił, zatrzymaliśmy się w ponurym leśnym zakątku niedaleko strumienia na jednym z naszych pól, Nellie's. Wtedy Ryan znowu bardzo spoważniał. Ledwie zdążyłam połknąć ostatni łyk pepsi, poprosił, żebyśmy na chwilę pozbyli się dzieci. Homer i Kevin zabrali je na polanę kawałek dalej nad wodą, żebyśmy nadal mogli je mieć na oku. W plecaku zawsze trzymałam kartki i długopisy, więc dałam im je i poprosiłam, żeby napisały jakieś opowiadanie albo coś narysowały.

– Albo sobie pośpijcie – podsunął optymistycznie Homer.

Wyglądało na to, że perspektywa zrobienia czegoś normalnego przyniosła im ulgę. Tak bardzo się cieszyły, kiedy przybiegliśmy do obozowiska w Piekło – aż się wzruszyłam. Fi namówiła je do ukrycia się w zaroślach, ale chyba nabrały przekonania, że i tak wszyscy zginą. Na nasz widok zrozumiały, że są bezpieczne, i rzuciły się na mnie, jakbym była eukaliptusem, a one koalami.

Trzymając kartki i długopisy, poszły za Homerem i Kevinem nad strumień. Gdy tyko się oddaliły, Ryan powiedział:

– No cóż, te dzieci to poważna komplikacja.

– Powiedz nam coś, o czym jeszcze nie wiemy – odparłam.

Chyba brzmiało to trochę nieprzyjaźnie, choć wcale nie miałam zamiaru być dla niego niemiła. Nie wróciłam jeszcze do siebie po okropnych spotkaniach z dwoma patrolami w ciągu dwóch dni, a poza tym plany Ryana budziły we mnie niepokój.

W każdym razie to, że dzieci komplikują sytuację, nie było dla nas żadną nowiną. Komplikowały ją od samego początku.

– Później o nich pogadamy i zobaczymy, co da się zrobić – ciągnął Ryan.

Wzruszyłam ramionami i zaczęłam zbierać papierki po kit-katach. Nie odzywaliśmy się, dopóki nie wróciły chłopaki.

– Okej, no to do rzeczy – powiedział Homer, kiedy usiedliśmy, żeby odbyć wielką naradę. – Po co tu przyleciałeś?

Umieraliśmy już z ciekawości.

– W porządku – zaczął Ryan. – Chcecie wiedzieć, po co tu jestem? Mówiąc w skrócie, przyleciałem dlatego, że według pułkownika Finleya możecie nam pomóc w następnej fazie wojny. Ale zanim zacznę, muszę powiedzieć, że wszystko, co ode mnie usłyszycie, jest objęte ścisłą tajemnicą. Nie mam słów, żeby wyrazić, jakie to ważne. Jeśli coś z tego dotrze do niewłaściwych uszu...

Westchnęłam, zamknęłam oczy i oparłam głowę o pień drzewa. Miałam wrażenie, że już kiedyś to przerabialiśmy. Ale nie miałam pretensji do Ryana. Niektóre rzeczy po prostu trzeba powiedzieć, człowiek czuje, że nie może przejść do następnego etapu, jeśli tego nie zrobi. Tak jak nauczyciele podczas wycieczek, którzy, kiedy zatrzymywaliśmy się na lunch, mówili: „Nie zapomnijcie po sobie posprzątać, nie chodźcie sami do toalety, pamiętajcie, żeby tu wrócić o wpół do drugiej...”.

No więc Ryan też wygłosił swój wstęp, tyle że poruszył pewne trudne kwestie, które wcześniej się nie pojawiały – w każdym razie nie wprost.

– Jeśli zostaniecie złapani – mówił – waszą pierwszą linią obrony jest to, że niczego nie wiecie. „Nic nie wiem”. Jesteście tylko dziećmi, które działają na własną rękę. Nigdy mnie nie

widzieliście. Być może zwróciliście uwagę, że nie przywiozłem żadnych gazet ani magazynów, a jeśli przyjrzyjecie się jedzeniu, przekonacie się, że na wszystkich są etykiety ze Stratton i daty przydatności do spożycia sugerujące, że produkty zostały wytworzone przed inwazją. Więc jeśli, nie daj Boże, zostaniecie schwytani, nie ma żadnych dowodów na to, że odwiedził was ktoś z Nowej Zelandii. Mogliście zdobyć to wszystko w okolicy. W porządku. Jeśli to nie pomoże, waszą drugą linią obrony jest to, że przyleciałem helikopterem i dałem wam pewne zadania, nie wyjaśniając, dlaczego macie je wykonać. Jeśli sytuacja zrobi się rozpaczliwa, trzecią linią obrony będzie zmiana szczegółów tego, co robicie, i to w sposób, który wyda im się przekonujący. To wymaga odrobiny wyobraźni, ale dacie radę i dzięki temu zyskacie trochę czasu. Jeśli kiedykolwiek wciskaliście rodzicom kit, a z tego, co wiem, wśród nastolatków to dość powszechne, prawdopodobnie już znacie tę technikę. Ostatnia linia obrony... – Zamilkł i spojrzał na nas znacząco, jakby za chwilę miał nam powiedzieć, skąd się biorą dzieci, dlaczego nie powinniśmy brać narkotyków albo dlaczego tak naprawdę pani Lance musiała odejść ze szkoły. – Ostatnią linią obrony jest prawda. Oczywiście nie jest to nasze ulubione rozwiązanie. Ale ci ludzie są twardzi i bezwzględni, a stawka jest wysoka. Jeśli nie uwierzą w wasze wcześniejsze historyjki, zastosują ekstremalną presję. Fizyczną i psychiczną. Są w tym bardzo dobrzy. Więc mogą was złamać.

Spojrzałam na Fi, która patrzyła na Ryana błada jak kreda.

– Jeśli do tego dojdzie, możemy was tylko prosić, żebyście zwlekali najdłużej, jak się da. Kiedy poczujecie, że pękacie, spróbujcie wytrzymać jeszcze sześć godzin. Albo dwanaście. Albo dwadzieścia cztery. Na tym etapie wojny każda zyskana godzina ma ogromne znaczenie.

Kazał nam powtórzyć te cztery punkty na dowód, że zrozumieliśmy, co powiedział.

Dopiero wtedy przeszedł do sedna.

– Docierały do was jakieś wiadomości, odkąd tu wylądowaliście?

– Nie bardzo.

– No tak, nie jestem pewny, od czego zacząć. Wygląda na to, że muszę się zmienić w spikera z NZBC. „A teraz pora na wiadomości!” W porządku. Nie mamy aż tyle czasu, żebym zdążył wam opowiedzieć o wszystkim, co się działo. Ale pod pewnymi względami sytuacja znacznie się poprawiła. Najwięcej zdziałały naciski międzynarodowe. Przede wszystkim ze strony Szwecji: to ona dała przykład. Poza tym Francja, Japonia, Stany Zjednoczone i MFW. Pracowały nad tym ONZ, NATO i kraje ASEAN.

Wszystkie te starania powoli przynoszą efekt. Niestety, to za mało. Ciągłe wracamy do rozwiązania militarne. Od jakiegoś czasu szerzymy coś, co ludzie z wywiadu nazywają dezinformacją.

W praktyce oznacza to, że zwodzimy wroga, żeby myślał, że jesteśmy coraz słabsi, że tracimy ducha, serce, determinację. Źródła pracujące dla naszego wywiadu mówią, że to działa. Tylko że jeśli ta informacja jest zgodna ze standardami naszych służb wywiadowczych, prawdopodobnie oznacza, że wzdłuż wybrzeża rozmieszczono kilka tysięcy rakiet R-11 skierowanych w naszą stronę. Mimo to... tym razem najwyraźniej udało się wykiwać wroga.

A jak się już pewnie domyślacie, jesteśmy w znacznie lepszej sytuacji, niż mu się wydaje. W ciągu paru następnych dni przypuścimy zdecydowany atak. To najważniejszy etap wojny. Nadeszła pora. To, co się wydarzy w ciągu najbliższych tygodni, zadecyduje o przyszłości tego kraju. I naszej. No i oczywiście ich. To dlatego was wezwano do działania. Dlatego korzystamy ze wszystkich zasobów, jakie mamy. Dlatego tu przyleciałem.

Ryan zapalił następnego papierosa. To był jego trzeci, odkąd zrobiliśmy sobie przerwę w szaleńczej ucieczce ze Szwu Krawca.

– I właśnie w tym miejscu do akcji wkraczacie wy. Słyszeliście o D-Day podczas drugiej wojny światowej?

Wszyscy słyszeliśmy, ale żadne z nas nie wiedziało, o co tam dokładnie chodziło.

– To jakiś wielki atak, prawda? – zapytał Kevin. – Widziałem w filmie.

– Właśnie. W sumie sam nie wiem, dlaczego nazwali to D-Day. Dlaczego nie A, B albo Z?

W każdym razie dla nas też nadszedł D-Day. Rzucimy do walki wszystkich żołnierzy, jakich można powołać, całą broń. To kontrofensywa, którą przygotowujemy od blisko pół roku.

– Chcesz powiedzieć, że idziemy na całość? – zapytał Kevin. – Wszystko albo nic?

– No wiesz, nie nazwałbym tego w ten sposób. Ale konsekwencje ewentualnej porażki byłyby... – Ryan szukał odpowiedniego słowa, ale kiedy w końcu mu się udało, żałowałam, że zadał sobie trud. – ... byłyby tragiczne.

Zgasił papierosa o kamień i spojrzął na nas, czekając na reakcję. Chyba był zawiedziony. Żadne z nas nie odezwało się słowem, nie zobaczył nawet najmniejszego gestu.

W końcu Homer przerwał milczenie.

– Więc jesteśmy jednym z zasobów wojskowych, tak?

– W zasadzie tak. Brzmi to trochę bezwzględnie, prawda?

Ryan zapalił następnego papierosa. Fi zmarszczyła nos i przesiadła się, żeby dym nie leciał w jej stronę.

– Przepraszam – powiedział do niej. – Po wojnie rzucę palenie. – Potem ciągnął dalej: – Sprzęt, który ukryliśmy na tej wysepce, ma wam pozwolić przeżyć tu jeszcze kilka tygodni i przy okazji zasiać sporo zniszczenia.

– Co dokładnie mielibyśmy niszczyć? – zapytał Lee.

Ryan po raz pierwszy okazał trochę entuzjazmu. W jego oczach pojawił się błysk. Zastanawiałam się, czy mimo wszystko nie jest jednak energicznym człowiekiem. Po tym co zaszło rano, trudno go było rozgryźć. Może naprawdę chciał walczyć, ale powstrzymywały go rozkazy, bo posiadał jakieś cenne umiejętności i zabroniono mu się narażać? A może był mięczakiem, który wykorzystał rozkazy jako wymówkę, żeby trzymać się z dala od zagrożenia? Zaczynałam się skłaniać ku tej pierwszej wersji i pomyślałam, że sposób, w jaki rąbnął pięścią w drzewo na Szwie Krawca, był dość szczerzy.

Może teraz prosił nas o załatwienie roboty, którą najchętniej wykonałby sam.

– Tak to wygląda – powiedział. – Macie na koncie pewne dokonania. Nie wiem o wszystkim, co tutaj działaliście, w zasadzie wiem tylko tyle, ile przeczytałem w gazetach, ale, Matko Boska, macie dokonania i właśnie dlatego przysłał mnie tu pułkownik Finley. Po tym jak usłyszałem o zasadzce, którą dziś rano zastawiliście na ten patrol, zaczynam rozumieć, dlaczego to zrobił. Teraz pułkownik chce, żebyście przeszli w tryb mobilny. Partyzanci w biegu. Z bombami. Przemieszczacie się, wybieracie cele, atakujecie i znikacie.

– Tylko że to nic nie da – powiedziała Fi. – W każdym razie niewiele, nie tyle, ile byś chciał. Nasza piątka nie odbije paru stanów w ciągu dwóch tygodni.

Ryan machnął ręką, w której trzymał papierosa.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział. – Ale przez brak gwoździa przegrano wojnę.

Chyba żadne z nas nie miało pojęcia, o czym on mówi.

Znowu machnął ręką i dodał:

– Uderzymy z ziemi, morza i powietrza. Jak już wspomniałem, udało nam się w nich wzbudzić przekonanie, że brakuje nam żołnierzy i sprzętu, żeby zrobić coś więcej, niż tylko utrzymać pozycje. Zakładamy, że uwierzyli w tę bajeczkę. Tak naprawdę zgromadziliśmy mnóstwo środków na tę ewentualność. Nic więcej nie mogę na ten temat powiedzieć. Ale wasza misja, o ile postanowicie się jej podjąć...

Po tych słowach Lee się roześmiał, a Ryan się do niego uśmiechnął, więc od razu się domyśliłam, że to kwestia z jakiegoś filmu.

– Wasza misja polega na szerzeniu chaosu i zamieszania na tyłach wroga, we wszystkich możliwych stylach, formach i barwach, tak żeby w chwili naszego frontalnego ataku z udziałem ciężkiej artylerii ciągle musieli spoglądać za siebie i sprawdzać, co się dzieje za ich plecami. Mało tego: jeśli okażecie się skuteczni, osłabicie ich obronę. Będą nam zadawać słabsze ciosy. Ucieszymy się.

Wreszcie wyraziliśmy trochę emocji.

Ryan szybko dodał:

– Nie musicie wygrywać wojny na własną rękę. Nawet kilka małych ataków takich jak ten dzisiejszy ogromnie nam pomoże.

„Małych ataków! – pomyślałam z oburzeniem. – Szkoda, że cię przy tym nie było”. Nie

mogłam uwierzyć, że potraktował nas z taką wyższością, zwłaszcza że chwilę wcześniej mówił o tym, jak świetnie się spisaliśmy.

Ale Ryan ciągnął dalej:

– Poza tym nie będziecie działać w pojedynkę. W innych miejscach też są grupy, które będą robiły to samo. Ale na terenie, który wam przydzielę, będziecie tylko wy. Żebyście nie wchodzili sobie w drogę. No i spokojnie możecie odmówić. Pułkownik Finley powtarzał mi trzy razy, że mam to wyraźnie zaznaczyć.

Większość z nas się roześmiała, między innymi ja. To był sarkastyczny śmiech. Bo kiedy po raz ostatni mieliśmy jakiś wybór, kiedy naprawdę mogliśmy o czymkolwiek swobodnie decydować?

Przez chwilę Ryan wydawał się trochę urażony naszą reakcją, ale potem wzruszył ramionami.

– No, jeśli w czasie wojny w ogóle można dokonywać jakichś wyborów – dodał.

– Dobrze zrozumiałem? – zapytał Homer. – Mamy biegać po okolicy i niszczyć wszystko, co się da? Mamy robić to, co robiliśmy cały czas, tylko że w szybszym tempie? Zgadza się?

– Chcemy, żebyście dali czadu i działali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Macie siać zniszczenie na wielką skalę. Największą, jaką jesteście w stanie sobie wyobrazić. Ale z jedną ważną różnicą.

– Jaką?

– Te skrzynki, które przywiozłem, te ukryte na wysepce, zawierają kilka drobiazgów, które mogą was zainteresować.

– Drobiazgów? – powtórzyłam.

– Mówiąc konkretnie: granatów, karabinów maszynowych, amunicji i plastycznych materiałów wybuchowych.

– Nic dziwnego, że były takie ciężkie – powiedział Kevin.

– Co to są plastyczne materiały wybuchowe? – zapytała Fi.

– To coś bardzo skutecznego, bardzo poręcznego i bardzo bezpiecznego. Pod warunkiem że można używać takich określeń w odniesieniu do materiałów wybuchowych. Rozwałą wszystko szybko i z łatwością.

– Ale nie wiemy, jak się nimi posługiwać – zauważyła Fi.

– Hej, okaż nam odrobinę zaufania – odparł Ryan. – Wybraliśmy je właśnie ze względu na prostotę. Mógłbym was wszystkiego nauczyć w pół godziny. W zasadzie mam zamiar was wszystkiego nauczyć w pół godziny.

Fi wyglądała na zmartwioną.

– Nie chcę nosić materiałów wybuchowych – powiedziała. – Nie brzmi to zbyt bezpiecznie. A jeśli ktoś z nas się przewróci albo to upuści?

– Zaczekaj chwilę – powiedział Ryan.

Podszedł do jednego z plecaków, które wzięliśmy ze sobą. Już trochę w nim nabałaganiliśmy, grzebiąc w poszukiwaniu jedzenia na śniadaniową orgię. Ryan wyjął kartonowe pudełko, które leżało upchnięte z boku. Widocznie opadło aż na dno. Widniał na nim duży niebiesko-pomarańczowy napis: „MATERIAŁY WYBUCHOWE ORICA”.

– To to – powiedział.

Pudełko było zaklejone taśmą, ale Ryan ją zerwał i wyjął ze środka dwa duże i grube przedmioty, które wyglądały jak salami w foliowym opakowaniu.

Podniósł jeden z nich i pomachał nam nim przed nosem.

– Plastyczny materiał wybuchowy – powiedział. – Powerpacki.

Nagle salami wyslizgnęło mu się z ręki. Chciał je złapać, prawie mu się udało, spróbował jeszcze raz, bez powodzenia, a potem odskoczył do tyłu i ładunek spadł na ziemię. Usłyszałam, jak krzyczy: „Matko Boska!”. Nie czekałam, żeby zobaczyć, co zrobią pozostali. Poturlałam się po kamieniach, zasłaniając twarz. Kawalek za mną teren trochę opadał i to mi pomogło. Toczyłam się jak szalona, mając nadzieję, że zdążę dopaść do drzewa, które tam rosło. Myślałam, że jeśli się za nim schowam, będę miała szansę. Nie wiem, ile czasu zostało do wybuchu, ale widziałam minę

Ryana i czułam, że sprawa jest poważna.

Mniej więcej piętnaście metrów od drzewa przestałam się turlać, stanęłam na czworaka i popędziłam w stronę pnia, licząc na to, że w razie wybuchu ostatni odcinek pokonam susem. Już nawet szykowałam się do skoku, kiedy rozległ się ostatni dźwięk, jakiego się spodziewałam.

Śmiech.

Śmiech? Padłam na ziemię i obejrzałam się za siebie. Ryan siedział w kucki i śmiał się do rozpuku.

„Cholerny kretyn” – pomyślałam z wściekłością, wstając i otrzepując się z piachu. Po mojej lewej Homer robił to samo, a Fi właśnie wychodziła zza drzewa. Kevin popędził sprintem przez polanę. Pokonał przez tę chwilę spory dystans. Lee zeskoczył ze skał i stanął nad strumieniem, patrząc z dołu na Ryana. Gdyby spojrzenie było w stanie zabić, Ryan mógłby od razu pocałować żonę i dzieci na pożegnanie.

Powoli wróciłam na miejsce. Nigdy nie byłam wielką fanką takich kawałów – zawsze wydawały mi się trochę dziecinne – i ten też zdecydowanie nie przypadł mi do gustu. Na wojnie zdążyliśmy się natrzeć na prawdziwe eksplozje – widzieliśmy ich więcej niż Ryan, to pewne – i osobiście nie potrzebowałam sztucznych. Mieliśmy za sobą potworny poranek, a Ryan w tym czasie siedział sobie pod drzewem i się opalał. Byliśmy wyczerpani, zestresowani przeszłością i przerażeni przyszłością. Doszłam do wniosku, że jednak nie za bardzo lubię Ryana.

Ale on wcale się nie przejął. Nie przeprosił, tylko nadal śmiertelnie mnie przerażał, waląc pomarańczowożółty materiał wybuchowy pięścią.

Tym razem też nic się nie stało. Ryan spojrzał na Fi i szeroko się uśmiechnął.

– Czy udało mi się rozwiać twoje wątpliwości? – zapytał.

Fi wzruszyła ramionami.

– Mogłeś zwyczajnie powiedzieć – odparła. – Uwierzyłabym.

– E tam – powiedział Ryan. – Nie ma to jak zobaczyć coś na własne oczy. Po prostu szybko się nagrzewa i tyle.

– Więc można to doprowadzić do wybuchu? – zapytał Kevin.

Z nas wszystkich Kevin był najlepszy w naukach ścisłych i pokaz Ryana coraz bardziej go interesował.

– Jasne, że można – powiedział Homer. – Przecież to bomba, nie?

Ryan znowu sięgnął do plecaka i wyjął coś, co już znałam. Lont o długości co najmniej pięćdziesięciu metrów oraz pudełko z czymś, co mogło być pięćdziesięcioma nabojami do trzysta trójki, ale nie było.

Detonatory bardzo przypominały naboje do trzysta trójki. Po raz ostatni widziałam je na statku w Zatoce Szewca, który zniszczyliśmy razem z Homerem.

Poza tym Ryan miał dla nas wszystkich nowe zegarki i zapalniczki podobne do tych niegasnących świeczek na tort urodzinowy: cokolwiek robisz, ich ogień nie gaśnie. Te zapalniczki utrzymywały płomień, nawet kiedy mocno na niego dmuchaliśmy. Dzięki nim i zegarkom mieliśmy niezłą zabawę.

Ostatni mały skarb okazał się czymś, czego nigdy wcześniej nie widziałam, ale gdy tylko tego dotknęłam, wiedziałam, z czym mam do czynienia: to były specjalne cęgi do materiałów wybuchowych. Po jednej stronie metalowe, a po drugiej plastikowe, żeby nie można było przez przypadek wywołać iskry, stukając metalem o metal.

Przydałyby nam się podczas ataku w Zatoce Szewca.

Te cęgi znowu mi przypomniały, że nawet plastikowe materiały wybuchowe to nadal materiały wybuchowe. Może można je było okładać kijem bejsbolowym, ale ostatecznie zostały stworzone po to, żeby rozwalać duże obiekty na kawałeczki przypominające papierową chusteczkę po wyjęciu z pralki.

Przez następną godzinę Ryan robił nam intensywny kurs walki partyzanckiej. Muszę przyznać, że znał się na rzeczy. Nie tylko przekazywał techniczne informacje na temat zastosowania plastiku i granatów. Podchodził do tego szerzej: mówił o taktykach i kamuflażu oraz, ogólnie rzecz biorąc, o przebiegłości. Bez przerwy rozwodził się nad czymś zwanym zasadami

Pimlotta. Jedyne problem z tymi zasadami polegał na tym, że facet, który je wymyślił, zginął od wybuchu granatu, którym bawił się we własnym domu w 1997 roku. Wolałabym, żeby Ryan nam o tym nie mówił.

W każdym razie zasady Pimlotta polegają na tym, że na początku należy zadbać o element zaskoczenia, potem nabrać rozpędu i pilnować, żeby wróg nie odzyskał równowagi, oraz zawsze dążyć do celów, które można osiągnąć. Trzeba się skupić na czułym punkcie wroga.

– Co jest jego czułym punktem? – zapytała Fi.

– Cavendish.

– Cavendish?

– Tak. I system transportu wokół Cavendish. To węzeł kolejowy i drogowy, a do tego największy ośrodek przemysłowy w stanie. Bombardowaliśmy go, ale bez większych sukcesów. Mają za silną ochronę przeciwlotniczą. Tracimy zbyt wiele samolotów.

– Nigdy nie byłam w Cavendish – wtrąciłam.

Okazało się, że żadne z nas tam nie było.

– No tak, myślę, że to miłe miejsce – powiedział Ryan. – Zachęcam was, żebyście złożyli tam wizytę.

Po instruktażu Ryan w końcu zebrał się w sobie i zadał ważne pytanie. Chyba wtedy było już jasne, że to zrobimy. Wszyscy uznaliśmy to za coś oczywistego. Dlatego wstałam, gdy tylko zapytał. Nie chciałam sobie zawracać głowy taką dyskusją.

– Pójdę zajrzeć do dzieci – powiedziałam. – Długo tam siedzą same. Jeśli będzie głosowanie, policzcie mnie na tak.

Odchodząc, słyszałam, jak zaczynają rozmawiać.

– Jak długo według ciebie będziemy musieli to robić? – zapytała Fi.

– Zabierzcie nas stąd, jeśli zostaniemy ranni? – dopytywał się Kevin.

Niczego więcej nie słyszałam. Ale pytanie Kevina zrobiło na mnie spore wrażenie i zastanawiałam się, jak brzmiała odpowiedź. Potem zrozumiałam, że nawet gdyby Ryan powiedział, że tak, nadal nic by to nie znaczyło. Jak moglibyśmy liczyć na to, że w razie pilnej potrzeby po nas przylecą? Przecież będą mieli na głowie inne, większe problemy. Może nawet nie znajdzie się wolny śmigłowiec. Może uznają, że nie jesteśmy warci zachodu. Znowu.

Mimo wszystko byłam ciekawa odpowiedzi.

Dzieci nudziły się i niecierpliwiły, chciały do nas wrócić. Dałam im paczkę żelków z zapasów Ryana, popodziwiałam ich opowiadania i rysunki oraz namówiłam, żeby jeszcze trochę zaczekały.

Ale nie rozmawiałam z nimi zbyt długo, bo nagle zdałam sobie sprawę, że muszę zagłosować inaczej.

– Ostatecznie jestem na nie – oznajmiłam.

– Co? – zapytał Ryan, patrząc na mnie ze złością. – O co ci chodzi, do cholery?

– Nadal mogę być na tak – powiedziałam. – Nie ma obawy. Ale jest jeden mały warunek.

– Jaki? – zapytał.

Pozostali słuchali z zaciekawieniem.

– Będziesz musiał zabrać ze sobą dzikusów.

– Dzikusów? – powtórzył.

– Dzieci. Gavina i pozostałą trójkę.

– Nie ma mowy. – Ryan wyglądał na przerażonego. – Nie mogę tego zrobić.

– A my nie możemy biegać i nękać wroga, kiedy musimy niańczyć gromadkę dzieci – powiedziałam, ciesząc się, że dzikusy są daleko i nie słyszą, jak je nazywam. – I nie możemy ich zostawić.

– Musi istnieć inne rozwiązanie – powiedział. – Zaprowadźcie je w jakieś bezpieczne miejsce.

– Nie za dobrze znasz te tereny, prawda? – zapytałam. – Tu nie ma już bezpiecznych miejsc.

Dzisiejszy ranek tego dowiódł.

Siedział i myślał.

– Zgadzam się, że są za małe, żeby zostać same – powiedział po chwili. – Ale przecież nie mogę ich ze sobą zabrać.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział. Siedział dalej. Nagle się ożywił:

– Słuchajcie, pewnie to wam się nie spodoba, ale chyba mogłyby się oddać w ręce wroga? Gdyby odczekały parę dni, aż ja stąd zniknę, a wy bezpiecznie opuścicie te tereny? Raczej nie stałaby im się krzywda. Prawdopodobnie nie zadawaliby im zbyt wielu pytań. Wszyscy by założyli, że to zwyczajne dzieci, które żyły na własną rękę. Poza tym nie byłyby zbyt długo w niewoli, bo zanim się obejrzą, zostanie podpisany pokój.

Nie wierzyłam własnym uszom. Prosić Gavina, żeby się poddał? Już sobie wyobrażałam jego minę.

Szukałam słów, żeby wyjaśnić Ryanowi, dlaczego dzieci nie mogą się poddać. Nie po tym, przez co przeszły. Zresztą nawet gdybyśmy im kazali, i tak by nas nie posłuchały.

Ostatecznie nie znalazłam odpowiednich słów, więc powiedziałam:

– Słuchaj: albo je weźmiesz do śmigłowca, albo nie zawrzemy umowy. Proste. – Zanim zdążył zareagować, dodałam: – Wierz mi, odesłanie ich do Nowej Zelandii będzie dla nas wystarczająco trudne. Wykorzystamy cały autorytet, jaki u nich mamy, żeby tego dokonać.

– Ellie ma całkowitą rację – powiedział Homer.

Ulżyło mi, kiedy się odezwał, bo nikt oprócz mnie nic nie mówił i nie wiedziałam, czy zamierzają mnie poprzeć.

Ryan tylko znowu pokręcił głową.

– Musi być inne rozwiązanie – powtórzył. – Wzięcie ich do śmigłowca zwyczajnie nie wchodzi w grę.

Po dłuższym milczeniu z naszej strony dodał:

– Zostawmy to na chwilę. Wrócimy do tego później.

– Jeśli ich nie zabierzesz, nie będziemy w stanie ci pomóc – oznajmiłam zdecydowanie.

– Nie mogę! – zawołał. Prawie płakał. – Słodki Jezu! Nie wiesz, o co prosisz.

Zacisnęłam usta, splótłam ręce na piersi i przestałam się odzywać.

Wtedy spróbował nam przemówić do rozsądku.

– Helikopter zabiera mnie stąd prosto do bazy za linią wroga – powiedział. – Będę tu piętnaście godzin, a potem znowu wyruszam na spotkanie z drugą grupą takich ludzi jak wy. Postawcie się w mojej sytuacji. Jak miałbym cokolwiek zdziałać ze zgrają dzieciaków?

– Jacyś ludzie na pewno kursują między Nową Zelandią a Australią – podsunęłam. – Możesz odesłać dzieci na pokładzie jednego z takich samolotów.

– Te samoloty są wyładowane po brzegi.

– To tylko małe dzieci. Nie zajmą dużo miejsca.

Ryanowi opadły ręce i powiedział:

– Pułkownik Finley mnie zabije.

Nikt się nie odezwał i Ryan chyba zdał sobie sprawę, że jest zdany na własne siły. Prawdę mówiąc, nie zazdrościłam mu wycieczki helikopterem z tym stadkiem małpisonów. Pewnie sterroryzowałyby pilota i kazały mu lecieć do Disneylandu.

Wyglądało na to, że narada dobiegła końca, więc poszłam po dzieci. Kiedy zobaczyłam, jak siedzą i rysują, nagle do mnie dotarło, co właśnie robiłam. Przed chwilą zorganizowałam odesłanie tych małych upierdliwców i byłam w szoku, bo tak bardzo je polubiłam, że nie wiedziałam, jak bez nich wytrzymam. Stałam i ze zdziwieniem wpatrywałam się w Jacka i Gavina, aż w końcu Casey podniosła głowę i powiedziała:

– Co się stało, Ellie?

– Nic – bąknęłam.

– Czy ten facet już skończył?

– Tak. Tak, wracajcie. Zaraz dołączę. Pójdę tylko się załatwić. Nie pożyjcie całej czekolady, dobrze?

Ale zanim poszły, pokazały mi swoje dzieła. Nawet obietnica czekolady nie była w stanie

stłumić w nich pragnienia pochwał i uwagi. Na domiar złego Casey mnie pocałowała i objęła za szyję. Dopiero potem pobiegła za resztą.

Kiedy poszła, usiadłam tam i poczułam się tak, jakby poturbował mnie rozpędzony dzik. Jak to się stało? Kiedy tak bardzo się zaangażowałam w życie tych małych łobuziaków? W jednej chwili były beznadziejnym balastem, uciekały od nas i błędziły, doprowadzając do śmierci Dariny, a w następnej oplotły mi serce pięćdziesięcioma metrami szpagatu i zacisnęły go tak mocno, że nie byłam pewna, czy zdołam znieść ból po ich utracie. Poczułam silne pragnienie, żeby wrócić biegiem do Ryana i powiedzieć: „Słuchaj, znowu zmieniałam zdanie. Dzieci muszą zostać, wymyślimy coś innego”.

Wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić. Trochę wynikało to z mojej dumy, ale przede wszystkim ze świadomości, że w Nowej Zelandii dzieci będą bezpieczne – bezpieczne po raz pierwszy od ponad roku. Wiedziałam, że muszę to zrobić ze względu na wojnę.

Kolejne cholerne poświęcenie. Poświęcenia są do kitu. Tyle że bez nich niewiele można osiągnąć. Niczego nie osiągasz, jeśli z czegoś nie zrezygnujesz. Według Ryana byliśmy o krok od zakończenia tej okropnej wojny. Jeśli to oznaczało, że trzeba na jakiś czas rozstać się z dziećmi, musiałam zapomnieć o własnych odczuciach i powiedzieć maluchom „do widzenia”.

A zimna, brutalna rzeczywistość wyglądała tak, że po stracie Piekła nie mieliśmy żadnego bezpiecznego miejsca, w którym moglibyśmy je ukryć.

Patrzyłam na zarośla, ale ich nie widziałam. Miałam mętlik w głowie. Gdybym usiadła na środku pokoju otoczona głośnikami, a z jednego płynęłaby ścieżka dźwiękowa z *Power Without Glory*, z drugiego Beethoven, z trzeciego Slim Dusty, a z czwartego hymn Australii w wykonaniu Miejskiej Orkiestry Dętej ze Stratton, nie byłabym bardziej zakręcona.

Czasami patrzenie na las, czucie jego siły, świadomość tego, jak mało drzewa przejmują się głupimi kłótniami, w które wikłaliśmy się my, ludzie, pomagało mi stawić czoła chaosowi tej wojny. Ale nie tym razem. Głośniki w mojej głowie dudniły na cały regulator. Słysząc w nich było wycie tamtej spadającej kobiety, głosy dzikusów, huk wybuchu, który zabił Robyn, ostatnie słowa, jakie powiedzieli do mnie rodzice, płacz Corrie na widok jej zniszczonego domu, odgłosy strzałów, kiedy pociągnęłam za spust w koszarach na lotnisku, celofanowy szelest ognia w stodole tamtej nocy, kiedy Lee mnie zdradził. Nie byłam w stanie siedzieć spokojnie, nie potrafiłam uspokoić własnego umysłu. Patrol wrogich żołnierzy mógł przemaszerować obok z karabinami gotowymi do strzału, a ja pomachałabym mu i powiedziała „dzień dobry”, chociaż wątpię, czy w ogóle bym go zauważyła.

Ryan mógł sobie do nas wpaść na dwadzieścia cztery godziny i oznajmić, że musimy zostać pełnoetatowymi partyzantami. Dla niego to było łatwe. Jutro rano stąd zniknął. Skoro wojna miała się zakończyć w ciągu kilku tygodni, można było mieć pewność, że nic mu się nie stanie. Że będzie bezpieczny. Ale my? My mieliśmy spore możliwości zostania zimnymi zwłokami, które spoczną w grobie, zanim żołnierze oddadzą ostatni strzał. To, o co prosili nas pułkownik Finley i Ryan, było niewiarygodnie, cholernie niebezpieczne.

Gdyby wojna faktycznie się skończyła, Ryan byłby wtedy gdzieś niedaleko lodówki, w której z pewnością znalazłoby się mnóstwo szampana. A on miałby korkociąg. Może i wzniosłby za nas toast, gdy nasze ciała gnilyby gdzieś w Cavendish, ale niczego więcej nie mogliśmy od niego oczekiwać.

Potem sobie przypomniałam, że nie potrzeba korkociągu, żeby otworzyć szampana. I wtedy odpuściłam. Wyglądało na to, że mój mózg już zaczął gnicić.

Nic nie zdziwiło mnie na tej wojnie bardziej niż reakcja dzikusów na wieść, że muszą polecieć z Ryanem. Mówiąc w skrócie, kompletnie im odbiło. Natalie bez końca płakała i tak mocno trzymała się Fi, że pewnie narobiła jej siniaków. Casey zbladła jak ściana i odwróciła się od nas. Podeszła do pnia drzewa i oparła się o niego czołem. Oplotła się zdrową ręką, jakby sama się przytulała. Jack osunął się na ziemię. Kołysał się w przód i w tył, jęcząc jak niemowlę.

Najbardziej zaskoczył mnie Gavin. Dosłownie eksplodował. Zaczął biegać po polanie, a

potem chwycił gałąź dwukrotnie większą od siebie i ruszył z nią prosto na Homera, jakby chciał go staranować. Myślę, że gdyby Homer się nie odsunął, gałąź przeszłaby go na wylot. Na szczęście miał na tyle rozumu, żeby uskoczyć. Zniecierpliwiony Gavin tylko krzyknął i próbował zawrócić, żeby zaatakować jeszcze raz. Nie udało mu się, bo gałąź utknęła między dwoma drzewami, a wyjęcie jej stamtąd wymagało zatrzymania się i cierpliwości. Gavin nie miał najmniejszej ochoty na takie ceregiele. Wypuścił gałąź i ruszył na skraj polany, gdzie zostawiliśmy mnóstwo rzeczy: plecak Ryana, jedzenie, broń i trochę ubrań. Zanim zdążyliśmy się domyślić, co zamierza zrobić, zaczął to wszystko kopać jak jakiś wariat. Zrobiło mi się szkoda naszych rzeczy, a na myśl o materiałach wybuchowych ogarnęło mnie przerażenie. Jasne, plastik był odporny na wstrząsy i w ogóle, ale czy aż tak bardzo? Pobiełam w stronę Gavina, ale Ryan mnie wyprzedził. Złapał chłopca i podniósł go, zanim zdążyłam pokonać połowę odległości.

Ryan był silny, ale Gavin dał mu popalić. Kopał, walił pięściami i trochę się wrywał, dopóki Homer nie pomógł Ryanowi, łapiąc Gavina za ręce. Trzymali go pięć minut. Gavin znieruchomiał i przeklinał nas swoim dziwnym gardłowym głosem. Ryan próbował go uspokoić, ale trzymał Gavina od tyłu, a wcześniej żadne z nas nie zadało sobie trudu, żeby powiedzieć Ryanowi o głuchocie chłopca. Dlatego wszystkie spokojne, cierpliwe słowa pocieszenia poszły na marne.

W końcu postanowiliśmy dzielić i rządzić. Wyklócanie się z dziećmi, przeciwstawianie naszej grupy ich grupie nie miało sensu. Dlatego po cichu uzgodniliśmy, że je rozdzielimy. Homer wybrał Gavina, Fi Natalie, Lee Jacka, więc mnie pozostała Casey.

Nie wiem, jaką taktykę zastosowała reszta. Ja na początku nie miałam żadnych skrupułów. Obiecałam Casey dosłownie wszystko. Że za parę tygodni wojna się skończy i pojedę po nią do Nowej Zelandii, a potem przywiozę ją z powrotem i będzie mogła zamieszkać na naszej farmie... Czulałam, jak z każdą kolejną obietnicą tracę zapach, i zastanawiałam się, co się stanie, jeśli nie zdołam dotrzymać słowa, co zresztą wydawało się bardzo prawdopodobne. Wyobraziłam sobie zrozpaczoną twarz Casey siedzącej przed schroniskiem w Wellington i czekającej latami, aż się zjawię...

Chyba naczytałam się za dużo powieści V.C. Andrews. Ale naprawdę martwiłam się o przyszłość Casey i jej przyjaciół. Nie wiedziałam, czy w Nowej Zelandii, gdzie jest tylu uchodźców i wszyscy są strasznie zabiegani, dobrze się nimi zajmą. Poza tym czulałam, że po wojnie pojawią się zupełnie nowe problemy. Nie byłam w stanie myśleć, jak, na litość boską, zdołam się z nią skontaktować i co zrobić, jeśli jej rodzice się nie odnajdą.

Na domiar złego cichy głosik w mojej głowie szeptał: „Chcesz ją tutaj zatrzymać tylko ze względu na siebie, bo inaczej będziesz za nią bardzo tęskniła. Ale wiesz, że najlepszym rozwiązaniem dla Casey jest wyjazd do Nowej Zelandii, nawet jeśli ona tego nie rozumie”.

Kiedy mówiłam, Casey cały czas siedziała z naprawdę żalną miną. Wyobraziłam sobie jej zrozpaczoną twarz po wyjeździe do Nowej Zelandii, ale już teraz szło jej wyśmienienie. Siedziałam i patrzyłam na nią, zastanawiając się, co, na Boga, mogłabym zrobić. Wtedy przypomniało mi się dziwne zdarzenie. Miałam siedem lat i pytałam, gdzie jest mama. Wiedziałam, że dzieje się coś podejrzanego, bo kiedy wróciłam ze szkoły, tata był w kuchni i przeglądał książki kucharskie, próbując wymyślić coś na podwieczorek. Zachowywał się naprawdę nietypowo, a kiedy zapytałam o mamę, powiedział, że wyjechała, żeby trochę odpocząć. Trzymał się tej bajeczki przez cały tydzień, dopóki mama nie wróciła. A kiedy ją zapytałam, co się z nią działo, powiedziała, że potrzebowała trochę czasu dla siebie. Chyba się pokłócili, ale najbardziej wkurzyło mnie to, że nie powiedzieli mi prawdy. Może i byłam tylko siedmiolatką, ale wiedziałam, że pojawiły się jakieś problemy, znacznie bardziej złożone niż czas dla siebie albo wyjazd na odpoczynek. Poza tym czulałam, że cokolwiek to było, potrafiłabym to zrozumieć, dałabym sobie z tym radę. Za to nie potrafiłam dać sobie rady z tym, że traktują mnie jak głupie dziecko, któremu trzeba wciskać mnóstwo kłamstw i pustych słów.

Myślę, że człowiek dorastający na wsi jest w stanie stawić czoło prawdzie. Przecież ciągle widuje ją wokół siebie. Przestałam wierzyć w Świętego Mikołaja już jako małe dziecko. Nie mogłam wierzyć w faceta, który daje coś za darmo. Gdy obcuje z matką naturą, takie rzeczy się

nie zdarzają. Więc teraz wzięłam głęboki oddech i wyjawiałam Casey prawdę.

– Case, kocham cię tak bardzo, jakbyś była moją siostrą. Gdyby to zależało ode mnie, być może po prostu zostałabym z tobą w jakimś bezpiecznym miejscu do końca wojny, w taki czy inny sposób. Ale problem w tym, że tu chodzi o coś znacznie ważniejszego niż my obie. Chodzi o nasze rodziny, naszych przyjaciół, nasz kraj, naszą religię... ojej, chyba wymieniam je w niewłaściwej kolejności. Chociaż kolejność raczej nie ma tu większego znaczenia. Najważniejsze jest to, że życie nie jest takie proste i nie można powiedzieć: „Ma być tak, jak ja chcę”. Moi rodzice, twoi rodzice, twoje rodzeństwo, a nawet twoja świnka morska i cały kraj są teraz w rękach naszych wrogów, więc nie możemy siebie stawiać na pierwszym miejscu. Ani nawet na drugim. Najwyżej na trzysięcznym. I właśnie dlatego musisz polecieć do Nowej Zelandii. Nie mogłabym walczyć jak trzeba i robić tego, co powinnam, gdybym ciągle się martwiła o twoje bezpieczeństwo.

Zaprowadziłam ją z powrotem na polanę, powtarzając jej, jak dobrze się żyje w Nowej Zelandii: że będzie mogła oglądać telewizję i jadać w McDonalddie, że nikt nie będzie próbował jej zabić. Wyglądało na to, że składowy im całkiem dobrą ofertę, i choć nadal pochlipywała, chyba w końcu pogodziła się z tym, co miało nastąpić.

Nasza taktyka zadziałała dość dobrze. Przekonując każde dziecko z osobna, odebraliśmy im siłę do stawienia grupowego oporu. Natalie i Jack mieli zaczerwienione oczy, Natalie popłakiwała mniej więcej co dwadzieścia sekund, a Gavin był przygnębiony, ale uszła z nich chęć walki.

Na koniec Casey podeszła do Ryana, z całej siły kopnęła go w kostkę i odmaszerowała. Od tamtej pory nawet nie patrzyła w jego stronę.

Musieliśmy się przepakować. Podczas pośpiesznej ucieczki z Piekła łapaliśmy wszystko, jak popadło, a teraz trzeba było zrobić z tym porządek. Każdy przedmiot musiał zostać starannie wybrany, bo po dodaniu części sprzętu ukrytego na mokradłach mieliśmy sporo do taszczenia. Dlatego poświęciliśmy na to aż pół godziny. Ryan nam się przyglądał. Uśmiechnęłam się, patrząc, jak Fi starannie zwija sweter i wpycha go głęboko do plecaka. Przez chwilę wspominałam, jak beznadziejnie się spakowała na biwak w Piekło. Naprawdę wzięła wtedy koszulę nocną? Nie mogłam w to uwierzyć, ale kiedy sięgnęłam wstecz pamięcią, zobaczyłam Fi na Szwie Krawca, kiedy z zawstydzeniem słuchała, jak dajemy jej lekcję życia na łonie natury.

Tym razem role się odwróciły. Fi przyłapała mnie na przemycaniu kamienia, który dostałam od Lee na Boże Narodzenie.

– Hej, nie możesz tego zabrać! – powiedziała.

Ale to był taki piękny kamień. Miał wielkość piłki do tenisa, tyle że był spłaszczony. Jego zielonoszary kolor zmieniał się w zależności od oświetlenia. A z tyłu, przy krawędzi, widniała napisana niesamowicie maleńkimi literkami wiadomość, którą zauważyłam dopiero parę dni temu: inicjały Lee i moje w malutkim serduszkach. Zobaczyłam to, leżąc na brzuchu, i moje ciało zareagowało mrowieniem, jakbym okryła je wełnianym kocem. Poczułam, że się czerwienię i robi mi się gorąco. Gdyby Lee był wtedy przy mnie, mogłoby mu się poszczęścić po raz pierwszy od dość długiego czasu. Kiedy dawał mi ten kamień, nie wspominał słowem o ukrytej wiadomości.

Dlatego nie zamierzałam się rozstawać z prezentem. Ale Fi mnie zaskoczyła i nie umiałam wymyślić żadnego usprawiedliwienia. Ona tylko westchnęła i pokręciła głową.

– To najbardziej skomplikowany związek od czasów Romea i Julii – powiedziała. – Obydwoje jesteście beznadziejni. No bo właściwie w czym problem? Kochasz go. On cię uwielbia. Wróćcie do siebie, a potem będziecie żyli długo i szczęśliwie. Jakies pytania? Nie, jasne, że nie. Należy się dziesięć dolarów. Dziękuję bardzo.

– To wszystko przez wojnę – powiedziałam.

– Nieprawda – odparła Fi.

– Tak myślisz? No dobrze, panno Mądralińska, w takim razie wyjaśnij mi, o co chodzi, skoro nagle stałaś się taką wielką ekspertką.

Nie przerywając pakowania, oznajmiła:

– Po prostu się boisz, że to coś poważnego, kochasz go na maksa, ale próbujesz od tego uciec. To już nie są wygłupy, to się dzieje na serio.

Stałam z ustami rozdziawionymi jak mała sroka. Po chwili Fi podniosła głowę, przebiegle

się uśmiechnęła i powiedziała:

– Widzisz? Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje. Mam rację, prawda?

– Wcale mi się nie wydaje, że jesteś głupia – odparłam odruchowo, próbując zyskać na czasie, ale nie byłam pewna, czy Fi naprawdę rozpracowała mnie tak dobrze, jak sądziła.

Fi, która tamtego dnia była w strasznie wkurzającym nastroju, wzruszyła ramionami i zaczęła zwiijać swoją czarną koszulkę.

– Steve’a też kochałam – powiedziałam.

– Nieprawda. Jasne, lubiłaś go, miałas do niego słabość i podobał ci się, ale to nie była taka poważna miłość jak ta.

– Skąd wiesz, co czuję do Lee? Nigdy o tym nie mówię.

– Nie, ale mówisz o nim. Trzy czwarte twoich wypowiedzi dotyczy Lee. Nawet kiedy go krytykujesz, to jednak nadal o nim mówisz. Masz na jego punkcie obsesję. Czasami marzę o tym, żebyś znalazła jakiś inny temat.

Stałam i ssałam róg swojego śpiwora. To prawda, że dużo myślałam o Lee. Ciągle go obserwowałam. Kiedy się pojawiał, natychmiast przestawałam się skupiać na tym, co akurat robiłam. Ucząc dzieci w naszej prowizorycznej leśnej szkole o pytajnikach i tych wszystkich znakach interpunkcyjnych, zgubiłam wątek, gdy tylko Lee wyłonił się spomiędzy drzew. Jednym okiem patrzyłam na dzieci, a drugim na niego. Jeśli odganiał muchę, chciałam wiedzieć, jaki to gatunek.

Czy to była miłość? Nie wiedziałam. Możliwe. Bo czymś to przecież było.

Bardzo często strasznie mnie wkurzał, ale zdążyłam się już nauczyć, że wkurzenie bywa jednym z objawów miłości.

Czułam, że w towarzystwie Lee podskakuje mi ciśnienie. Gdy przysypiałam, a on się pojawiał, od razu odechciewało mi się spać. Za każdym razem, kiedy się odzywał, odpowiadałam mu – albo w myślach, albo na głos. Zazwyczaj dochodziło do kłótni, ale czasami jego słowa mnie poruszały lub robiły na mnie wielkie wrażenie.

Kiedy tak siedziałam, rozmyślając o tym wszystkim, doszłam do wniosku, że nie powinnam robić głupstw: była najmniej odpowiednia pora na ponowne angażowanie się uczuciowo, bo właśnie szykowaliśmy się do walki. Potrzebowałam pełnego skupienia, żeby przeżyć. Mniejsza o te wszystkie miłosne sprawy. Niedobrze myśleć o miłości, kiedy wokół świszczą kule.

Tylko że to nie podziałało. Wepchnęłam śpiwór do plecaka i westchnęłam. Nie można uciec przed własnymi uczuciami. Szkoda tylko, że nie wiedziałam, co czuję. Znowu pomyślałam o dwóch wołach idących na rzeź. Jeden wdrapywał się na drugiego, nadal próbowały się parzyć, mimo że warunki bardzo odbiegały od ideału, i to z wielu względów. My też szliśmy na rzeź, ale przynajmniej nie jako woły. Powinnam była być za to wdzięczna.

Skończyłam się pakować, nie zastanawiając się nad tym już więcej. Przez to całe zamieszanie w zasadzie nie patrzyłam, co wkładam do środka. Fi więcej się nie odezwała – i całe szczęście.

O zmierzchu ruszyliśmy ciężkim krokiem w stronę mokradeł, rozpoczynając marsz na spotkanie z helikopterem. Każde z nas szło inaczej. Ja czułam się lepiej, bo wiedziałam, że w ciemności na polach powinniśmy być bezpieczni. Ale dzieci były markotne. Jęczały, narzekały i wlekły się noga za nogą. Tylko Gavin się uparł, żeby iść na końcu, i po jakimś czasie został tak daleko w tyle, że chwilami traciliśmy go z oczu. Lee i Ryan tak bardzo przyspieszyli, że czasami też nie było ich widać. Fi milczała i chyba bała się tego, co miało nastąpić. Kevin sypał głupimi tekstami i za głośno gadał. Homer miał poważną minę, jakby myślami był gdzieś daleko.

Mniej więcej w połowie drogi na wysepkę, kiedy znowu przystanęliśmy, żeby poczekać na Gavina, Homer powiedział do mnie:

– Chyba pakujemy się w poważne kłopoty.

Spojrzałam na niego. Sposób, w jaki to powiedział, wzbudził we mnie niepokój.

– Dlaczego tak myślisz?

Wzruszył ramionami.

– Męska intuicja.

Zastanowiłam się chwilę i postanowiłam mu dogryźć. Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni dałam Homerowi tę satysfakcję.

– Męska intuicja? Tak jak u premiera przed wojną, kiedy mówił, że groźba inwazji nie istnieje?

– To co innego – odparł Homer i jego oczy od razu straciły ten nieobecny wyraz. – Ja nie jestem politykiem. A męska intuicja to coś, co ostrzegło mnie o kłopotach, kiedy byliśmy na lotnisku. Dzięki niej wiem, kiedy dziewczyna płonie z pożądania.

– A kiedy to jakakolwiek dziewczyna płonęła z pożądania do ciebie? Zawsze możesz pomarzyć.

Kiedy Gavin dołączył, ruszyliśmy w dalszą drogę, ale nie mogłam się oprzeć i dodałam:

– O kłopotach na lotnisku ostrzegł cię huk wystrzału. A jedyną dziewczyną, jaka kiedykolwiek płonęła na twój widok z pożądania, była ta stara czarno-biała krowa mleczna, którą hodowaliście przez lata. Ta, której o mało nie zabiłeś trutką na szczury.

– Nie masz pojęcia o facetach – powiedział Homer. – Jesteś typową dziewczyną. Myślisz, że nasz rozgryzaś, ale cię oświecę: jeszcze żadna dziewczyna nie rozgryzała żadnego faceta.

– Mówisz to na podstawie swojego ogromnego doświadczenia? – zapytałam.

Dogryzaliśmy sobie jeszcze przez chwilę, ale trudno było wymyślać dobre riposty i jednocześnie trzymać się kursu i mieć oko na dzieci. Najgorzej, że przez to wszystko zupełnie zapomniałam o ostrzeżeniu Homera.

Chociaż chyba nie do końca. Nagle poczułam, że mam już dość naszego niechlujnego marszu. To nie było właściwe podejście do bardzo ważnej wyprawy. Dlatego zarządziłam przystanek, zawołałam Ryana i Lee, zaczekałam na Gavina, a potem dałam im wszystkim wykład na temat tego, jak należy to załatwić. Ryan i Lee nadal mieli iść przodem, ja na końcu, Homer z lewej, Kevin z prawej, a Fi z dziećmi pośrodku. Obowiązywał ten sam kod co zawsze: jeśli ktoś się zatrzymał, zatrzymywaliśmy się wszyscy. Potem, jeśli tyły były bezpieczne, zaczynaliśmy się wycofywać. Ursula i Iain nauczyli mnie tego w Wirrawee, nawet jeśli tam nie zdało to egzaminu.

Wszyscy się zgodzili, niektórzy trochę posępnie, ale doczekałam się nagrody, bo Ryan powiedział:

– Zaimponowałaś mi. Dobra decyzja. Wszyscy robicie na mnie wielkie wrażenie.

Rozumiem, jak zdobyliście swoją reputację.

Zaczerwieniłam się. Chciałam mu opowiedzieć o naszych innych dokonaniach, ale wiedziałam, że to byłoby przechwalanie się. Czułam, że traktuje nas z góry, lecz mimo to zrobiło mi się miło.

Przemieszczaliśmy się powoli. O wpół do dwunastej w nocy wyszliśmy z mokradeł z plecakami pękającymi w szwach od ciężaru granatów i plastycznych materiałów wybuchowych, detonatorów i amunicji. Tuż po północy zboczyliśmy ze szlaku i ruszyliśmy przez pola. Byliśmy na Spalonej Chacie, jednym z pól, które kiedyś należały do pana Coopera, ale teraz były nasze. To znaczy były nasze przed wojną. Nie wiedziałam, kim są nowi właściciele.

Nie jesteśmy zbyt pomysłowi, jeśli chodzi o nazywanie pól. Mniej więcej sto lat temu na tym polu mieszkał człowiek doglądający granic gospodarstwa, ale po jego chacie pozostała tylko sterta zwęglonego drzewa, trochę blachy z dachu i ceramiczna kuchnia, która tkwiła wśród ruin i wyglądała, jakby miała najwyżej pół roku.

Łatwo było tamtędy iść: ziemia była dość miękka po niedawnym deszczu i przeważnie płaska.

Mogłam sobie pozwolić na luksus rozglądania się, rozmyślenia i marzenia na jawie. Przedemną cierpliwie wlekła się Casey. Widziałam wszystkich dzikusów, Fi, Kevina i Homera, ale Ryana i Lee już nie. Wkrótce miało nas ubyc. Pomyślałam, że z ulgą przestaniemy się martwić o dzieci i o ich podrapane kolana, słuchać nudnych opisów ich snów, podziwiać dzieła stworzone na lekcjach plastyki prowadzonych przez Lee i oglądać przedstawienia napisane przez Casey, wyreżyserowane przez Casey i z Casey w roli głównej, przy minimalnym udziale pozostałej trójki.

Westchnęłam. Wiedziałam, że będzie mi brakowało tych podrapanych kolan i długich przedstawień, które w połowie gubiły wątek i zaczynały krążyć w kółko. Przy okazji zauważyłam,

że zbaczaliśmy za bardzo w lewo. Pomyślałam, że jeśli nie będziemy ostrożni, za chwilę sami zacniemy krążyć w kółko. Przyspieszyłam kroku, poklepałam Casey po ramieniu i w końcu dogoniłam Lee.

Trudno było prowadzić przez ten odcinek. Znaleźliśmy się nisko u podnóża gór i księżyc zniknął nam z oczu, a łańcuch górski ciągnął się zygzakiem, utrudniając trzymanie się szlaku. Kiedy zeszedliśmy z pola w rzadki las, sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej skomplikowana. Lee zauważył problem.

– Ty prowadź – szepnął. – Ja będę szedł na końcu.

– Dobrze – powiedziałam. Wyjął mi te słowa z ust.

Zniknął w ciemności za mną. Teraz widziałam już tylko Ryana, który szedł po mojej lewej w odległości mniej więcej czterdziestu metrów, trochę z tyłu. Ale wiedziałam, że dopóki będę trzymała odpowiednie tempo, pozostali też będą mnie widzieli.

Ruszyłam dalej. Byliśmy już niedaleko strefy lądowania.

W miarę zbliżania się do takiego celu dzieje się chyba coś dziwnego: człowiek zaczyna uważniej patrzeć przed siebie. Nie za bardzo zwraca uwagę na to, co ma pod nogami. Oczy patrzą w dal, szukając sygnałów świadczących o tym, że jest się już na miejscu.

W wielu sytuacjach nie ma to najmniejszego znaczenia. Ale na wojnie, na terenie zajęтым przez wroga, może być bardzo istotne.

Poprowadziłam do bramy, cicho podniosłam haczyk i otworzyłam. Zabawne: różne drobnostki potrafiły nagle mnie zaskoczyć i wywołać rozpaczliwy smutek. Ta brama miała haczyk domowej roboty: tata użył kawałka drutu kolczastego z ogrodzenia, który przymocował bezpośrednio do siatki. Kiedy dotknęłam tego haczyka po raz drugi, przypomniałam sobie, jak go robił. To nie była żadna wzniosła chwila ani wyjątkowa okazja, po prostu kolejny dzień na polach, gdy zerwał się zardzewiały drut zamykający bramę i tata zrobił nowy haczyk za pomocą kombinerek.

Tylko że jego twarz ukazała mi się tak wyraźnie, tak niespodziewanie. Przycinał drut. Może to było ostrzeżenie. Może zjawił się jak anioł albo coś w tym rodzaju, chcąc powiedzieć, żebym uważała, żebym zachowała szczególną ostrożność. Niestety, nie potraktowałam tego w ten sposób. Zostawiłam bramę otwartą, żeby Lee mógł ją zamknąć, i poszłam dalej. Teren lekko opadał i biegł tamtędy szlak prowadzący do miejsca, w którym miał wylądować helikopter, ale ostatnio rzadko korzystaliśmy ze szlaków: brnęłam przez wysoką trawę po prawej stronie, smagana niskimi krzakami jeżyn, a potem znowu się wyprostowałam. Patrząc do tyłu i w lewo, widziałam Homera i Kevina, którzy szli blisko siebie, oraz Ryana niedaleko za mną, trochę z boku. Przeszłam jakieś dwadzieścia kroków i nadepnęłam na żołnierza.

Leżał na ziemi z nogami skierowanymi w moją stronę, zwrócony twarzą ku lądowisku. Dosłownie weszłam mu na buty, przez co na chwilę straciłam równowagę, którą trudno mi było odzyskać z powodu szoku. Zakotłosałam się na boki i do tyłu, po czym gwałtownie uniosłam lewą rękę, żeby się nie przewrócić. To wszystko działo się tak szybko, że strach nie miał czasu dotrzeć do mojego mózgu. Gdybym zginęła w tamtej chwili, nie byłoby tak źle, bo nie czułam jeszcze najmniejszego przerażenia. Ale to szybko się zmieniło. Żołnierz gramolił się po ziemi. Nawet jeśli ja byłam w szoku, on był w większym. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, podejrzewam, że mógł spać albo przynajmniej przysypiać. Miałam wrażenie, że porusza się bardzo wolno. Ja pierwsza odzyskałam równowagę, a on zrobił coś zupełnie niespodziewanego. Zaczął wstawać, lecz kiedy już się podniósł, gwałtownie się odwrócił. Zrobił to, jeszcze zanim w pełni się wyprostował, po czym od razu runął w moją stronę. Myślałam, że mam jeszcze z pół sekundy, więc naprawdę mnie zaskoczył.

Poleciałam do tyłu, gubiąc czapkę. Powinnam była wylądować płasko na plecach, ale niosłam plecak. Zadziałał jak coś w rodzaju dźwigni i z powrotem się podniosłam. Tym razem to ja go zaskoczyłam. Przewaga była minimalna, ale kiedy walczysz o życie, nawet najmniejsza przewaga jest coś warta. Popchnęłam go, lecz nie udało mi się go przewrócić. Był dla mnie zbyt silny i odepchnął mnie z powrotem. To wszystko było takie przerażające, że nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że od początku wojny nigdy nie mocowałam się z wrogiem jeden na jednego.

W dzieciństwie często siłowaliśmy się z Homerem i wtedy mieliśmy równe szanse, ale kiedy Homer nabrał masy, równe szanse się skończyły. Dałam sobie spokój z zapasami, bo sprawa była beznadziejna.

Teraz też sprawa była beznadziejna: żołnierz znalazł się na mnie, przygwoździł mnie do ziemi i odchylił głowę. Wiedziałam, na co się zanosi: zamierzał mnie rąbnąć z główki i pozbawić przytomności. Zamknęłam oczy, próbując odchylić głowę w bok, żeby złagodzić siłę uderzenia. Miałam wrażenie, że to trwa całe wieki. Wcześniej na tej wojnie też zdarzały mi się sytuacje, w których ułamek sekundy ciągnął się jak dziesięć minut. To była jedna z nich. Czekałam na cios. Kiedy nastąpił, okazał się jednak dziwny. Bardziej przypominał pacnięcie niż rąbnięcie z pełną parą. Czułam się jak we śnie. Nic się nie działo. Głowa tego żołnierza leżała na mnie, ale jego ręce nadal mnie przytrzymywały jak drut kolczasty. Przed oczami mignął mi Adam z Nowej Zelandii i poczułam mdłości – gorzej niż mdłości: szaleństwo i histerię. Wystraszona, gorączkowo próbowałam się wyswobodzić. I wtedy żołnierz jakby się uniósł. Zdałam sobie sprawę, że nadal mam zamknięte oczy, ale nie chciałam ich otworzyć. Jego ręce wciąż dotykały moich, ale jakoś luźniej. Potem zsunęły się jak mokre wodorosty. Poczułam na brzuchu straszne ciepło. Usłyszałam głos Ryana:

– Szybko, Ellie, wstawaj.

Nadal myślałam, że to sen, ale Fi też do mnie szeptała i ktoś mnie ciągnął za obie ręce.

Otworzyłam oczy. W świetle księżyca zobaczyłam, że Fi ciągnie mnie za lewą rękę, a Ryan za prawą. Nagle poczułam, że stanięcie o własnych siłach to niezwykle pilna sprawa. Podźwignęłam się, zatoczyłam się dwa kroki w prawo i potknęłam się o ciało leżące w trawie. Wtedy w końcu odzyskałam trzeźwość myślenia i wszystko zrozumiałam. Chciałam zwymiotować, ale się powstrzymałam. Kiedy Ryan wymamrotał: „Musimy się stąd wynosić”, od razu zaczęłam się wycofywać. Reszta poszła za mną. Pewnie byli co najmniej szczęśliwi, widząc, że jednak nie postradałam zmysłów. Zostawiliśmy ciało żołnierza w ciemności. Nie wiem, kto go zabił, ale podejrzewam, że Ryan. Był najbliżej.

Nie mogłam się poruszać swobodnie i nie przychodziło mi to z łatwością, ale wlekłam się dalej, starając się robić jak najmniej hałasu. Tam, gdzie był jeden żołnierz, byli też następni. Ci kolesie nigdy nie robili niczego w pojedynkę.

Jakaś ciemna postać zamajaczyła po mojej prawej i znowu zniknęła: Homer.

Poruszaliśmy się coraz szybciej. Uciekaliśmy pod górę. Nie wiedziałam, dlaczego akurat w tamtą stronę. Po chwili zdałam sobie sprawę, że tuż za mną jest Ryan. Poganiał mnie. A może tylko podświadomie słyszałam jego głos.

Ktoś krzyknął, niedaleko od nas, w ciemności. Potem rozległ się gwizd. Pobiełam jeszcze szybciej.

Pędziliśmy sprintem przez piętnaście albo dwadzieścia minut. Boże, ciężko było tak biec pod górę. Zanim zdążyłam złapać drugi oddech – o ile to w ogóle miało nastąpić – wpadłam na Lee, który biegł z lewej. Tuż za nim były dzieci. Musiały okrążyć miejsce, w którym szamotałam się z żołnierzem. Wyglądały jak wystraszone oposy: miały roztrzepane włosy i wytrzeszczone oczy. Nawet Gavin wyglądał na wstrząśniętego. Zastanawiałam się, jak dużą część mojej krótkiej walki zdołał zobaczyć.

– Jesteśmy wystarczająco daleko? – zapytał Lee, patrząc na kogoś nad moją głową.

– Tak – odpowiedział Ryan.

Lee wyjął rękę z plecaka jak Little Jack Horner z ciasta i zobaczyłam radio. Ryan od razu po nie sięgnął. Szybciej niż ktokolwiek z nas włączył je, ustawił i rozpoczął nadawanie. Miałam wrażenie, że już kiedyś to robił.

Kiedy się połączył, potrzebował tylko jedenastu słów:

– Tu Fryter. Trzy dziewięć trzy. Leć na zapasowe. Leć na zapasowe.

Dostał potwierdzenie i szybko się rozłączył.

– Fryter? – zapytałam, kiedy zaczął chować radio. Strasznie się trzęsłam, mimo że wcale nie było tak zimno.

– Jem dużo frytek – wyjaśnił bez uśmiechu.

Przywołał pozostałych skinieniem dłoni, mimo że i tak staliśmy dość blisko.

– Druga strefa zrzutu – powtórzył, zwracając się do mnie. – Gdzie to jest?

– Sześć kilometrów w tamtą stronę – odparłam, pokazując palcem.

Casey cicho jęknęła, zdając sobie sprawę, że czeka ją jeszcze dużo chodzenia.

– W porządku – powiedział Ryan. – Wszyscy znacie to miejsce? Fi? Kevin?

Potwierdzili skinieniem głowy, podobnie jak Homer i Lee.

– Dobrze. Miejcie dzieci na oku, żeby nam nie zginęły. Homer, ty prowadzisz. W drogę.

Słowa Ryana okazały się prorocze. Od początku wojny jeszcze nigdy nikogo nie zgubiliśmy na terytorium wroga. Teraz, kiedy wyraźnie zaznaczył, że mamy się nawzajem pilnować, wszystko poszło źle. Powiedziałabym, że już niespełna kilometr dalej nagle zdałam sobie sprawę, że nikogo nie widzę. To była moja wina. Za bardzo pochłonęło mnie ponowne przeżywanie horroru walki z żołnierzem. Bez przerwy wracałam do niej myślami, zastanawiając się, co mogłam zrobić inaczej, i wyrzucając sobie popełnione błędy. Powinnam była bardziej uważać, powinnam była upaść na drugą stronę, powinnam była znaleźć więcej siły, kiedy go przewracałam...

Walkując te wszystkie stare błędy, rozkojarzyłam się tak bardzo, że popełniłam nowe. Życie ciągle wykręca takie numery. Kiedy zauważyłam, że wszyscy zniknęli mi z oczu, przyspieszyłam kroku, szukając w ciemności mrocznych, znajomych kształtów. Przestałam myśleć o walce z żołnierzem.

Ciemność zdawała się gwałtownie mnie połykać. Jeszcze przed chwilą byłam w kontakcie z przyjaciółmi, tkwiłam razem z nimi w sieci skomplikowanych, niewidzialnych połączeń, a teraz zostałam na świecie całkiem sama, mając tylko czarną noc i nic więcej. Poczulałam się tak, jakby przestała działać grawitacja. Szłam coraz szybciej, usiłując rozgonić mrok siłą spojrzenia, wiedząc, że nie mogę wołać, i modląc się, aby następny krok ukazał mi znajomą przyjazną sylwetkę.

Widziałam jednak tylko sylwetki drzew. Potem zaczęłam panikować, myśląc: „Aha, szłam za szybko, pewnie ich wyprzedziłam, pewnie gdzieś tam na mnie czekają”.

Przystanęłam, nie wiedząc, co robić. Zostać, wrócić, iść dalej? Próbowałam zgadnąć, co zrobiliby pozostali. Rozzłościłam się, myśląc: „Jak mogło do tego dojść? W jednej chwili idę w grupie, za innymi, a w następnej zostaję zupełnie sama”. Cofnęłam się o kilka kroków, ale potem zrozumiałam, że to bez sensu. Nie wiedziałam, którędy idzie Homer. Mogłabym szukać całą noc, a i tak bym ich nie znalazła. Ostatecznie nie miałam wyboru. Musiałam iść w stronę drugiej strefy zrzutu i liczyć na to, że ich tam zastanę.

Moim celem było miejsce, w którym dwa strumienie tworzyły literę Y. Jeden z nich nazywał się Śniadaniowym Strumieniem, a drugi zazwyczaj płynął tylko zimą i nie miał nazwy. Helikopter miał wylądować między ramionami Y. Mogłam się tam dostać bez trudu, a mimo to czułam się dziwnie, pędząc przez ciemną noc, jakbym była jedynym człowiekiem na ziemi. Czułam się jak nikt w świecie nicości, zmierzający do miejsca, które może się okazać puste.

Przeszłam przez ogrodzenie. Drut był zimny. Prostując się, spojrzałam na brzuch, i zobaczyłam na koszuli ogromną plamę krwi martwego żołnierza. Wielka i lepka, otaczała guziki na dole. Ohydny smak wypełnił mi usta. Splunęłam i popędziłam dalej. Kawałek przede mną pojawiły się jakieś niewyraźne szare kształty. Krzyk urósł mi w gardle jak słupek rtęci. Zdusiłam go, ale nie do końca. Coś jednak się wyrwało: pół łkanie, pół jęk. Owce uciekły w mrok. Złapałam się za łokcie i szłam dalej. Zobaczyłam następne poruszające się kształty: niemrawe drzenie mgły w zagłębieniu na środku pola. Szłam przez jej białe pasma, czując na twarzy i rękach zimny dotyk.

Gęsty rząd sosen po drugiej stronie został zasadzony przez mojego dziadka jako wiatrochron. Ale sosny nie wydawały się już przyjazne. Wyglądały tak, jakby przesuwwały się z prawej do lewej.

W podstawówce czytałam starą legendę o polu, na którym było pełno kamieni. Co sto lat odrywały się od ziemi i toczyły do oceanu, żeby się napić, a potem wracały do domu, żeby przeleżeć spokojnie następne sto lat. Zastanawiałam się, czy drzewa też są dzisiaj w drodze. Kiedy się zbliżyłam, znieruchomiały i stanęły nade mną jak wielcy dziadkowie, surowo spoglądając w dół. Zupełnie jakby chciały na mnie runąć. Nie pochwalały tego, że włączę się po polach w nocy – zagubiona, zdiczała istota, uwikłana w polowanie i zabijanie – zamiast troszczyć się o ziemię. W

ich cieniu nic nie rośło. Przeciskając się przez następne ogrodzenie, gdzie drut kolczasty chwycił mnie za skórę, poczułam mrowienie na ciele.

Mgła wirowała na polu szybko i lekko. Było jej coraz więcej. Zdawała się tańczyć, ale bez celu, jakby nie miała dokąd pójść. Zastanawiałam się, czy helikopter będzie w stanie wylądować, jeśli mgła zgęstnieje. Niedawno ktoś zorał pole, ale ziemia była ciężka, gliniasta i została spulchniona, kiedy była mokra, więc teraz cały teren był pofałdowany, co parę kroków leżał „próg zwalniający”, na którym można było złamać nogę.

Przez cały czas wypatrywałam i nasłuchiwałam innych, ale nie było po nich śladu. Mój umysł znowu zagroził wyrwaniem się spod kontroli, mówiąc mi, że zostałam sama, że resztę złapano, zabito albo po prostu zniknęła i że do końca życia będę zdana wyłącznie na siebie. Może nikt nie dotrze do strefy zrzutu i będę musiała wyjaśnić załodze helikoptera, że nikogo nie zabierze. Może helikopter też się nie zjawi.

Mimo niepewnego gruntu zaczęłam biec, wiedząc, że jestem już blisko, i bojąc się, że nadal nie ma żadnego znaku życia, dobrego ani złego, przyjaznego ani wrogiego.

Usłyszałam Śniadaniowy Strumień, zanim go zobaczyłam. Płynął wartko, woda burzyła się z wielką energią. Pospiesznie się napiłam, próbując nie myśleć o tym, ile martwych zwierząt jest w górze strumienia. Potem znowu się wycofałam, wiedząc, że powinnam nasłuchiwać innych dźwięków niż szumu wody.

Ruszyłam w dół strumienia i przeszłam prawie kilometr, zanim zobaczyłam drugi strumień z lewej strony. Zatrzymałam się i obróciłam o trzysta sześćdziesiąt stopni z nadzieją, że po którejś stronie zobaczę dziewięć najbardziej utęsknionych postaci maszerujących w ciemności i we mgle.

Niczego nie zobaczyłam. I nie pozostawało mi nic oprócz czekania. Usiadłam na wilgotnym pniu zwalonego drzewa, podwinęłam nogi i oparłam się o korzenie. Dopiero wtedy poczułam, jaka jestem zmęczona. Boże, czy kiedykolwiek będę jeszcze miała okazję porządnie się wyspać? Te wszystkie nocne akcje... Nie byłam w stanie ich dłużej wytrzymać. Nawet kiedy zasypiałam, budziłam się z sześć razy – co najmniej sześć razy – myśląc, że dzieje się coś złego, że coś usłyszałam albo że powinnam stać na czatach. Niezbyt relaksujący sen. A po tej okropnej walce z żołnierzem – kiedy naprawdę myślałam, że rąbnie mnie w głowę – za każdym razem, kiedy ta scena stawała mi przed oczami, czułam, jak mdłości docierają mi przez żołądek aż do kiszek. Jego krew na mojej koszuli była jeszcze mokra. Nie mogłam znieść myśli, że ona ciągle tam jest, ale nie potrafiłam się zmusić, żeby ją wytrzeć.

Ocknęłam się, kiedy Homer dał mi kuksańca w ramię.

– Świetnie się pilnujesz – powiedział. – Widziałas pozostałych?

W jego głosie pobrzmiwał niepokój, który nieczęsto miałam okazję słyszeć.

– Nie – odparłam. Jeszcze nigdy czyjś widok tak bardzo mnie nie ucieszył. – Nie było ich z tobą?

– Byli tylko Natalie, Jack i Fi – wyjaśnił. – Ale nie mam pojęcia, co się stało z resztą. W jednej chwili ich widziałem, a w następnej zniknęli.

Spojrzałam w stronę strumienia i zobaczyłam dwie dziewczyny z Jackiem. Rozeszli się i patrzyli na pole, próbując dojrzeć resztę grupy.

Spojrzałam na swój nowy zegarek.

– Dwadzieścia minut do lądowania – powiedziałam.

– Co zrobimy, jeśli helikopter wyląduje, a ich nie będzie?

– Chyba damy im Natalie i Jacka, a potem zaczniemy się martwić o resztę.

Tyle że już teraz się o nią martwiłam.

– Nie słyszałem żadnych strzałów.

– Ja też nie.

Patrzyłam w mgłę i ciemność. Kłęb mgły przybrał kształt postaci, więc wydałam zduszony okrzyk, ruszyłam w tamtą stronę i wyciągnęłam rękę, żeby pokazać Homerowi, ale potem zdałam sobie sprawę, że nic tam nie ma.

Dwadzieścia minut mijało z bolesną powolnością. Miałam nadzieję, że helikopter się spóźni, ale w końcu usłyszałam ciche brzęczenie na wschodzie.

– Nadlatuje – powiedziałam.

Homer pokiwał głową. Też go usłyszał.

Tymczasem utworzyliśmy coś w rodzaju półkola i wszyscy wypatrywaliśmy brakujących osób. Miałam niewyraźne poczucie, że jeśli wystarczająco wyteżę wzrok, w końcu je zobaczę. Ale szczęście mi nie dopisało. Bzyczenie za moimi plecami przybierało na sile, szybkie mlócenie śmigła helikoptera stawało się coraz bardziej nagłać. Im było głośniejsze, tym bardziej się pociłam.

Wreszcie zrobiło się tak donośne, że nie mogłam go dłużej ignorować. Musiałam się odwrócić i sprawdzić. Śmigłowiec już podchodził do lądowania na małej polance, dokładnie w wyznaczonym miejscu. Zresztą chyba nic dziwnego, bo łatwo było znaleźć miejsce zetknięcia się dwóch strumieni. Dwa białe światła były włączone, ale gdy tylko się odwróciłam, zgasły. Widocznie pilot zdecydował, że jest wystarczająco blisko i już ich nie potrzebuje. Śmigłowiec pokonał powoli kilka ostatnich metrów, a następnie przechylił się w bok jak wszystkie lądujące helikoptery. Zetknął się z ziemią i równo na niej osiadł. Dokładnie w tej chwili usłyszałam uradowany okrzyk Homera:

– Są!

Obejrzałam się za siebie. I rzeczywiście byli. Ciemne postacie, duże i małe, biegły w naszą stronę i potykały się. Dzięki Bogu! Popędziłam do śmigłowca. Silnik pracował na wolnych obrotach, więc hałas był całkiem znośny. Kiedy podbiegła Fi z Jackiem i Natalie, włączka już otwarta. Dzieci były takie zszokowane i oszołomione, że stały bez ruchu, gapiąc się na ciemną dziurę nad swoimi głowami. Mężczyzna w mundurze lotniczym patrzył na nas z góry z szerokim uśmiechem.

– Co my tu mamy? – zapytał.

– Dwoje pierwszych pasażerów – powiedziałam, podając mu Natalie.

Biedna Natalie wyglądała na przerażoną. Jej wielkie oczy wpatrywały się we mnie z rozpaczą. Czułam się okropnie.

– Do zobaczenia w Nowej Zelandii – zawołałam wesoło i uścisnęłam jej rękę, zanim lotnik zabrał dziewczynkę do kabiny.

Chwyciłam Jacka. Był znacznie cięższy niż Natalie, ale mocno złapałam go pod pachy i podniosłam.

– Bądź grzeczny, mały – powiedziałam.

Po chwili on też zniknął. To straszne, że nie mogliśmy się normalnie pożegnać. Ale zanim miałam czas o tym pomyśleć, ktoś złapał mnie od tyłu. Dwie rączki owinęły się wokół mnie jak zębatka. W zasadzie napędziły mi niezłego stracha. Myślałam, że ktoś mnie atakuje. I w pewnym sensie rzeczywiście atakował. W ostatniej chwili Casey postanowiła, że nigdzie się nie wybiera. Jeszcze przed chwilą widziałam, jak biegnie do helikoptera, więc zupełnie się tego nie spodziewałam. Chyba po prostu dała się ponieść atmosferze, ale teraz nagle zrozumiała, co to oznacza. Szalała ze smutku i strachu. Nie było sensu przemawiać jej do rozsądku: brakowało na to czasu, a poza tym i tak nic bym nie wskórała. Próbowałam ją od siebie odkleić, ale trzymała się tak mocno, że nie dałam rady. Odciągnął ją Ryan, znacznie mniej delikatnie, niż zrobiłabym to ja, po czym podniósł ją do wlotu. Deska rozdzielcza emanowała przyćmionym zielonym światłem, w którym Casey wyglądała na chorą. Wyciągała do mnie ręce i krzyczała:

– Ellie, Ellie, chcę z tobą zostać!

To było okropne. Rozdzierało mi się serce. Było łomoczącym bólem w piersi. Po raz pierwszy rozumiałam, jak czuły się krowy, kiedy oddzielaliśmy je od cieląt. Nie płakałam, bo bałam się, że wtedy wpadłaby w jeszcze większą histerię. Jedna z nas musiała wykazać się odrobiną samokontroli.

– Odnajdę cię, Casey! – zawołałam, ale nie wiedziałam, czy usłyszała.

A po chwili już jej nie było.

Prawie nie zauważyłam, że poszedł za nią Ryan. Coś do mnie powiedział, ale nie rozumiałam. Pewnie: „Powodzenia”. Kiedy podciągnął się do wlotu, śmigłowiec już się unosił. Sekundę później był już poza moim zasięgiem. Po następnych kilku sekundach wyglądał jak daleka

czarna kropka.

Dopiero wtedy zrozumiałam, co mówią pozostali. Byli bardzo zaniepokojeni i zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. Usłyszałam słowa Lee:

- Moim zdaniem zrobił to specjalnie.
- Teraz to już i tak bez znaczenia – odparł Homer.

Przez chwilę nadal nie miałam pojęcia, na czym dokładnie polega problem. I wtedy nagle mnie olśniło. Wsadziliśmy do helikoptera tylko troje dzieci.

- Nie mamy czasu go szukać – powiedział Kevin.
- Wcale nie musimy – oznajmił Homer, pokazując palcem.

Wyteżyłam wzrok i spojrzałam w tamtą stronę. Mała ciemna postać maszerowała do nas przez pole. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać. Czekaliśmy w milczeniu. Ukradkiem spojrzałam na Homera. Wyglądał na wściekłego. Potem napotkałam spojrzenie Fi. Starła się powstrzymać śmiech. Przez to ja też zaczęłam chichotać. Ale chłopaki miały tak poważne miny, że żadna z nas nie odważyła się parsknąć przy nich śmiechem.

Oczywiście to wcale nie było śmieszne. Gavin znowu wyciął nam numer. Postawił nas w paskudnej sytuacji. Myślę, że moje chichotanie wynikało raczej ze zdenerwowania i ulgi po rozpaczliwym smutku, jaki poczułam w chwili, kiedy Ryan wyrwał mi Casey z rąk. W każdym razie zdołałam się opanować po raz drugi w ciągu paru minut i zrobiłam równie poważną minę jak chłopaki.

Gavin przybiegł niczym żołnierz meldujący się na posterunku.

- Zabłądziłem – powiedział.

Świetny dowcip. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko się roześmiać. Ja i Fi nawet się nie powstrzymywałyśmy. Kevin rechotał tak, jak nie zdarzyło mu się od sześciu miesięcy. Lee śmiał się cicho, odwracając głowę, jakby zauważył jakiś żart dla wtajemniczonych, który pozostali przeoczyli. Homer tylko pokręcił głową. Złapał Gavina za włosy i pociągnął wystarczająco mocno, żeby zabolalo.

- Jesteś kłamczuchem – powiedział.

Wcześniej Gavin nauczył nas kilku swoich gestów przypominających język migowy. Nie wiem, czy sam je wymyślił, czy może używali ich wszyscy głusi ludzie. W każdym razie jeden z tych gestów oznaczał kłamanie: przeciągało się palcem wskazującym w poprzek ust. Więc teraz, nazywając Gavina kłamczuchem, Homer wykonał ten ruch, żeby podkreślić swoje słowa.

Oczywiście Gavin nic sobie z tego nie robił. Przez swoją wesołość sami kompletnie zlekceważyliśmy Homera, więc Gavin tylko radośnie się do nas uśmiechnął i też go zignorował.

- Dajmy im popalić! – powiedział.

Był beznadziejny, przysięgam.

Dotarliśmy do Stratton ze skołatаныmi nerwami. Przynajmniej moje trzęsły się jak dzwoneczki wietrzne podczas burzy. Już i tak bylibyśmy zestresowani, ale ostatnia informacja przekazana przez Ryana dodatkowo pogorszyła sytuację: „Sygnał do ataku powinien nadejść w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Bądźcie gotowi. Kontaktujcie się z dowództwem dwa razy dziennie, codziennie, dopóki nie dostaniecie zielonego światła. Ruszymy, kiedy tylko będzie odpowiednia pogoda”.

Jego słowa wślizgnęły mi się w uszy jak małe robaki, pasożyty, a potem wpełzły do mózgu, więc zanim zdążyliśmy dotrzeć do Stratton, barszkowały w mojej głowie na całego, siejąc spore zniszczenie. Byłam tak nabuzowana, że gdyby nadjechał konwój czołgów, popędziłabym do boju z rakieta tenisową i wstrząśniętą butelką coli.

Na szczęście mieliśmy coś więcej niż rakietę tenisową i cola. Po drodze zahaczyliśmy o mokradła i teraz taszczyliśmy mnóstwo sprzętu.

Rozbiliśmy obóz w domu mojej babci. Wcale się z tego nie cieszyłam. Gdy tylko weszłam tylnymi drzwiami, poczułam się okropnie. Dom wydawał się zbyt pusty, tworzył za wielką część naszej przeszłości. Pozostało w nim kilka drobiazgów, ale zauważyliśmy, że po naszym odejściu

ktoś tam był. Szyba w oknie została wybita, a na podłodze w kuchni leżała upuszczona butelka po piwie, które wsiąkło w linoleum. Wszędzie leżały porozrzucane rzeczy, jakby ktoś czegoś szukał.

Z każdą mijającą godziną czułam się bardziej niezadowolona. Zupełnie jakbym stała drżąca na trampolinie z palcami tuż przy krawędzi i przygotowywała się do skoku, by nagle usłyszeć krzyk trenera: „Wstrzymaj się jeszcze przez parę godzin! Muszę gdzieś zadzwonić. Dzięki!”.

Nie da się zatrzymać adrenaliny.

Żałowałam, że nie możemy wrócić do szczęśliwych dni w Piekło. W Stratton się dusiłam. Inaczej niż w Piekło, nie było tam można spokojnie chodzić po ulicach. Nie żeby Piekło obfitowało w ulice. W zasadzie biegła przez nie tylko jedna dróżka, na której ostatnio też przestało być bezpiecznie. Ale w Stratton zawsze było niebezpiecznie i robiło się coraz gorzej. Patrole motocyklowe stawały się coraz groźniejsze i coraz częstsze. Z warkotem przejeżdżały obok domu co dwadzieścia, trzydzieści minut. Jedynym ostrzeżeniem było nagłe uderzenie dźwięku, które docierało jednocześnie do nerwów i uszu. Zazwyczaj patrol tworzyło sześciu żołnierzy. Jeździli na dużych, ciężkich motorach, które najprawdopodobniej zwędzili ze sklepów i domów. Sądząc po wyziewach i dymie z rur wydechowych, powiedziałabym, że niezbyt dobrze o nie dbali.

Dość często kogoś gdzieś podwozili. Może rozkręcili na boku interes taksówkarski, nie wiem.

Krążyłam po domu, czując niepokój, swędzenie i podenerwowanie. Pozostali najwidoczniej znosili to lepiej. Fi przycupnęła na drzewie, żeby pełnić wartę, ale wzięła ze sobą jedną z książek babci zatytułowaną *Tangara*. Lee rysował w pokoju na piętrze. Nieczęsto pokazywał nam swoje prace, ale tym razem pozwolił mi zerknąć. Jak wszystko, co robił, jego rysunki osiągały standard między zapierającym dech w piersiach a fantastycznym, nawet jeśli były trochę mroczne. Niektórzy uznaliby je za chore. Szatańskie postacie, płonące niemowlęta, obce stwory wyłażące z ludzkich ust, olbrzymie czarne żuki, które przetaczały się przez krajobraz, miażdżąc domy. Ja nie nazwałabym tego chorym, tylko genialnym. Zresztą co miałby rysować po tym wszystkim, co widzieliśmy?

Kevin, Homer i Gavin grali w kierki talią starych kart babci. Cieszyłam się, że starsze chłopaki zabawiają Gavina, który nie był wielkim fanem czytania i rysowania, a niezbyt dobrze znosił bezczynność.

Te wszystkie różnorodne zajęcia wydawały się miłe i nieszkodliwe. Ale Lee miał posępną minę, Kevin podskoczył jak oparzony, kiedy stłukłam szklanekę, a reszta chłopaków co dziesięć minut wdawała się w zaciekle kłótnie przy kartach. Nie, nie chodziło wyłącznie o mnie. Napięcie wywołane ostatnimi wydarzeniami – okropnym spotkaniem z patrolem w Piekło, szaloną ucieczką, przerażającym marszem na spotkanie helikoptera, rozstaniem z trojgiem dzieci, czekaniem na sygnał do działania – coraz bardziej dawało nam się we znaki. Atmosfera była fatalna i Gavin pewnie żałował, że jednak nie wsiadł do śmigłowca.

Późnym rankiem wyszłam na chwilę z domu. Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale nie mogłam dłużej wytrzymać. Odbijało mi. I nikt nie próbował mnie odwieść od tego pomysłu. Chyba uznali, że będzie mniej osób, na których można się wyżywać – albo mniej osób, które będą się wyżywały na nich.

Doszłam do wniosku, że jeśli będę szła po trawnikach przed domami i trzymała się z dala od ulic, uda mi się uniknąć motorów.

Zamierzałam wrócić pół godziny później – i tak też zapowiedziałam Fi – ale kiedy zawróciłam w stronę domu, zobaczyłam, że jestem tylko o przecznicę od kiosku w West Stratton, stojącego niedaleko tamtego dużego budynku, w którym kiedyś widziałam Casey bawiącą się z koleżankami. Wtedy nie rozejrzałam się tam zbyt dobrze, więc pomyślałam, że być może tym razem uda mi się znaleźć coś do czytania albo jakieś inne zajęcie. Cokolwiek, co odwróciłoby moją uwagę od najbliższej przyszłości. Idąc zygzakiem w kierunku tego domu, liczyłam na to, że w środku znajdę jakieś długopisy dla Lee. Spodobał mi się pomysł obdarowania go prezentem.

Popchnęłam drzwi i wślizgnęłam się do środka, od razu sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi.

Spora część kiosku pozostała nietknięta. Wszystko wokół lady – cukierki, papierosy i

długopisy – oczywiście zniknęło, ale reszta – książki i magazyny – raczej nie ucierpiała. Kto by chciał czytać o kolejnym rozbitym małżeństwie w Hollywood, kiedy spadają bomby?

Zabrałam parę powieści, sześć magazynów i trochę innych rzeczy, a następnie znalazłam kredki świecowe. Doszłam do wniosku, że Lee się ucieszy. Potem ruszyłam z powrotem do domu babci.

Dostarczyłam prezent, za który Lee podziękował mi mruknięciem, Fi zapytała, gdzie się podziewałam, po czym wspięłam się na drzewo, żeby razem z Homerem uruchomić radio. Przynajmniej mój mały spacer okazał się pewnym sukcesem. Przez chwilę byłam w stanie odsunąć od siebie myśli o tej chwili – o tej niezwykle ważnej chwili. Ale włączając na sosnę, widząc nad sobą wielkie włochate nogi Homera i radio objijające mu się o biodro, musiałam spojrzeć prawdzie w oczy: to mógł być początek naszego końca. Niedługo mieliśmy do tego podejść na poważnie, jak zawodowi żołnierze na potwornie poważnej wojnie.

Kiedy zajęliśmy dobrą pozycję, dyszałam, tyle że nie z wysiłku po wspinaczce, ale z napięcia i strachu. Usiłowałam coś powiedzieć, lecz zaschło mi w ustach i musiałam zastosować sztuczkę, której nauczyła mnie Andrea – podrapać się pod brodę koniuszkiem palca – żeby ślina znowu zaczęła płynąć i nawilżyła mi gardło. Po chwili mogłam już wychrypieć:

– Zbliża się patrol.

Czekaliśmy w milczeniu. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy czekali inaczej. Motory pędem przejechały obok, warcząc głośniejsze niż kiedykolwiek. Jakby miały własny umysł, jakby żyły, jakby jeden z nich mógł się wspiąć na drzewo, chwycić mnie za nogę i ściągnąć na ziemię. Mocniej ścisnęłam pień, zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić.

Kiedy motory zniknęły, Homer włączył radio i znajomym, niskim i dudniącym głosem zaczął nadawać nasz kod.

– Charlie Baker Foxtrot. Charlie Baker Foxtrot.

Wcześniej Ryan przekazał nam listę odpowiedzi, jakie mogły nadejść z Nowej Zelandii. Każda miała określone znaczenie. Niespełna półtorej minuty później usłyszeliśmy jedną z nich:

– Ananasy.

Powtórzone trzykrotnie.

„Ananasy” oznaczały: „D-Day przesunięty o dwanaście godzin. Dajcie znać, jeśli nie będziecie mieli co robić, a może wpadniemy z wizytą i pójdziemy razem do kina albo coś w tym rodzaju”.

No, może przesadziłam z tym drugim zdaniem.

W każdym razie, czy to nam się podobało, czy nie, załatwiliśmy sobie dwunastogodzinne odroczenie.

Tylko że to była ostatnia rzecz, jakiej chciałam! Moje nerwy domagały się jakiegoś działania. Pod pewnymi względami najbardziej ucieszyłoby nas hasło „kangur”, oznaczające, że D-Day został przesunięty na czas nieokreślony: „Porzućcie wszystkie plany”. Tylko że na dłuższą metę nie byłyby to najlepsze wieści. Brutalna prawda o naszej sytuacji wyglądała tak, że potrzebowaliśmy sygnału do natychmiastowej akcji. „Załatwcie to i miejcie to już za sobą”.

A zamiast tego dostaliśmy jeszcze więcej tego okropnego czekania.

Z wściekłością rzuciłam się na łóżko i zaczęłam czytać magazyny z kiosku, mając nadzieję, że znajdę coś, co mnie wciągnie. Nie potrafiłam się skupić. Przewracałam stronę za stroną, nie zauważając ogłoszeń, artykułów, horoskopów ani krzyżówek. Potem nagle coś przykuło mój wzrok. W „Who Weekly” znalazłam zdjęcie lecącego w powietrzu zawodnika wyścigów motocyklowych. Motor robił salto nad murem, a kierowca robił salto w odwrotnym kierunku. Nagłówek głosił: „Tragedia na Wyspie Man”.

To mi podsunęło pewien pomysł.

Homer pełnił wartę, więc jeszcze raz weszłam na nasze drzewo wartownicze, żeby z nim porozmawiać. Niestety, zanim zaczęłam mówić, popełniłam błąd i dałam Homerowi magazyn o traktorach, a to oznaczało, że musiałam się bardzo postarać, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

Ale w końcu mi się udało.

– Kojarzysz te motocyklowe patrole? – zaczęłam.

– Patrole? Jasne.

– Są przerażające, no nie?

– Uhm. Popatrz, to John Deere 8300, ten gaśnicowy. Przed wojną tata chciał coś takiego kupić.

– Piękny. Bardzo seksowny. No więc skoro czekamy, skoro czekamy na zielone światło, powinniśmy chyba coś zrobić z tymi patrolami.

– Jasne.

Nadal skupiał się na traktorach.

– Chcę, żebyśmy zaczęli atakować patrole.

– Atakować patrole? Mówisz poważnie?

W końcu zaczął mnie słuchać.

– Musimy coś zrobić. Czuję się jak narkoman czekający na działkę. Nie mogę usiedzieć na miejscu. Przez tę wojnę uzależniłam się chyba od działania.

Roześmiał się.

– Tak samo jak my wszyscy. Dziś wieczorem musimy coś zrobić. No bo co nam pozostaje? Pójść wcześniej do łóżek i porządnie się wyspać? Nie ma szans. Nikt nie będzie w stanie zmrużyć oka. Musimy tylko opracować sposoby, które pozwolą nam atakować bez narażania się na niebezpieczeństwo.

– Na przykład rzucanie na nich czegoś z dachu? – podsunął. Kiedy Homer załapał, kombinował naprawdę szybko. – Powinniśmy ich sabotować, ale w taki sposób, żeby to wyglądało na wypadek – dodał.

– Tak. Tak byłoby najlepiej.

Siedzieliśmy na drzewie, omawiając pomysły. Zabawne: usadowiliśmy się między silnymi, gładkimi białymi gałęziami eukaliptusa, co kilka minut milkliśmy, żeby popatrzeć na zielone i żółte ptaszki z czarnymi i białymi grzebieniami, stukające dziobami w korę, wsłuchiwalismy się w ich hałaśliwy, pewny siebie świergot i zastanawialiśmy się, jak zabijać ludzi. Czy po wojnie dochodzi się do siebie? Czy kiedykolwiek wraca się do normalności? Nie byłam pewna, ale chyba nie. Po drugiej wojnie światowej mój dziadek wrócił do dawnego życia, natychmiast podejmując stary roczny cykl odrobaczania, golenia owczych tyłków, rozmnażania stada, strzyżenia, kąpieli w płynie odkażającym i sprzedaży. Ale nie miałam pojęcia, co właściwie robił na froncie. Wiedziałałam, że wyjechał z Australii do Włoch i na Malaje, że służył w artylerii, strzelał z dział wielkich jak armaty, a potem co rok jeździł na zjazdy towarzyszy broni. Ale nie znałam odpowiedzi na najważniejsze pytania. Czy kogoś zabił? Czy widział jego twarz? Czy zabijał z zimną krwią? Podejrzewam, że tak, ale nigdy go za dobrze nie poznałam, więc mogłam się mylić.

W każdym razie próbuję powiedzieć, że istnieje spora różnica między uduszeniem kogoś paskiem a odpalaniem pocisków w kierunku dalekiego zakątka dżungli.

Kiedy Lee wyszedł z domu, żeby przejąć wartę od Homera, włączyliśmy go do rozmowy. Od razu dodał coś od siebie. Gdy tylko zrozumiał, o czym dyskutujemy, powiedział:

– Jeśli zabijemy ich wszystkich, nie będą wiedzieli, czy to był wypadek, czy nie.

Zastanawiałam się, o co mu chodzi, więc dorzucił:

– To tak jak z pierwszym patroliem na Szwie Krawca. Jeśli zastawimy pułapkę, która zabije jednego żołnierza, pozostali ją zobaczą i będą wiedzieli, jak zginął. Jeśli zastawimy pułapkę, która zmiecie cały patrol, nikt nie odkryje, co spotkało jego członków. Pod warunkiem że pozbedziemy się dowodów.

Tylko Lee mógł wpaść na coś równie okrutnego. Byłam w takim szoku, że zaniemówiłam.

Chłopaki rozmawiały o tym, co można by zrobić, ale brakowało im pomysłów – podobnie jak później Fi i Kevinowi. W końcu postanowiliśmy spróbować czegoś odrobinę prostszego. Przecież często to właśnie najprostsze rzeczy sprawdzają się najlepiej.

Gdy tylko się ściemniło, wyszliśmy z domu. Musieliśmy to załatwić wcześniej, żeby zdążyć na następne połączenie radiowe. Poszliśmy we trójkę: Homer, Fi i ja. Postanowiliśmy to zrobić w ten sposób, na wypadek gdyby któreś z nas zostało złapane. To była jedna z tych trudnych pragmatycznych decyzji, które ostatnio musieliśmy tak często podejmować. Gdyby schwytano

naszą trójkę, Lee i Kevin nadal mogliby wypełnić rozkazy Ryana.

Wymknęliśmy się, kiedy Lee zabawiał Gavina, żeby chłopiec nie wiedział, co się dzieje.

Dostaliśmy się pod autobus zaparkowany obok ciężarówek. Spuściliśmy olej z miski do czterech plastikowych wiader, a potem zeszliśmy ze wzgórza i ruszyliśmy w stronę centrum miasta.

Oczywiście w samym centrum byłoby zbyt niebezpiecznie. Dotarliśmy na parking przed Safewayem przy Morris Street. W Safewayu nadal coś sprzedawano – sądząc po ogromnych stertach pustych kartonów za budynkiem, były to ubrania – ale wieczorem sklep był zamknięty. Kręciliśmy się w pobliżu przez dwadzieścia minut i obserwowaliśmy teren, aż w końcu Homer powiedział:

– Nie ma sensu tu siedzieć i czekać, aż nas złapią. Lepiej to załatwmy i spadajmy.

No więc wykorzystaliśmy cienie w parku jako osłonę, podkradliśmy się w ciemności jak bezpieczne koty bojące się sfory psów i w końcu stanęliśmy pod wiązem na skraju ulicy. Fi miała dwa wiaderka, ja drugie dwa. Kiedy na ulicy zapadła cisza, wyszliśmy na szeroką, otwartą przestrzeń Morris Street. Poczułam się zupełnie bezbronna. Przypomniała mi się chwila, w której po raz pierwszy podjęłam podczas tej wojny prawdziwe ryzyko: niedaleko terenu wystawowego Wirrawee, po tym jak zdaliśmy sobie sprawę, że uwięziono tam nasze rodziny. Wtedy też wybiegłam z bezpiecznych zarośli, żeby pokonać otwartą przestrzeń i schronić się za następnym drzewem. Czulałam, że robię coś dramatycznego, co na zawsze odmieni moje życie. I miałam rację.

Mimo że w tej części miasta przywrócono elektryczność, uliczne latarnie były pogaszone. Wyłączono wszystkie światła, żeby nowozelandzkie bombowce nie mogły ich zobaczyć. Wiele budynków miało okna zasłonięte grubymi zasłonami, dzięki którym nocą ze środka nie wydostawało się światło. Ale kiedy wyszliśmy na ulicę, świecił jasny księżyc i to wystarczyło, żebym poczuła się jak na środku boiska w otoczeniu rzeszy kibiców. Na meczu dnia z nocą.

Podbiegliśmy do skrzyżowania, trzymając się przeciwległych stron ulicy. Zaczęliśmy wylewać olej. Chciałam się rozejrzeć i sprawdzić, czy nikt się nie zbliży, ale musiałam narzucić sobie dyscyplinę. Nie było sensu się rozglądać. Tylko marnowałabym czas.

Cała akcja zajęła raptem dwadzieścia sekund. Patrzyłam, jak olej rozlewa się po ciepłym czarnym asfalcie. Leżał tam niewidocznie, czerń na czerni. Na miękkich nogach pobiegłam z powrotem do Homera i Fi.

Postanowiliśmy chwilę odczekać, licząc na odrobinę zabawy. Czekaliśmy tak długo, że zaczęłam marznąć, ale kiedy zaproponowałam pozostałym, żebyśmy dali sobie spokój, Fi, która potrafiła usłyszeć nawet mrugnięcie swojej powieki, powiedziała:

– Chyba jadą.

No więc przymknęłam się i przylgnęłam do śmierdzącego, przepełnionego kubła na śmieci, próbując usłyszeć to samo co Fi.

Tak naprawdę usłyszałam ich dopiero, kiedy skręcili w Morris Street. Pierwszy dźwięk jak zwykle był nagły i głośny. Rozległ się chrapliwy warkot sześciu silników i na ulicę wyjechały motory. Lekko się uniosłam i zerknęłam między pudłami. O mało nie zauważyli mnie dwaj żołnierze, którzy niespodziewanie wyjechali z lewej i pędzili przez parking. Nie powinnam się dziwić: przecież ciągle tak robili. Na szczęście dwa duże hałaśliwe czarne motory przyspieszyły i śmignęły obok mojej kryjówki. Oddalały się od siebie, zataczając szerokie łuki. Żołnierzy chyba bardziej interesował motocyklowy freestyle na otwartej przestrzeni parkingu niż sumienne szukanie agentów wroga. Wyglądało na to, że dobrze się bawią. Pędzili cholernie szybko.

Byli już przy drugim końcu parkingu, kiedy na ulicy rozpętał się chaos. Po mojej lewej Homer pokazał mi dwa uniesione kciuki. Za nim stała Fi, która patrzyła na ulicę, zasłaniając usta rękami. Ale jednocześnie miała błysk w oku, który był kolejnym zaskakującym objawem, jaki u niej zauważyłam podczas tej wojny.

Jeszcze raz pospiesznie wyjrzałam spomiędzy kartonów. Dwa motory już się przewróciły i powoli traciły rozpęd, a jadący na nich żołnierze próbowali wstać. Trzeci właśnie wpadł w poślizg. Kierowca leciał z wyciągniętymi rękami, celując kaskiem w oddaloną o dziesięć metrów ścieżkę. Jego motor odrzuciło w przeciwną stronę. Żołnierz przeokoziółkował na plecy, rąbnął o ziemię i

sunął po niej, aż w końcu z głuchym hukiem wyrznął o rynsztok. Potem przestał się ruszać. Motor roztrzaskał się o słup telegraficzny z rozdzierającym trzaskiem, który było chyba słyhać w promieniu dziesięciu przecznic. Homer chwycił mnie za ramię, napędzając mi niezłego stracha. Nie wiedziałam, że jest tak blisko. Wyglądał, jakby oszalał z radości.

– Pora się stąd wynosić – syknął mi do ucha.

Wycofałam się. Dwa motory, które przejechały przez parking, były już na ulicy, a ich kierowcy pędzili na pomoc kolegom. Dzięki temu teren za nami był czysty. Zawróciliśmy i pobiegliśmy.

Pokonaliśmy pędem prawie całą drogę do domu mojej babci. To było naprawdę zabawne. Jak bieg przełajowy. Na początku przyszło nam to dość naturalnie – spieszyliśmy się, żeby zniknąć z miejsca wypadku przed zjawieniem się posiłków. Ale nawet kiedy już byliśmy w bezpiecznej odległości, biegliśmy dalej. Po paru kilometrach przestałam myśleć o patrolach i skupiłam się na wyrównaniu oddechu. Spoglądając na Homera i Fi po drugiej stronie ulicy, zobaczyłam na ich twarzach tę samą minę, która z pewnością malowała się na mojej. Coś w rodzaju skupienia. Dyszeliśmy, z każdą mijaną ulicą coraz bleśsi, nasze nogi pracowały, nasze ręce też.

Ale w pewnym sensie było to zabawne. Coś w rodzaju wygłupów sprzed wojny: pędzenie na złamanie karku tylko dlatego, że byliśmy młodzi i nie potrzebowaliśmy pretekstu, żeby się wygłupiać. Za dawnych czasów na głównej ulicy Wirrawee widywało się dzieci trzymające za rękę mamę albo tatę. Rodzice szli zbyt nudno, więc dzieci fikały, skakały i tańczyły. Jakby miały tyle energii, że trzeba ją było jakoś spożytkować.

My byliśmy trochę za starzy na fikanie, ale pozostała w nas jeszcze odrobina energii i czasami nadal mieliśmy ochotę podskakiwać i tańczyć. Ostatnio niezbyt często, ale jednak nam się zdarzało...

Po powrocie do domu czekaliśmy, aż Kevin i Lee jeszcze raz połączą się przez radio. Wrócili z tą samą wiadomością co poprzednio. „Ananasy”. Do jutra spokój. Co najmniej do jutra. Jeszcze dwanaście godzin czekania.

Byliśmy nakręceni jak dzieciaki z miasta w drodze do klubu o pierwszej w nocy. Lee wyszedł, żeby stanąć na warcie, i zmienił Kevina, któremu opowiedzieliśmy o ataku na motory. Był w dobrym humorze: czujny i zainteresowany. Ostatnio zachowywał się znacznie lepiej.

– Chcę znowu iść na akcję – powiedział Homer. – Ale nie z olejem.

– Dlaczego nie?

– Spójrzmy prawdzie w oczy, co takiego zdziałaliśmy? Rozwaliliśmy kilka motorów, nabiliśmy guza jednemu żołnierzowi i na tym koniec.

– Uważasz, że tylko nabiliśmy mu guza? – zapytałam. – Wyglądało to gorzej.

– A skąd! – prychnął Homer. – Nie rąbnął w rynsztok wystarczająco mocno, żeby naprawdę coś sobie uszkodzić.

– Ale – wtrącił się Kevin, chcąc nas pocieszyć – w okolicy skroni jest takie miejsce, chyba gdzieś w rogu, że jeśli w nie kogoś uderzysz, od razu padnie trupem. Wcale nie trzeba do tego siły.

– Tamten facet miał kask – powiedziałam. Nie podobały mi się te drastyczne szczegóły. – Dobrze, geniusze, jeśli nie rozlewanie oleju, to co?

Na następny pomysł wpadł Kevin. To przez niego czterdzieści pięć minut później leżałam i czekałam przy McManus Street. Ulokowałam się za drzewem po zachodniej stronie ulicy, a Homer za budką telefoniczną po drugiej stronie. Kevin czaił się kawałek dalej i nie robił nic konkretnego: po prostu miał nas wspierać.

Patrole już przejechały, musieliśmy je przepuścić. Zaczynałam się nudzić i chociaż wcześniej powiedziałam Homerowi, że żadne z nas nie byłoby dziś w stanie zasnąć, czułam zmęczenie. Przeszłam przez ulicę, żeby z nim pogadać.

– Zaczekajmy na jeszcze jeden – powiedział. – Jeśli nic z tego nie wyjdzie, wrócimy do domu.

Znowu usłyszałam bzyczenie patrolu. Jakby był wielką powolną osą. Na tej ulicy, szerszej niż Morris Street, było go słyhać z daleka. Nadal dzielił nas od niego spory dystans, ale czasami patrole poruszały się bardzo szybko, a ja byłam po niewłaściwej stronie ulicy. Przerwałam

rozmowę z Homerem w połowie zdania i pobiegłam z powrotem do kwitnącego eukaliptusa. Złapałam za swój koniec drutu.

Po chwili żołnierze wjechali na McManus Street. Głośne i wyraźne dudnienie silników dotarło do moich uszu, nieskrępowane domami i drzewami. Ale jeśli słuch mnie nie mylił, tym razem brzmiało jakoś inaczej. Jakby motory bardziej się rozproszyły. Może nadeszła nasza szansa. Dwa pierwsze były już w połowie ulicy, prawie się ze mną zrównały. Pozostałe cztery zostały spory kawałek z tyłu. Poczułam jeszcze większe napięcie – o ile to w ogóle możliwe. Dwie maszyny minęły nas szybko. Widziałam, jak ich jaskrawe czerwone światła hamowania rozbłyskują przy skrzyżowaniu, jeszcze zanim pozostałe motory zdążyły się do nas zbliżyć. Przejechały trzy następne. Wiedziałam, że nadeszła właściwa chwila. Zbliżał się ostatni motocyklista i to właśnie na niego czekaliśmy. Był pięćdziesiąt metrów za kolegami. Kiedy oni dotarli do skrzyżowania, przyspieszył, żeby ich dogonić. I to był duży błąd. Ogromny. Gdyby jechał powoli, upadłby delikatniej i prawdopodobnie nie zrobiłby sobie większej krzywdy. Ale kilka metrów od nas dodał gazu.

Z rykiem silnika jechał na tylnym kole. Nie mogłam uwierzyć w nasze szczęście. Kiedy jego tylne koło dotknęło drutu, trzymałam już za swój koniec i ciągnęłam najmocniej, jak umiałam. Homer robił to samo. Wcześniej chciałam owinąć sobie drut wokół nadgarstka, żeby lepiej go złapać. Całe szczęście, że tego nie zrobiłam. Pewnie straciłabym dłoń. Drut wyrwał mi się z rąk, jakby został podłączony do prądu. Ale wykonał swoje zadanie. Facet poleciał w powietrze, prawie jak w zwolnionym tempie. Motor się przewrócił i ślizgiem sunął w stronę Homera. Tyle że już nie w zwolnionym tempie. Motocyklista wyrzwał w drzewo z głuchym hukiem, takim samym, jaki rozległby się przy uderzeniu drzewa obuchem siekiery. Drzewo się zatrzęsło i posypały się liście. Kierowca upadł na ścieżkę i leżał z rozrzuconymi kończynami, kompletnie nieruchomo. Nie mówię, że był martwy. Mówię tylko, że stracił przytomność i mógł zginąć. Nie wiem.

Podczas gdy ja patrzyłam na tę przerażającą scenę, Homer wyszedł ze swojej kryjówki i zwijał drut. Nawet nie patrzył na motocyklistę. Wkurzyłam się na siebie, widząc, że odwała całą robotę, a ja zabawiam się w turystkę. Na szczęście nie miałam aparatu fotograficznego, bo pewnie pstrykałabym zdjęcia.

Pobiegłam Homerowi na pomoc. Musieliśmy usunąć drut z drogi, żeby nikt nie znalazł przyczyny kraksy. Chcieliśmy, żeby to wyglądało na tajemniczy, niewyjaśniony wypadek.

Drut pękł w połowie. Rozerwała go siła zderzenia. Już słyszałam, że wracają pozostałe motory. To wszystko zajęło zaledwie pięć albo dziesięć sekund. Kiedy ostatni kierowca się przewrócił, jego trzech koledzy dopiero zniknęli za skrzyżowaniem, więc mogli wrócić w mgnieniu oka.

– Szybko! – powiedziałam do Homera.

Strasznie się bałam. Od kryjówki dzieliło nas prawie sto metrów. Chcieliśmy przemknąć podjazdem do następnej przecznicy, zanim ktokolwiek zacznie się rozglądać.

Homer pobiegł, a ja ruszyłam za nim, ciągnąc za sobą jakieś dziesięć metrów drutu i próbując go zwinąć w biegu. Zaczepił się o coś z tyłu, po raz drugi grożąc mi utratą dłoni. Szarpnęłam, chcąc go wyswobodzić, przekonana, że uda mi się to dzięki czystej sile woli. Za żadne skarby nie zamierzałam wracać i go wyplątywać.

Niestety, okazało się, że moja siła woli nie wystarczy. To cholerstwo ani drgnęło.

Chcąc nie chcąc, musiałam coś zrobić. Zawróciłam i pobiegłam w tamtą stronę, a potem mimo ciemności zobaczyłam, że drut zahaczył o kran. Pociągnęłam z drugiej strony i poczułam, że w końcu ustępuje.

Odwróciłam się z powrotem i znów pobiegłam za Homerem, zwijając jednocześnie drut. Homer już prawie zniknął mi z oczu, dobiegał do końca podjazdu i szykował się do przejścia przez płot. Nie wydawał się zaniepokojony moim losem. Może myślał, że jestem tuż za nim. Może wcale o mnie nie myślał. Pędziłam do tego płotu, jakbym miała do pokonania ostatni odcinek biegu podczas szkolnego dnia sportu. Snop światła przesunął się po podjeździe, oświetlając mi nogi. Zrozumiałam, że to albo jeden z przednich reflektorów, który przeczesuje podjazd, albo światło zawracającego motoru, które padło na mnie przypadkiem. Cokolwiek to było, poczułam się

ogromnie zagrożona. Nie wiedziałam, czy mam się zatrzymać, żeby moje ruchy nie zwróciły niczyjej uwagi, czy uciekać dalej, żeby nie dosięgły mnie kule. Pobiegłam. Doszłam do wniosku, że żołnierze mieli mnóstwo czasu, żeby mnie zauważyć.

Wydawało mi się, że płot jest strasznie daleko. Homer leżał na górze jak staromodny zawodnik skaczący wzwyż, który przetacza się nad poprzeczką. Widocznie w końcu zdał sobie sprawę, że nie depczę mu po piętach. Skoczyłam ku jego wyciągniętej ręce i chwyciłam go za dłoń, przerzucając drut nad płotem w ciemność, żeby lewą ręką pomóc sobie we wspinaczce. Chwyciłam górną poprzeczkę i podciągnęłam się. Homer przeturlał się na drugą stronę zaledwie chwilę przede mną, więc wyładowałam na nim w czyimś ogrodzie.

– Myślisz, że cię zobaczyli? – wydyszał, leżąc pode mną.

– Skąd mam wiedzieć? – zapytałam wkurzona.

Czułam, jak Homer się trzęsie. Pomyślałam, że nie damy rady dłużej tego znosić. Nawet małe, proste operacje były teraz naszpikowane niebezpieczeństwem jak stare drewno korytarzami kornika.

– Gdzie Kevin? – zapytał Homer.

– Przeszanieś w końcu zadawać głupie pytania?

Moje pytanie też pewnie było głupie. W każdym razie Homer nie odpowiedział. A w tej samej chwili cichutki szelest uzmysłowił nam, że Kevin zbliża się od strony sąsiedniego ogrodu. Przykucnęłam obok mnie.

– Zostawić was samych? – zapytał.

Byłam już w wystarczająco złym nastroju, a on popsuł go jeszcze bardziej.

– Co się stało? – zapytałam oschle.

Podniosłam się z Homera.

Kevin najwidoczniej zobaczył, że nie jestem w nastroju do żartów, bo od razu przestał nam dokuczać.

– Myślę, że jest w porządku – powiedział. – Koleś mocno oberwał. Może nawet zginął.

Tamci niczego nie widzieli, a nawet jeśli facet przeżyje, niewiele sobie przypomni.

– Całkiem niezłe – powiedział Homer, a potem zwrócił się do Kevina: – Chcesz tam wrócić i spojrzeć jeszcze raz?

Miał na myśli napawanie się widokiem ciała motocyklisty dla samego dreszczyku emocji.

– Ja stąd spadam – oznajmiłam, a potem wstałam i rozejrzałam się w poszukiwaniu drutu.

Obaj przyprawiali mnie o mdłości.

6

Trudno mi uwierzyć, że po tej paskudnej przygodzie zrobiłam to, co zrobiłam. Ale kto powiedział, że ludzie są mądrzy?

Chyba wybiorę wyjście dla mięczaków i zrzucę winę na hormony. Nie możesz kontrolować swoich uczuć, tylko swoje zachowanie. A czasami nawet nad nim tracisz kontrolę.

Okej, więc było tak. Po powrocie z drugiej zasadzki na motocyklistów poszłam spać.

Zbliżała się trzecia w nocy. Tak jak się obawiałam, nie mogłam zasnąć. Nie byłabym w stanie zamknąć oczu nawet z pomocą kombinerek. Leżałam i rozmyślałam o mojej prababci Tommy, potem o Ryanie, później o ogromnym niewypale, który kiedyś otoczono kordonem, gdy wracaliśmy z miasta do domu, a następnie o żołnierzu uderzającym w drzewo i o dzikim, przyprawiającym o mdłości wyścigu po podjeździe w stronę płotu.

Wszystkie myśli były tak mało konkretne, że przypominały zaledwie smużki dymu w moim mózgu, pozbawione początków i końców, splatające się ze sobą nawzajem.

Za ścianą odezwał się Lee. Mówił dobranoc Homerowi. Przez chwilę słyszałam ich stłumione głosy, ale nie rozumiałam słów. Potem chyba odpłynęłam w półsen, moje marzenia na jawie zmieszały się ze snami. Leżałam przykryta wełnianym kocem, który drapał mi skórę, ale to było nawet przyjemne. Poczułam ciepło w środku i na zewnątrz, a potem zrobiło mi się gorąco i ogarnął mnie niepokój. Wiedziałam, czego chcę, i tym razem nie mogłam zaprzętać sobie głowy analizami i rozmyślaniami o negatywnych stronach sytuacji. Moja skóra była tak wrażliwa, że

czułam każdy punkt, w którym ciało stykało się z kocem. Miałam wrażenie, że spuchłam, jakby wszystko stało się trochę większe niż zwykle, tyle że jedne części bardziej niż inne. Czuję, że żegluję po jakimś dziwnym gorącym morzu.

Wiedziałam, że Homer wyszedł, bo słyszałam, jak ciężko stąpa po schodach, mamrocząc pod nosem i wydając dźwięki jak traktor w żlebie. Odczekałam z dziesięć minut, potem wstałam, owinęłam się największym ręcznikiem babci i poczłapałam do pokoju Lee. Cicho otworzyłam drzwi. W pokoju było dość ciemno: jedynym źródłem światła był księżyc widoczny za oknem. Podobał mi się ten półmrok. Nadawał dywanowi coś w rodzaju złotego połysku. Lee leżał na plecach na szerokim łóżku i jego skóra też wydawała się lekko złota. Uśmiechnęłam się na widok piramidy, którą wznosił pod starym bawełnianym prześcieradłem. Wyglądało na to, że nie będę miała większych trudności. Pozwoliłam ręcznikowi zsunąć się na podłogę i już samo towarzyszące temu doznanie – dotyk materiału muskającego ciało – wywołało gęsią skórę.

Wślizgnęłam się pod prześcieradło. Miałam wrażenie, że Lee nie śpi, a kiedy poczułam napięcie jego ciała, byłam tego wręcz pewna. Poglądziłam go po torsie.

– Co byś powiedział na bombową nagą laskę w twoim łóżku? – zapytałam.

Nie otwierając oczu, odparł:

– Na razie zadowolę się tobą.

Ugryzłam go w ramię i wtedy otworzył oczy. Siłowaliśmy się jak zwierzęta, wyginając się, obracając, gryząc i warcząc jak małe koty albo szczeniaki. Potem nastąpiła chwila przerwy, podczas której założyłam mu prezerwatywę.

– Skąd ją wytrzasnąłeś? – zapytał zdziwiony.

– Z kiosku – powiedziałam.

Kilka minut później oplotłam jego biodra nogami i udałam, że go nimi ściskam, ale wiedziałam, że po prostu daję mu szansę, wpuszczam go do środka. On też działał szybko. Przyszpilił mnie już po chwili. Krzyknęłam tak głośno, że aż się wystraszył, ale potem zrozumiał, że to nie był okrzyk bólu. Miałam wrażenie, że już po kilku sekundach obydwójce całkowicie straciliśmy kontrolę i drżeliśmy jak w konwulsjach.

Potem, prawie natychmiast, zrobiliśmy to jeszcze raz, wolniej. Było miło. Kiedy zbliżał się ten moment, usłyszałam swój jęk i chociaż tym razem konwulsyjne drgawki zaczynały się powoli, docierały jakoś głębiej. Jakby fundamenty mojej istoty poruszały się, przesuwały i bulgotały. Lee też wydawał takie dźwięki, jakby był szczęśliwy. Potem całował mnie tak namiętnie, że aż mnie zaskoczył. Mile zaskoczył. Zachowywał się tak, jakbym mu robiła przysługę, mimo że w rzeczywistości wyświadczałam ją sobie. Chyba obydwójce wyświadczyliśmy sobie przysługę.

Pozwoliłam mu się ze mnie wyslizgnąć, a potem przytuliłam się do niego i porządnie, wygodnie pospałam. Nie spałam tak chyba od początku wojny. Mniej więcej o siódmej rano wymknęłam się z powrotem do swojego pokoju, żeby uniknąć zakłopotania związanego z nakryciem nas przez pozostałych.

Parę godzin później, kiedy przejmowałam wartę od Fi, Homer wygłosił wielkie przemówienie o tym, że jeśli w porze lunchu znowu usłyszymy hasło „Ananasy”, zorganizuje następny atak na patrol. Był całkowicie zdecydowany na zrealizowanie planu, który przewidywał włożenie kabla pod napięciem do kałuży, żeby porazić prądem każdego, kto do niej wejdzie. Potem Homer zamierzał wyciągnąć kabel i uciec, żeby nikt nie mógł się dowiedzieć, jak zginął kolejny żołnierz. Uznano by to za następny niewyjaśniony wypadek.

Z tym błyskotliwym pomysłem wiązały się co najmniej dwa problemy. Po pierwsze, lekarz już na pierwszy rzut oka rozpoznałby, że śmierć nastąpiła w wyniku porażenia prądem, co mogłoby się wydać trochę dziwne. Gdybyśmy utknęli w Stratton na kilka tygodni, w mieście mogłoby się zrobić gorąco.

Drugi problem polegał na tym, że nawet Homer nie potrafił wymyślić sposobu, który skłoniłby kierowcę do zejścia z motoru w samym środku kałuży. Wcale nie musiał z niego schodzić, wystarczyłoby, żeby postawił nogę na ziemi, pozbywając się ochrony gumowych opon. Jasne, z łatwością moglibyśmy coś położyć na drodze i zrobić blokadę, która zatrzymałaby patrol, ale od razu byłoby widać, że to akt sabotażu. Pewnie można by sprawić, że blokada wydałaby się

naturalna, tylko jak? Zrobione piłą znaki na drzewie albo słupie telegraficznym od razu by nas zdradziły, nie wspominając o hałasie towarzyszącym ich robieniu.

No więc prawdopodobnie mieliśmy szczęście, że nie daliśmy szans pomysłowi Homera. Zamiast tego nadeszła pora na naszą ostatnią wielką wspólną przygodę.

Kiedy połączyliśmy się przez radio w porze lunchu, zamiast zakodowanej wiadomości usłyszeliśmy proste polecenie: „Zadzwońcie o dwudziestej pierwszej zero zero”.

Brzmiało to złowrogo – albo obiecująco, w zależności od tego, jak na to spojrzeć.

Hasłem, które miało nas wezwać do działania, było „Oodnadatta”, które zostało wybrane specjalnie, bo nie sugerowało niczego zbyt dramatycznego. Homer chciał, żeby to był „Wybuch”, ale Ryan zauważył, że każdy, kto by nas podsłuchiwał, od razu by się domyślił, że szykuje się coś poważnego. Nawet taki szczegół mógł mieć znaczenie.

O 20.59 ja i Kevin spróbowaliśmy nawiązać łączność. Odbiór był słaby i za pierwszym razem nie udało nam się połączyć. Standardowa procedura polegała na podjęciu następnej próby po godzinie, ale choć o 22.00 udało się nawiązać łączność, słyszeliśmy tak dużo trzasków, że nie zrozumieliśmy, co dokładnie do nas mówiono. To było naprawdę wkurzające, bo oznaczało, że musimy pójść aż za miasto, żeby o 23.00 połączyć się znowu. Żaden inny sposób nie gwarantował dobrego sygnału.

W rezultacie czekała nas rozmowa o tej samej porze co zwykle, a próby połączenia się o 21.00 i 22.00 okazały się stratą czasu.

Padła lekka deszcz. Znowu przemykaliśmy ulicami, ale wśród pól mogliśmy się odprężyć. Idąc z pochyloną głową i czując, jak krople deszczu nieustannie ściekają mi po karku, usłyszałam Kevina:

– Chyba podczas ostatniej rozmowy powiedział „Oodnadatta”.

Nagle woda spływająca mi po karku zmieniła się w lód. Zadrzałam od stóp do głowy.

Myślę, że temperatura mojego ciała spadła o dziesięć stopni.

– Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej?

– Nie mam stuprocentowej pewności. Nie mam nawet pięćdziesięcioprocentowej.

Przypomniałam sobie rozmowę przez radio, która trzeszczała, piszczała i pstrykała bardziej niż miseczka ryżowych płatków śniadaniowych po zalaniu mlekiem. Mniej więcej minutę później przypomniałam sobie, że kobieta w Nowej Zelandii nie wspomniała o żadnej Oodnadatcie. To tak jak wtedy, gdy ktoś każe ci liczyć do dziesięciu i nie myśleć o króliku. Słowo wpakowane w ten sposób do głowy może tam zostać na wiele godzin.

– Kurczę, sama nie wiem – powiedziałam do Kevina.

Kiedy znowu włączyliśmy radio, byłam już dość zaniepokojona. Mimowolnie się trzęsłam.

Teraz, po wyjściu z przedmieść, złapaliśmy dobry sygnał. To zasługa świeżego, czystego wiejskiego powietrza. Działa za każdym razem.

Nie mogłam uwierzyć, jak szybko potoczyły się potem wydarzenia. Jak na wyścigach podczas szkolnych dni sportu, kiedy najpierw się wyglupiasz, zdejmujesz bluzę, pochylasz się na polu startowym, rozciągasz nogi i sędzia mówi: „Na miejsca”, jeszcze trochę się wyglupiasz, potem słyszysz: „Gotowi, START!” – jedna komenda po drugiej, zanim zdążysz zareagować na tę pierwszą.

Już po chwili pędzisz jak szalony po bieżni, zmuszając nogi do coraz szybszych ruchów, zastanawiając się, jak to możliwe, że tak wielu zawodników wyprzedza cię już o dwadzieścia metrów.

Minutę po nawiązaniu łączności z Nową Zelandią wyłączaliśmy radio, gapiąc się na siebie w milczeniu. Kevin miał okropnie poważną minę.

– Boże – westchnął. – Nie wiem, czy wystarczy nam szczęścia.

„Nie mieliśmy go aż tak dużo – pomyślałam. – Troje naszych przyjaciół już nie żyje”.

Ale nie powiedziałam tego na głos. Ucisnęłam go tylko. Biegliśmy i szliśmy z powrotem do domu mojej babci, nie rozmawiając już więcej.

Oczywiście cała nasza piątka – i czasami Gavin – miała mnóstwo pomysłów na to, w jaki sposób należy wypełnić rozkazy pułkownika Finleya i Ryana. Żaden z naszych pomysłów nie był

prosty do zrealizowania i żaden nie wydawał się bezpieczny. Poza tym Gavin mocno komplikował sprawę. Kilka razy próbowaliśmy go przekonać, że wszystko, co zamierza zrobić, żeby nam pomóc, to kiepski pomysł, ale chyba i tak wiedzieliśmy, że jesteśmy na niego skazani: w wypadku Gavina nie było żadnego planu B, C ani D.

W dodatku wiedzieliśmy, że w najbliższych tygodniach Gavin może zginąć. O tym też wolałam nie myśleć. Powtarzałam sobie tylko, że jeśli to się stanie, nigdy nie wybaczę tej paskudnej wojnie. To znaczy i tak nie miałam zamiaru jej wybaczyć, ale chyba bym nie przeżyła, gdyby ten bezczelny mały szkrab bez szyi, zbudowany jak olbrzymia ropucha, skończył tak jak Robyn, Corrie albo Chris. Albo Darina.

Nie muszę dodawać, że na wieść o tym, że ruszamy do akcji, Gavin wcale się nie wystraszył. W zasadzie z radości stanął kilka razy na rękach w korytarzu. Pomyślałam, że to niesamowite. Im więcej wojny widziałam, tym mniej mi się podobała. Gavin, który też widział okropne rzeczy i miał potworne doświadczenia, sprawiał wrażenie, jakby wcale nie miał jej dość. Powiedział, że chce się zemścić na żołnierzach, i jestem pewna, że po części chodziło właśnie o to, ale poza tym podniecały go chyba niebezpieczeństwa i przygody. Może myślał, że jest niezniszczalny.

Zabawne, kiedyś sama tak o sobie myślałam.

Pakowaliśmy się starannie. Dzięki Ryanowi mieliśmy więcej broni niż kiedykolwiek wcześniej. Wyglądało na to, że gdy znów zostaniemy schwytani, nie będzie sensu udawać zwykłych niewinnych nastolatków, które nocowały u kolegi, podczas gdy wokół szalała wojna. Nie, tym razem zabraliśmy materiały wybuchowe, amunicję i broń, wiedząc, że próba wciśnięcia komuś pierwszej bajeczki Ryana będzie stratą czasu. Kłamstwo tego kalibru na pewno by nie przeszło. Gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z przewidywaniami Ryana, zbliżalibyśmy się do wielkiego finału. A podczas wielkiego finału nie można ściemniać.

O wpół do drugiej Lee i ja byliśmy już gotowi. Usiedliśmy przed domem i czekaliśmy na resztę, obserwując teren. Przy okazji rozmawialiśmy o naszym pierwszym celu.

– Nie chcę, żeby ta wojna się skończyła – powiedział nagle Lee.

– Co ty wygadujesz?!

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Byłam na siebie zła, że za szybko na niego naskoczyłam, nie czekając, aż wyjaśni, co ma na myśli. Z Lee nie wolno tak postępować, chyba że podczas seksu. Teraz musiałam sama to z niego wyciągnąć.

– Martwisz się tym, jak będzie wyglądał koniec wojny?

– Nie, nie o to chodzi.

– Tym, co będzie po wojnie? Tym się martwisz? – Zrozumiałam. – Boisz się, co będzie z twoim rodzeństwem?

Teraz, kiedy koniec wojny majaczył już na horyzoncie, zaczęłam sobie uświadamiać, co to może oznaczać dla Lee. Po wojnie czekało go potwornie dużo roboty: radzenie sobie nie tylko ze sprawami, którym wszyscy musieliśmy stawić czoła, ale i z czymś więcej: z faktem, że nie miał już rodziców. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, że wszyscy będziemy musieli się zmagać z utratą najbliższych – tego jeszcze nie wiedzieliśmy – ale Lee miał już pewność. My nadal mogliśmy wyczekiwać spotkania z matkami i ojcami, a on nie. Nadzieja nie była elementem równania w jego życiu.

Wzięłam go za rękę i przyjrzałam się jego szczupłym brązowym palcom.

– Myślałeś już o tym, co będziesz robił?

– Nie. Jak mógłbym myśleć? Jak ktokolwiek mógłby o tym myśleć? W ciągu ostatniego roku nie poświęciłem chyba nawet dwóch sekund na wyobrażanie sobie życia po wojnie. Równie dobrze mógłbym rozmyślać o wakacjach na Jowiszu.

Zacząłam się obawiać, że Lee nie zamierza dożyć do końca wojny. To byłoby okropnie, potwornie w jego stylu: zginąć w jakimś ogromnym, bohaterskim akcie chwały, mówiącym więcej niż to, co Lee zdołałby wyrazić słowami.

– A co z twoim rodzeństwem? – zapytałam nerwowo, chcąc jeszcze raz przypomnieć mu o braciach i siostrach, o powodach, dla których powinien pozostać przy życiu.

Odsunął się ode mnie zniecierpliwiony, wstał i poszedł na trawnik z rękami wciśniętymi w kieszenie. Myślałam, że odejdzie zupełnie, ale kiedy dotarł pod płot, kopnął go i wrócił. Stał przede mną skrzywiony, nadal trzymając ręce w kieszeniach.

– To takie niesprawiedliwe – powiedział ze złością. – Nie chcę być rodzicem. Istnieją rzeczy, które chcę robić, miejsca, które chciałbym zobaczyć. A wiesz, co mnie spotka zamiast tego? Utknę z dziećmi, będę im pakował lunch do szkoły, wycierał nosy i podcierał tyłki. Super, no nie? Wspaniała przyszłość. Gdybym przynajmniej miał dziadka i babcię. – Roześmiał się. – „Gdybym”! Nigdy nie ufałem temu słowu. Nigdy nie przypuszczałem, że zacznę go używać. Jest zupełnie nieprzydatne, ale teraz... Zobacz, gdybym miał babcię i dziadka, mogliby się zająć wszystkimi codziennymi obowiązkami, a ja skupiłbym się na muzyce. A tak...

Znowu kopnął, tym razem w drzewo.

– Zupełnie jakbym wrócił do wieśniaczego życia, gdzie starsze dzieci opiekują się młodszymi. Nie jestem wieśniakiem. I jestem za młody na bycie rodzicem.

Pogrzebałam w pamięci.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że ludzie, którzy opiekowali się twoją mamą, kiedy przyjechała do Australii... że byli dla ciebie jak babcia i dziadek?

– Tak... tak, to prawda. Myślałem, że może oni mogliby pomóc. Ale sam nie wiem. Są już dość starzy. Poza tym nie wiadomo, czy żyją, czy zginęli, czy może utknęli gdzieś między życiem i śmiercią. Problem w tym, że niczego nie wiadomo, niczego nie można planować, całe nasze życie jest zamrożone.

Homer wyszedł z domu i idąc w naszą stronę, z wysiłkiem zakładał na plecy ogromny plecak. Wszyscy mieliśmy wyładowane, ciężkie plecaki, ale Homer niósł najwięcej. Czasami, kiedy karmiłam bydło, ładowałam na pikapa tyle bel siana, że ledwie było widać samochód. Po założeniu plecaka Homer wyglądał podobnie.

– Gotowi, chłopcy i dziewczęta? – zapytał.

– Gotowi od pół godziny – odpowiedział Lee.

– Jest jakaś szansa, żebyś kiedykolwiek powiedział „dziewczęta i chłopcy”? – zapytałam.

– Zero szans – odparł wesoło.

Musieliśmy zaczekać dwadzieścia minut, żeby pozostała trójka też się przygotowała. Gavin i Fi wyszykowali się ostatni. Roześmiałam się na widok Gavina, który szedł zygzakiem po trawniku jak stary pijak. Włożyliśmy do jego plecaka najwięcej, ile się dało, dbając jednak o to, żeby się nie przewrócił. To było stąpanie po kruchym lodzie. Przy najlżejszym podmuchu wiatru w plecy chłopiec padłby plackiem na twarz.

– Za ciężki? – zapytałam.

Tak naprawdę chciałam się z nim podroczyć, ale nie widział, jak zadaję pytanie, bo było ciemno, więc musiałam się trochę przesunąć, żeby zobaczył moją twarz.

Kiedy zrozumiał, skrzywił się tylko i przecząco pokręcił głową.

– Wcale nie – powiedział. – Mógłbym wziąć więcej.

Skurczybyk. Za nic w świecie nie przyznałby się do najmniejszej słabości. Był twardy jak mój ojciec, a to nie byle co. Twardy jak moja babcia – a to już naprawdę nie byle co.

Ale pięć godzin później żadne z nas nie czuło się jak twardziel. Mieliśmy dobre tempo, bo niebo rozświetlał księżyc w pierwszej kwadrze, więc dość łatwo nam się szło przez pola i nie musieliśmy korzystać z dróg i szlaków. Różnorodność oświetlenia nocą była zadziwiająca. Czasami bywało tak ciemno, że można było pomachać dłonią przed nosem i jej nie zobaczyć – i często tak robiłam w ciemne noce, żeby się o tym przekonać, zwłaszcza wczesnym wieczorem – albo tak jasno, że widziało się każde źdźbło trawy i każdą króliczą norę, w którą za chwilę można było wdepnąć. Dlatego odrobina przyzwoitego oświetlenia tamtej nocy była z pewnych względów dobra, a z innych zła, bo oznaczała, że możemy się przemieszczać w tempie, od którego dostawaliśmy zadyszki.

Noc była parna i szybko się spociłam, maszerując krokiem narzuconym przez Homera. Słyszałam, jak idący za mną Gavin stęka i dyszy, ale jak zwykle nie narzekał, a co ważniejsze, dotrzymywał nam kroku. Nikt się nie odzywał, mimo że na niektórych odcinkach moglibyśmy

swobodnie rozmawiać. Nie tylko potrzebowaliśmy całej energii na maszerowanie. Podejrzewam, że pozostali robili to samo co ja: myśleli.

Myślenie jest męczące. Umysłowy aerobik zawsze wyczerpuje bardziej niż ten fizyczny. W każdym razie mnie. Wolałabym chodzić niż myśleć, ale robienie obu tych rzeczy równocześnie to trudne zadanie.

Oczywiście moje myśli kręciły się wokół jednej sprawy. Wojny. Tego, co nam zrobiła, co robiła nadal, co zrobi w przyszłości. Wahałam się między skrajnościami: światłem i ciemnością – wyobrażałam sobie spotkanie z moimi wspaniałymi rodzicami i nasz powrót na farmę, a potem chwilę tuż przed śmiercią, kiedy kula wystrzeli z czyjejś broni. Ból towarzyszący jej wdzieraniu się we mnie, potworny ból, gdy życie wytryska i odpływa.

Wyglądało na to, że życie zmierza ku jednej lub drugiej skrajności. To była kolejna sprawa, której nauczyłam się o wojnie: wojna obfituje w skrajności. Może dlatego starsi panowie wydawali się uderzająco podekscytowani, kiedy opowiadali o swoich wojennych przeżyciach. Jasne, mówili o cierpieniu, strachu i smutku, ale czuło się, że pod tym wszystkim tkwi jakiś sekret, a tym sekretem było to, że wojna jest największą i najbardziej ekscytującą rzeczą w ich życiu.

Wiedziałam, że cokolwiek się wydarzy, nigdy nie będę myślała o tej wojnie w podobny sposób. Może gdyby nie zginęły bliskie mi osoby... Ale wojna kosztowała mnie tak wiele, że nigdy nie mogłabym jej uznać za coś ekscytującego, za przygodę. Czułam, że na zawsze pozostanie najgorszym okresem w moim życiu i ze wszystkich sił pragnęłam, żeby się skończyła.

Wreszcie moje nogi złapały rytm i po kilometry byłam w stanie uciec w marzenia na jawie, w których wszyscy moi bliscy przeżyli i świętowaliśmy w domu ponowne spotkanie przypominające rodzinne święta Bożego Narodzenia. Wzeszło słońce, ale prawie go nie zauważyłam. Ulżyło mi jednak, że nie muszę się już martwić, gdzie stawiać nogi.

Lee, który na tym etapie prowadził, zarządził postój, i ze zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że zbliża się ósma rano.

– Gdzie jesteśmy? – szepnęła Fi.

– To autostrada Russela – wyjaśnił Homer, wskazując strome zbocze przed nami.

Autostrada przypominała czarną wstążkę leżącą wśród pól jak kawałek lukrecji, który w oddali wspinał się na strome pagórki.

– Cicho tu – powiedziała Fi.

– Zbyt cicho – zauważył Lee, zagorzały kinoman, zawsze skory do wykorzystania jakiegoś oklepanego tekstu.

Postanowiliśmy znaleźć kryjówkę i odpocząć. Byłam głodna, ale nie chciało mi się otwierać plecaka i szukać jedzenia.

Fi powiedziała, że stanie na warcie, więc ruszyłam chwiejnym krokiem w stronę wgłębienia pełnego paproci i trawy, i wczółgałam się w zarośla. Gavin wślizgnął się obok i wtulił się we mnie jak kurczaczek pod skrzydło matki. Niespełna minutę później usłyszałam, jak jego oddech się uspokaja, a po następnej minucie już twardo spał. Zazdrościłam mu. Szkoda, że u mnie nie wyglądało to tak prosto.

Kiedy jednak leżałam i wsłuchiwałam się w jego oddech, musiałam sama przysnąć, bo następane, co pamiętam, to słońce wiszące wysoko na niebie. Minęła jedenasta.

Nic dziwnego, że się obudziłam. W ciągu trzech godzin zaszły dramatyczne zmiany. Spokojna droga, która wczesnym rankiem ciągnęła się jakby bez życia, teraz była nie do poznania. Już sam hałas wystarczyłby, żeby mnie obudzić. Warczące i burczące pojazdy piszczwały i sapały, gdy za zakrętem zaczynały stromą wspinaczkę. Czułam nawet lekkie wibrowanie ziemi, kiedy wielkie ciężarówki z łoskotem wjeżdżały pod górę.

Gavin nadal spał obok mnie, podobnie jak leżąca z lewej strony Fi. Ale szerokie plecy Homera były zaledwie dziesięć metrów ode mnie i od razu zauważyłam, że Homer nie śpi. Obserwował konwój. Podpełzłam do niego, ospała i marudna, tak jak zazwyczaj po tych niespokojnych drzemkach.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Podjąłem decyzję kierowniczą. W tej chwili, w biały dzień, nie możemy nic zrobić. Poza

tym doszedłem do wniosku, że w ciągu kilku następnych dni możemy mieć mało okazji do snu.

– Od jak dawna tędy jeżdżą?

– Od dziesięciu minut. Prawie piętnastu.

– Boże. To mnóstwo pojazdów.

– Tak. Było kilka przerw, ale... Hej, popatrz tam. Jak myślisz, o co chodzi?

Spojrzałam w stronę, którą pokazywał, na południowy wschód. Przez chwilę niczego tam nie było, ale potem zobaczyłam, co miał na myśli. Niebo rozświetliły jakieś błyski: najpierw duży, potem trzy albo cztery małe.

– Wiesz, co to przypomina? – zapytałam.

– Bomby?

– Właśnie. Może nawet w Zatoce Szewca. *Wow!* Chyba Ryan mówił poważnie, kiedy wspomniał o planach kontrataku. O D-Day.

– Pewnie stąd ten konwój. Jedzie bardzo szybko. Popatrz na przykład na ten samochód.

Ogromny szarozielony pojazd, chyba fair lane, wyprzedzał sznur ciężarówek. Kierowca na pewno wcisnął gaz do dechy. Nawet na ostrym zakręcie u podnóża pagórka trzymał się niewłaściwej strony jezdni.

– Widocznie wie, że nikt nie jedzie z naprzeciwka, skoro ryzykuje, wyprzedzając w ten sposób – powiedziałam.

– Tak. Pewnie ma łączność radiową z całym konwojem. Powiedzieliby mu, gdyby nadjeżdżał jakiś samochód.

– Super byłoby sprzątać takie auto. To musi być jakiś generał albo ktoś w tym rodzaju. Gdybyśmy go załatwili, moglibyśmy wiele zmienić.

Właśnie o tym mówił Ryan, kiedy siedzieliśmy nad strumieniem, jedząc kit-katy i awokado. „Kto wie, ile możecie zdziałać, likwidując jedną ciężarówkę, jedną dostawę paliwa, jednego żołnierza, spowalniając jeden konwój na pół godziny? »Przez brak gwoźdźca przegrano wojnę«. Każdy cel jest wielki. Wykorzystujcie okazje. Gdzieś tam jeden z naszych żołnierzy, ktoś, kogo nigdy nie spotkacie, kto nawet nie wie o waszym istnieniu, będzie miał powód, żeby być wam wdzięczny”.

Kevin podczołgał się do nas. Leżał i bez słowa patrzył na konwój. Kiedy pokazałam następne błyski nad Zatoką Szewca, tylko coś burknął.

Nie próbowałam już odgadywać myśli Kevina. Po chwili, nie odrywając wzroku od konwoju, rzucił jakoś nerwowo:

– Gdybyśmy rozwalili to urwisko plastikiem, zablokowalibyśmy drogę na dobre.

Spojrzałam na urwisko, o którym mówił, i naprawdę mi zaimponował. Patrząc w tamtą stronę, zdałam sobie sprawę, że wysadzenie urwiska byłoby dla nas znacznie bezpieczniejsze niż porywanie się na długi konwój pojazdów wojskowych.

Ale Homer powiedział:

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli to załatwić jak trzeba. Pamiętaj, co mówił Ryan: mamy wybierać takie cele, które jesteśmy w stanie osiągnąć. Bo skąd mielibyśmy wiedzieć, gdzie umieścić ładunki i ile ich zużyć? Możemy zmarnować mnóstwo materiałów wybuchowych i niczego nie zdziałać.

– A masz lepszy pomysł? – zapytałam.

– Moim zdaniem powinniśmy się przyjrzeć autostradzie. Wiem, że mamy pójść na całość, ale to wcale nie znaczy, że musimy się spieszyć i atakować pierwszy napotkany cel.

Obudziłam Fi i Lee. Fi została na warcie, a ja i Lee poszliśmy wzdłuż skarpy, żeby spojrzeć na drogę z góry. Homer i Kevin ruszyli w przeciwną stronę. Oczywiście trzymaliśmy się z tyłu, ukryci wśród drzew, ale w zasadzie i tak nie było na co patrzeć. Najlepszym celem był mały mostek, ale uznaliśmy, że to niewiele. Nawet gdybyśmy go wysadzili, naprawiliby go w mgnieniu oka.

Homerowi i Kevinowi poszło jednak trochę lepiej. Wrócili strasznie podekscytowani.

– Mniej więcej trzy kilometry stąd jest przydrożny parking dla ciężarówek – powiedział Kevin.

– I wszystkie samochody się na nim zatrzymują – dodał Homer.

– Żeby zatankować – wyjaśnił Kevin.

– I zjeść. I pójść do klopa.

– To prawdziwy czuły punkt.

Zachowywali się tak, jakby odgrywali scenkę komediową: mówili jeden przez drugiego.

– Ciężarówki zatrzymują się na mniej więcej dwadzieścia minut.

– Są tam wartownicy, ale jeśli zaczekamy do wieczora, powinniśmy ich ominąć.

Kiedy Homer to powiedział, Kevin wydał się zaniepokojony. Nadal budził we mnie obawy, już zawsze miał je budzić. Zastanawiałam się, czy przypadkiem znowu się nie załamie.

Gavin, który już się obudził, z zainteresowaniem śledził naszą rozmowę. Nigdy nie byłam pewna, czy rozumie każde słowo, ale z pewnością rozumiał wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, o co chodzi. Ostatnio kilka razy próbowałam czytać z ust, kiedy pozostali rozmawiali zbyt daleko, żebym mogła ich usłyszeć, ale niczego nie udało mi się rozpracować. Robiłam to dla zabawy, żeby wczuć się w sytuację Gavina, i cieszyłam się, że nie jestem skazana na takie sposoby.

– Więc co proponujesz? – zapytała Fi. Była błada i wodziła palcem po bliźnie na brodzie.

Homer usiadł na kamieniu, a my się do niego przysunęliśmy. Podczas krótkiego powrotu ze szpiegowania parkingu dla ciężarówek opracował cały skomplikowany plan. A dziesięć minut później zdołał nas na niego namówić.

7

Zaczęło się całkiem dobrze. Im było później, tym więcej czasu kierowcy ciężarówek spędzali na postoju. Chyba nocą wszystko zwalniało. Część małych konwojów tkwiła tam przez trzydzieści, czterdzieści minut. To było nam na rękę, bo mieliśmy więcej czasu, żeby podkraść się do pojazdów i przymocować ładunki wybuchowe.

W lesie, w miejscu niewidocznym od strony drogi, urządziliśmy linię montażową i przez dwie godziny składaliśmy dwadzieścia małych bomb. Gavin zorganizował materiały surowe, ja i Lee zajęliśmy się montażem, a potem efekty naszej pracy były sprawdzane przez Fi i Kevina. Homer siedział na czatach.

Robota nie była trudna. Gdybyśmy mieli do czynienia z piernikami, które zawsze przygotowywałam na Boże Narodzenie, zamiast kupować te tanie paskudztwa w sklepach, zrobiłabym je całkiem szybko: zero wysiłku i zero przejmowania się. Bo ładunki wcale nie były bardziej skomplikowane niż pierniki. Ale świadomość, że pracuję nie z kartonowymi tutkami i opakowaniami z bibuły, nie z ręcznie pisanymi życzeniami i domowej roboty nugatem, lecz z detonatorami, bezpiecznikami i kruszącymi materiałami wybuchowymi... no, to naprawdę wiele zmieniało. Mnóstwo wysiłku i mnóstwo przejmowania się. Wspomnienie zgrabnej prezentacji Ryana właściwie przestało być aktualne.

Co kilka minut musiałam robić przerwę, żeby wytrzeć ręce o dzinsy, i tak często odsuwałam włosy z twarzy, że Fi straciła cierpliwość i związała mi je kawałkiem swojej wstążki.

Potem uzbiliśmy granaty.

Skończyliśmy o wpół do trzeciej po południu i nagle zdaliśmy sobie sprawę, że mamy przed sobą godziny bezczynności. Po całym napięciu związanym z opuszczeniem Stratton i przemieszczaniem się nocą przeżyliśmy lekkie rozczarowanie. Ryan dokładnie nam mówił, jak powinniśmy wykorzystywać każdą minutę, każdą sytuację, każdą okazję, a my szykowaliśmy się do długiego, leniwego popołudnia i opalania się. Miałam zbyt duże poczucie winy, więc powiedziałam do Homera:

– Powinniśmy poszukać innego celu.

– Tak, też o tym pomyślałam. Ale gdzie? Nadal jesteśmy co najmniej pięćdziesiąt kilometrów od Cavendish. Przecież nie znajdziemy lotniska za najbliższym eukaliptusem.

Wiedziałam, że ma rację. Ale ciągle mnie nosiło. Nie potrafiłam siedzieć i czekać na zmrok.

– Chcesz pójść i sprawdzić, co jest po tamtej stronie? To może nam się przydać, jeśli wieczorem będziemy musieli uciekać.

– No jasne, jeśli masz ochotę iść ze mną. Fajny dzień na spacer.

Gavin oczywiście postanowił się przyłączyć. Szedł na czele jak młody psiak, klucząc po lesie, łapiąc jeden trop, potem drugi.

I chyba naprawdę kierował się węchem. Brak słuchu prawdopodobnie wpłynął na silniejszy rozwój pozostałych zmysłów. Podobno niewidomi potrafią rozpoznawać ludzi po zapachu. Mnie rozpoznałoby bez trudu, bo nie brałam pryszniców od paru miesięcy.

W lesie było bardzo cicho. Zobaczyłam małego ptaka z zielono-złotym brzuszkiem, a daleko przed nami czarna wałabia nagle wypadła z ukrycia i pomknęła po wzgórzu z pochyloną głową, żeby jak najbardziej oddalić się od Gavina. Rozumiałam ją.

Byliśmy na szlaku wydeptanym przez zwierzęta, prawdopodobnie kangury albo lisy. Mieliśmy szczęście, że na niego trafiliśmy, bo wszędzie wokół rozpleciła się kłująca trawa, która powoli przysłaniała drzewa, krzaki i zwalone pnie. Czułam się dość dziwnie. Wszystkie żywe rzeczy były opatulone jak mumie albo meble przykryte pokrowcami chroniącymi przed kurzem. Ale jedno było pewne: las tętnił życiem, nawet jeśli my tego nie widzieliśmy. Dokładnie w chwili, kiedy myślałam o tej upiornej scenerii, minęliśmy nową dziurę w ziemi wykopaną pod butwiejącym pniakiem. Wyglądała tak, jakby powstała zaledwie rano. Ziemia koloru karmelu – małe granulki przypominające cukier – tworzyła kopczyk duży jak but Homera. Zatrzymaliśmy się i zajrzeliśmy do środka, ale oczywiście niczego nie zobaczyliśmy. W każdym razie była za mała jak dla królika. Pewnie zamieszkiwał ją jamraj albo może kolczatka. Kawałek dalej był cały połać ziemi, mniej więcej dziesięć metrów na pięć, który został naprawdę dokładnie zryty przez jakieś stworzenie. Homer powiedział, że to zdecydowanie kolczatka.

Za trzecim wzgórzem znaleźliśmy inną formę życia. Bardzo ludzką. Wyglądała brzydko: surowo i sztucznie, rozpostarta w lesie, który rósł tam od dawna.

Zaskoczyła nas. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy tak blisko linii kolejowej. Tory połyskiwały w popołudniowym słońcu. Stratton – Cavendish, miasto połączone z miastem cichą, zimną wstęgą stali. W dodatku dobrze skonstruowaną i dobrze utrzymaną, podbudowaną żwirem i tarcicą, schludną, czystą i zadbaną.

Gavin, ten mały kretynek, stał już przy torach i przyglądał im się z wielkim zainteresowaniem. Bóg jeden wie, w jaki sposób udało mu się przetrwać tyle czasu w Stratton. Głupków nie sieją. Nie mieliśmy jak zwrócić na siebie jego uwagi i pokazać, żeby wracał, więc w końcu musiałam po niego pójść. Wściekła odciągnęłam go od torów, ale wcale się nie przejął.

Weszliśmy z powrotem na wzgórze, gdzie czekał Homer. Poczulałam głód działania, a kiedy zobaczyłam błysk w oczach Homera, wiedziałam, że myśli o tym samym co ja.

– Wysadźmy je w powietrze – zaproponowałam.

– Jestem za.

Gavin, który z zapalem śledził ruch naszych ust, zachichotał.

– Ja też jestem za – zawołał.

Chciałam go trzepnąć w głowę, ale z łatwością uskoczył.

– Pyskaty bachor – powiedziałam.

– Pyskaty bachor – powtórzył za mną jak echo, po czym znowu zrobił unik.

Ale tym razem tylko zamarkowałam cios prawą ręką i pięknie pacnęłam go lewą. Zrobiłam to wystarczająco mocno, żeby mnie zabolalo, ale żadne z nas nie dało po sobie poznać, że ucierpiało. Właśnie o to chodzi w dorastaniu, prawda? O to, by nie dać po sobie poznać, że się cierpi.

Teraz, gdy rozmawialiśmy o wysadzeniu parkingów i torów kolejowych, Gavin poczuł, że jego marzenia się spełniają. Dla niego ten nowy świat, w którym przyszło nam żyć, był brutalnym i ekscytującym miejscem, gdzie można wszystko niszczyć i nie mieć z tego powodu kłopotów – wręcz przeciwnie, czasami dostawało się za to pochwałę. Zupełnie inaczej niż na plaży, gdzie ochrzaniali cię za rozwalenie kopniakiem czyjegoś zamku z piasku.

Ja i Homer staraliśmy się nie zwracać na niego uwagi, kiedy szliśmy górą wzdłuż torów i szukaliśmy dobrego miejsca na atak. Spojrzeliśmy na niego, dopiero kiedy zaczął rzucać w dół kamieniami. Prawdopodobnie miał nadzieję, że jeden z nich wykołoi najbliższy pociąg. Wtedy od razu zwróciliśmy na niego uwagę.

Znaleźliśmy tylko jedno potencjalne miejsce. Most długi prawie na sto metrów i biegnący nad żlebem. Niżej poprowadzono tory. Nie podeszliśmy zbyt blisko, bo był za bardzo odsłonięty, ale wróciliśmy do lasu i znaleźliśmy drogę prowadzącą do tego mostu. Była asfaltowa, lecz wydawała się mało ruchliwa. Nie należała do tych, na których można się spodziewać konwojów czy nawet patroli.

– No więc jaki jest plan? – zapytał mnie Homer.

– Idealnie byłoby zrzucić most na tory. Ale sama nie wiem, możliwe, że udałoby im się dość szybko to uprzętnąć. Moglibyśmy też wysadzić część torów. Tylko że to też by naprawili.

– Możemy zrobić jedno i drugie – podsunął Homer. Wydawał się równie mało przekonany jak ja.

Ruszyliśmy z powrotem w kierunku torów.

– Gdzie jest Gavin? – zapytał Homer.

– Boże, nie wiem – powiedziałam zaniepokojona, spoglądając za siebie, jakbym się bała, że ten gnojek wskoczy mi na barana.

– Pewnie rozwała tory gołymi rękami – westchnął Homer.

– Homer, to nie jest śmieszne. On nie może ciągle się gubić. Musi się tego oduczyć, zanim nas wszystkich pozabija.

Przyspieszyliśmy kroku, przeczesując wzrokiem las. Ze szczytu żlebu zauważyliśmy Gavina bez trudu. Znowu był przy torach, tyle że teraz kucał obok nich. Nie widziałam, co robi.

– Co on knuje? – zapytał wkurzony Homer.

Gavin też nas zobaczył, ale tym razem się nie wygłupiał. Wyglądał bardzo poważnie. Zauważyłam, że trzyma dłoń na torach. Potem, pędząc z niesamowitą prędkością, pochylony nisko nad ziemią, wbiegł na wzniesienie.

Kiedy się zbliżył, wycofaliśmy się do lasu. Nie trzeba było wysokiego IQ, żeby wiedzieć, że coś się świeci.

Gavin w zasadzie przejął dowodzenie: dał nam znak, żebyśmy się schowali, a potem obserwowaliśmy tory ukryci za drzewami i skałą. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Trwało to z cztery minuty. Potem, kiedy już myślałam, że Gavin nas nabiera, zza zakrętu wynurzył się jakiś dziwny pojazd. Minęło kilka sekund, zanim pojęłam, co to takiego. Ale po chwili już wiedziałam. To był jeden z tych staromodnych pojazdów, które widuje się w westernach. Miał wielkość małego japońskiego samochodu. Dwaj mężczyźni opuszczali i podnosili drążek, dzięki czemu pojazd sunął po torach. Cztery inne osoby, dwaj mężczyźni i dwie kobiety, siedzieli na rogach. Trzymali karabiny maszynowe i kiedy pojazd się zbliżył, zobaczyliśmy, że uważnie obserwują las po obu stronach torów. Byli czujkami.

Gavin musiał poczuć wibrowanie torów. I całe szczęście, bo pojazd poruszał się praktycznie bezszelestnie i pewnie nie wiedzielibyśmy, że się zbliża, dopóki nie zaskoczyliby nas żołnierze. Byłam Gavinowi winna następną przysługę. Teraz nas ostrzegł, wcześniej otworzył drzwi w domu Whittakerów... powoli zaczynałam tracić rachubę.

Pochylił się jeszcze niżej. Nie mogli nas zauważyć, ale człowiek czuje się obnażony w towarzystwie ludzi z karabinami, których chętnie by przeciwko niemu użyli. Trzymałam rękę na karku Gavina nie dlatego, że mógłby zrobić coś głupiego, ale na wszelki wypadek. Czułam, jak włoski na jego skórze stają dęba, upodabniając się do szczeciny na brodzie Homera. Naprawdę czuć było gęsią skórę. A może moje palce robiły się równie czułe jak palce Gavina?

Drezyna sunęła dalej, dwaj kołesie pośrodku nadal pompowali, aż w końcu pojazd wjechał pod most i zniknął za następnym zakrętem.

Poczułam, że Gavin powoli się odpręży, ale przez kilka minut nadal milczeliśmy. Potem się rozluźniliśmy.

– Ładna niespodzianka – mruknął Homer. – W dzisiejszych czasach nigdzie nie można się czuć bezpiecznie.

Odwróciliśmy się w stronę torów i niech mnie gęś kopnie, jeśli Gavin nie powtórzył swojego numeru. Tym razem nawet nie podszedł do torów. Na jego twarzy pojawił się wyraz wielkiego skupienia, jak u niemowlęcia robiącego w pieluchę. Podniósł jedną rękę, potem jeszcze

raz pokazał na zakręt, zza którego wynurzył się mały pojazd. Po chwili ja i Homer usłyszeliśmy dźwięk. Ale Gavin wyprzedził nas o dobre pięć, dziesięć sekund. Nie wiem, jak to zrobił. Musiał poczuć wibracje w powietrzu. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć.

Rozległo się powolne sapanie, a potem zza zakrętu wyjechała duża lokomotywa. I to nie tylko lokomotywa. Ciągnęła wagony. Mnóstwo wagonów.

Znowu się schowaliśmy, ale tym razem zadbałam o to, żeby mieć dobry widok. Musiałam to zobaczyć. Hałas przybrał na sile, kiedy silnik lokomotywy ciągnął skład tuż obok nas. Pojazd był piękny, trochę tłusty i umazany, ale pełen wdzięku i mocy. Za nim jechały wagony. Zaczęłam liczyć jak dziecko na przejeździe kolejowym. „Pięć, sześć, siedem, osiem”. W wagonach roiło się od żołnierzy. „Jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście”. Na dachu każdego wagonu leżało dwóch wartowników, trzymając karabiny w pogotowiu. Rozglądali się w poszukiwaniu takich ludzi jak my. „Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście”. Na końcu wagon służbowy, w którym siedziało jeszcze więcej żołnierzy. Ryan miał rację. Działo się coś ważnego. W tym pociągu musiało być z tysiąc żołnierzy. Wyglądali przez okna, sterczeli w korytarzach. Jeden stał nawet na sprzęgu między dwoma wagonami i robił siku, co skłoniło Gavina do poszturchiwania mnie i chichotania, które starałam się zignorować.

– *Wow!* – powiedziałam do Homera.

– To się nazywa cel – mruknął.

– Wysadźmy ich w powietrze – zaproponował Gavin.

– Myślisz, że jadą do Cavendish? – zapytałam Homera.

– Najwidoczniej tak. Ale to wcale nie znaczy, że tam zostaną.

Wróciliśmy do pozostałej trójki, myśląc intensywnie przez całą drogę. To, że w kraju trwało przegrupowanie tysięcy żołnierzy, było kolejną zapowiedzią jakiejś wielkiej operacji. Nie wiedziałam, gdzie Nowozelandczycy przypuścili atak – Ryan nie chciał nam pisnąć słowa ponad to, co powiedział – ale gdziekolwiek to było, wywołali ogromną reakcję. Nie widziałam takiego poruszenia od chwili, kiedy zdjęłam pokrywę z silosu zbożowego w czasie ostatniej plagi myszy. Pokrywa przerdzewiała od spodu i myszy skwapliwie z tego skorzystały.

Fi, Lee i Kevin okropnie się martwili, że tak długo nas nie ma. Zaczął Kevin, co było bardzo w jego stylu.

– Gdzie się podziewaliście, do cholery?

Zupełnie jak rodzice.

– Nie było was kilka godzin. Nikt nie miał pojęcia, co się z wami dzieje.

Szkoda, że nie dodał: „Wasza matka i ja odchodziliśmy tu od zmysłów”. Poczulałabym się jak w domu.

Ale pozostała dwójka była równie wkurzona.

– Naprawdę – powiedziała Fi. – I bez tego mamy dość stresów. Skąd mieliśmy wiedzieć, gdzie jesteście? Przecież mogli was złapać.

Najbardziej nie znosiłam wyrzutów Lee. Nie chciałam, żeby mi wypominał, że zrobiłam coś głupiego. Wolałam usłyszeć: „Dobra robota, El, jesteś wielka”. Ale zamiast tego powiedział:

– Nie możemy sobie pozwalać na takie wygłupy. Musimy się pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

I kto to mówił! Ale miał rację, długo nas nie było. Nie powiedzieliśmy im, w którą stronę idziemy, a to było sprzeczne z zasadami bezpieczeństwa.

Byli tak bardzo przejęci atakiem na parking dla ciężarówek, że prawie im odbiło. Przejełoby się zerwaną sznurówką, a co dopiero tym, że zniknęliśmy na większość popołudnia. Dlatego musieliśmy tam stać z poczuciem winy, podczas gdy oni się nad nami pastwili.

Kiedy już sobie ulżyli, opowiedzieliśmy im o torach kolejowych. Byli zainteresowani, a nawet pod wrażeniem, ale tak bardzo skupili się na parkingu, że od razu wrócili do tamtego planu. Jedyne, co udało mi się z nich wydobyć, to mnóstwo przebąkiwania o tym, że „później będzie można rzucić okiem na tory, jeśli nadarzy się okazja”.

Bez końca walczyliśmy plan ataku, przerabiając najróżniejsze możliwości. Jeśli oni zrobią tak, my zrobimy tak. Jeśli zdarzy się to, zadbamy, żeby zdarzyło się tamto, jeśli oni pójdą tędy, my

pójdziemy tamtędy.

Problem w tym, że było za dużo szczegółów, za dużo planów. Żeby je spamiętać, potrzebowalibyśmy trzech tygodni, a nie dwóch godzin.

Drugi problem polegał na tym, że nie poświęciliśmy zbytnej uwagi drogom ucieczki. Jedyne plany, jakie opracowali Lee, Kevin i Fi, polegał na wróceniu biegiem do plecaków i wyniesieniu się z tego miejsca. Ale kazaliśmy im obiecać, że po stacji benzynowej skierujemy się w stronę torów i wykorzystamy pozostałe materiały wybuchowe do wysadzenia mostu i torów. Tam był drugi czuły punkt naszego wroga.

Kiedy umysły zaczęły się męczyć, opadliśmy z sił. Bez zbędnych słów wycofaliśmy się na odpoczynek albo żeby coś zjeść.

Usiadłam z Lee i zrobiliśmy ładunki na most. Dość dobrze nam szło. Każdy kolejny zajmował nam mniej czasu. Pod koniec ręce cuchnęły nam starym cheddarem i w dotyku też przypominały ser. Nie mam pojęcia, z czego się robi plastyczne materiały wybuchowe – pewnie z plastiku – ale wcale bym się nie dziwiła, gdyby powstawały z czegoś, co znaleziono w piwnicy fabryki nabiału.

Zużyliśmy większość cennych materiałów Ryana, lecz stworzyliśmy porządną małą arsenal i byłam pewna, że do rana coś zniszczymy.

Poszłam na spacer, żeby odzyskać jasność umysłu. Przez napięcie towarzyszące robieniu ładunków wybuchowych rozboleła mnie głowa. Kevin stał na warcie. Tym razem mu powiedziałam, w którą stronę idę. Począłapałam przed siebie i nagle dopadło mnie przygnębienie. Nie znoszę, kiedy takie nastroje podkradają się do mnie bez ostrzeżenia. Oczywiście przygnębienie nie było żadnym wielkim zaskoczeniem, skoro niedługo mieliśmy rozpocząć noc przemocy, która mogła nas kosztować życie. Byłoby trochę dziwne, gdybym czuła histeryczną radość. Ale nie wiem, czy moje uczucia naprawdę miały coś wspólnego z tym, co nas czekało. W zasadzie nie myślałam o parkingu ani o torach kolejowych. Myślałam o czym innym: o dniach przed wojną, o tym, gdzie są moi rodzice i co robią, o potwornej, pustej tęsknocie za Corrie i Robyn.

Po raz ostatni miałam jakieś wieści o rodzicach, kiedy Lee powiedział, że mój tata nadal jest pod kluczem na terenie wystawowym w Wirrawee, a mama pracuje jako służąca gdzieś w Holloway. To było tak dawno temu. Teraz mogli być gdziekolwiek. A nawet gdyby zostali w Wirrawee i Holloway, nie mogłam być dalej od nich: tkwiłam co najmniej pięćdziesiąt kilometrów od Cavendish.

Szłam dość wolno. Kiedy pokonałam zaledwie kawałek drogi pod górę, zobaczyłam coś, co zatrzymało mnie w pół kroku. Zabawne: nie wiem, dlaczego aż tak mnie to zaskoczyło. Przecież Homer i Fi interesowali się sobą od pierwszego dnia wojny, a nawet kilka dni wcześniej. Zaczęli dość namiętnie, ale potem ochłonęli, bo skupiliśmy się na walce o przeżycie, przez którą mieliśmy mniej czasu i energii na związki.

Ich uczucie rozbłysło jednak na nowo. Rozbłysło? Raczej polali je kanistrem benzyny i dorzucili detonator. Było większe niż pożar na lotnisku w Wirrawee.

Siedzieli – prawie leżeli – na miękkim, zielonym stoku, całując się tak zapamiętale, że groziło im odrodzenie się pod postacią pijawek. Nadal byli ubrani, ale równie dobrze mogliby nie być. Ręce Homera błędziły po całym ciele Fi. Widziałam biel jej knykci, kiedy coraz mocniej przyciskała jego twarz do swojej. Przez chwilę byłam tak zafascynowana, że nie mogłam się odwrócić. Potem odzyskałam rozum i szybko odbiłam w lewo, schodząc po stromym zboczu. Było mi głupio, że tak długo zwlekałam. Czułam się jak podglądaczka.

Ale zakłopotanie okazało się tylko jednym z całej gamy uczuć ściskających mi wnętrzności. Nie powinnam była aż tak się tym przejmować, ale się przejęłam. Zrobiło mi się gorąco i kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałam, co powinnam czuć, od jakich emocji zacząć. Podniosłam patyk i zaczęłam uderzać w drzewa, nie przejmując się hałasem. Twarz mi płonęła. Miałam tylko nadzieję, że nikogo więcej nie spotkam. Nie chciałam, żeby mnie zobaczyli w takim stanie. Nie chciałam musieć rozmawiać z Lee ani z nikim innym.

Usiadłam na kamieniu i wpatrywałam się tępo w duży pień drzewa przewleczony przez otwór w zwisającej skale. Dlaczego w moich uczuciach pojawił się taki bałagan? Albo – wracając

do podstaw – co właściwie czułam? No, Ellie, ogarnij się, do cholery, skąd się wziął ten blender w twoim żołądku, miksujący ci flaki? Przecież nie nabawiłaś się przepukliny, więc o co chodzi? Zastanów się. Rozpracuj to. Ułóż swoje emocje na skali ważności od jednego do dziesięciu. Jeśli zabraknie papieru, dołącz dodatkowy arkusz.

Okej, pojawiła się zazdrość. Nie, nie zazdrość – zawiść. No, może coś pomiędzy nimi. Byłam całkiem pewna, że nie kocham Homera, nie w taki sposób, jak kobieta kocha mężczyznę, ale naprawdę go uwielbiałam. Z pewnością nie chciałam się nim dzielić, nawet z Fi. A na domiar złego, nie chciałam się dzielić Fi. Zwłaszcza z chłopakiem. Podobało mi się tak, jak było do tej pory: ja angażowałam się na całego w związku ze Steve'em, z Lee i z paroma innymi mniej ważnymi chłopakami po drodze, a Fi lubiła chłopaków na odległość. Dzięki temu mogłam do niej przychodzić i opowiadać o tym, co robię, a ona mogła mi mówić, co powinnam robić i o kim sama rozmyślała. Nie wchodziłyśmy sobie w drogę. Taki układ bardzo mi odpowiadał i nie chciałam, żeby się zmieniał.

Stopniowo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że czuję przede wszystkim zawiść. Resztę nazywają samotnością. Jak zauważyła Fi, miałam lekkiego fioła na punkcie Lee, ale nasz związek nadal nie był taki, jak chciałam. Miewaliśmy wspaniałe chwile, chwile prawdziwej przyjaźni, chwile seksu, chwile dbania o siebie nawzajem i zabiegania o siebie. Ale dla mnie to nie była pełnoetatowa, wystarczająca podstawa związku. Czasami się całowaliśmy, trzymaliśmy się za ręce, chodziliśmy na spacer i rozmawialiśmy o życiu, noc wcześniej nawet uprawialiśmy seks, ale brakowało nam intensywności tamtych dni, kiedy ukrywaliśmy się w domu nauczycielki muzyki Robyn. Bardzo często tęskniłam za uściskiem faceta, za obejmującymi mnie silnymi rękami, za dotykiem szorstkiej skóry na mojej twarzy, za jego zapachem. Przeważnie w takich chwilach Lee nie było w pobliżu albo znajdował się w jednym z tych swoich nastrojów, w których nie warto było do niego podchodzić.

Na widok Homera i Fi uświadomiłam sobie, że za czymś tęsknię – za czymś, z czego nigdy nie chciałam rezygnować. Lubię chłopaków i ich towarzystwo. Kiedy z kimś jestem, czuję się pełniejsza. Chciałam związku bliższego stu niż czterdziestu procentom.

Kiedy mnie zaciągną do domu spokojnej starości, zażądam dwuosobowego pokoju w skrzydle koedukacyjnym.

Nie zawracałam sobie głowy szukaniem innych emocji – te, które już znalazłam, wystarczyły mi aż nadto. Ciężkim krokiem wróciłam do miejsca, gdzie zostawiliśmy plecaki. Lee i Gavin stali na warcie i obserwowali drogę. Kevin spał, chrapiąc jak walec parowy.

Powiedziałam Lee i Gavinowi, że stanę na czatach. Byłam w odpowiednim nastroju. Nadal nie chciałam z nikim rozmawiać – zwłaszcza z Lee – ale nie zamierzałam siedzieć i się nad sobą użalać. Obserwowanie drogi wymagało całkowitego skupienia, bo dużo się działo i byliśmy niebezpiecznie blisko tego wszystkiego. Gdyby jeden żołnierz postanowił wejść na wzgórze, żeby postawić klocka, musielibyśmy zareagować szybko i wycofać się po cichu w stronę torów.

Problem w tym, że nie potrafiłam się skupić. Siedziałam i rozmyślałam o Homerze i Fi. Czy to był ich pierwszy raz? A może całowali się tak od wielu dni, tygodni albo miesięcy? Jak to możliwe, że mi o tym nie powiedzieli? Nie ufali mi? Czy Fi było przyjemnie? Czy pozostaną przyjaciółmi? I wielkie pytanie, które chyba zawsze sobie zadajesz, dopóki przyjaciele sami ci nie powiedzą: jak daleko się posunęli?

Podsumowując, kiepski był ze mnie wartownik.

Następną rzeczą, która mnie rozpraszała – nie licząc moich własnych zagmatwanych myśli i uczuć – było sporadyczne dudnienie od strony wybrzeża. Coś jakby echo chrapania Kevina. Cokolwiek się tam działo, na pewno było grubą sprawą. Stopniowo wzdłuż horyzontu zaczęła się unosić czarna smuga, jakby Bóg wziął wielki marker i próbował narysować prostą linię wzdłuż krawędzi, ale był trochę przystary i trzęsący się, więc mazak ciągle drżał mu w dłoni.

Miałam tylko nadzieję, że Nowozelandczycy wysadzają coś w powietrze i że wygrywają.

Bałam się, że konwoje w końcu przestaną korzystać z drogi, że dowódcy przemieszczą wszystkich potrzebnych żołnierzy i nasz atak nastąpi zbyt późno. A czasami na drodze robiło się bardzo spokojnie. Przez pół godziny nie przejechał nią żaden pojazd. Ale o zmierzchu minął nas

kolejny długi konwój ciężarówek, tym razem z dwoma czołgami. Rzadko widywaliśmy czołgi na tej wojnie. Przypominały krokodyle – nie kształtem, ale przez twardą skórę i powolny, paskudny sposób poruszania się. Za moimi plecami Lee, którego nadejścia nawet nie usłyszałam, powiedział: – Mam nadzieję, że nie ustanowili żadnej zasady, zgodnie z którą po zmroku w konwojach jeżdżą czołgi.

Nie pomyślałam o tym. Przeraziłam się. Przez jakieś dwie minuty burzało mi w brzuchu.

Fi i Homer wrócili, idąc z dala od siebie, jakby prawie się nie znali. Byłam taka zazdrosna, że nawet to mnie wkurzyło. Czułam, że ściemniają, zamiast powiedzieć mi prawdę i zwierzyć mi się jak za dawnych czasów. Byłam niemiła dla nich obydwójga, a nawet dla Lee. W zasadzie okazywałam uprzejmość tylko Kevinowi – co musiało go zaskoczyć – i Gavinowi.

Inaczej niż w wypadku poprzednich ataków, nie mogliśmy czekać do trzeciej albo czwartej rano, żeby wykonać swój ruch. Teraz, kiedy trwały wielkie bitwy, nie stać nas było na takie luksusy. Musieliśmy ruszyć tuż po zmroku. Przez to niebezpieczeństwo było podwójne – nie, nie podwójne: potrójne, poczwórne i jakkolwiek nazywa się następne w kolejności. Popiątne. Ale mimo naszych dobrych intencji, zanim się zebraliśmy, minęła dziewiąta. Prawdopodobnie już wcześniej było wystarczająco ciemno, ale ciągle się wahaliśmy, zwlekaliśmy, wyobrażaliśmy sobie, że nadal widać trochę światła na horyzoncie. Przypomniałam sobie, jak byłam z Iainem i Ursulą na Szwie Krawca, wieki temu.

Wreszcie nadeszła odpowiednia pora.

– Do dzieła – powiedział Homer, podnosząc plecak.

Złapałiśmy swoje rzeczy jak dzieci na szkolnej wycieczce i ruszyliśmy za nim w dół wzgórza. Tym razem byłam zbyt zmęczona, żeby mieć Homerowi za złe, że znowu nam mówi, co mamy robić.

Przynajmniej nie byliśmy bardzo obładowani. Ukryliśmy plecaki, które zamierzaliśmy zabrać po ataku.

Znalazłam się obok Lee i nagle poczułam silne pragnienie połączenia się z nim, zespolenia się. Zupełnie inaczej niż zaledwie parę godzin temu. Złapałam go za rękę i mocno ją ścisnęłam.

A kiedy mówię mocno, mam na myśli aż do krwi. No, prawie.

Moje uczucia mnie zaskoczyły, ale Lee chyba nie był zdziwiony. Po prostu spojrzął na mnie i się skrzywił. Nie zapytał, czy dopadło mnie totalne przerażenie, ale wiedział, co się dzieje. Moje wnętrzności od szyi w dół przeszły w stan ciekły. Prawie słyszałam, jak chlupoczą.

Trzymałam Lee za rękę, dopóki nie odeszliśmy piętnaście metrów od drogi. Potem go puściłam, zastanawiając się, kiedy będę miała okazję to powtórzyć. I czy jego dłoń będzie wtedy ciepła i pokrzepiająca, tak jak teraz? A może zimna i lepka, pozbawiona życia?

Pożegnaliśmy się z Kevinem. Ta część naszego planu budziła we mnie niesamowite zdenerwowanie. Pozostali wydawali się aż zbyt chętni do tego, żeby wybaczyć i zapomnieć. Ja wybaczałam z radością. Ale zapominanie sprawiało mi trudność. Dopóki nasze plany obejmowały Kevina, oczami wyobraźni widziałam bełkoczący wrak człowieka na lotnisku. Potrzebowaliśmy wtedy pięciu osób, a mieliśmy tylko cztery. Nie, gorzej: mieliśmy tylko trzy albo dwie, bo Kevin nie był wtedy jedynie zerem. Był liczbą ujemną.

Może to zbyt okrutne, ale właśnie tak się czułam i jak dla mnie, Kevin musiał ponownie dowieść swojej wartości. Samo bycie bardziej zaangażowanym i przyjaznym nie świadczyło o tym, że w sytuacji awaryjnej będzie stał prosto i wykaże się siłą. Moim zdaniem byliśmy trochę szaleni, obdarzając go zaufaniem.

W każdym razie było za późno, żeby coś powiedzieć albo zrobić. Pocałowałam go tak samo jak Fi, ale czułam się jak hipokrytka żegnająca się pocałunkiem Judasza. Kiedy pośpiesznie ruszył w drogę, pomachałam mu. Przynajmniej wydawał się skupiony. Musiałam mieć nadzieję, że to wystarczy.

Przez jakiś czas szliśmy równolegle do drogi, żeby móc przejść na drugą stronę w wybranym wcześniej miejscu między zakrętem w prawo i zakrętem w lewo. Przebiegliśmy po asfalcie jedno za drugim. Czułam się bardzo zagrożona. W zasadzie powinniśmy być bezpieczni: pewnie byśmy usłyszeli zbliżający się konwój albo patrol, ale w trzech czwartych nadal

spodziewałam się kulki między łopatki.

Nie było żadnej kulki: ani dla mnie, ani dla nikogo innego. Kiedy znowu znaleźliśmy się w lesie, ruszyliśmy gęsiego, zachowując spore odległości. Od parkingu dzielił nas już najwyżej kilometr. Moje nerwy były tak napięte, jakby zawodnik sumo wziął klucz francuski i wkładał całą siłę w ich dokręcanie. Gdy podeszliśmy do budynków gospodarczych, las się przerzedził. Rozeszliśmy się, żeby znaleźć jakąś osłonę. Tak było bezpieczniej. Żołnierzowi z karabinem maszynowym byłoby trudniej zabić nas wszystkich naraz.

Ostrożnie szliśmy między eukaliptusami upiornymi. Trafna nazwa. W sposobie, w jaki ich białe pnie lśniły nocą, było coś niepokojącego. Zwłaszcza w taką noc jak tamta. Moje serce boleśnie załomotało, kiedy zobaczyłam ciemny zarys głównych budynków. W środku paliło się światło, ale tak jak w większości miejsc grube zasłony utrudniały nieznośnym bombowcom nowozelandzkich sił powietrznych zauważenie jasnych punktów i wrzucenie przez kominy małych walentynek.

No tak, ale nas grube zasłony nie mogły powstrzymać.

Zbliżaliśmy się do tylnego rogu stacji benzynowej przy parkingu. Zobaczyłam śmietnik i poczułam jego smród. Była tam typowa kolekcja śmieci, jakie można znaleźć na zapleczu takich miejsc. Dwie pięćdziesięciolitrowe beczki, wrak samochodu, kilka rdzewiejących silników i wiszący zbiornik porzucony dawno temu.

Niestety, były tam też toalety. Zauważyłam zniszczony budynek z azbestu z poobijanymi białymi drzwiami. Ktoś zostawił je uchylone i nie zgasił światła. Żarówka nie była mocna, prawdopodobnie zaledwie czterdziestowatowa, ale wystarczyła, żeby zobaczyć na drzwiach małego czarnego człowieka w cylindrze i z laseczką.

To dość dziwne, kiedy się nad tym zastanowić: taki elegancki, wystrojony facet na drzwiach tak paskudnego budynku.

Zbliżyliśmy się o parę kroków, a potem przystanęliśmy i przykucnęliśmy, bo zza rogu wyszedł jakiś gość, który po chwili zniknął w toalecie.

Wiedziałam, że z jego strony nie ma żadnego zagrożenia, więc przykucnęłam i objęłam się rękami. Czekaliśmy. „Nikt inny mnie nie obejmie” – pomyślałam. To było trochę żalodne, ale znowu przypomniałam sobie namiętne pocałunki Fi i Homera. Nie chcąc się dołować jeszcze bardziej, powtórzyłam w myślach nasz plan. Wyglądało na to, że opracowaliśmy go dość zgrabnie. Problem w tym, że nie uwzględniał takich rzeczy jak nieprzewidywalność żołnierzy: gdyby na przykład wykonywali swoją robotę wyjątkowo sumiennie albo poszli na spacer po lesie. A już z pewnością nie uwzględniał tego, że któreś z nas mogłoby dać płamę.

Facet załatwił swoje sprawy w toalecie i wrócił do głównego budynku. Nie potrzebowaliśmy sygnału, ruszyliśmy dalej.

Byliśmy bliżej parkingu, niżbym chciała, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Las za parkingiem był zbyt gęsty, a wzgórze zbyt strome. Dostanie się na górę i zejście z powrotem zajęłoby nam całe wieki.

Tuż po dziesiątej dotarliśmy do drugiego rogu na zapleczu stacji benzynowej.

Przed nami rozciągał się parking, który wyglądał tak, jakby został rozbudowany w trakcie wojny. Pewnie przez konwoje panował na nim duży ruch. Możliwe, że przejeżdżały tędy regularnie. Powinniśmy byli odwiedzić to miejsce dawno temu. Po prawej był billboard z reklamą KFC, teraz już porwany i wyblakły na słońcu. Dystrybutory z paliwem znajdowały się za rogiem, poza zasięgiem mojego wzroku.

Po stresach, jakie przeszłam, żeby tu dotrzeć, z ulgą od razu ruszyłam do akcji. Ale nie. Musieliśmy czekać na konwój, nawet gdyby to trwało całą noc. Nie było większego sensu atakować pustego parkingu dla ciężarówek.

Homer, Fi i Gavin pożegnali się z nami. Z jakiegoś powodu tutaj, blisko zagrożenia, obejmowanie się, całowanie i szeptanie miłych słów wydawało się niewłaściwe. Poklepałam Gavina po głowie i powiedziałam, bezgłośnie poruszając ustami: „Bądź ostrożny. Uważaj na siebie”. Tylko wzruszył ramionami i skrzywił się. Nie wiem, czy w ogóle zrozumiał, co mówiłam. Oddalili się ode mnie tak szybko, że byłam w szoku, widząc, jak błyskawicznie znikają. Weszli w

ciemność jak w jakiś rodzaj śmierci. Połknęła ich.

Spojrzałam na Lee. On też wydawał się poruszony. Chyba obydwój się zastanawialiśmy, czy jeszcze ich zobaczymy w tym życiu. Dotknął mojego łokcia i zeszedł niżej ze wzgórza. Znaleźliśmy dół, z którego mogliśmy obserwować dystrybutory z paliwem. Przykucnęłam za rozrośniętym kuflikiem, wcisnęłam dłonie pod pachy i czekałam. Karabin leżał na ziemi obok mnie, a plecak z ładunkami po drugiej stronie. Bez tej broni mój wysiłek nie miałby sensu. W zasadzie byłam tam potrzebna tylko po to, żeby aktywować materiały wybuchowe. Tego wieczoru nie miałam żadnej prawdziwej wartości jako istota ludzka.

Żeby się rozerwać, próbowałam sobie przypomnieć zasady Pimlotta, nad którymi rozwodził się Ryan. Z pewnością zadbalibyśmy o element zaskoczenia. A gdyby nam się udało pójść dalej i dotrzeć do torów kolejowych, zapewnilibyśmy sobie siłę rozpędu: nie pozwolilibyśmy wrogowi odzyskać równowagi. W dodatku oba te miejsca były jego czułymi punktami.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć pozostałych zasad Pimlotta, ale próby ich przywołania zajmowały mnie prawie do dziesiątej czterdzieści pięć. Potem niskie warczenie w oddali podpowiedziało mi, że zbliża się konwój.

Nasz czas nadszedł.

Jednocześnie w końcu sobie przypominałam ostatnią zasadę Pimlotta. Atakuj cele, które są w twoim zasięgu. Przełknęłam, mimo że miałam sucho w ustach. Pozostawało mi tylko liczyć na to, że nam się uda.

8

Kiedy spróbowałam wstać, z niepokojem zdałam sobie sprawę, że moje ciało strasznie zeszywniało. Ledwie mogłam się ruszać. Kiepski początek. Rozpaczliwie prostowałam ręce i nogi, starając się nie odstawiać za kuflikiem całego aerobiku.

Jednak szybko zrozumiałam, że przyszedliśmy o wiele za wcześnie. Zanim mogliśmy cokolwiek zrobić, musieliśmy poczekać, aż większość ciężarówek zatankuje. Dlatego pomimo zeszywniałych mięśni znowu przykucnęłam i starałam się utrzymać kończyny w formie.

Nie musiałam się rozglądać, żeby wiedzieć, co się dzieje. Wystarczyły mi same dźwięki. Gavin, który był z Homerem i Fi i polegał przede wszystkim na zmyśle wzroku, miał pod tym względem dużo gorzej.

Zaczęły nadjeżdżać ciężarówki. Narobiły hałasu. Silniki warczały, ludzie wykrzykiwali rozkazy, polecenia albo przekleństwa, ryczały klaksony. Nie było śladu czołgów, ale zjechało sporo samochodów.

Nasz pierwszy problem pojawił się nieoczekiwanie. Najpierw jeden mężczyzna, potem następny, jeszcze jeden i kolejny rozchodzili się w tym samym celu: chcieli sobie ulżyć w toalecie po wielogodzinnym podskakiwaniu w kabinie ciężarówki.

Po chwili ciągle syki i pluski połączone z gryzącym zapachem zrobiły się nieprzyjemne. Co gorsza, mnie też przycisnęło i zaczęłam się wiercić, żalując, że nie mogę skoczyć w krzaki.

– Może powinniśmy załatwić paru z nich? – szepnął Lee, mając na myśli facetów korzystających z toalety.

– Tylko co z nimi potem zrobimy? – szepnęłam w odpowiedzi.

Zabawne, że po tym wszystkim nadal nie potrafiłam myśleć o zabijaniu z zimną krwią.

Lee nie odpowiedział.

Akcja przy dystrybutorach trwała bez przerwy. Naliczyłam piętnaście ciężarówek, które po napełnieniu baku kolejno toczyły się na parking. Miałam nadzieję, że zastaną tam Homera, Gavina i Fi. W końcu nastąpiła przerwa w akcji w toalecie. Nie musieliśmy nic mówić, wstaliśmy równocześnie i pobiegliśmy przez mrok między śmietnikami, stertami beczek i stosami starych opon w kierunku parkingu.

Nic nie świadczyło o tym, by Kevin wykonywał swoje zadanie. Wiedziałam, że to dla niego trudne, bo nie byliśmy w stanie dokładnie skoordynować czasu, ale mimo to powinien był już uderzyć. Nie po raz pierwszy na tej wojnie żałowałam, że nie posłuchałam instynktu i nie powiedziałam Homerowi, że nie powinniśmy włączać w to Kevina. Ale przede wszystkim

martwiłam się o przyjaciela, mając nadzieję, że nie nastąpił żaden poważny błąd. Gdyby ładunek nie wybuchł albo okazał się niewystarczająco silny, byłoby nieciekawie, ale jakie miałyby to znaczenie w porównaniu z sytuacją, w której Kevin zostałby ranny, pojmany albo zabity?

Lub – i to naprawdę nie dawało mi spokoju – gdyby puściły mu nerwy. Co jeśli leży teraz gdzieś w rowie, łkając, trzęsąc się i robiąc w majtki ze strachu?

Znowu zaczęłam się wiercić. Przynajmniej dzięki temu miałam odrobinę ruchu.

Potem zgasły światła.

Nawet pomimo zasłon w oknach natychmiast to zauważyliśmy. Nie zdawałam sobie sprawy, ile światła jest wokół, dopóki nagle go nie zabrakło. Poza tym usłyszałam, jak milkną dystrybutory. Zrobiły coś w rodzaju „urrrrr” i przestały pompować. Ostatecznie Kevin się spisał.

Podźwignęłam się na nogi i wyszłam zza kuflika. Lee zrobił to samo, tyle że z drugiej strony. Boże, naprawdę było ciemno. Już kiedy wysiadł prąd, rozległo się kilka krzyków i wołanie, ale teraz hałas przybierał na sile. Usłyszałam, jak jeden głos zaczyna górować nad pozostałymi. Wyglądało na to, że ktoś tu dowodzi. Słyszając te komendy, pomyślałam, że facet radzi sobie całkiem dobrze, co wcale nas nie ucieszyło. Ale musieliśmy go zignorować i wziąć się do roboty. Chwyciwszy mocno plecak z ładunkami wybuchowymi i karabin, podkradłam się wzdłuż bocznej ściany budynku. Zobaczyłam dwa ciemne kształty zmierzające w przeciwną stronę. Wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo muszę być widoczna. Spojrzałam na Lee. Stał głębiej w mroku i trochę trudniej było go zauważyć.

Zbliżyliśmy się do celu. Zdziwiłam się, widząc, jak blisko już jesteśmy. Zmierzaliśmy w stronę małego parkingu dla samochodów osobowych po drugiej stronie stacji benzynowej. Wytężyłam wzrok, próbując dojrzeć zaparkowane samochody. Widziałam niewyraźny połysk metalu i szkła. Pomyślałam, że muszą tam być ze trzy, cztery auta.

Lee zjawił się obok mnie. Popchnął mnie ramieniem w lewo. Pozwoliłam mu na to, wiedząc, że musi mieć jakiś powód.

Miał. Jakimś cudem zauważył samochód oddalony od pozostałych. Właśnie tego było nam trzeba. Odrobiny prywatności.

Podeszliśmy do niego od tyłu, poruszając się najszybciej, jak się odważyliśmy. Poczułam, jak wzbiera we mnie strach – tak wielki, że położyłam wolną rękę na brzuchu, żeby spróbować stłumić to uczucie. Stanęliśmy za samochodem: Lee z prawej, ja z lewej. Przez tylną szybę wewnątrz wyglądało na puste. Upewniłam się, zaglądając z boku. Wynik był taki sam. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Nikt przy zdrowych zmysłach nie siedziałby w samochodzie podczas blackoutu pośrodku strefy działań wojennych.

Szliśmy dalej. W końcu zobaczyłam cel Lee. Tuż przed nami był żołnierz. Oślaniał sobie oczy charakterystycznym gestem człowieka próbującego coś dojrzeć w ciemności, usiłującego widzieć wyraźniej. Wcześniej uzgodniliśmy, że zaatakujemy dwóch żołnierzy, że potrzebujemy pary. Powiedzieliśmy tak w lesie na wzgórzu, kiedy spokojnie opracowywaliśmy ten plan. Teraz sytuacja wyglądała trochę inaczej. Zdecydowaliśmy się na jednego, a potem mieliśmy się zastanowić, co dalej. Spojrzałam w bok, napotkałam wzrok Lee, pokazałam na siebie, wykonałam kilka gestów pięścią, jakbym kogoś biła, pokazałam na Lee i poruszyłam dwoma palcami, naśladując kogoś idącego na paluszkach. Pokiwał głową i musiałam mieć nadzieję, że zrozumiał przekaz.

Położyłam plecak i karabin na ziemi i obydwójce zaczęliśmy się podkładać do tego żołnierza. Nie byłam pewna, kiedy zacząć wydawać jakieś dźwięki, kiedy zachować się jak wabik. Wyczucie czasu było bardzo ważne. Zależało od niego moje życie.

Byłam już z dziesięć kroków od żołnierza, kiedy dylemat rozstrzygnął się bez mojego udziału, bo wydałam dźwięk, mimo że wcale tego nie chciałam. Bok mojego buta otarł się o szczelinę w asfalcie. Żołnierz odwrócił się dość wolno, jakby był zadowolony, ale jeszcze nie nabrał podejrzeń. Przyspieszyłam, mając nadzieję, że Lee okaże się jeszcze szybszy. I wtedy facet zareagował. Wykonał pełny obrót i wskoczył na maskę samochodu. Bez problemu zobaczyłam jego następny ruch. Żołnierz rzucił się prosto na mnie. Jego nogi już się napinały, żeby oderwać się od metalu i kopnąć mnie w brzuch.

To nie była moja liga. Nie miałabym pojęcia, jak zrobić taki numer w stylu Jackiego Chana. Równie dobrze można by mnie poprosić o przeprowadzenie operacji na otwartym sercu jamraja. Miałam karabin, ale nie odważyłam się strzelić. Zdałam się na Lee. I chyba postąpiłam słusznie, bo spojrzalam dalej, nad ramieniem faceta na masce, żeby zobaczyć, czy Lee zamierza coś zrobić w najbliższej przyszłości. Coś jak w tych starych filmach, kiedy bohater udaje, że za plecami czarnego charakteru widzi zbliżających się policjantów, żeby czarny charakter się odwrócił. Tyle że tym razem to nie była żadna sztuczka. I chyba żołnierz to zrozumiał. Może dlatego, że zrobiłam to zupełnie nieświadomie, całkiem naturalnie, jakbym nawet nie myślała o tym, jak to wypadnie.

No więc skoczył z maski prosto na mnie, ale z nieco mniejszym rozpędem, bo zawahał się przez ułamek sekundy i spojrział do tyłu. Dzięki temu Lee, który skoczył za nim, złapał go za nogę i spróbował go obrócić w powietrzu. Żołnierz wylądował na mnie, przekreślony na drugą stronę. Upadłam, a potem Lee runął ślizgiem w ślad za żołnierzem i wylądował na samej górze.

Zrobił się bałagan. Facet rozpaczliwie walczył. Jak wtedy, kiedy znakuje się woły, które sporo urosły, i złapie się któregoś nie tak jak trzeba: wiesz, że za żadne skarby nie powinieneś go wypuścić, ale równocześnie czujesz, że jeśli będziesz trzymać dalej, możesz dostać kopa w twarz. Albo jeszcze gorzej.

To przypominało raczej próbę unieszkodliwienia tygrysa. Wszyscy troje wiliśmy się na ziemi i choć dwoje na jednego powinno nam dać wystarczającą przewagę, zaczęłam panikować i pomyślałam, że żołnierzowi uda się wydostać. Bił mnie tak mocno, że z trudem to wytrzymałam. Potem przysunął rękę i podrapał mi lewy policzek ostrymi paznokciami. Zarył głęboko. Pисnęłam z bólu, czując, że rozerwał mi pół twarzy. Po chwili Lee uderzył go kolbą karabinu. Poczulałam się tego uderzenia w swoim ciele. Ręce żołnierza nagle sflaczały i opadły.

Próbując nie płakać, wziąć się w garść, zignorować pieczenie twarzy i siniaki na ciele, podźwignęłam się na nogi. Lee już dopadł do żołnierza i ściągał mu kurtkę. Sięgnęłam po czapkę, która potoczyła się po ziemi, a potem pomogłam Lee.

– Jak myślisz, co powinniśmy teraz zrobić? – zapytałam. – Nie przejdę przez to po raz drugi.

– Masz rację – zgodził się. – Poza tym brakuje czasu. Jeśli ja włożę kurtkę, a ty koszulę, powinno być w porządku.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czulałam, że podejmujemy ogromne ryzyko. Ale nie mieliśmy innego wyjścia.

– Dobrze – mruknęłam.

Zdjęcie koszuli okazało się bardzo trudne. Wcześniej z kurtką poszło łatwo, mimo że sflaczały, ciężkie ręce żołnierza utrudniały nam zadanie. Lee rozwiązał krawat, a ja zajęłam się guzikami. Paskudna robota. Facet chyba już nie żył, chociaż uparcie sobie wmawiałam, że jest inaczej. Parę razy dotknęłam jego skóry i zrobiło mi się niedobrze. Wydawała się lepka, oślizgła, jakby nadal się pocił. Jeszcze gorsza była chyba konieczność włożenia rąk w jego rękawy. Nie zdjęłam swojej podkoszulki, żeby zaoszczędzić na czasie, i bardzo się z tego ucieszyłam, kiedy poczułam, jak moja skóra cierpnie pod dotykiem mokrej bawełny.

Lee dał mi krawat, ale musiał go też zawiązać. Nigdy nie opanowałam tej umiejętności. Potem włożył kurtkę. Z czapką na głowie wyglądał całkiem wiarygodnie. Miałam nadzieję, że ja prezentuję się podobnie.

Żadne z nas nie wspomniało o zabraniu żołnierzowi spodni. Gdybyśmy spróbowali, musielibyśmy się porządnie napocić. Poza tym dość często widywałam żołnierzy w dzinsach i częściowym umundurowaniu. Żołnierz w pełnym mundurze był w zasadzie rzadkością.

Nie miałam pojęcia, ile czasu zmarnowaliśmy, ale czulałam, że cholernie dużo. Nie mówiąc nic więcej, chwyciłam plecak i karabin, a potem szybko ruszyliśmy w kierunku przedniej części parkingu dla ciężarówek.

To było jak wyjście z przedmieść do miasta. Wcześniej byliśmy na przedmieściach, na małym parkingu dla samochodów osobowych. Teraz znaleźliśmy się w dzielnicy handlowej.

Przewidzieliśmy, że kierowcy włączą reflektory ciężarówek. Nie bardzo się tym przejęliśmy. Wiedzieliśmy też, że nie zaryzykują włączenia długich świateł. Ale nie

przypuszczaliśmy, że światła postojowe okażą się takie silne. I jak głupki nie uwzględniliśmy latarek. Musieli ich mieć dziesiątki. Podsumowując, było znacznie więcej światła, niżbym chciała.

Zbliżaliśmy się do frontu głównego budynku. Trzymałam się blisko ściany i zarazem w cieniu Lee. To było nie lada zadanie. Przydałby mi się dobry choreograf. Jeśli kiedykolwiek wrócę do szkoły, na zajęcia kółka teatralnego, będzie z tego fantastyczne ćwiczenie. Dzięki cieniowi Lee byłam poza zasięgiem większości światła na parkingu. Ale nie uchroniłam się przed latarkami. Część z nich śmigała wokół, jakby trzymający je ludzie znacznie przekroczyli dozwoloną liczbę promili we krwi. Nie jestem pewna, co się działo. Sądząc po ich głosach, powiedziałabym, że byli porządnie zdenerwowani. Prawdopodobnie podejrzewali sabotaż. Tylko szaleńcom nie przyszłoby to do głowy. Paru żołnierzy z karabinami minęło mnie biegiem. Może skierowano ich na wartę. Nagle światło latarki przesunęło mi się po twarzy. Zapięło mnie jak ogniem. Poczułam, że w miejscu, gdzie padło, moja skóra zrobiła się czerwona. Jakby jakiś naprawdę obleśny facet pogłaskał mnie po policzku wierzchem dłoni.

Szłam dalej. Wahanie mogłam przypłacić życiem. Światło jakby przystało na mojej twarzy. Przymknęłam oczy, spodziewając się demaskującego okrzyku. Nic takiego się nie wydarzyło i po chwili snop światła ponownie się oddalił.

Próbowałam przysunąć się jeszcze bardziej do cienia Lee. Musiałam, bo to on miał na sobie kurtkę i czapkę. Musiał mieć oko na wszystko. Ale kiedy podeszliśmy do przedniej strony parkingu, nadszedł czas męskich decyzji. Nie mogłam dłużej skradać się w cieniu, przemykając jak szczur.

Odsunęłam się od ściany. Byliśmy już prawie przy rogu. W następnej chwili mieliśmy do niego dotrzeć, skręcić w prawo i ruszyć w stronę dystrybutorów. Co tam zobaczymy? Czy ktoś nas zauważy? Co się stanie, jeśli jakimś cudem uda im się przywrócić dostawę prądu, akurat kiedy będziemy stali na środku i wrzucali ładunki wybuchowe do ich zbiorników z paliwem? Mocniej ścisnęłam plecak i skręciłam za budynek.

Moje usta wyschły jak rzeka w czasie suszy. A w cudzej koszuli czułam się bardzo dziwnie. Niewygodnie. Nie tylko dlatego, że to był obcy mundur, ale dlatego, że należał do martwego człowieka. Mimo to więcej się nie wahałam. Tak bardzo skupiłam się na zadaniu, że nie myślałam o wątpliwościach. Zresztą wahanie byłoby śmiertelne w skutkach. Musieliśmy działać z całkowitą pewnością.

Szliśmy dalej, ale teraz, kiedy oddaliliśmy się od rzędu budynków, wpatrywałam się w ziemię, szukając w ciemności małej metalowej pokrywy. Nie wiedziałam, gdzie się znajduje. W lesie wymieniliśmy się informacjami, próbując sobie przypomnieć, gdzie stacje benzynowe umieszczają pokrywy swoich podziemnych zbiorników, ale tak naprawdę nikt tego nie wiedział. Wszyscy myśleliśmy, że „gdzieś obok dystrybutorów”. Doszliśmy do takiego wniosku, bo kiedy na stację benzynową przyjechały cysterny z paliwem, zaparkowały właśnie niedaleko dystrybutorów. Nie mieliśmy lepszych dowodów. Nagle wydały się niezbyt mocne.

Mimo to szliśmy dalej. Niczego innego nie mogliśmy zrobić. Czułam się jak w teledysku, otoczona reflektorami i dźwiękami. Jakby tego było mało, musieliśmy znaleźć pokrywę dość szybko, zanim Homer i Fi wykonają swój ruch. Czas odgrywał w tej akcji ogromną rolę, ale wiele zależało od przypadku.

Usłyszałam krzyk i rozejrzałam się z poczuciem winy. Niech to szlag, właśnie tego nie powinnam była robić. Na pewno zauważą, że coś jest nie tak. Musiałam być bardziej – jak to się mówi? – powściągliwa.

Pochyliłam głowę. W tej samej chwili zobaczyłam słaby połysk małej pokrywy w ziemi. Boże, co za ulga.

Teraz musiałam się rozejrzeć. Nie było innego wyjścia. Przecież nie mogłam uklęknąć i przygotować bomby, jeśli przyglądało mi się sześciu wrogich żołnierzy. Poszłam dalej, nadepnęłam na pokrywę, rozejrzałam się szybko w prawo i w lewo. Wyglądało na to, że teren jest czysty. W ciemności po lewej stronie rząd ciężarówek czekał na zatankowanie. Nie widziałam, gdzie się kończy kolejka, ale sięgała chyba aż do drogi. Z tego, co wcześniej zaobserwowałam, mogła mieć i ze sto metrów.

Widziałam przy ciężarówkach kilku facetów, ale stali wystarczająco daleko, więc mogłam być spokojna.

Ukradkiem spojrzałam do tyłu. Trudno było dobrze się rozejrzeć. Chyba wszystko było w porządku. Jasne, wokół panowało spore poruszenie, ale nie widziałam, co dokładnie się dzieje. Po prostu wszędzie biegali ludzie, niektórzy z latarkami, inni bez.

No tak, musiałam zaryzykować i załatwić sprawę. Homer powiedział, że da nam dwadzieścia minut. Nie byłam pewna, ile czasu minęło, odkąd Kevin wysadził linię energetyczną, ale miałam wrażenie, że upłynęła godzina.

Syknęłam na Lee, który był już z dziesięć metrów dalej, a potem przyklęknęłam na jedno kolano, odkładając na bok plecak i karabin. Od tej pory bez względu na wszystko musiałam się skupić wyłącznie na ładunkach. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że sama mogę się wysadzić w powietrze. Miałam do czynienia z dość silną mieszanką: plastikiem, lontem, zapalniczką i benzyną. Ale wcale się nad tym nie zastanawiałam. W moim umyśle dominował strach przed żołnierzami, którzy byli z tyłu i z lewej. Gdyby mnie zauważyli, byłoby po mnie. Musiałam zachować zimną krew. Nic innego nie miało znaczenia. Spokój i opanowanie. Spokojny umysł. Spokojne oczy. Spokojne ręce. Musiałam się zdać na Lee, który miał stawić czoła wszystkim problemom.

Pokrywa odkręciła się dość łatwo. Inaczej niż w tamtym okropnym momencie na stacji benzynowej Curr's w Wirrawee, kiedy próbowaliśmy wsypać cukier do zbiorników z paliwem lotniczym dla samolotów z lotniska. Nadal miałam przed oczami olbrzymią kłódkę, którą założyli na tamten zbiornik. Pewnie wcale nie była aż taka ogromna. Po prostu urosła w mojej pamięci do rozmiarów melona.

Nie rozumiałam, po co nam właściwie ładunki wybuchowe w tych podziemnych zbiornikach, ale Kevin, który był naszym ekspertem od nauk ścisłych, powiedział, że to dobry pomysł. Wyjaśnił, że benzyna nie wybucha w zetknięciu z zapalką, a jedynie gwałtownie się spala. Bardzo gwałtownie. Dodał jednak, że kilka plastikowych patyczków od Ryana przemieni duży huk w erupcję wulkanu.

Wszystko było dość dobrze zorganizowane. Ładunek zawiesiliśmy na sznurówce. Opuściłam go do zbiornika, trzymając za koniec lontu. Mdlilo mnie od zapachu benzyny, zwłaszcza że przez całe popołudnie nic nie jadłam. Za bardzo się denerwowałam. Za moimi plecami rozległ się następny krzyk – być może ktoś nas zauważył. Zastygłam. Kusilo mnie, żeby wypuścić lont i ratować się ucieczką. Zamiast tego zacisnęłam zęby i pociągnęłam za pokrywę zbiornika, a następnie opuściłam ją na miejsce. Musiałam to robić delikatnie, żeby nie przeciąć lontu. Oparłam pokrywę pod kątem.

Kiedy ją ustawiałam, usłyszałam jeden z najgorszych dźwięków na świecie. Przynajmniej kiedy jest się z dala od przyjaciół.

Za moimi plecami rozległa się seria strzałów przypominająca perkotanie zapuszczanego silnika elektrycznego. Brzmiało to tak, jakby strzały dobiegały z drugiego końca, od strony parkingu dla ciężarówek. Dokładnie stamtąd, gdzie Fi, Homer i Gavin mieli przeprowadzać wielką dywersję.

Rzuciłam szybkie, rozpaczliwe spojrzenie w stronę Lee. On też na mnie spojrzał. Trudno było odczytać wyraz jego twarzy, ale przerażenie byłoby dość trafnym określeniem. Odwrócił się w stronę tych dźwięków i zrobił kilka niepewnych kroków w ich kierunku.

Zaczęłam panikować. Wstałam i odbiegłam od zbiornika, rozwijając po drodze lont. Jedno spojrzenie w bok ukazało mi ciemne postacie biegające tam i z powrotem, ale nie w naszą stronę. Niektóre pędziły na parking dla ciężarówek, inne do samochodów czekających w kolejce, a jeszcze inne do baru.

Przebiegłam jakieś piętnaście metrów, zbliżając się do bezpiecznych ogródków między stacją a lasem. Z lewej, od strony szop – z jedynego kierunku, z którego nie spodziewałam się żadnego zagrożenia – dobiegł mnie krzyk. Kuląc się najbardziej, jak umiałam, spojrzałam w tamtą stronę. Jakiś człowiek w mundurze szedł prosto na mnie, pokazując palcem i pytając o coś w swoim języku. Wzruszyłam ramionami i upuściłam lont, żałując, że nie zabrałam karabinu. Ciągłe leżał przy zbiorniku. Lee miał broń, ale był teraz za daleko ode mnie i na pewno nie zdawał sobie

sprawy, co się dzieje. Mężczyzna w mundurze najwidoczniej nie był uzbrojony, ale wystarczył jeden krzyk, żeby w kilka sekund otoczyli mnie jego koledzy.

Widziałam, jak zaczyna do niego docierać, co się dzieje. Nawet w ciemności można było poczuć, co się dzieje w jego mózgu. „Co ona wyrabia?... Rozwija na ziemi jakiś drut... Nie wygląda na jedną z nas... Obok parkingu słycać strzały... HEJ!”

Otwierał usta, żeby krzyknąć to „hej!”, ale nagle coś mu przeszkodziło. Powietrzem wstrząsnęła eksplozja na parkingu. Wszędzie słycać było krzyki. Wołanie tego faceta utonęło w zamieszaniu. Teraz widziałam jego twarz wyraźniej, oświetloną czerwoną poświatą wybuchu. Za mną odpalały dziesiątki ciężarówek. Twarz tego mężczyzny była zszokowana, niepewna, rozzłoszczona i wystraszona. Coś do mnie krzyknął, gestykułując jednocześnie, jakby chciał powiedzieć: „Odczep się od nas”. Musiałam zaryzykować. Nie spuszczając go z oka, pochyliłam się. Miałam nadzieję, że nie zauważy, jak wyjmuję zapalniczkę. Tę specjalną, którą dał mi Ryan. Zapalała się w zamieci śnieżnej, podczas tornada i powodzi. Zawsze i wszędzie.

Staralam się ukryć to, co robiłam. Na parkingu dał się słyszeć następny huk. Skorzystałam z okazji i zapaliłam zapalniczkę.

Udało się.

W tej samej chwili krzyknęłam do tego człowieka: „Uwaga!”. Nie zrobiłam tego po to, żeby ratować mu życie, ale żeby go jeszcze bardziej zdezorientować.

Podpaliłam lont.

Mógł się okazać bohaterem i rzucić się na mnie. Mógł się okazać bohaterem i zdeptać płomień. Mógł przynajmniej ostrzec innych.

Ale obrócił się na pięcie i uciekł.

Ja też. Nawet nie podniosłam plecaka. Obliczyliśmy, że lont będzie się palił zaledwie dwie minuty. Specjalnie go skróciliśmy, żeby mieli mniej czasu na zareagowanie i zgaszenie go. Wiedziałam, że wybuch zbiornika będzie naprawdę ogromny. Nie zamierzałam znajdować się wtedy w pobliżu.

Ledwie zrobiłam parę kroków, niedaleko świsnęła kula. Przez jedną upiorną i obezwładniającą chwilę myślałam, że zostanę zastrzelona. Ale stało się coś wręcz odwrotnego. Po drugiej stronie betonowej płyty postojowej w zwolnionym tempie osunął się jakiś człowiek. Przed chwilą stał, a teraz runął plackiem prosto na beton. Wylądował na twarzy, odbił się i podskoczył prawie na metr, a potem znieruchomiał. Po lewej znowu zobaczyłam Lee. Dopiero wtedy zrozumiałam, co się stało. Lee dołączył do mnie dokładnie w chwili, kiedy ten żołnierz wziął mnie na muszkę. Przyklęknął i załatwił go jednym strzałem.

No to teraz byliśmy w tarapatkach. Chyba powinniśmy byli pobiec w stronę parkingu i pomóc reszcie. Ale szczerze mówiąc, nawet nie przyszło mi to do głowy. Postąpilibyśmy dość głupio. Parking znajdował się niebezpiecznie blisko podziemnych zbiorników. A w ciemności nie sposób byłoby stwierdzić, co się dzieje. Bylibyśmy raczej utrudnieniem niż pomocą.

Jakby na dowód, że powinniśmy byli pobiec w przeciwnym kierunku, od strony parkingu dobiegły mnie zupełnie nowe huki eksplozji. Nie wiem ile. Co najmniej dziesięć. Niektóre mniejsze, ale przeważnie duże.

Wtedy byliśmy już na skraju lasu. Z każdą falą uderzeniową czułam, że biegnę szybciej. Jak zagieli na jachcie, który łapie wiatr. Pędziłam jak szalona, nie zważając na niebezpieczeństwa czające się w lesie. Gdybym się potknęła o jakiś kamień albo pniak, byłoby po mnie. Za mną ciągle trwały eksplozje. Homer, Gavin i Fi spisali się doskonale. Z każdym kolejnym wybuchem niebo rozbłyskiwało czerwonym światłem.

Poza tym rozległy się trzy albo cztery głośne huki.

A potem zrozumiałam, co naprawdę znaczy słowo „głośne”.

Pierwszym sygnałem, że moja bomba zadziałała, był syk przywodzący na myśl olbrzymi piec rozgrzany do czerwoności. To trwało najwyżej sekundę. Gdzieś z tyłu rozległ się krzyk człowieka. Potem uniosła się ziemia.

Naprawdę się uniosła! Czułam, jak przesuwają mi się pod stopami. Huśtała się w przód i w tył, całkiem delikatnie. Jakby płyty tektoniczne zakręciły biodrami. Jakby głęboko pod ziemią

zaczęła się impreza.

Równocześnie huknął donośny dźwięk. Wypełnił cały wszechświat. Wszystko inne przestało istnieć. Nie było nieba, nie było ziemi, nie było ludzi ani życia. Tylko hałas. Myślałam, że niebo runie mi na głowę.

To wszystko trwało pewnie z dziesięć sekund, ale w tego typu sytuacjach czas traci znaczenie.

Potem dotarła do mnie fala uderzeniowa. Nie była jedynie pędem powietrza. Ktoś włączył olbrzymi odkurzacz i nastawił go na dmuchanie zamiast na ssanie. Kawałki drewna, skał, betonu, a nawet papieru. To było uderzenie wszystkich ciał stałych między mną a parkingiem dla ciężarówek.

Ja też stałam się jednym z tych ciał. Nie miałam szans ustać na nogach i zachować kontroli. Próbowalam biec dalej i z początku mi się udawało. To było coś w rodzaju biegu, tyle że moje nogi nie robiły tego, co chciałam. Skupiłam się wyłącznie na tym, żeby nie upaść. Próbowalam znajdować miejsce, na którym można postawić stopę i nie rozpląszyć się na ziemi. Nie byłam w stanie kontrolować kierunku – zero szans. A po kilku krokach wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Napierająca na mnie siła okazała się zbyt wielka, żebym mogła jej się oprzeć. Musiałam zrobić wiele szybkich kroków, jeden po drugim, ale moje stopy nie nadążały za resztą ciała.

Stoczyłam się z pagórka, objając się o kamień i dwa pnie, uderzana jednocześnie przez kilka fruwających odłamków. Nie wiem, co to było. Ale zabołało. Tylko że nie miałam czasu na emocje. Znajdowałam się w trybie przetrwania. Kiedy jesteś w ogromnym niebezpieczeństwie, twój umysł się skupia. Nie myślisz o siniaku, ranie czy zadrapaniu. Liczy się tylko staranie o życie, walka o pozostanie wśród żywych. U podnóża pagórka poturlałam się jeszcze kilka metrów, celowo, żeby się oddalić od zarośli, a potem podźwignęłam się na nogi. Huk eksplozji cichł. Rozbrzmiewał daleko, jakby zamierzał pędzić przez pola, coraz dalej, kilometr za kilometrem, dopóki nie rozbije się o jakieś urwisko albo wzgórze.

Wyglądało na to, że ziemia przestała się kołysać. A mnie otoczył nowy dźwięk. Huczący, świszający ryk płomieni połączony z falą gorąca. Czułam, jak liście na drzewach gwałtownie się zwijają i wysychają. Odwróciłam się w prawo, w stronę wolności, w stronę drogi, i spojrzałam w górę, na miejsce, gdzie zostawiliśmy plecaki.

Nie zdążyłam zrobić nic więcej. Nie zrobiłam nawet jednego kroku, bo z tyłu rozległ się tupot nóg. Zaczęłam się odwracać, przerażona, i już się kuliłam, podnosząc głowę w oczekiwaniu na atak. Było ich czterech. Dzieliło ich ode mnie jeszcze dwadzieścia metrów. Zbiegali ze wzgórza. Miałam wrażenie, że są jeszcze bliżej.

Wtedy odzyskałam przytomność umysłu, równie gwałtownie, jak ją straciłam. Odwróciłam się i pobiegłam.

To był ślepy, szalony wyścig. Nie było czasu na lawirowanie i robienie innych uników. Mogłam jedynie pochylić głowę i biec. Zarośla były gęste i robiły się coraz gęstsze. Gałęzie wysmagały mi twarz dziesięć razy w ciągu pierwszych stu metrów. Każde uderzenie piekło mocniej niż poprzednie. Ale prawie tego nie zauważałam. Uczestniczyłam w przełajowym biegu o życie. Nie zostawiałam tych gości w tyle, ale też nie pozwalałam im się zbliżyć. Marzyłam o tym, żeby ktoś przyszedł mi z pomocą, lecz pomoc nie nadchodziła. Nie miałam pojęcia, gdzie się podział Lee. Byliśmy tylko ja i oni.

Nagle bez ostrzeżenia znalazłam się na drodze. Drzewa rosły tak blisko jezdni, że wystarczyło zrobić dwa kroki, żeby stanąć pośrodku ciepłego, pozbawionego życia asfaltu. Nie było sensu biec w prawo ani w lewo. A gdybym pobiegła prosto, mogłabym nie zdążyć dotrzeć na drugą stronę, bo wypadliby z zarośli i zastrzelili mnie jak uciekającego królika.

Dlatego odbiłam parę metrów w lewo i znowu zaszyłam się w krzakach po tej samej stronie drogi. Przykucnęłam wśród paproci, starając się nie oddychać. Trzask gałęzi po prawej gwałtownie ustał. Zastąpił go tupot butów na nawierzchni drogi. Nie wiedziałam, co robić. Gdybym się poruszyła, na pewno by usłyszeli. Gdybym została tam, gdzie byłam, mogli mnie złapać. Dalej z lewej strony usłyszałam tupot następnych butów. Wyglądało na to, że żołnierze są wszędzie. Z prawej rozległ się krzyk. Buty minęły mnie galopem.

Najwidoczniej mój mózg nie działał zbyt dobrze, bo nadal nie wiedziałam, co się dzieje.

Trzeba było huku wystrzału, żebym się ocknęła. Rozległ się przerażająco blisko, ale skądś wiedziałam, że nie celowano do mnie. Dopiero wtedy zrozumiałam. Z lewej strony uciekał Homer, Fi, Lee albo Gavin. To oni byli celem, nie ja.

Wyskoczyłam ze swojej kryjówki i znowu wbiegłam na drogę. Próbowалам się upodobnić do tych mistrzów tenisa, którzy przemierzają kort czterema susami. Bez względu na to, jak daleko jest piłka, docierają do niej z łatwością. Przez nich kort wygląda tak, jakby miał dwa metry kwadratowe.

No więc właśnie tak próbowałam przebiec przez ulicę. Tak szybko i takimi wielkimi susami, żeby dobiec na drugą stronę w trzy czwarte sekundy. Szybko spojrzałam w lewo i zobaczyłam sześć szarych mundurów. Wszystkie zwrócone plecami do mnie, co bardzo mnie ucieszyło, ale pewnie martwiło moich przyjaciół.

Parę metrów od zarośli głośno krzyknęłam. To było coś pomiędzy aborygeńskim okrzykiem a maoryską pieśnią wojenną. Wiedziałam, że zdążę się ukryć, zanim się odwrócą, wymierzą i strzelą. Ostatnim susem wskoczyłam w krzaki. Miałam nadzieję, że to pomogło Homerowi albo innym.

Biegłam przez las zygzakiem jak szalona. Krótka chwila odpoczynku, którą spędziłam w kucki po drugiej stronie drogi, pozwoliła mi trochę odsapnąć. Wiedziałam, dokąd chcę pobiec, ale nie chciałam, żeby ruszyli za mną żołnierze. I wołałam dotrzeć do celu bez ran postrzałowych.

Odbiłam kawałek w prawo, licząc na to, że zdezorientuje to żołnierzy. Świeżo zwalone drzewo zagroziło mi drogę i musiałam poświęcić z minutę, żeby przejść na drugą stronę, bo przeszkadzały mi gałęzie i liście. Tymczasem pojawiły się dowody na to, że żołnierze już mnie gonią. Nie tylko słyszałam sapanie i dyszenie – jeden z nich wykrzyczał jakiś rozkaz. Miał piskliwy, przejęty głos, ale brzmiało to zdecydowanie i agresywnie. Jeśli byli dobrze zorganizowani, czekały mnie kłopoty.

Dotarłam do dość szerokiego szlaku i przystanęłam. Którędy teraz? Założą, że pobiegłam w górę czy w dół? Znalazłam odpowiedź i popędziłam prosto, znowu w las. Ale opuściłam go na zbyt długą chwilę. Powietrze przecięła kula. Świsnęła potwornie blisko. Tyle dobrego, że dodała mi siłę. Nagle miałam wrażenie, że pędzę dwa razy szybciej.

Zaczęłam skręcać, zataczając szeroki łuk. Chciałam wrócić na wzgórze, do naszego umówionego miejsca, do swojego plecaka. Nie podobała mi się ta zbyt długa rozłąka z przyjaciółmi, w lesie, w ciemności. Jak ich znajdę, jeśli nas tu rozdzieli? Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak głupio postąpiliśmy, nie układając żadnego planu awaryjnego. Nie mieliśmy zapasowego miejsca. To nad tym powinni byli pracować Fi i Homer po południu, zamiast tak miło spędzać czas.

Nie do wiary, że nawet w takiej chwili się na nich wściekałam: biegnąc przed siebie i rozpaczliwie próbując ocalić życie. Co za marnotrawstwo energii!

Na szczęście trwało to tylko sekundę.

Poczułam, że znowu zyskałam kilka metrów, więc rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Cokolwiek bym znalazła, musiałam dobrze trafić, bo miałam tylko jedną szansę. I nie mogło to być nic zbyt oczywistego. Ciężka sprawa. Wszystkie puste pnie i gęste krzaki, które zgłosiły się do tej roboty, potrzebowały dobrych referencji. Poza tym nie było sensu wciskać się w drzewo, które okazałoby się dla mnie za małe. Taka decyzja gwarantowała kulkę w tyłek.

Odrzuciłam kilku kandydatów, bo uznałam, że żołnierze będą mnie szukali w pierwszych z brzegu potencjalnych kryjówkach. Ale wiedziałam, że coś muszę znaleźć. Nie mogłam uciekać w nieskończoność. W ogóle nie mogłam zbyt długo uciekać. Nie biegam aż tak szybko. Wiedziałam, że jeśli teraz nie ruszę głową, będę martwa. Martwa jak wędzona ryba.

Potem ku swojemu zaskoczeniu dotarłam do naszego umówionego miejsca. Nie podejrzewałam, że jestem aż tak blisko. Zawahałam się, nie mając pojęcia, dokąd uciec. Wiedziałam, że w krzakach po prawej czekają ukryte plecaki. Zawołałam cicho:

– Homer! Lee! Kevin! Fi!

Nie było odpowiedzi. Mimo to musiałam czekać dalej, musiałam zaryzykować i zostać tam tak długo, jak to było możliwe. Nie chciałam tracić kontaktu z przyjaciółmi. Wczołgałam się w

krzaki i przykucnęłam między plecakami, starając się nie sapać zbyt głośno i mając nadzieję, że pozostali zjawią się wcześniej niż wróg. Kurczowo ścisnęłam plecak, jakby był wielkim pluszowym misiem, i poczułam, że w tej chwili to mój jedyny przyjaciel. Z trudem panowałam nad oddechem. Ze wszystkich sił skupiałam się na nadaniu mu regularnego rytmu: wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech.

Przynajmniej tyle udało mi się zdziałać. Ale trwało to kilka minut. Nie miałam pojęcia, że jestem taka wykończona. Jasne, byłam zmęczona po biegu, ale bardziej wycieńczyło mnie przerażenie ucieczką w ciemności przed ludźmi, którzy chcieli mnie zabić.

Przykucnęłam jeszcze niżej, nadal ściskając plecak, i spojrzałam na polankę. W najlepszym razie miałam nadzieję zobaczyć kogoś takiego jak ja: nastolatka z głową opadającą ze zmęczenia, z ustami otwartymi w niemym krzyku i z oczami wytrzeszczonymi tak, jakby próbowały zobaczyć kulę, zanim ona je dosięgnie.

Nikt się nie zjawił. Za to trzaski gałęzi rozlegały się coraz bliżej: ci mężczyźni najwyraźniej nie dbali o to, czy ktoś ich usłyszy. Wszędzie wokół pobrzmiwały ich krzyki. Łamały się patyki i spadały gałązki. Tym razem byli gotowi ruszyć w pościg przez las. Tym razem podjęli ryzyko i gonili niebezpiecznych partyzantów w mroku, kładąc na szali własne życie. Albo byli zdesperowani, albo widzieli, że nie mamy broni. Ja zostawiłam karabin obok parkingu, ale pozostali powinni byli mieć swoje. Chyba że też je stracili. Jeśli wróg o tym wiedział, byliśmy w poważnych tarapatach.

A może moich przyjaciół już schwytano i zostałam tylko ja?

Ściągnęłam koszulę i zdjęłam krawat przez głowę. Nie chciałam zostać pojmana w tym ubraniu, zwłaszcza jeśli gość z parkingu już nie żył, co wydawało się całkiem prawdopodobne. Zwinęłam ubranie w kulkę i ukryłam pod stertą liści i kory.

Nie byłam w stanie dłużej czekać. W dodatku zaledwie kilka metrów dalej rozległ się krzyk, który pomógł mi podjąć decyzję. Nie do wiary – był tak blisko. Wiedziałam, że nikt mnie jeszcze nie zauważył, ale sądząc po brzmieniu tego głosu, poczułam, że za chwilę dobrze się poznamy.

Nie było sensu silić się na subtelności. Facet gnał przez las zaledwie rząd drzew ode mnie. Z prawej zauważyłam następnych ludzi. Oni też byli blisko. Chwyciłam plecak, zarzuciłam go sobie na plecy i ruszyłam prosto pod górę, nie przejmując się hałasem, jakiego narobiłam.

Pościg zaczął się na nowo. Po kilku metrach zdałam sobie sprawę, że mam poważne kłopoty. Wzniesienie było bardziej strome, niż zapamiętałam, plecak cięższy, a ja skonana po przeraźliwych wydarzeniach nocy. Miałam wrażenie, że wcale nie posuwam się naprzód. Czasami na lekcjach wuefu widuje się dzieci, które biegną najszybciej, jak potrafią, ale wcale nie posuwają się do przodu. Jakby truchtały w miejscu. Kiedyś się zastanawiałam, dlaczego tak się dzieje, czy takie się urodziły, czy może nie nauczyły się biegać.

Teraz miałam doskonałą okazję, żeby zrozumieć, jak się wtedy czuły, bo sama też biegłam w miejscu. Dyszałam i potykałam się. To przypominało próbę biegu, kiedy tkwi się po pas w ruchomych piaskach. Pożałowałam, że nie zachowałam ciszy podczas opuszczania polanki. Okrzyk zdumienia za mną dobitnie świadczył o tym, że znowu mnie ścigają.

Nierówny teren bardzo utrudniał poruszanie się. Strasznie chciałam się znaleźć na górze, bo wtedy mogłabym zbiec na drugą stronę i miałabym szansę zostawić ich w tyle. Ale w takich okolicznościach mogłam liczyć najwyżej na szansę skręcenia kostki.

Zobaczyłam, że zbliżam się do szczytu, lecz jak zwykle się okazało, że to tylko złudzenie. Najwyraźniej wojna była naszpikowana takimi złudzeniami. Miałam nadzieję, że przełom, który obiecał nam Ryan – ten ważny przełom – nie był jednym z takich złudzeń.

Oczywiście mogłam wyrzucić plecak. Pomyślałam, że pozbędę się go w pośpiechu, jeśli żołnierze za bardzo się zbliżą. Trudna decyzja. Razem z nim wyrzuciłabym swoje życie. Nie tylko dlatego, że w środku leżały moje nieliczne rzeczy osobiste, ale też dlatego, że schowałam w nim ostatnią broń, w tym jeden granat i kilogram plastiku. Musiałam sobie zapewnić każdą możliwą szansę nie tylko na przetrwanie kilku następnych minut, ale i na przeżycie następnych dni.

Pobiegłam po dość odsłoniętym terenie, który był tylko lekko pochyły. Takie miejsca zdarzają się często w pobliżu wierzchołka. Musiałam mieć nadzieję, że tym razem to nie złudzenie

optyczne. Przebiegłam przez rząd eukaliptusów i dotarłam na szczyt.

Słyszałam, jak sapiąc i dysząc, wchodzą za mną na górę. Po lewej stronie rozległ się gwizd pociągu. Tuż przede mną, nieco w dole, poruszyło się drzewo, jakby coś dużego, na przykład silna sowa, schwytało coś małego, na przykład oposa. Nadal nie wiedziałam, w którą stronę uciekać, ale byłam pewna jednego: nie mogłam tam dłużej zostać. Nie miałam żadnej osłony.

Pobiegłam w dół, kierując się w prawo. Usłyszałam czyjeś głosy: były tak donośne i wyraźne, że żołnierze najwidoczniej dotarli już na szczyt. Chyba spierali się o to, co robić. Ucieszyłam się. Zyskałam parę sekund. Zjechałam po śliskiej trawie, o mało nie tracąc równowagi, a potem popędziłam na złamanie karku w dół wzgórza.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy mnie ścigają. Poczułam się pewniej, jakbym miała jeszcze szansę, ale to było trochę przedwczesne. Trzymali w zanadru inną taktykę, która nie przyszła mi do głowy. Nagle posypały się kule. Świstały daleko z lewej, ale się zbliżały. Żołnierze szpikowali cały stok pociskami z karabinów.

Przebiegłam jeszcze sześć kroków, a potem rzuciłam się na ziemię. Leżałam, ściskając się za brzuch, jakby już mnie trafili. Byłam przerażona. Kule świstały coraz bliżej. Zabawne: gdybym zastanowiła się nad tym przed wojną, powiedziałabym, że kule w lesie nie są aż takie groźne. Być może połamią kilka gałązek, ale niewiele poza tym. Ale te pociski przypominały piłę łańcuchową. Słyszałam, jak rozwalają las na kawałki. Towarzyszyły temu potworne dźwięki. Nie tylko nieznośny huk broni palnej, ale i trzask spadających wokół gałęzi, łamiących się, pękających i uderzających o ziemię. Do tego wrzask zaskoczonych papug wyrwanych ze snu. Pisk rykoszetów. Cichy las nagle zmienił się w dziki, niekontrolowany pokaz sztucznych ogni. W zasadzie nie było wiele do oglądania, nie licząc deszczu iskier, kiedy kule trafiały w skały, ale hałasu wystarczyłoby na otwarcie olimpiady.

Przez cały czas miarowe sapanie pociągu w tle stawało się coraz głośniejsze i coraz bliższe. Nigdy wcześniej nie słyszałam takiej orkiestry paskudnych mechanicznych dźwięków.

Mimo wszystko myślę, że ten pociąg okazał się dla mnie wybawieniem – w każdym razie w tamtej chwili. Ostrzał ucichł równie nagle, jak się rozpoczął, choć jeszcze przed chwilą kule kosiły roślinność zaledwie dziesięć metrów ode mnie. Żołnierze chyba się domyślili, że za kilka sekund podziurawią własny pociąg. Usłyszałam ich krzyki na szczycie. Chyba się rozbiegli i zaczęli schodzić ze wzgórza. Nie czekałam, żeby to sprawdzić. Pochylona tuż nad ziemią znowu pobiegłam w prawo, ciągle kierując się w dół.

Po niespełna stu metrach dotarłam do asfaltowej drogi, obok której niedawno przechodziłam z Homerem i Gavinem. Byłam pewna, że prześcignęłam pościg, więc skręciłam w lewo i pobiegłam po asfalcie. Bieg po równej nawierzchni przyniósł mi ogromną ulgę: nie musiałam się przejmować gałęziami i króliczymi norami. Po raz pierwszy tamtej nocy powietrze na mojej twarzy wydawało się świeże i rześkie. Znowu poczułam przyływ nadziei przypominający szybkie rażenie prądem.

Powinna była mieć więcej rozumu. Trudno było się połapać w tym, co się działo, ale najwyraźniej drogą zbliżała się druga grupa żołnierzy, szukając mnie i moich przyjaciół. Zrozumiałam to, kiedy usłyszałam tupot, jakby pędziło za mną stado świeżo podkutych koni. Przez chwilę nie wiedziałam, o co chodzi, ale kiedy jeden z nich krzyknął piskliwym głosem, nie miałam już problemów z domyśleniem się, co się dzieje.

„O Boże” – sapnęłam. Nie byłam pewna, czy mnie zauważyli.

Podejrzewałam, że nie. Ale za kilka sekund wszystko miało się zmienić. Naprawdę poczułam, że to może być koniec. Nic mnie nie osłaniało. Przyspieszyłam, choć wiedziałam, że nie starczy mi sił na długo. Zużyłam wszystkie rezerwy. Docierałam do mostu nad torami. Ziemia drżała, solidaryzując się z pociągiem. Większość wagonów już przejechała. Widziałam, jak suną w prawo. Wyglądało to na długi pociąg, przewożący ciężki ładunek i mozolnie brnący pod górę. Kiedy biegłam po moście, jakieś dziesięć ostatnich wagonów, identycznych otwartych i pustych wagonów towarowych, zaczęło pod niego wjeżdżać z lewej strony. Czułam je pod stopami. Po chwili pierwszy z nich wynurzył się z prawej. Miałam wrażenie, że wyjeżdża szybciej, niż wjechał. Ale nie wahałam się ani przez moment.

Dzięki Bogu, w wagonach nie było żołnierzy czuwających nad bezpieczeństwem przejazdu. Pewnie dlatego, że pociąg nie przewoził oddziałów. Daleko z przodu jechały wagony pasażerskie, ale dzieliło mnie od nich co najmniej dwadzieścia towarowych, a poza tym i tak nie widziałam w środku żadnych żołnierzy.

Łądowanie było dość twarde. Pociąg poruszał się wolno i mozolnie, ale od mostu dzieliła go spora odległość, a na dole nie było niczego, co zamortyzowałoby upadek. Tylko mniej więcej trzydziestocentymetrowa warstwa węgla. Wylądowałam pionowo, ale w ostatniej sekundzie przechyliłam się na bok i wyciągnęłam rękę, głównie po to, żeby ochronić chore kolano. W faktycznej rzeczywistości, jak mawia mój tata, kiedy próbuje być zabawny, nie istniał chyba żaden błyskotliwy sposób na to lądowanie. Nie zrobiłam sobie większej krzywdy. Dodałam tylko mnóstwo nowych siniaków, bólu i dolegliwości do tych, które już zdążyłam zgromadzić podczas tej wojny. W pewnym sensie najgorsze było zetknięcie z ostrymi krawędziami węgla – każda bryła pozostawiła osobny siniak.

Przez chwilę leżałam na węglu. Jeśli ktokolwiek zauważył mój skok z mostu, za chwilę mógł zacząć strzelać. Jak ludzie na weselu rzucający ryż: zasypaliby mnie kulami. Pozostawało mi jedynie modlić się o dwie rzeczy: po pierwsze, żeby nikt mnie nie zauważył, a po drugie, żeby w przeciwnym razie nikt nie miał telefonu komórkowego ani krótkofalówki pozwalającej zadzwonić do maszynisty albo nawet do żołnierzy podróżujących tym składem.

Nie słyszałam żadnych strzałów, ale to miało niewielkie znaczenie. Wtaczając się na wzgórze, pociąg robił tyle hałasu, że i tak bym ich nie usłyszała.

Nie mogłam liczyć na to, że pierwsza modlitwa została wysłuchana, i z drugą było tak samo. Odczekałam chwilę, zanim pociąg dotarł na górę, a potem zaczął nabierać prędkości. Wstąpiły w niego nowe siły, wyjechał ze wzgórz i zbliżał się do bardziej płaskiego terenu. Podźwignęłam się i ruszyłam w stronę przedniej części wagonu. Zachowując największą ostrożność, wysunęłam nos zza krawędzi i spojrzałam. Przede mną długi pociąg wyginał się jak olbrzymi wąż rozłożony wśród pól. Nie miał włączonych świateł. Był tylko ciemnym kształtem w mroku.

Spojrzałam do tyłu.

I od razu tego pożałowałam.

Na początku myślałam, że mi się przywidziało. Moją uwagę przykuł jakiś maleńki ruch. Przyjrzałam się z niepokojem, serce urosło mi w piersi tak bardzo, jakby chciało mnie udusić, i dostałam dowód, którego nie chciałam dostać. Jakiś żołnierz podciągnął się na krawędzi dwa wagony dalej i zanurkował do środka.

Wiedziałam, że nie jest sam, bo poprzedni ruch wykonała ręka innego żołnierza, który był tuż przed nim i stał na czele pościgu, obrawszy sobie za cel schwywanie mnie i zostanie bohaterem.

Przynajmniej miałam nadzieję, że to on prowadzi. Bo gdyby przed nim był jeszcze jeden – albo kilku – moja sytuacja stałaby się beznadziejna.

Szybkim ruchem zdjęłam plecak i uklękłam obok niego, wrywając paski ze sprzączek. Wyglądało na to, że żołnierze nie mają broni – prawdopodobnie porzucili karabiny, skacząc do pociągu, albo może je uszkodzili – a to nie wróżyło im dobrze.

Złapałam granat w ciemnym, stęchłym wnętrzu plecaka. Uzbrowiliśmy granaty jeszcze na polanie, poprzedniego popołudnia. Denerwowałam się tym, biegnąc przez las. Każde z nas dostało po jednym, ale nawet ten jeden mógłby bez trudu wysadzić mnie w powietrze. Teraz też powinien był mi wystarczyć – pod warunkiem że zabiorę się do sprawy jak należy. Miałam tylko nadzieję, że spiszę się lepiej niż pan Pimlott, który wysadził w powietrze samego siebie.

Pobiegłam na koniec wagonu. Wyrwałam zawleczkę zębami, tak jak nas uczył Ryan, i wyprostowałam się przed rzutem.

Żołnierz patrzył mi prosto w oczy.

Właśnie się gramolił z sąsiedniego wagonu. Dzieliło nas tylko łączenie między dwoma wagonami. Niewielka odległość. Wyraźnie widziałam jego twarz. Nosił okulary, co wytrąciło mnie z równowagi. Zawsze kojarzę okulary z poważnymi, miłymi ludźmi. To nielogiczne, ale właśnie tak robię. Zawahałam się z granatem w ręku. Wiedziałam, że mogę mu go przerzucić nad głowę,

wprost do wagonu, ale w takim wypadku dałabym mu wielką zachętę do przeskoczenia do mnie. Nie chciałam jego towarzystwa. Ale z drugiej strony nie mogłam tak stać i trzymać odbezpieczonego granatu.

Rzuciłam.

Naprawdę, nie mogłam podjąć innej decyzji. Zwlekałam wystarczająco długo. Rzuciłam, a potem odwróciłam się i pobiegłam. Tym razem nie sięgnęłam po plecak. Pomyślałam, że jeśli przeżyję wybuch, będę mogła po niego wrócić. Dotarłam na koniec wagonu i zaczęłam się wspinać, ale potem zdałam sobie sprawę, że na to też mam za mało czasu. Dlatego zeskoczyłam i przycupnęłam w kącie. Po drugiej stronie facet w okularach dał susa i zanurkował w stronę rogu naprzeciwko mnie, po przekątnej. Mniej więcej przez sekundę kuliliśmy się w naszych kątach, zasłaniając głowy rękami i czekając na eksplozję. Rzuciłam ukradkowe spojrzenie w jego stronę. Granat wybuchł.

Wtedy pociąg pędził już ze sporą prędkością. Nie jestem zbyt dobra, jeśli chodzi o szacowanie prędkości, ale powiedziałabym, że rozbujaliśmy się do setki. Powietrze było zimne, a pociąg huczał i kołysał się jak byk na rodeo. Granat eksplodował z hukiem, jasne, ale nie było tak głośno, jak się spodziewałam. Nastąpił potężny głuchy łoskot i poczułam, jak wagon huśta się i drży, lecz nie wypadł z torów. Przez chwilę jakby zwolnił i to wszystko. Rozpoczął się jednak następny niespodziewany pokaz sztucznych ogni. Nie taki ładny i przyjemny, jaki oglądamy, leżąc na leżaku i wołając: „Ooo!”, „Aaa!”, ale inny, cholernie niebezpieczny. Skwierczące kawałki metalu przeszły powietrze i zaczęły spadać. Było słyhać towarzyszący wlotowi świst, a potem przerażające zawodzenie podczas opadania. Niektóre kawałki były duże, ale większość mała. I właśnie te małe okazały się najgorsze. Tuż obok mnie spadły dwa większe i uchyliłam się bez trudu. Za to małe posypały się jak śnieg i uniknięcie ich było równie trudne jak uchylenie się przed płatkami śniegu. Wylądowały na mnie co najmniej cztery, a dwa przepaliły mi ubranie i dotarły aż do skóry. Syknęłam z bólu, ale wiedziałam, że nie mogę tak siedzieć i czekać na wodę utlenioną i bandaż. Gdy tylko najgorszy prysznic dobiegł końca, wstałam i znowu podbiegłam do ściany.

Nie marnowałam czasu na oglądanie się. Wiedziałam, że on tam jest. Była szansa, że mi się poszczęściło i spadł na niego kawał stopionej stali z dużej wysokości, ale ta szansa była mała. Nie miałam zamiaru siedzieć beczynnym i powierzać jej swojego losu.

Wdrapałam się na metalową ścianę wagonu i przeturlałam po krawędzi.

Przez chwilę wisiałam i patrzyłam w dół. Widok był okropny. Sprzęgi kołysały się i obracały. Pod nimi widziałam rozpędzone ciemne tory. Sam żwir, podkłady kolejowe i stal. Jedno poślizgnięcie i mogłam stracić nogę. Drugie poślizgnięcie i pociąg rozerwałby mnie na strzępy, zmiażdżył na papkę.

Nie mogłam znaleźć stabilnego oparcia dla nóg. Ale musiałam się ruszyć. Opuściłam się na wąski schodek i odwróciłam twarzą do przerwy między wagonami. Rozłożyłam ręce i zrobiłam niepewny krok. Mój but wylądował na czymś w rodzaju wielkiego bufora, który tarł o drugi bufor. Nie mogłam liczyć na porządną platformę. „Słuchaj – powiedziałam sobie surowo – to beznadziejne. Jeśli będziesz się denerwowała, niczego nie zdasz. Po prostu przejdź na drugą stronę i miej to z głowy”.

To było jak przeskakiwanie przez strumień, który może się okazać zbyt szeroki.

Wzięłam głęboki oddech i przeniosłam cały ciężar ciała na bufor, ale nie na tyle długo, żeby uzależnić od niego powodzenie akcji. Czując, że panika zaraz mnie rozerwie, wykonałam nerwowy skok, największy, na jaki było mnie stać, w kierunku małego schodka na końcu sąsiedniego wagonu. Potem, nie tracąc rozpędu, przeszłam dalej i sięgnęłam do krawędzi metalowej ściany, a następnie podciągnęłam się i zajrzałam do środka.

Dokładnie w tej chwili, kiedy już myślałam, że mi się udało, poczułam potworny nacisk na lewą nogę. Jakby ktoś chciał mi ją wyrwać ze stawu. Wisząc na ścianie, spojrzałam w dół. Żołnierz w okularach patrzył na mnie z wściekłością. Wyglądał, jakby mu odbiło. Stał na buforach, palcami lewej ręki trzymał się boku wagonu, a prawą ciągnął mnie za nogę jak kierowca ciężarówki zaciskający sznur wokół ładunku. Chwyciłam za krawędź ściany jeszcze mocniej, ale jednocześnie pomyślałam: „To bez sensu”. No bo co zamierzałam zrobić? Wisieć tak do końca wojny? Facet w

okularach miał nade mną przewagę. Stał za moimi plecami, a ja miałam zajęte ręce, więc byłam bezsilna. Jeśli chciałam go pokonać, musiałam coś wymyślić. Tylko co?

Nacisk się zwiększył i poczułam, że moje palce zaczynają się ześlizgiwać. Facet był silny, nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Nadal nie do końca wiedziałam, co robić, ale rozluźniłam ciało z nadzieją, że taki blef przekona go o jego zwycięstwie. I chyba rzeczywiście go tym zaskoczyłam. Poczułam, jak zmienia chwyt, lekko wypuszcza moją nogę, a potem łapie ją znowu, trochę wyżej. Wtedy kopnęłam go z całej siły.

Widocznie kopnęłam mocno, bo moje ciało na chwilę oderwało się od ściany. Wiem o tym, dlatego że wkrótce znowu o nią rąbnęłam. Ale równocześnie poczułam, że moja noga uwalnia się z jego uścisku. Wdrapałam się po ścianie wagonu szybko jak szczur po dachu. Na górze, przechodząc na drugą stronę, szybko spojrzałam za siebie z nadzieją, że niczego nie zobaczę, że facet zsunął się między sprzęgami i leży teraz w papce z mięsa, krwi i kości na torach. Chciałam się go pozbyć, i to szybko. Budził we mnie paniczny strach i rozpaczliwe pragnienie ucieczki. Ale kiedy przetaczałam się w stronę sąsiedniego wagonu, zobaczyłam, że idzie za mną i nadal próbuje mnie złapać. Miał pecha, bo nie udało mu się mnie dosięgnąć. Zeskoczyłam do wagonu i pobiegłam na drugi koniec.

W górę, do środka i biegiem, w górę, do środka i biegiem. Po tym wagonie zrobiłam to jeszcze dwukrotnie, spoglądając na żołnierza w okularach za każdym razem, kiedy wdrapywałam się na następną ścianę. A on ciągle mnie gonił. Biegając i podciągając się, próbowałam myśleć. Wiedziałam, że niedługo wagony się skończą. Za każdym razem, kiedy wskakiwałam do środka, kątem oka widziałam zbliżające się wagony pasażerskie. Wyglądało na to, że jest ich z dziesięć, a dzieliło mnie od nich zaledwie siedem albo osiem wagonów towarowych. Facet, który mnie ścigał, był twardszy i silniejszy ode mnie. No, w każdym razie silniejszy. Musiałam coś wymyślić, po prostu musiałam.

Kiedy weszłam do następnego wagonu, nie pobiegłam po jego kołyszającym się dnie tak jak wcześniej. Tym razem przycupnęłam, osłonięta ścianą, z której właśnie zeskoczyłam. I czekałam.

To nie było długie oczekiwanie. Zaledwie chwilę później usłyszałam, jak jego buty stukają o zewnętrzną stronę ściany. Dłonie macały ciemną stal. Spojrzałam w górę. Palce żołnierza dosięgły już góry i zacisnęły się na grubej krawędzi. Przygotowałam się. Próbowałam sobie wyobrazić, że moje zmęczone nogi to sprężyny, że poruszam się na sprężynach. Zebrałam całą energię, jaką mogłam jeszcze wykrzesać.

Najważniejsze było wyczucie czasu. Czekałam na tę ważną chwilę, w której powinien balansować na górze. Wiedziałam, że to moja jedyna szansa. Musiałam ją wykorzystać.

Zobaczyłam czubek jego głowy, światło księżyca odbijające się w szklach okularów. Dzięki Bogu, nie patrzył w dół. Skupił wzrok na krawędzi, po której miał się przeturlać, i na swoich palcach. Kiedy był już na górze i miał się przetoczyć, spojrzał na drugi koniec wagonu, chyba próbował mnie dojrzeć, zobaczyć, czy się do mnie zbliża.

To była moja chwila. Skoczyłam w górę, jakby te sprężyny były w idealnym stanie, i wykorzystałam platformę swoich nóg, żeby włożyć w to całą siłę, jaką mogłam jeszcze znaleźć. Rzuciłam się na ramię i biodro żołnierza nie dlatego, żebym miała jakiś logiczny plan, ale dlatego, że instykt wskazał mi je jako najważniejsze punkty równowagi jego ciała. Jego czułe punkty. Dziękuję, panie Pimlott.

Odepchnęłam go od ściany, na której pozostały tylko jego ręce. Atakując go z dołu, miałam mocną pozycję. Przesunęłam większość jego ciała na drugą stronę, zanim zdążył się połapać.

Tylko że rozpaczliwie trzymał się wagonu palcami. Widziałam, jak bieleją mu knykcie, kiedy mocniej je zaciskał. Co gorsza, zaczynał znowu leżeć na górze. Słyszałam szuranie jego butów o stal, kopanie o ścianę wagonu w poszukiwaniu punktu oparcia dla stóp.

Czułam, że mój umysł pracuje z ogromną prędkością, jak procesor Pentium. Analizowałam ze sto możliwości w ciągu pół sekundy. Potem sobie przypomniałam.

Sięgnęłam do kieszeni. Czy nadal tam będzie? Jeśli nie, nie miałam innych możliwości, innych pomysłów.

Moje palce zacisnęły się na zmyślnej małej zapalniczce do zadań specjalnych, którą dostałam od Ryana. Wyjęłam ją z kieszeni. Szybko, pospiesz się, zanim odzyska równowagę!

Szybko, szybko, szybciej, szybciej!

Te gadzety były projektowane pod kątem łatwości obsługi. Stworzono je dla takich ludzi jak Ryan: dla sabotażystów i partyzantów. Dla takich ludzi jak ja.

Zapaliłam zapalniczkę. Nie musiałam się długo przyglądać, żeby wiedzieć, że działa. Mały krążek gorącego światła podpowiedział mi, że tak. Przysunęłam go do ręki tego żołnierza.

To było straszne. Przez chwilę naprawdę nadal trzymał się wagonu. Aż w końcu poczułam swąd palonej skóry. Potem cofnął tę rękę.

Kiedy zbliżyłam zapalniczkę do drugiej ręki, nie wytrzymał już aż tak długo.

Wrzasnął, wydając z siebie jedyny jak do tej pory dźwięk, i usłyszałam, jak jego nogi szurają o coś po drugiej stronie stalowej ściany.

A potem nic. Tylko szum i dudnienie pociągu oraz zimny księżyc wysoko na niebie.

Miałam dobry widok na księżyc, bo leżałam na plecach i patrzyłam w górę. Naga stalowa podłoga wagonu była zimna, ale mnie to nie przeszkadzało. Kiedy żołnierz odpuścił, osunęłam się na nią z wdzięcznością. Cała ta nienaturalna siła, ta energia, natychmiast opuściły moje ciało.

Ale nie mogłam tak leżeć. Musiałam sprawdzić, co się z nim stało.

Podźwignęłam się na nogi i spróbowałam się wdrapać na ścianę. Nagle odkryłam, że nie mam już sił. Podbiegłam do drugiego rogu i zaczęłam, aż pociąg szarpnie w moją stronę. Kiedy skręcił w lewo, wcisnęło mnie w ten kąt i wykorzystałam siłę rozpędu, żeby znowu wspiąć się na ścianę.

Wisząc w rogu, wsparta na łokciach, ze stopami wysoko na ścianie i wypiętym tyłkiem, w końcu spojrzałam na sprzęgi między wagonami. Nie wiedziałam, jakiego widoku oczekiwałam. Pewnie żadnego, jedynie smugi krwi i bezludnej przestrzeni.

Jeśli tego się spodziewałam, to srodze się zawiodłam. Ku mojemu przerażeniu, facet leżał tam plecami na sprzęgach, nieprzytomny, z jedną ręką pograżoną w mroku na dole.

Widocznie podczas upadku uderzył się w głowę. Wyglądało na to, że jego rękę dzielił tylko centymetry od żwiru na torach, które mknęły pod kołami z prędkością miliona kilometrów na godzinę. Gapiłam się na to z przerażeniem. To zabrzmi okropnie, ale chyba wołałabym, żeby zginął. Potrafiłam myśleć wyłącznie o tym, żeby zniknął z mojego życia: im szybciej, tym lepiej. Ale tak naprawdę mogło do tego dojść tylko wtedy, gdyby spadł, co przy takiej prędkości oznaczałoby śmierć.

Nie potrafiłam myśleć. Chcąc zyskać na czasie, wspięłam się na krawędź ściany i przesłam na drugą stronę. Ostrożnie ominęłam tego faceta i przeskoczyłam przez sprzęgi. Doszłam do wniosku, że teraz przynajmniej mogę odzyskać plecak. Wiedziałam, że muszę go mieć – i to nie tylko dlatego, że ostatnio byłam z nim bardziej związana niż ten gość z Notre Dame z garbem na swoich plecach. Nie, najważniejszym powodem było to, że nadal miałam w nim plastyczne materiały wybuchowe, cały kilogram. Cokolwiek się działo, znalazłam się w wyjątkowej sytuacji – w należącej do wroga pociągu, który mknął w ciemności – i miałam świetną okazję, żeby zrobić dokładnie to, czego chciał Ryan. Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby wykorzystać tę szansę i zasiać naprawdę wielkie zniszczenie. Najlepiej nie robiąc wielkiej krzywdy sobie samej.

Przynajmniej bez problemu dotarłam do plecaka i bez problemu założyłam go na plecy. Nie widziałam żadnych wrogich żołnierzy. Najwyraźniej granat załatwił sprawę. A jeśli w wagonie służbowym ktoś jechał, to siedział cicho. Sprytne posunięcie, kiedy sabotażyści wysadzają ci pociąg kawałek po kawałku. A może wartownik ścigał mnie razem z żołnierzami?

Nadal nie zdecydowałam, co zrobić z nieprzytomnym facetem w okularach. Ale kiedy wspięłam się na przednią ścianę wagonu, przy którym go zostawiłam, okazało się, że zniknął. „Musiałam źle policzyć – pomyślałam. – Pewnie leży przy następnym wagonie”.

Ale kiedy przechodziłam po sprzęgach, zdałam sobie sprawę, że jednak się nie pomyliłam. Na stalowym stopniu po lewej zauważyłam charakterystyczną smugę krwi.

Co się stało? Dokąd on poszedł? Nie miałam pojęcia. W każdym razie istniały tylko dwie możliwości. Albo zsunął się z krawędzi, albo był gdzieś dalej, w pociągu.

Musiałam iść naprzód, ale mój nastrój zupełnie się zmienił. Przed chwilą byłam podekscytowana i skora do działania, chciałam zniszczyć ten pociąg, zdobyć medal za odwagę i dać

rodzicom powód do dumy. Teraz myślałam: „Zamieniłabym ten medal i wszystko, co się z nim wiąże, na bezpieczne dotarcie do początku tego przeklętego pociągu”.

Kolejne sześć wagonów towarowych udało mi się pokonać bez problemu. W dwóch ostatnich było mnóstwo rzeczy: w jednym setki pustych dwudziestolitrowych beczek oraz stojący z tyłu pojemnik z pokrywami. Przynajmniej można było swobodnie przejść przez środek, więc przedostałam się tamtędy z łatwością. Drugi wagon był do połowy wypełniony drewnianymi skrzynkami. Nie zatrzymałam się, żeby im się przyjrzeć, ale leżały w nich chyba jakieś urządzenia.

Byłam coraz bardziej spięta. Nie tylko dlatego, że nie wiedziałam, co się stało z facetem w okularach, ale też dlatego, że zbliżałam się do początku składu, w którym jechały wagony pasażerskie. Nadal nie wymyśliłam, jak zniszczyć pociąg, ale wiedziałam, że nie ma sensu atakować pustych wagonów. Im bliżej byłam lokomotywy, tym lepiej. Ciągle myślałam o tym, co muszę zrobić. Jasne: rozwalić pociąg, najlepiej silnik lokomotywy. Spróbować sprawdzić, czy w wagonach pasażerskich ktoś siedzi. A potem zdecydować, czy mam w sobie wystarczająco okrucieństwa albo odwagi, żeby wysadzić ich wszystkich w powietrze.

Idąc przez kolejny wagon, obok mniej więcej dziesięciu zwojów drutu, pomyślałam: „Tak naprawdę zależy mi na zablokowaniu całej linii, żeby nie mogli z niej korzystać”.

Ale nie wiedziałam, jak to zrobić.

Od części pasażerskiej dzielił mnie już tylko jeden wagon. Był w trzech czwartych wypełniony beczkami z jakąś substancją chemiczną. Opatrzono je napisami w obcym języku, więc nie mogłam ich odczytać, ale na każdej widziałam mały znaczek zarezerwowany dla materiałów łatwopalnych. Oznaczał, że w razie wypadku pociąg może się zamienić w dość toksyczne ognisko.

Przeszłam po beczkach. Tylko w ten sposób mogłam się dostać na drugą stronę. Pociąg znowu przyhamował, dość ostro, bo zaczęliśmy wspinaczkę na następne wzgórze. Z każdym kilometrem coraz bardziej oddalałam się od przyjaciół, ale prawie o tym nie myślałam. Wiedziałam, że jeśli nie poświęcę temu zadaniu całej uwagi, nie mam szans na przetrwanie. Możliwe, że Homer i reszta nigdy się nie dowiedzą, co mnie spotkało. Zakładając, że przeżyli.

Dotarłam do połowy wagonu. Czulałam się jak baletnica: stapałam z gracją i z każdą minutą czulałam się pewniej. Byłam przekonana, że przy prędkości, z jaką się poruszam, dogoniłabym żołnierza, któremu przypaliłam ręce. Dlatego doszłam do wniosku, że zsunął się ze sprzęgów.

To przypominało koszmar, potworny koszmar: facet w okularach nagle wynurzył się zza beczek. Był jak zjawa. Miał wymizerowaną, wgapioną we mnie twarz i czekał. Widział, że się zbliżam, więc schował się za beczkami z przodu.

Znieruchomiałam i wbiłam w niego wzrok. Kiedy ruszył w moją stronę, poczułam własne oparzenia od rozgrzanego metalu. Były jak czujniki, ostrzegały mnie. Ale nie mogłam się ruszyć. Po prostu się na niego gapiłam, nie będąc w stanie niczego wymyślić.

Dzieliło go ode mnie najwyżej dwadzieścia beczek. Potem piętnaście, dwanaście, dziesięć.

W końcu wykonałam jakiś ruch. Zaczęłam się wycofywać. To niezbyt błyskotliwe posunięcie, ale ucieszyłam się, że moje kończyny znowu pracują. Przez minutę byłam tak sparaliżowana jego upiorną bladą twarzą, że nie potrafiłam nawet drgnąć. Oprawki jego okularów, światło księżycy odbijające się w szklach nadawały mu wygląd ufoludka w goglach. Jedno szkło było pęknięte – i nic dziwnego. Przez to wyglądał jeszcze bardziej przerażająco.

Nadal się wycofywałam, aż w końcu uderzyłam plecami w zimną, twardą stal ściany. Stałam tak i próbowałam zmusić umysł do pracy, oprzeć się hipnotyzującej mocy nadciągającego wroga. Musiałam na chwilę odwrócić wzrok, żeby wyrwać się spod jego wpływu. Pomógł mi pociąg, który znowu przyspieszył, wchodząc w ostry zakręt w lewo. Obydwoje straciliśmy równowagę, ale żołnierz w większym stopniu niż ja, bo stał na beczkach. Musiał przykucnąć i złapać za nie rękami.

Kiedy to zrobił, sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam najbardziej przydatną broń, jaką miałam. Zapalniczka znowu się przydawała. Pomyślałam, że jeśli z tego wyjdę, kupię jej beczkę benzyny i będę serwowała darmowe drinki do końca życia.

Żeby jednak móc liczyć na wyjście z tego cało, musiałam się wysilić na wielki blef.

Beczki miały standardowe pokrywy z gwintem. Chwyciłam tę, która stała najbliżej i

przekreśliłam pokrywę. Na szczęście nie była zabezpieczona przed dziećmi. Wtedy pewnie bym sobie nie poradziła. Przez chwilę stawiała opór, ale kiedy przerwałam pieczęć, ustąpiła z łatwością.

Dźwignęłam beczkę i zaczęłam ją przechylać. Zawartość miała mocny zapach. Wydzielała intensywną woń, jak benzyna, krezot albo marker. Możliwe, że było tam coś w rodzaju żywicy. Gęste jak miód, ale wylewało się bez trudu.

Pociąg pędził w dół, a kałuża, którą zrobiłam, rozlewała się po dnie wagonu, znikając wśród innych beczek.

Zrobiła wrażenie na żołnierzu. Może przeczytał napisy na etykietach i wiedział, co to jest. A może rozpoznał zapach. W każdym razie wstał, żeby się od niej odsunąć. Jedną nogę postawił na jednej beczce, a drugą na drugiej i mocno rozpostarł ramiona, żeby utrzymać równowagę pomimo kołysania pociągu.

Wtedy pokazałam mu zapalniczkę.

Zadziało. Widząc, jak podnosi ręce i zaczyna się wycofywać, oglądając się za siebie w poszukiwaniu miejsca, w którym można by postawić stopę, zaczęłam się zastanawiać, co jest w tych beczkach. Przykucnęłam, jakbym chciała podpalić płyn, a facet w okularach przyspieszył, nie zadając sobie już trudu, żeby patrzeć pod nogi. Krzyknął coś do mnie, ale nie usłyszałam, co, bo pociąg strasznie hałasował. Zresztą i tak bym nie zrozumiała. Wyprostowałam się i dałam mu znak, żeby szedł dalej. Trochę zwolnił i nachmurzył się, jakby doszedł do wniosku, że jednak nie podpale kałuży. Wbiegłam po beczkach na ścianę wagonu i nachyliłam się, pokazując mu zapalniczkę, jakbym miała zamiar ją zapalić i rzucić. Wtedy żołnierz przyspieszył. Kiedy dotarł na koniec wagonu, zniknęłam mu z pola widzenia, zeskakując na sprzęgi, a potem wskoczyłam do wagonu obok. Wiedziałam, że nie zostało mi dużo czasu. Skończyły mi się blefy.

Trzy wagony dalej dotarłam do celu. Nie została mi już ani odrobina energii. Wszystkie wagony pokonałam biegiem: sprint po dnie i wspinaczka na ścianę. Na końcu bolały mnie zębra, nogi opadły z sił, a ręce nie chciały się więcej podnosić.

Dotarłam do wagonu z dwudziestolitrowymi beczkami i – co ważniejsze – z pojemnikami wypełnionym pokrywami. Przez chwilę trzymałam się ściany i dyszałam. Te pokrywy były moją ostatnią szansą. Wiedziałam, że jeśli to nie zadziała, będzie po mnie. Nie zostało mi nic, dzięki czemu mogłabym kontynuować walkę: nie miałam już siły, energii ani ducha.

Spojrzałam w kierunku, z którego przyszedłam. Za chwilę mój przeciwnik też miał stamtąd nadzieję. Już tu był! Nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że biegłam bardzo szybko. Że nikt nie zdoła mnie dogonić. Ale wzrok mnie nie mylił: jego dwie białe ręce niczym długie blade pająki pojawiły się na czarnej stali pociągu, kiedy gramolił się na drugą stronę.

Próbowałam uspokoić walące serce, zapanować nad gwałtownym ruchem klatki piersiowej i nad drżeniem rąk. Chwyciłam pokrywę, przekreśliłam trochę, żeby złapać właściwy rytm, i rzuciłam – dokładnie w chwili, kiedy znad krawędzi wychyliła się jego głowa.

Za wysoko. Spudłowałam o metr. I od razu zrozumiałam, że się pospieszyłam. Osiągnęłam tylko tyle, że znów się ukryje. Po prostu się wycofa, znajdzie jakąś broń albo wezwie posiłki.

Miałam szczęście: facet był tak zajęty wspinaczką, że nie zauważył mojego frisbee. Dlatego tym razem zaczekałam. Przynajmniej mogłam dobrze wymierzyć i wiedziałam, że pokrywy fruwać. Były ciężkie, o wiele cięższe niż te, które mieliśmy w domu, ale akurat to mi odpowiadało. Chciałam temu facetowi zrobić krzywdę. Chciałam, żeby wszedł na krawędź, żeby pokrywa rąbnęła go w twarz i żeby spadł z pociągu, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że zmiażdżą go koła. Byłam za bardzo zmęczona, żeby dalej z nim walczyć. Albo on, albo ja. A nadal nie chciałam umierać.

Kiedy dotarł na górę, rzuciłam. Przez sekundę myślałam, że zaraz go zmiotę. Pokrywa wyglądała tak, jakby miała go trafić prosto w nos. Ale tak samo jak frisbee, z gracją odbiła w bok i minęła go o włos.

Tym razem zauważył. Zaskoczony podniósł głowę. Następna pokrywa była już w drodze. Zobaczył, jak się zbliża, i zrobił unik. Chyba spudłowałam, ale nie zdążyłam się przyjrzeć, bo już sięgałam po następną.

Wzięłam zamach i zawahałam się. Było za późno. Zeskakiwał ze ściany – i to nie po drugiej stronie, gdzie byłby bezpieczny, ale po mojej, gdzie ja nie byłam bezpieczna. Brzuch bolał mnie

tak, jakbym skoczyła na płask z najwyższej wieży na basenie. Ale nagle wróciła mi siła w rękę. Rzuciłam z mocą, która miała w sobie największe okrucieństwo, na jakie kiedykolwiek byłam w stanie się zdobyć. Pewnie już nigdy nie uda mi się tego powtórzyć. Facet właśnie się prostował po zeskoczeniu do wagonu. Tym razem trafiłam go w twarz. I to mocno. Cieszę się, że nie byłam na jego miejscu. Ręce podskoczyły mu do twarzy i runął w tył, zataczając się w stronę beczek po prawej. Między palcami popłynęła krew. Wiedziałam, że zrobiłam mu krzywdę. Sięgnęłam po śrubę jarzmową, która była w beczce. Okazała się wielka jak but. Zacisnęłam zęby i rzuciłam nią równie mocno jak pokrywą. Facet właśnie się odwracał, pochylony, i nadal trzymał się za głowę. Śruba uderzyła go w skroń, wydając ciężki głuchy odgłos. Runął i nawet nie jęknął, jakby dostał cios kijem bejsbolowym.

Ostrożnie do niego podeszłam. Nadal się ruszał, leżąc na dnie wagonu. Jego ręce podskakiwały, a nogi drgały jak u śniącego psa. Bałam się, że udaje, ale kiedy nad nim stanęłam, zobaczyłam, że widać mu tylko białka oczu, a powieki niekontrolowanie trzepoczą. Przypomniałam sobie, co mówił Kevin: że jeśli uderzy się w pewne miejsce na skroni, można kogoś zabić.

Zrobiłam jeszcze jeden krok, żeby ominąć tego faceta, i coś zachrząściło mi pod nogą. Jego okulary. Zupełnie je zmiażdżyłam: szkła i oprawkę. Tak to już jest z butami. Bywają bezwzględne.

Nadal nie rozwiązałam swoich problemów. Chciałam zniszczyć pociąg i tory, ale nie mogłam ryzykować i zostawić tego człowieka. Gdyby doszedł do siebie i znowu ruszył w pościg, nie miałabym żadnych szans. Tym razem byłby zdeterminowany. Nie zlekceważyłby mnie.

Rozejrzałam się, nie bardzo wiedząc, co robić. Potrzebowałam jakiejś wskazówki, jakiegoś znaku.

I dostałam znak.

O dziwo, wydobył się z samego pociągu. Chyba przez cały czas, kiedy rzucałam w żołnierza pokrywami, pociąg zwalniał, tyle że ja tego nie zauważyłam. Byłam za bardzo skupiona na przetrwaniu. Ale teraz usłyszałam piskliwe dźwięki, jakie wydają hamujące pociągi. Jechaliśmy po dość równym odcinku, całkiem szybko, aż nagle koła przywarły do torów i usłyszałam zgrzyt metalu o metal.

Nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle. Na początku przykucnęłam obok żołnierza, prawie oczekując ataku. Gdy tylko to zrobiłam, wiedziałam, że muszę znaleźć siłę do dalszej walki. Dlatego poszłam na koniec wagonu i wspierałam się na beczkę, żeby wyjrzeć zza krawędzi i sprawdzić, co się dzieje.

Zobaczyłam niewiele. Jasne, księżyc świecił dość mocno, ale jego światło na nic się nie zdało. Po prostu nie było nic do zobaczenia. Tylko drzewa, drzewa i jeszcze więcej drzew. Zwalnialiśmy w samym środku lasu. Może gdzieś przed nami paliło się czerwone światło. Może był jakiś problem z silnikiem. Może maszynista musiał skoczyć w krzaki.

Odwróciłam się i spojrzałam na żołnierza. Przewrócił się na bok, ale wcale nie wyglądał lepiej. Pomyślałam, że spokojnie mogę go tak zostawić. Podciągnęłam się i przykucnęłam na sprzęgu. Pociąg zahamował. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś nadejdzie – albo szukając mnie, albo przeprowadzając ogólną kontrolę składu. Ale musiałam zaryzykować. Wiedziałam, co chcę zrobić. Nie byłam tylko pewna, czy mi się uda. Nie mogłam uwierzyć, jakie to proste. Kiedy wyjęłam bolec, sprzęg od razu odskoczył. To okazało się łatwiejsze niż odczepienie przyczepy od traktora. Potem wystarczyło już tylko wyjąć parę kabli.

Cała akcja zajęła mi pół minuty. Usiadłam, czując ulgę, podekscytowanie i złość, że nie zrobiłam tego, kiedy pociąg jechał. Oszczędziłabym sobie wielu kłopotów.

Teraz pozostawało mi tylko czekać i mieć nadzieję, że żołnierz nie dojdzie do siebie. Zajrzałam do wagonu, wychylając się najmniej, jak to możliwe. Facet dalej tam leżał, ale znowu na plecach. Oddychał spokojniej, wolniej. Przestały mu drgać powieki. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł się ocknąć. Sięgnęłam po pokrywę beczki, zastanawiając się, czy będę miała odwagę uderzyć go jeszcze raz. Skądś wiedziałam, że nie. Minęła mi wściekłość, Uspokoiliłam się. Nagle zrobiło mi się zimno.

Wróciłam pod ścianę wagonu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Spoglądając nad krawędzią na ciche, trawiaste pobocze, wpadłam na następny pomysł. Może udałoby mi się upiec dwie pieczenie

na jednym ogniu. Przycisnęłam plecak do pleców i praktycznie przeskoczyłam przez ścianę. Zignorowałam rozdzielony sprzęg i wylądowałam prosto na torach. Wyrzuciłam zza wagonu: najpierw w stronę lokomotywy, a potem końca składu. Nadal nic się nie poruszało. Najciszej, jak umiałam, podbiegłam do luki między następnymi wagonami. Nikt nie zareagował, więc pobiegłam prosto w las.

Odległość wydawała się duża, chociaż pewnie nie była: od lasu dzieliło mnie ze trzydzieści metrów. Ale gdy bezpiecznie dotarłam do drzew, poczułam wielką ulgę. Problem w tym, że nie miałam czasu, żeby się nią nacieszyć. Musiałam prześcignąć pociąg. Wystartowałam, nie przejmując się już hałasem. Silnik lokomotywy czekający na sygnał do odjazdu zapewniał wystarczającą ochronę. Wiedziałam, że jeśli dopisze mi szczęście, nikt mnie nie usłyszy.

Przedzierałam się przez zarośla. W lesie było ciemniej ze względu na baldachim z drzew. Nie widziałam szczegółów przeszkód, tylko ich zarys. Wyglądało na to, że otacza mnie zróżnicowana roślinność: ostre trawy, bedfordia i oczywiście jeżyny. Chyba nawet rosło tam trochę ostrokrzewu. W każdym razie byłam tak podrapana, że moja skóra musiała przypominać czerwony moher. Czasami wpadałam na zbutwiałe pniaki, które z łatwością się rozpadały. Innym razem stawiały opór. Staralam się osłaniać bolące kolano, ale nie szło mi zbyt dobrze. To było czyste szaleństwo: najszybciej, jak umiałam, biegłam przez gęsty las, nie spuszczać z oka pociągu i mając nadzieję, że następny ciemny kształt to miękkie krzaki, a nie twardy pień drzewa...

Kiedy się potknęłam i zaliczyłam trzecią wywrotkę, starałam się biec wolniej. Ale nie było sensu. Zawładnęło mną jakieś szaleństwo. Nawet jeśli kilka minut wcześniej było mi zimno, teraz czułam się rozgrzana. Wpadłam w żarnowiec, a potem przedarłam się przez pokrzywy. Kiedy krew wrze ci w żyłach, nie czujesz większego bólu. Dopiero później pojawia się pieczenie. Mimo to trochę zwolniłam, mając nadzieję, że wybrałam bezpieczniejsze tempo. Nie byłam już nawet w stanie dojrzeć pociągu, ale cisza podpowiadała, że nie ruszył jeszcze z miejsca.

Odbiłam w stronę torów. Z ulgą wynurzyłam się z zarośli w stronę czystego terenu wzdłuż linii kolejowej. Lekki zakręt zasłaniał mnie przed wzrokiem maszynisty. Biegłam dalej. Chciałam wysadzić tory kawałek dalej, tam gdzie pociąg nabierze prędkości i porządnie się wykolei. W przeciwnym razie maszynista mógł zauważyć uszkodzenie i w porę wyhamować. Zależało mi na osiągnięciu maksymalnego efektu.

Myślę, że przebiegłam z półtora kilometra. Na szczęście dotarłam do lekkiej stromizny, po której pociąg miał zjechać ze wzgórza. Doskonale. Kiedy teren się wyrównał, zatrzymałam się i zdjęłam plecak, a potem z największą ostrożnością wyjęłam jego zawartość.

Pozostała mi tylko resztką plastiku. Ładunki, które przygotowałam z Lee, były w jego plecaku. Doszłam jednak do wniosku, że ta resztką mi wystarczy. Miło by było wysadzić tory i pociąg jednocześnie, ale nie mogłam liczyć na taki fart. Pociąg mógł nadjechać za pół minuty albo tkwić w tamtym lesie półtora dnia.

Przycięłam lont do mniej więcej pięćdziesięciu centymetrów i owinęłam go materiałem wybuchowym. Przynajmniej nie było potrzeby dbania o wodoodporność, skoro miał zadziałać już za chwilę. Jeszcze raz wykorzystałam swoją odjazdową zapalniczkę i nie rozglądając się wokół, zapaliłam lont.

Potem wszystko rozegrało się tak szybko, że nawet nie wiem, co było najpierw, co później, a co na końcu. Wiedziałam tylko, że nagle zrobiło się naprawdę paskudnie.

Pociąg nadjechał bez ostrzeżenia. Nadal nie mogę uwierzyć, że go nie usłyszałam, ale z drugiej strony w czasie pokoju nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak można zginać na przejeździe kolejowym. Bo przecież słyszać, że zbliża się pociąg, prawda? No tak, przynajmniej poznałam odpowiedź na to pytanie. Chyba byłam za bardzo skupiona na zadaniu. Tata byłby ze mnie zadowolony. Zawsze powtarzał, że mam problem z koncentracją.

W każdym razie gdy tylko odsunęłam się od lontu, poczułam napór chłodnego powietrza i milisekundę później zdałam sobie sprawę, że zbliża się pociąg. Dopiero wtedy go usłyszałam.

Nadal jechał bez świateł. Odskokczyłam do tyłu, chwytając plecak, a potem zrobiłam coś w rodzaju półobrotu i rzuciłam się z nasypu. Nie był to skok pełen gracji, ale dzięki niemu oddaliłam się od lokomotywy. Turlałam się dotąd, aż nasyp się skończył i nie mogłam się turlać dalej.

Wstałam, żeby uciekać, ale w tej samej chwili wybuchła bomba. Boże, ten lont palił się naprawdę szybko. Być może podmuch powietrza wywołany przez pociąg przyspieszył spalanie. Sama nie wiem. W każdym razie gdy tylko zaczęłam się podnosić, znowu się przewróciłam. Przewróciłam się, a potem mnie zdmuchnęło.

Powinłam być już przywyknąć do siły eksplozji. Zaliczyłam ich wystarczająco dużo. Ale do wybuchów nie sposób się przyzwyczaić. Tak bardzo wstrząsają ciałem, umysłem i miejscem, w którym tkwią emocje. Jakby ktoś wrzucił cię do młynka do kawy i włączył go na najwyższe obroty. Tracisz wszelką kontrolę. „Podskocz raz, obróć się i podnieś belę bawełny”. To fragment piosenki. Przypominasz epileptyka zbierającego bawełnę. Podłączono cię do elektrod, a twoje kończyny ruszają w taniec, do którego choreografię wymyślił ktoś inny. To straszne.

Jedyną dobrą rzeczą jest w tym wszystkim to, że taniec nie trwa długo.

Wylądowałam na plecach na wilgotnej korze i opadłych liściach. Obluzowały mi się kości, a skóra rozciągnęła się i bolała. Nie wiedziałam, gdzie jest mój plecak. Czułam tylko, że nie mam go przy sobie. Ale przynajmniej zyskałam dobry widok na anarchię, jaka rozpętała się w górze. Kawałki kory i gałęzi fruwały we wszystkich kierunkach. Za nimi widać było smugi białego dymu, które nie układały się w żadne wzory, a tylko leciały tam, gdzie im się podobało. Zobaczyłam gęstą, ogromną białą chmurę nadymającą się pośrodku wraku. Po chwili zaczęła się toczyć w moją stronę, bardzo szybko. Nagle znalazłam się we mgłę i już niczego nie widziałam.

To wszystko dało mi kopa, którego potrzebowałam. Zanim nadciągnęła mgła, zobaczyłam wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że lokomotywa i dwa pierwsze wagony przejechały po bombie, zanim wybuchła. Więc siedzącym w nich ludziom prawdopodobnie nic się nie stało. Ale pewnie byli bardziej wściekli niż nauczyciele w dniu wagarowicza. Czułam, że będą mnie ścigać, uzbrojeni w każdą broń, jaką zdołają znaleźć.

Ruszyłam po omacku przez mgłę. Leżąc na gnijących liściach, myślałam, że mgła jest idealna – że dzięki niej mogę bezpiecznie uciec. Ale teraz zrozumiałam, że to jednak niewielka korzyść. Musiałam się poruszać powoli, a ta tak zwana mgła już się podnosiła. W ciągu minuty zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a ja nadal byłam niespełna sto metrów od wraku pociągu.

Z tyłu rozległy się krzyki i nie potrzebowałam tłumacza, żeby wiedzieć, co znaczą. Ogólnie rzecz biorąc, chodziło o coś w rodzaju: „Jest tam!”. Na wprost miałam las i nigdy nie ucieszyłam się na jego widok bardziej niż wtedy. Pobiegłam w stronę drzew jak rozella w stronę pszenicy. W tamtej chwili czułam wielki pociąg do zapachu eukaliptusa.

Kiedy ruszyłam w dół wzgórza, za którym na pewno nie byłabym widoczna z pociągu, zaryzykowałam i po raz ostatni spojrzałam za siebie. Przeżyłam największy szok w życiu. Na szczycie wzgórza rozstawili się żołnierze. Był ich chyba cały oddział i w świetle płonących wagonów zobaczyłam, że są uzbrojeni po zęby. Dwaj z nich właśnie przyklękali. Najwidoczniej myśleli, że uda im się do mnie strzelić, zanim zniknę w gęstszych zaroślach.

Niestety, odwracając się, straciłam rozpęd. Wolałabym szybciej zbiec ze wzgórza, być może dać susa w paprocie, żeby żołnierze nie mogli we mnie trafić. Ale poruszałam się zbyt wolno. Mogłam jedynie gwałtownie skręcić i jednocześnie spróbować przyspieszyć. Dlatego odbiłam w lewo i prawie natychmiast wpadłam na wał, którego nie widziałam w ciemności.

Runęłam na ziemię, myśląc: „No tak, przynajmniej na chwilę zniknę im z oczu”.

Ale się przeliczyłam.

Przebiegłam jeszcze sześć kroków i dostałam kulkę.

Nigdy nie zapomnę tego uczucia. Gdyby chodziło o inny ból, pewnie jakoś bym wytrzymała. Na początku to nie był nawet najgorszy ból, jaki czułam w życiu. Pod pewnymi względami ból splotu słonecznego jest znacznie gorszy. Z tą różnicą, że po nim szybko dochodzisz do siebie. A teraz szybko mi się pogarszało.

Druga różnica miała wymiar psychiczny. Kiedy wiesz, że cię postrzelono, boli cię dosłownie wszystko.

Właściwie to przez chwilę myślałam, że ukąsił mnie wąż. Wiem, że w nocy węże raczej nie kąsają, ale jestem pewna, że to całkiem możliwe. Widywałam sporo węży nocą, kiedy było wystarczająco gorąco. Raz nawet na werandzie przed domem.

Ta noc nie była zbyt gorąca. Ale mimo to myślałam, że ukąsił mnie wąż. Czułam potworny, kłujący ból w lewej łydce, jakby wbito mi w nią rozgrzany do czerwoności ośmiocentymetrowy gwóźdź. Pieczenie od razu rozlało się po całej nodze, jakby utkwiał w niej rozżarzony węgiel.

Rozejrzałam się gorączkowo, oczekując przez chwilę, że zobaczę szybki ruch w trawie, kiedy tygrys albo krasnoludek zacznie umykać w pośpiechu. Ale było za ciemno i niczego nie zobaczyłam.

Zaczęłam podskakiwać na jednej nodze i pokonałam tak z sześć kroków, a potem ból praktycznie ustąpił. To znaczy był tam cały czas, jasne, ale nie aż taki, żeby się nad nim rozwodzić. Postawiłam nogę na ziemi, przebiegłam parę metrów, a później bach: noga praktycznie się pode mną ugięła.

Tym razem naprawdę zabolalo. Jezu, i to jak! Wtedy już wiedziałam, że to nie żaden wąż – że mnie postrzelono. Cała noga do mnie krzyczała. Nie miała już ani odrobiny siły. Zmieniła się w masę bólu sięgającego od palców wysoko do uda. Praktycznie do samego pasa.

Wtedy o tym nie pomyślałam, ale oberwałam w zasadzie w to samo miejsce co Lee: w lewą łydkę.

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale potem zdałam sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić, a zresztą i tak zmarnowałabym czas. Nie tylko nie było nikogo, kto mógłby mi przyjść z pomocą, zaproponować współczucie, bandażę i antidol, ale kilkudziesięciu żołnierzy ścigało mnie biegiem i strzelało z karabinów. Gdybym miała czas na zastanowienie, musiałabym przyznać, że strzelali celnie. Przynajmniej jeden. Albo miał niewiarygodne szczęście.

Dotknęłam nogi, jakby trzymanie się za nią mogło ukoić ból, ale to wcale nie pomogło, a kiedy cofnęłam rękę, zobaczyłam, że lepi się od krwi. Od mojej krwi. Zrobiło mi się wesoło. Pewnie byłam w szoku. Wlekłam się naprzód, niezbyt szybko, ale dygotałam i trzęsłam się, a w dodatku czułam się dziwnie. Jakbym chciała zemdleć, zwymiotować i zasnąć jednocześnie.

Zamiast tego podczołgałam się dwadzieścia metrów w stronę wielkiej kępy paproci. Dwadzieścia metrów. To była najdłuższa podróż w moim życiu. Wiedziałam, że wydaję ciche pojękiwania, jak zmęczone dziecko. To zabawne, ale wyraźnie pamiętam, że przed oczami stanęła mi wtedy mama. Nagle poczułam mocne pragnienie, żeby znowu być dzieckiem: żeby tuliła mnie do siebie, żeby leżeć w jej ramionach, czując ciepło jej ciała i wdychając jej ciepły zapach.

Ostatnie sześć lub osiem metrów pokonałam centymetr po centymetrze. Słyszałam, albo wydawało mi się, że słyszę, głosy żołnierzy, którzy mnie ścigali i szukali. Słyszałam zarówno mężczyzn, jak i kobiety, ale nie wiem, czy naprawdę, czy tylko to sobie wyobraziłam. Oddano następną serię z karabinu i wiem, że tego sobie nie uroiłam. Kule rozszarpały gęszcz liści całkiem niedaleko mnie. Gałęzie odłamały się i powoli spadały, obijając się o konary, aż w końcu pacnęły o ziemię. Tej nocy las dostawał lanie. Pomyślałam: „Jedna z tych kul mnie dosięgła, jedna z tych kul, które są tak potężne, że łamią grube gałęzie. Co zrobiły mojej nodze?”. Znowu zaczęłam dygotać. Bałam się spojrzeć na ranę, bałam się masakry, którą mogę zobaczyć.

Ale stopniowo się uspokajałam. Wydawało mi się, że drzenie minęło i odpłynęłam. Jak we śnie, w którym nie śpię i widzę, jak śnię. Prawie jakbym występowała w dwóch osobach. Potem zrobiło się jeszcze dziwniej i zobaczyłam siebie leżącą w paprociach, jakbym była wysoko na gałęzi drzewa i patrzyła w dół. Widziałam czubek własnej głowy.

Noc była zimna, ale mnie było zaskakująco ciepło. W całym ciele czułam mrowienie, jakby wstrzyknięto mi jakąś radioaktywną substancję. Miałam ciarki, tyle że gorące. Nic nie słyszałam. Może za bardzo identyfikowałam się z Gavinem. W każdym razie świat owinął się olbrzymim bawełnianym szalem i ucichły wszystkie dźwięki. Nie wiem, ile to trwało. Ale kiedy leżałam w paprociach, zagrzebana pod ich liśćmi, gdzieś wewnątrz mnie odezwał się silny głos, który powiedział: „Dalej, walcz, bądź dzielna!”.

„Nie przeszkadzaj mi – błagałam go. – Nie budź mnie. Jest mi teraz tak miło, tak wygodnie. Pozwól mi tu zostać”.

Ale głos nie dawał się uciszyć. Był coraz głośniejszy i coraz bardziej stanowczy i choć zaczynał mnie wkurzać, nagle mgła w moim umyśle ustąpiła i znowu mogłam wyraźnie widzieć i słyszeć.

Oraz czuć. A to nie było nic dobrego. Moja noga konała od dołu do góry. Gdybym mogła ją wyrwać i wyrzucić, na pewno bym to zrobiła. Przeszywał ją palący ból, fala za falą, prawie bez przerwy, bez wytchnienia, bez szansy na złapanie następnego oddechu i przygotowanie umysłu na kolejne uderzenie. Takie maleństwo, malutka ołowiana kulka, a wyrządziła tyle szkód. Przysięgłam, że nigdy więcej nie strzelę do żadnej żywej istoty. To szokujące, że skazywałam zwierzęta na taką męczarnię. Potem umysł rozjaśnił mi się jeszcze bardziej i przypomniałam sobie wszystkich ludzi, których zastrzeliłam podczas tej wojny. Postanowiłam, że nie będę o tym więcej myślała.

Nawet pomimo bólu, nawet pomimo tego, że ścisnęłam nogę, pościłam się i łkałam, nadal słyszałam żołnierzy. Ich głosy były coraz bliżej. Ciągłe się nawoływali, chyba po to, żeby nie przerwać szeregu, żeby utrzymać szyk, a może także po to, żeby zastraszyć swój cel. Mnie.

Tak, to im się udało. Byłam wystraszona. Brzmieli tak profesjonalnie, wydawali się tak zdyscyplinowani, że nie wiedziałam, jak mogłabym im stawić czoła. Sprawiali wrażenie tak silnych, że ja poczułam się słaba.

Jedyne, co mogłam zrobić, to powstrzymać się od jęczenia. Nie lada osiągnięcie. Przygryzłam dolną wargę tak mocno, że prawie przebiłam ją zębami. Wcisnęłam piętę prawej nogi głęboko w miękką ziemię. Wygięłam plecy w łuk i obracałam głowę w prawo i w lewo, przez cały czas mocno ściskając lewą nogę.

Moją uwagę odwróciła od tego bólu dopiero para butów, które z chrzęstem przeszły obok mojej twarzy. Ktokolwiek to był – ona albo on – miał latarkę, więc groziło mi podeptanie, zauważenie albo jedno i drugie. Ale nic takiego się nie stało. Buty przeszły niespełna metr ode mnie. Na te parę sekund przestałam myśleć o nodze. Kiedy tylko żołnierz zniknął w zlebie, przeszył mnie następny ogień bólu, który sięgnął jeszcze wyżej: z boku aż do pachy.

Odpływ bólu przyniósł mi tak wielką ulgę, że położyłam się na plecach, wydając zduszony okrzyk. Odważyłam się mieć nadzieję, że już tak pozostanie. Boże, byłoby cudownie. Powstrzymałam się od najmniejszego ruchu, byleby tylko ból nie wrócił. Ale zaczęłam myśleć: „Jak się z tego wyplączę?”. Chciałam odpowiedzieć głosowi w mojej głowie, który słyszałam wcześniej – albo go sobie wyobraziłam – ale w obecnej sytuacji już samo utrzymanie się przy życiu mogło być czymś więcej, niż dałabym radę osiągnąć. Mogłam się wykrwawić na śmierć wśród tych paproci. Wiedziałam, że krwawię, ale nie byłam pewna jak bardzo. W końcu niechętnie zsunęłam rękę po nodze i pomacałam ziemię wokół. Wydawała się dość sucha. Miałam szczęście. Ale to wcale nie znaczyło, że uniknę śmierci. Przypomniałam sobie spokój, jaki mnie ogarnął zaledwie kilka minut wcześniej. Wzdrygnęłam się. Nagle to uczucie przestało mi się wydawać takie błogie. Zrozumiałam, że może oznaczać śmierć skradającą się do mnie ze swoimi spokojnymi palcami. Takiego spokoju nie chciałam, dziękuję bardzo. Nie byłam na niego gotowa.

Sądząc po odgłosach, wszędzie byli żołnierze. Wiedziałam, że jeśli nie odejdą, nie mam żadnych szans. Z kulą w nodze i przy wschodzącym słońcu byłabym celem łatwym jak stojący na polu strach na wróble.

W ramach eksperymentu przesunęłam się metr w prawo, w stronę skraju kępy paproci. Ból natychmiast wrócił, tak ostry, że tym razem krzyknęłam. Nadal słyszałam żołnierzy. To dziwne, bo przecież buty minęły mnie dawno temu. Myślałam, że pościg jest już daleko.

Kiedy leżałam i nasłuchiwałam, uświadomiłam sobie, że żołnierze wcale się nie oddalają. W zasadzie chyba się zatrzymali. Nie wiedziałam, co to oznacza, ale wszystko wskazywało na to, że mam przechlapane.

Sytuacja szybko się pogorszyła. Oddział poszukiwawczy zaczął wracać na wzgórze.

Teraz noga bolała tak, jakby ktoś rozplątał ją rozgrzanym do czerwoności dłutem.

Nienawidziłam być taka bezradna. Wiedziałam, że muszę się ruszyć, ale nie byłam pewna, czy zdołam. Zrobiłam następny eksperyment, przesuając się w drugą stronę, ale było jeszcze gorzej, bo musiałam się przeturłać po rannej nodze. Pomyślałam ponuro: „Na szczęście to noga z chorym kolaniem. Jeśli ją utnę, rozwiążę dwa problemy za jednym zamachem”.

Żołnierze byli już blisko i rozglądali się tak gwałtownie, jakby wiedzieli, że jestem tuż obok. Bardzo żałowałam, że nie mam przy sobie plecaka i że zostało w nim pełno materiałów wybuchowych od Ryana. I że nie mam żadnej broni. Na pewno wiedzieli, że jestem nieuzbrojona. Kiedy uciekałam ze wzgórze, za dobrze mi się przyjrzeni, nawet mimo ciemności. Gdybym miała broń, nie byłiby aż tacy pewni, przeszukując las w nocy.

Zaczęło do mnie docierać, że tym razem naprawdę jestem bez szans. Za chwilę miało świtać, więc gdyby nawet nie znaleźli mnie wcześniej, po wschodzie słońca nie miałoby z tym najmniejszego problemu. Zdradziłyby mnie krople krwi. Krople krwi zapowiadające śmierć.

Przez moment żołnierze znowu zachowywali się dość cicho. Nie jestem pewna, ile czasu minęło. Chyba na chwilę odpłynęłam. Następną rzeczą, jaka do mnie dotarła, było szczekanie psa.

Przeraziłam się. Ale nie od razu. Najpierw usłyszałam szczekanie przez sen. Jakimś cudem znalazłam się z powrotem w domu, przed wojną, i tata dawał mi wykład. Znowu. Jednym z jego ulubionych powiedzonek było: „Brama jest zawsze otwarta, byk zawsze wściekły, a strzelba zawsze naładowana”. Mówił mi to po raz kolejny, bo nie zaglądałam codziennie do krów, zakładając, że skoro mają się dobrze w te dni, kiedy do nich zaglądam, to będą się miały dobrze, także kiedy mnie nie ma. Mama powiedziała, że jej zdaniem jedna krowa może się już cielić – nawet pamiętam jej numer, sto trzydzieści dwa – ale nie zauważyłam tej sztuki w zagłębieniu porośniętym wysoką trawą na polu z jednym drzewem. A wcześniej nasze krowy tak dobrze się cielily, że nabrałam zbyt dużej pewności siebie.

Kiedy w końcu ją znaleźliśmy, okazało się, że spóźniliśmy się mniej więcej o tydzień. Cielę już dawno nie żyło. Na moje oko krowa rodziła cały tydzień. Zaczęliśmy z niej wyciągać cielaka, ale był już nadgniły i dosłownie się rozpadał. Tymczasem krowa bekała i puszczała makabrycznie trujące bąki. Tata i ja musieliśmy powstrzymywać torsje. Smród był obezwładniający, jakby sam widok nie wystarczył. Wyjęliśmy nogi cielaka, jedną po drugiej, a potem tata obwiązał mu szyję łańcuchem, ale kiedy zaczęliśmy ciągnąć, urwaliśmy cielakowi łeb. W końcu udało nam się wyjąć większość kawałków, ale – niespodzianka! – krowa zdechła wskutek szoku mniej więcej minutę po tym, jak skończyliśmy.

Właśnie wtedy tata dał mi wykład, jakbym i bez tego nie miała poczucia winy. Bo przecież tak naprawdę nie chodziło o to, że nie zaglądałam codziennie do krów. Ta leżała w tak głębokiej dziurze w rogu pola, że przeoczyłam ją pewnie ze trzy razy. Mogłam być uważniejsza.

Chyba nic dziwnego, że śniłam akurat o tym, leżąc z ranną nogą poszarpaną przez kulę i wiedząc, że oberwałam dlatego, że niezbyt uważnie się rozejrzałam. „Brama jest zawsze otwarta, byk zawsze wściekły, a strzelba zawsze naładowana”. Tak, teraz mogłam dodać coś od siebie: pociąg jest zawsze pełny żołnierzy, a oni zawsze są uzbrojeni i niebezpieczni.

A jeśli będziesz za długo zwlekać, sprowadzą psy.

Kilka pierwszych szczeknięć usłyszałam jeszcze we śnie i pomyślałam, że to nasz pies Millie. Potem nagle się obudziłam. Słońce mocno świeciło mi w oczy, a szczekanie dobiegało z bardzo bliska. Było zaciekle, agresywne i głośne. Po chwili usłyszałam serię z karabinu oddaną w stronę ziemi i roślin trzy, cztery metry ode mnie.

W każdym razie tam zaczęli. Potem się oddalili. Zobaczyłam, jak trawa i paprocie wyginają się do tyłu i do przodu, jakby jakiś potężny wiatr poruszał zaroślami.

Widziałam, co się dzieje, a tego, czego nie widziałam, mogłam się domyślić. Kiedy psy się rozochociły, żołnierze zaczęli strzelać. Czemu nie? Oszczędzali sobie zachodu. Mniej czasu i mniejsze niebezpieczeństwo. Niech karabin załatwi sprawę – nie będzie trzeba przeczesywać zarośli gołymi rękami w poszukiwaniu groźnej terrorystki. Zresztą za naboje i tak płacą podatnicy.

Ostrzał ustał i nastąpiła chwila ciszy. Potem znowu usłyszałam głosy, nawoływania mężczyzn i charakterystyczne zachęcanie psów do podjęcia następnej próby. Zaczęło się szczekanie, które szybko przeszło w skowyt podekscytowania. Słyszałam, jak idą prosto na mnie. Przyszła pora, żeby się poddać. Mogłam przedłużyć życie zaledwie o kilka chwil, ale kiedy zbliża się koniec, nawet chwila wydaje się cenna.

– No dobra, bez nerwów! – zawołałam.

Próbowałam wstać, ale było ciężko, bo nogę przeszywał ostry ból. Nie mogłam na niej

stać, bo nawet najmniejszy ruch kończył się zduszonym okrzykiem przerażenia.

Ale podźwignęłam się na prawe kolano, wystarczająco, żeby mnie zauważyli.

I żebym ja zauważyła ich. W tle majaczyło sześciu żołnierzy, którzy opierali się o drzewa i palili papierosy, jakby byli na wycieczce. Czuli się pewnie, bez dwóch zdań. Szukało mnie tylko czterech. Dwaj prowadzili na smyczach psy i każdemu z nich towarzyszył jeszcze jeden żołnierz. Ci ostatni wyglądali na gości od brudnej roboty, bo trzymali karabiny w pogotowiu i sami też wydawali się gotowi do strzału. Na ich widok stałam się bardzo ostrożna: uniosłam ręce powoli, ale zdecydowanie, patrząc na nich, na wypadek gdyby nabrali ochoty, żeby wypróbować na mnie swoją celność.

Psy były fajne. Żałowałam, że nie mogę ich pogłaskać, pobawić się z nimi i podrapać ich po brzuchach jak za dawnych czasów. To były beagle'e, oba dość młode i bardzo ładne. Urocze, czujne mordy i błyszczące oczy. Wyglądały na zadowolone z siebie i oczywiście miały do tego wszelkie prawo. Schwytały złego partyzanta wrogich sił. Schwytały go bez walki.

To nie było zbyt godne poddanie się. Próbowałam stać na zdrowej nodze, ale straciłam równowagę. Zmęczenie raczej mi nie pomogło. Upadłam w paprocie i po prostu tam leżałam, nie bardzo dbając o to, czy zabiją mnie na miejscu. Miałam wrażenie, że zanim do mnie podeszli, minęły całe wieki, ale pewnie nie trwało to aż tak długo. Nagle otoczyło mnie mnóstwo butów. Spojrzałam w górę i zobaczyłam ich wszystkich. Gapili się na mnie. Po raz pierwszy zauważyłam, że trawa jest paskudnie zakrwawiona, że wszędzie widać smugi krwi, więc chyba krwawiłam bardziej, niż mi się zdawało. Nie byłam pewna, czego się ode mnie oczekuje. Wcześniej schwymano mnie tylko raz, w innych okolicznościach. Teraz celowali do mnie z czterech karabinów, więc leżałam i czekałam, aż zrobią ze mną, co zechcą. Czułam dziwny spokój – nie taki, jak kilka godzin wcześniej, raczej zgodę na to, że moja droga właśnie się kończy. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Nie mogłam wykonać dalszych rozkazów pułkownika Finleya i zrealizować planu sabotażu Ryana. Nadeszła pora zemsty żołnierzy. Miałam zapłacić tę samą cenę, którą przeze mnie zapłacili ich przyjaciele.

Ale stało się inaczej. Poszturchiwali mnie lufami karabinów, żebym wstała. Podniosłam się powoli, niezdarnie. Tym razem uważałam, żeby nie upaść. Szło mi całkiem nieźle, dopóki prawie się nie wyprostowałam, bo wtedy najwidoczniej stracili cierpliwość. Może myśleli, że specjalnie się ociągam. Jeden z nich krzyknął i machnął karabinem, uderzając mnie w plecy. Utrzymałam równowagę, ale ledwo, ledwo. Następny mnie popchnął, żebym zaczęła iść, a wtedy ten pierwszy zamachnął się jeszcze raz. Podniosłam rękę, żeby zablokować cios. Wtedy ktoś z tyłu kopnął mnie w lewą nogę, dokładnie w miejsce, w które trafiła kula.

Padłam jak zwierz trafiony między oczy. Mogę się cieszyć jedynie z tego, że nie wydałam żadnego dźwięku. Nie wiem, czy to samokontrola, czy utrata przytomności, bo bez wątpienia zobaczyłam gwiazdy. Paprocie rozmazały mi się przed oczami, jakby ktoś postawił przede mną grubą czarną szybę.

Dostałam jeszcze kilka kopniaków. Z początku ból był obezwładniający, przewyższał wszystko, czego wcześniej doświadczyłam, wszystko, co byłam w stanie znieść. Zwinęłam się w kłębek i starałam się osłonić nogę. Padały kolejne ciosy. Nie potrafiłam już dłużej milczeć. Krzyknęłam, potem zawylałam, ale ani trochę nie uśmierzyłam tym bólu.

Po dłuższej chwili ból jakby zelżał i choć nadal czułam głuchoe odgłosy kopiących mnie butów, miałam wrażenie, że kopią coś innego, na przykład kawał drewna. Słyszałam i czułam uderzenia, ale ból zbladł i przemienił się w rozmazaną ciemność. Dziwne.

W pewnej chwili to wszystko ustało, ale dopiero po dłuższym czasie zrozumiałam dlaczego. Ktoś złapał mnie pod pachy i podniósł.

– Nie! – zawołałam jak dziecko.

Nikt nie zauważył. Wlekli mnie dalej, stukając podszewkami o ziemię, dość długo. Ból wrócił, jeszcze gorszy. Każdy ruch lewej nogi wywoływał potworne rwanie w boku, jakby ktoś rozplątał mi nogę gołymi rękami i wlewał do rany naftę. Zaczęłam krzyczeć. Chciałam, żeby przestali, i nie obchodziło mnie, jaką zapłacę cenę. Gdyby w tamtej chwili ktoś zaferował mi śmierć i obiecał, że przestanę czuć ten ból, zgodziłabym się bez problemu i bez żadnych zastrzeżeń.

Nie została mi już ani odrobina siły. Gdyby te ręce mnie puściły, runęłabym na ziemię jak wysadzony w powietrze budynek. Ból przejął kontrolę. Byłam nim odurzona. Żadna inna część mnie już nie funkcjonowała.

Potem znowu wszystko się zmieniło. Nagle ręce stały się delikatniejsze. Zamiast mnie wlec, niosły. W dalszym ciągu nie wiedziałam, skąd ta różnica. Chyba pojęłam to dopiero, kiedy znalazłam się na pace ciężarówki. Przez mgłę bólu, potu i przerażenia poczułam, że ktoś kieruję tą całą operacją. Ktoś przejął dowodzenie. Wcześniej był tylko motłoch.

Nie widziałam go, ale słyszałam jego głos. Był spokojny i cichy. Ulga po krzykach i wrzaskach żołnierzy. Oczywiście nie rozumiałam, co do mnie mówi, ale po chwili nagle usłyszałam go tuż przy uchu. Mówił po angielsku, z łatwością i pewnie, z ledwie dosłyszalnym akcentem.

– Od teraz będziesz traktowana właściwie. Dopilnowałem tego. Sprowadzę lekarza do twojej nogi. Na razie jedziesz do szpitala.

Próbowałam kiwnąć głową, podziękować, ale nie byłam w stanie się poruszyć. Czując, że ten człowiek odchodzi, i nie mogąc stracić jedynej szansy, wychrypiałam:

– Wody.

– Czego chcesz?

Spróbowałam powtórzyć, ale z moich ust nie wydobyło się żadne słowo.

– Co? Chcesz pić?

– Tak. Tak. Proszę.

Pewnie wydawałam z siebie pozbawione znaczenia dźwięki, ale facet zrozumiał, o co chodzi, bo parę minut później poczułam na ustach dotyk butelki z wodą. Nie byłam w stanie normalnie się napić. Wcale się nie przejmowałam: wystarczyła mi woda spływająca po brodzie. Mężczyzna okazał się jednak cierpliwy i trzymał butelkę przy moich ustach, odmierzając małe łyki, jeden po drugim. Byłam mu bardzo wdzięczna.

Miałam wrażenie, że skleiły mi się powieki. Próbowałam otworzyć oczy, ale potem się poddałam i tylko leżałam. Czując, że ten człowiek nadal jest przy mnie, usiłowałam powiedzieć coś jeszcze i tym razem, dzięki wodzie, poszło mi trochę lepiej.

– Przepraszam...

– Tak? O co chodzi?

Chciałam zapytać o Homera, Lee, Fi, Kevina i Gavina. Próbowałam ułożyć pytanie. Ale nawet pomimo ogłupiającego bólu, strachu i wyczerpania zachowałam wystarczająco instynktu, żeby uniknąć rozmowy o przyjaciółach z żołnierzem wroga. Poddałam się z jękiem i pozwoliłam głowie opaść na bok.

Zobaczyłam swoją twarz odbitą w okularach przeciwsłonecznych jakiegoś żołnierza, kiedy wyjmowali mnie z ciężarówki. Wtedy mogłam już otworzyć oczy, ale natychmiast tego pożałowałam. Z początku nie miałam zielonego pojęcia, że patrzę na siebie. Zobaczyłam głowę wielkości dyni z Halloween – mniej więcej tak samo atrakcyjną.

Przyglądała mi się odbita w szklach para oczu osadzonych w masce twarzy. Przypominały piłki do squasha: były tak wielkie, że nie mogłam zrozumieć, jak zdołały się zmieścić w oczodołach. Cała moja twarz była posiniaczona, czarna i spuchnięta. Przecinały ją czerwone i fioletowe smugi. Nigdy nie widziałam człowieka, który wyglądałby w ten sposób. Nie mogłam uwierzyć, że to ja. Ale wojskowe buty są dość twarde.

Nie wiem, ile czasu spędziłam w ciężarówce. Dużo. Całe życie. Szarpała, kołysała i podskakiwała godzina po godzinie. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy, i wcale mnie to nie obchodziło. Mogłam trafić gdziekolwiek. Chciałam wypełznąć do jakiejś dziury, zostać tam, zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Wszystkie moje ambicje sprowadzały się właśnie do tego. Nie marzyłam już o pójściu na uniwersytet, o podróżowaniu po świecie ani o poślubieniu wspaniałego faceta. Tylko o jakiejś dziurze i o tym, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Niczego więcej nie chciałam. No, chyba tylko czegoś w rodzaju grobu.

Kiedy zobaczyłam swoje odbicie w szklach okularów i w końcu do mnie dotarło, że widzę siebie, z powrotem zamknęłam oczy. Nie chciałam wiedzieć, co się dzieje. Nie chciałam o niczym wiedzieć.

Poza tym nawet zamknięcie oczu wywołało ból.

Leżałam na ziemi. Po chwili znowu usłyszałam mężczyznę, który mnie uratował.

– Lekarze już idą – powiedział. – Wszystko załatwiłem. Było bardzo trudno, ale to już pewne. Zjrzę do ciebie niedługo, jutro albo za parę dni. Rozumiesz?

– Tak – powiedziałam.

Nie rozumiałam absolutnie niczego, ale łatwiej było popłynąć z prądem, niż zadawać pytania.

Potem pochyłili się nade mną dwaj lekarze. Słyszałam mruczenie ich cichych głosów. Było jak fale z piasku, bardzo delikatne, obmywało mi ciało i cofało się do morza, sycząc i pieniąc się.

Chyba odpłynęłam tak jak te fale. Następne, co pamiętam, to to, że kładziono mnie na łóżku. Krzyknęłam i jęknęłam z bólu, próbując się kogoś złapać, błagając, żeby zostawili mnie w spokoju. Nikt nie odpowiedział. Nie było nikogo, kogo mogłabym się uchwycić. Podnoszono mnie dalej, a potem umieszczono na łóżku. Mimo że tak bardzo protestowałam, z ulgą poczułam pod sobą twarde materac. Każda część mojego ciała pulsowała bólem, ale przynajmniej łóżko dało mi coś w rodzaju oparcia.

Później stanęła przy mnie jakaś kobieta i dała mi zastrzyk. Nic nie powiedziała. Ja też nic nie mówiłam.

Chyba potem mnie operowali, bo kiedy się obudziłam, ból w nodze praktycznie ustąpił. Reszta ciała nadal bolała tak samo jak wcześniej, ale cieszyłam się, że noga daje mi trochę odetchnąć.

Rozpaczliwie chciało mi się pić. Mój język wydawał się wielki jak wieloryb i smakował jak śnięta ryba. Próbowałam jęknąć i poprosić o wodę, ale mi się nie udało: tym razem nie wydobył się ze mnie żaden dźwięk. Mimo to próbowałam dalej i w końcu wydusiłam coś w rodzaju bełkotu, jak Kermit Żaba cierpiący na paskudną grypę.

Na początku myślałam, że nikt mnie nie słyszy, więc dalej wydawałam te odgłosy. Po kilku minutach ktoś się zjawił i położył mi rękę na czole. Dłoń wydawała się miękka, drobna i chłodna, kobieca. Kobieta zwróciła się do innej osoby, ale w obcym języku. Spróbowałam jeszcze raz:

– Wody.

Wtedy odpowiedziała po angielsku.

– Tylko sto mililitrów.

Tym razem, kiedy przystawiono mi kubek do ust, bardzo się starałam, żeby nie wylać ani kropelki. Były zbyt cenne. Sto mililitrów to niewiele, ale moje usta poczuły się lepiej.

Pijąc, próbowałam otworzyć oczy, ale za bardzo bolały. Kiedy opróżniłam mały metalowy kubek, moja głowa opadła z powrotem na poduszkę.

Po kilku minutach wrócił ból w nodze, gorszy niż poprzednio. Jego zaciekleść wydusiła mi z ust zduszony okrzyk i zaczęłam dyszeć, jakbym wbiegała pod górkę podczas wyścigu przełajowego. Po chwili zaświtała mi myśl, że jeśli zacznę poruszać głową w przód i w tył, w jakiś sposób ulżę sobie w bólu. Problem w tym, że wtedy bolała mnie głowa, ale to i tak wydawało się lepsze niż leżenie bez ruchu. Potem podano mi następny zastrzyk w wewnętrzną stronę łokcia i znowu odpłynęłam w świat nicości.

Ile czasu tam leżałam? Nie wiem. Nie było zbyt wielu atrakcji. W zasadzie jedyną atrakcją były przerwy w bólu przynoszone przez zastrzyki, a tych nigdy nie miałam dość.

Ale kilka momentów się wyróżniło. Jednym z nich było ponowne zobaczenie mojej twarzy odbitej w misce ze stali nierdzewnej, z której korzystała pielęgniarka, żeby mnie umyć. Widok nadal był potworny, tylko że teraz siniaki miały inny kolor, z fioleto i czerni przeszły w czerwień, zieleń i szarość. Jeszcze raz odwróciłam wzrok. Opuchlizna trochę zesza. To była jedyna dobra wiadomość.

Potem pamiętam, jak zapytałam lekarza, czy uciał mi nogę. Kilka lat wcześniej czytałam książkę o facecie, któremu amputowano nogę, ale dowiedział się o tym dopiero wiele dni później,

bo ból fantomowy w brakującej nodze był równie okropny albo jeszcze gorszy niż ten prawdziwy.

– Chyba uda się ją uratować – powiedział lekarz, ale nie wydawał się do końca przekonany i zabrzmiało to tak, jakby odpowiadał na jakieś inne pytanie.

Nie miałam pojęcia, co mi podają w zastrzykach, ale działało bardzo silnie. Spędziłam mnóstwo czasu gdzieś wysoko pod sufitem, objając się delikatnie o światła, a mój umysł podtrzymywały miliony puszków waty. Potem pewnego dnia to wszystko mnie przerosło. Miałam przedziwne uczucie, że jeśli natychmiast nie przestanę, jeśli nie zrezygnuję z tego leku, już nigdy się od niego nie uwolnię. Że uzależnię się na zawsze. Dlatego kiedy zjawiła się pielęgniarka z następną strzykawką, odpędziłam ją machnięciem ręki.

– Doktor mówić, żeby ty brać – powiedziała łamaną angielszczyzną.

– Proszę go tu przysłać, chcę się z nim zobaczyć – odpowiedziałam.

Zawahała się, a potem wyszła.

Wkrótce pożałowałam, że odmówiłam przyjęcia zastrzyku. Ból stał się tak potworny, że zaczęłam gryźć koc, żeby oszczędzić język i wargi. Wszystko mnie bolało, minuta po minucie, godzina po godzinie. Ani chwili ulgi. Najgorzej było z nogą. Dyszałam, jęczałam i chyba denerwowałam innych pacjentów oddziału, bo pielęgniarka trzy razy próbowała mnie nakłonić do przyjęcia zastrzyku, a ja trzy razy odmawiałam, dość agresywnie, starając się wzbudzić w nich strach.

W końcu zjawił się lekarz, niski poważny człowiek w małych okularach bez oprawki.

– Nadal musisz brać leki przeciwbólowe – powiedział. – Wciąż jesteś w dość niebezpiecznym stanie pooperacyjnym. Za bardzo forsujesz ciało.

– Nie chcę więcej zastrzyków – odparłam. Mówienie sprawiało mi trudność: bolały mnie usta, zęby, szczęka i szyja. – Przez nie odpływam.

– Nie dajesz spać innym pacjentom.

– Przepraszam. Nie będę więcej hałasowała.

– Nie wstrzykujemy ci niczego złego, jeśli to cię martwi.

– Wcale tak nie pomyślałam.

W rzeczywistości przyszło mi to do głowy, ale instynkt podpowiadał, że jednak nie robią mi krzywdy.

Nic więcej nie mówiłam i po chwili lekarz powiedział:

– Spróbuj ci podać antidol forte w tabletkach. Ale jeśli się okażą za słabe albo je zwrócisz, znowu zalecę petydynę.

Dwie minuty później przyszła pielęgniarka z dwiema białymi tabletkami, które połknęłam. Chyba naprawdę podziałały.

W każdym razie nie wróciłam do zastrzyków.

Muszę przyznać, że personel medyczny traktował mnie dość dobrze. Otoczył mnie opieką, nawet jeśli nie było czekoladek i kwiatów. Wszyscy podchodzili do mnie trochę jak do robota, ale ogólnie nie miałam na co narzekać. Biorąc pod uwagę to, co zrobiłam ich żołnierzom, mieliby prawo mnie posłać na najbliższy cmentarz.

Najwyraźniej zawdzięczałam życie tajemniczemu mężczyźnie, który zainterweniował w mojej obronie w lesie. Dotrzymał obietnicy i przyszedł mnie odwiedzić. Był oficerem z trzema złotymi koronami na ramionach.

Na moje oko liczył sobie jakieś trzydzieści pięć lat. Miał łysinę, spiczasty nos i stare blizny po trądzi. A do tego najcieńszy wąsik, jaki kiedykolwiek widziałam. Płynnie mówił po angielsku, ale mylił „szpital” ze „szpilką”, przez co ciągle chciało mi się śmiać.

Nie wiem, ile razy u mnie był, ale co najmniej trzy albo cztery. Jeśli spałam, budził mnie, jakby bardzo chciał mi dać znać, że nadal jest w pobliżu i mnie chroni. Nie miałam pojęcia, dlaczego to wszystko robi, dlaczego nie wleką mnie na przesłuchanie, żeby mnie ukarać i rozstrzelać, ale z pewnością nie zamierzałam narzekać. Czułam, że ten facet to moja największa nadzieja na przetrwanie.

Kilka razy zjawił się inny człowiek, w garniturze, żeby mnie przesłuchać, ale udałam, że jestem zbyt chora, co zresztą nie wymagało wielkiej gry aktorskiej, bo mówienie – a nawet

myślenie – nadal sprawiało mi ogromną trudność. Przynajmniej miałam na tyle rozumu, żeby podać fałszywe nazwisko. Powiedziałam, że mam na imię Amber – zainspirowałam się słowem „ambulans”, bo ciągle słyszałam wyjące i zawodzące karetki regularnie podjeżdżające pod szpital – a na nazwisko Faulding. Ułożyłam je z napisu na fiolce tabletek, które zauważyłam na wózku pielęgniarki.

Moje nowe imię całkiem mi się spodobało. Brzmiało efektownie. Kojarzyło się z bohaterką opery mydlanej.

Na początku nie zdawałam sobie sprawy, że mnie pilnują, ale przecież nie powinno mnie to być dziwić. Połapałam się, dopiero kiedy zaczęłam powoli dochodzić do siebie. Dowiedziałam się, że jestem na drugim piętrze szpitala w Cavendish, który został przejęty przez wojsko. Zobaczyłam, że oprócz mnie na oddziale leży pięciu pacjentów, same kobiety, które służyły we wrogim wojsku. Ich twarze nieustannie się zmieniały, bo ciągle przyjmowano nowe, a stare wypisywano. Żadna z nich nie paliła się do tego, żeby zawrzeć ze mną przyjaźń.

Brudną robotę w szpitalu – sprzątanie, ścielenie łóżek, podawanie posiłków – wykonywali moi rodacy, prawdopodobnie jeńcy, którym jednak nie pozwalano się do mnie zbliżyć. Moje łóżko ścieliły pielęgniarki. Mimo to pewnego upalnego popołudnia, kiedy nikt nie patrzył, jakaś pani, która z wyglądu trochę przypominała moją mamę i która myła podłogę na oddziale, szeroko się do mnie uśmiechnęła i puściła oko. To była najmiłsza rzecz, jaka się wydarzyła przez cały mój pobyt w tym szpitalu. Codziennie szukałam tej kobiety wzrokiem z nadzieją na powtórkę, ale to było trudne, bo mogła na mnie spojrzeć, tylko jeśli wszyscy pozostali – personel i pacjentki – byli akurat zajęci czymś innym, a to nie zdarzało się zbyt często.

Kłopoty zaczęły się w chwili, kiedy po raz pierwszy usiadłam, podtrzymywana przez miłą młodą pielęgniarkę, od której prawdopodobnie byłam starsza. Gdy dźwignęłam się na poduszki, próbując nie wyc z bólu, zdeterminowana, żeby usiąść, jedna z pacjentek z mojego oddziału, kobieta w średnim wieku, która wyglądała jak żuk gnojak startujący w zawodach kulturystycznych, krzyknęła coś, przechodząc obok, a potem splunęła i uderzyła mnie w czoło, tuż pod linią grzywki. Pamiętam, że zrobiłam się czerwona i spojrzałam na nią, starając się powstrzymać napływ łez do oczu. Gapiła się na mnie, nawet kiedy już dotarła do swojego łóżka, i gapiła się dalej, kładąc się na materacu. Nic nie mogłam na to poradzić. Pielęgniarka wydawała się zakłopotana, ale milczała. Co miała zrobić? Bratanie się z wrogiem nie pomogłoby jej w karierze.

Zrozumiałam, że pielęgniarka nie zamierza wytrzeć plwociny, więc wzięłam chusteczkę z jej wózka, napięłam dłoń, żeby przestała drżeć, i starłam ślinę sama.

Dwa dni później po raz pierwszy się przeszłam, robiąc jakieś dziesięć kroków po oddziale i z powrotem do łóżka. To była wielka chwila, nawet jeśli zajęła cały kwadrans i poruszałam się jak staruszka z artretyzmem. Wcześniej przez wiele dni nie wiedziałam, czy w ogóle będę jeszcze chodziła.

Codziennie starałam się dojść trochę dalej i właśnie wtedy odkryłam, że jestem pilnowana. W dniu, kiedy dotarłam do drzwi i po raz pierwszy przekroczyłam próg, młody żołnierz z ponurą miną wstał z krzesła na korytarzu i odgarniając z czoła długie czarne włosy, kazał mi wracać do środka.

Odwrociłam się i po raz pierwszy zauważyłam kraty w oknach. Zrozumiałam, że jestem jeńcem w pełnym znaczeniu tego słowa.

Mimo to nie od razu pojęłam, w jakim naprawdę jestem położeniu. Następnego dnia, kiedy przyszedł lekarz w okularkach, zapytałam:

– Czy mogę spacerować po korytarzu?

– To nie zależy ode mnie – odpowiedział. – Ale wątpię, czy ci pozwolą. Innym tego nie wolno.

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów.

– Ma pan na myśli wszystkich, którzy tutaj są? – zapytałam.

– Zgadza się.

Przeglądał moją kartę i w zasadzie nie skupiał się na rozmowie. Ale ja pytałam dalej. Miałam wrażenie, że jest całkiem dumny z postępów, jakie zrobiłam. Biorąc pod uwagę skąpe

wyposażenie szpitala, prawdopodobnie dobrze się spisał podczas operacji. W każdym razie czułam, że jest do mnie przyjaźnie nastawiony, więc postanowiłam z tego korzystać i zadawałam pytania za każdym razem, kiedy się u mnie zjawiał.

– Czyli nie tylko mnie tutaj pilnują?

Wtedy poświęcił mi całą uwagę, opuścił kartki i spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie. Pewnie, że nie. Skąd taki pomysł?

Mój mózg nie powiązał jeszcze wszystkich faktów.

– Wszyscy są tutaj pod kluczem?

Dziwnie na mnie spojrzał i znowu skupił się na karcie, a potem coś w niej zapisał i wyszedł. Ale dostałam odpowiedź. Wszyscy byliśmy więźniami. Nie wiedziałam dlaczego, ale byłam pewna, że się nie pomyliłam. Kiedy następnym razem pielęgniarka zmieniała mi opatrunek, zapytałam najciszej, jak umiałam:

– Czy to oddział dla więźniów?

Spojrzała na mnie surowo.

– Więzienie. Tak.

– Co zrobiły pozostałe kobiety?

Wzruszyła ramionami i zignorowała moje pytanie, skupiając się na opatrunku. Chwyciłam się materaca, wiedząc, że czeka mnie okropny ból. Próbując nie zwracać na niego uwagi, zapytałam jeszcze raz:

– Co one zrobiły?

– Różnie – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od mojej nogi.

– Zrobiły różne rzeczy?

– Tak.

– Na przykład co?

Zapłaciłam za ciekawość, kiedy zerwała stary opatrunek. Gdyby sufit wisiał niżej, pewnie bym w niego uderzyła. Spojrzałam z ukosa na ranę. Była duża i brzydka, ale przynajmniej czysta.

– Jest infekcja? – zapytałam.

– Trochę. Nie za dużo.

– No więc co zrobiły, że je tutaj wsadzili?

Ale pielęgniarka nie chciała odpowiedzieć. Pochyliła się nad opatrunkiem i zignorowała mnie.

Nie miałam pojęcia, jakich zbrodni dopuściły się te kobiety, ale chyba tylko ja wysadzałam w powietrze pociągi, statki, samoloty i stacje benzynowe. Zrozumiałam jednak, dlaczego pozostałe pacjentki są w tak kiepskich humorach, dlaczego leżą z tak ponurymi minami. Nie wiedziałam, przez jakie rany i choroby umieszczono je w szpitalu. Raczej nie dostały takiego lania jak ja. Większość wydawała się chora na zapalenie oskrzeli albo na serce – tego typu sprawy. Pewnie więźniowie mogą się rozchorować jak wszyscy inni ludzie. Albo nawet bardziej.

Wspólna odsiadka nie tworzyła jednak dobrej atmosfery. Nie nawiązywałyśmy żadnych znajomości. Nie było żadnych gier w poznanie się. Splunięcie mi w twarz to skrajny przykład, ale pozostałe kobiety zachowywały się niewiele lepiej. Jeśli się nad tym zastanowić, dla siebie nawzajem też nie były zbyt miłe.

Kiedy trochę wydobrzałam, zapłaciłam wysoką cenę. Myśli o przyjaciółkach, które spychałam za siebie, będąc w stanie półprzytomności, zaczęły dochodzić do głosu. Leżałam na łóżku, trzymając się za głowę obiema rękami, i każdą molekułą ciała marzyłam o tym, żeby znowu ich widzieć, czuć, słyszeć i wachać, żeby znowu z nimi być. Samotność sprawiała mi ból.

Nadal miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć sposób, żeby zapytać oficera, który mi pomógł, co się stało z Homerem i resztą. Ale nie wiedziałam, jak mam to zrobić, żeby przy okazji nie zdradzić swojej tożsamości. Czułam, że bez względu na to, jak przyjazny jest ten człowiek, podpisałabym na sobie wyrok śmierci, gdyby zdołał mnie skojarzyć z nastolatkami, którzy zasiali tyle zniszczenia w Wirrawee, Zatoce Szewca i w Stratton.

Kiedy przyszedł następnym razem, próbowałam wybadać, dlaczego tak bardzo mi pomaga i – co ważniejsze – na co jeszcze mogę liczyć z jego strony.

Dlatego powiedziałam:

– Dziękuję, że wtedy w lesie ocalił mi pan życie.

Po raz pierwszy byłam wystarczająco przytomna, żeby przeprowadzić z nim normalną rozmowę.

– Zgadza się – powiedział. – Ocaliłem ci życie. Dla moich ludzi jesteś wrogiem. Zrobiłaś coś bardzo złego. Mimo to ocaliłem ci życie.

– Tak. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Lekko się uśmiechnął. Mocno się pocił, jakby ta rozmowa była ważna, ale jednocześnie strasznie go stresowała. Zamierzałam się dowiedzieć dlaczego.

Rozejrzał się, a potem usiadł na krześle obok mojego łóżka i trochę się przysunął.

– Ocaliłem ci życie – powtórzył. – To bardzo trudne zadanie. Jest bardzo trudne nawet teraz. Wiele osób pyta: „Co ona robi w jednym z naszych szpitali? Dlaczego po prostu jej nie zastrzelimy?”.

– Chyba mam u pana duży dług wdzięczności – powiedziałam ostrożnie.

Najwidoczniej poczuł się zadowolony. Skwapliwie przytaknął i przysunął krzesło jeszcze bliżej.

– Jeśli o mnie chodzi, jestem realistą. Kocham swój kraj, oczywiście, ale muszę też myśleć o sobie. Mam rodzinę, żonę i dwoje dzieci, a do tego matkę i ojca. Los ich wszystkich zależy ode mnie.

Pokiwałam głową, próbując wyrazić zrozumienie i współczucie.

– Ta wojna wkrótce się skończy. Niedługo będzie po wszystkim. Niedługo pojawi się ONZ.

Poczułam, jak w moich oczach pojawia się błysk radości, ale próbowałam go ukryć. To była pierwsza dobra wiadomość, odkąd trafiłam do tego szpitala.

– W czasie wojny dzieje się mnóstwo złych rzeczy – ciągnął mężczyzna, mierząc mnie niespodziewanie surowym spojrzeniem. Zrozumiałam, że przechodzimy do sedna sprawy. – Mnóstwo złych rzeczy. Na wojnie czasami dzieją się różne rzeczy, szybko, szybko, pif-paf. Nie ma czasu na zastanowienie.

– Tak, to prawda – przyznałam.

– Czasami po wojnie zjawiają się dziennikarze, sędziowie. Dochodzenia, komisje, procesy. Zaczynają wszystko – jak wy to mówicie? – rozgrzebywać.

– Chyba tak. Jak w Norymberdze.

– Tak. A to niedobra.

Twarz lśniła mu od potu i jego angielski zaczynał kuleć pod presją.

– Byłem dla ciebie bardzo dobry. Ocaliłem ci życie. Sama mi to powiedziałaś. Uratowałem ci życie. To prawda, nie?

– Zdecydowanie tak.

– Dobrze. Dobrze. Po wojnie też to powiesz? Jeśli ktoś zapyta, pułkownik Long był dla ciebie bardzo dobry, ocalił ci życie.

W końcu zrozumiałam, o co mu chodzi. Wreszcie to wszystko nabrało sensu. „Ty cwany gnojku” – pomyślałam. I starannie dobierając słowa, odparłam:

– Po wojnie z wielką przyjemnością wszystkim opowiem, że uratował mi pan życie, że był pan dla mnie bardzo dobry i że należy się panu wielka pochwała za sposób, w jaki mnie pan traktował.

Pułkownik Long rozparł się na krześle. Wyjął z kieszeni starannie złożoną chusteczkę i przetarł nią twarz. Najwidoczniej uznał, że odwalił kawał dobrej roboty. Nie mogłam nie podziwiać jego sprytu. Może od dawna szukał kogoś takiego jak ja, a może po prostu wpadł na ten pomysł pod wpływem chwili, kiedy zobaczył bijących mnie żołnierzy. W każdym razie cieszył się, że kupił sobie polisę ubezpieczeniową.

Miałam go chronić, kiedy zacznie działać trybunał do spraw zbrodni wojennych.

Przynajmniej w tej chwili nie chciałam wiedzieć, czy Long naprawdę popełniał zbrodnie wojenne. Najwidoczniej miał na sumieniu coś poważnego, ale postanowiłam, że zacznę się tym martwić później. Jeśli w ogóle przetrwam.

Teraz chciałam go wykorzystać, zdobyć informacje na temat moich przyjaciół. Dlatego zapytałam:

– Czy tamtej nocy, kiedy mnie złapaliście, schwytano jeszcze kogoś?

To mu się nie spodobało. Skrzywił się i odwrócił wzrok.

– Nie chcesz pytać o tych ludzi – powiedział. – Są bardzo źli. Jeśli ktoś pomyśli, że ich znasz, nie będę mógł cię ocalić. Oni zrobili bardzo złe rzeczy na stacji benzynowej.

Zrozumiałam, o co mu chodzi. W jakiś sposób udało mu się mnie oddzielić od ataku na parking dla ciężarówek. Władze ściagały mnie ze względu na jedno przestępstwo: wysadzenie pociągu. Gdyby wiedziały coś więcej, nazbierałoby się tego za dużo, żeby pułkownik mógł mnie chronić. Kiedy tak leżałam i o tym myślałam, pułkownik szepnął mi na ucho:

– Moim zdaniem naprawdę nie nazywasz się Amber Faulding. Chyba nawet znam twoje prawdziwe nazwisko, ale nie będę go tu wymawiał. Bądź bardzo ostrożna. Jeśli jesteś tym, kim myślę, nikt cię nie uratuje: ani ja, ani nikt inny.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Zapadło długie milczenie. Nie patrząc na niego, ze wzrokiem wbitym w sufit zmusiłam się do zadania tego pytania jeszcze raz:

– Ale tak między nami: czy tamtej nocy schwytano kogoś oprócz mnie? Dość daleko od wraku pociągu? Na przykład obok stacji benzynowej, o której pan wspomniał?

– Oni wszyscy zginęli – syknął. – Wszyscy zostali zabici na tej stacji. Czterech nastolatków, wszyscy martwi. Nigdy więcej o nich nie pytaj.

– Wszyscy zginęli? – powtórzyłam głupio.

– Wszyscy zostali zabici. Widziałem ciała. Wszyscy zabici. Koniec tematu. Koniec na zawsze.

Kiedy w końcu zdołałam się zmusić, żeby znowu na niego spojrzeć, już go nie było. Wyszedł z sali.

Wpełzałam pod kołdrę i leżałam tam, nie mogąc zapanować nad drżeniem. To mnie przerosło, było zbyt druzgocące. Przypomniała mi się pani Slater, kiedy jej ogród spłonął w pożarze. Ogród, który stworzyła z niczego, nad którym pracowała piętnaście lat. Po tej tragedii powiedziała mojej mamie, że to zbyt straszne i nie zdoła tego udźwignąć. „Gdybym straciła tylko rododendrony albo tylko hortensje – lamentowała. – Gdybym straciła tylko róże Davida Austina...”

Mniej więcej tak się teraz czułam. W środku zamieniłam się w pustynię, w czarny, spalony i opustoszały ogród. Jakbym nie miała krwi. Ogarnęło mnie jakieś odrętwienie. Moje palce błądziły po dziurze w prześcieradle, po małym rozcięciu. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, rozdarłam je mocniej. Poczułam się trochę lepiej, więc pociągnęłam jeszcze bardziej. Potem w drugą stronę. Powoli zaczęłam drzeć prześcieradło na strzępy. Nie sprawiało mi to większej trudności, bo prześcieradło było stare i dość cienkie. Nie wiedziałam, jak długo tak leżałam i je darłam. Pielęgniarki z nocnej zmiany nigdy do nas nie zaglądały, chyba że naprawdę musiały, a tamtej nocy najwidoczniej nie musiały, bo nie zauważyłam – albo nie zapamiętałam – żeby ktokolwiek do nas przychodził.

Metodycznie, starannie, centymetr po centymetrze, godzina po godzinie, podarłam to prześcieradło na maleńkie kawałeczki.

Kiedy pierwsze szarawe światło poranka wsączyło się do sali, prześcieradło przypominało wiórki kokosowe. Leżałam w skrawkach bawełny, a pode mną został tylko kawałek wielkości chusteczki do nosa.

Z korytarza dobiegały odgłosy porannej krzątaniny, nocna zmiana przekazywała dziennej zmianie informacje i powoli się żegnała. Spokojnie sięgnęłam po kubek stojący w nogach mojego łóżka i zgarnęłam do niego milion kawałeczków. Potem znowu się położyłam, nie przejmując się tym, czy ktokolwiek zauważy, że brakuje mi prześcieradła.

Nikt nie zauważył. Dzień upływał. Spojrzałam na sufit, wprawiając umysł w odrętwienie i starannie znieczulając się na wszelkie emocje, które groziły mi wtargnięciem. Zmieniałam się w robota.

Nie podziałało. Mogłam kontrolować umysł przez kilka godzin, ale po jakimś czasie myśli i uczucia wracały jak zawstydzone psy, ze spuszczonej łbami i podwiniętymi ogonami, jakby

chciały powiedzieć: „Wiemy, że nie powinniśmy być zabijać tej walabii, ale nie umiałyśmy się powstrzymać”.

Poczułam, jak smutek pełznie z moich kończyn w stronę żołądka, a potem dalej przez klatkę piersiową, aż do głowy. Przypominał zimny płyn, który powoli się we mnie rozlewał. Tonęłam od środka. Najgorsza wydawała się świadomość, że przyjaciele mnie opuścili. Odeszli razem, zostawiając mnie zupełnie samą. Przecież wiedzieli, że bez nich nie dam rady. Wiedzieli, jak się będę czuła. Jak mogli mi to zrobić, jak mogli mnie pominąć? To najokrutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobili, najokrutniejsza rzecz, do jakiej kiedykolwiek doszło.

Tamtej nocy mieliśmy za małe szanse. Postąpiliśmy wbrew zasadom Pimlotta. Porwaliśmy się na cel, który nas przerastał, którego nie byliśmy w stanie osiągnąć. Sposób, w jaki ci żołnierze nas szukali, sama ich liczebność: gdyby komukolwiek z nas udało się uciec, to byłby prawdziwy cud. Dla mnie takim cudem stał się pociąg, ale i tak zostałam schwytana. Gdzieś w głębi mojego układu nerwowego wiedziałam, że moi przyjaciele też nie mogli uciec.

Wieczorem czułam, że te okropne myśli wyżerają mi mózg. Leżałam cicho, świadoma zniszczenia, które we mnie postępuje, ale nie potrafiłam temu zaradzić. Zimny płyn zmienił się w kwas.

Nie wszystkie moje uczucia były tak samolubne jak te pierwsze. Pewne sprawy wyjątkowo mnie dobijały. Jedną z nich była myśl o bólu umierania. Miałam nadzieję – wielką nadzieję – że nie było aż tak strasznie. Że poszło szybko, nagle, błyskawicznie. Po postrzale w nogę i później przeżywałam męczarnie i nie chciałam, żeby moi przyjaciele przechodzili przez coś choćby odrobinę zblizonego. Bo jeśli zaledwie postrzał jest taki okropny, to jak bardzo musi boleć śmierć, jak bardzo musi boleć, kiedy cię zabijają, kiedy umierasz.

Poza tym byłam wkurzona, że świat mógł zostać pozbawiony Fi, Kevina, Lee i Homera. Tyle osobowości, pomysłowości, odwagi i poczucia humoru wykończono kilkoma kulami. Świat nigdy nie pozna muzyki wydobywającej się spod palców Lee tańczących na klawiaturze, piękna motylego umysłu Fi, siły uczciwości Homera, wiejskiej prostoty Kevina. Chciałam zostać ich ambasadorem, jeździć po świecie i mówić ludziom, co stracili, ale wiedziałam, że to dla mnie zbyt wielkie zadanie – i dla innych też. Nikt nigdy się nie dowie.

Oczywiście tak samo musiał się czuć nasz wróg, kiedy zabijaliśmy jego żołnierzy: świadomość, że w jednej chwili znikają wyjątkowe, utalentowane indywidualności. Ale tamtych nie znałam osobiście, więc nie mogłam do nich czuć tego, co do naszej grupy. Nie da się czegoś zrozumieć, dopóki nie nada się temu jakiejś postaci. Nie można kochać, cenić ani opłakiwać czegoś nieokreślonego.

Oczywiście Fi, Kevin, Lee i Homer byli dla mnie kimś bardzo konkretnym. Byli biciem mojego serca, skórą na moim ciele, oddechem wchodzącym przez moje usta i nos. Byli wspaniałymi przyjaciółmi, którzy mnie nauczyli, że miłość to życiodajna siła.

Nikt nie zauważył, że nie mam prześcieradła. Tamtej nocy, kiedy długie godziny zaczęły mnie doprowadzać do rozpacz, próbowałam porwać drugie prześcieradło. Ale zabrakło mi sił. Zamiast tego zaczęłam liczyć. W najczarniejszych chwilach ciągnęłam: trzy tysiące osiemset trzydzieści jeden, trzy tysiące osiemset trzydzieści dwa, trzy tysiące osiemset trzydzieści trzy...

Wiem, że to bez sensu, ale jakimś cudem czułam, że dzięki temu pozostaję przy zdrowych zmysłach. Doszłam do ośmiu tysięcy czterystu.

Dopiero rano zdałam sobie sprawę, że pułkownik Long nie wspomniał o Gavinie. Na tę myśl aż usiadłam, czując zadowolenie albo radość po raz pierwszy, odkąd mnie schwytano. Czyżby znowu mu się upiekło? Niemożliwe!

Ale jeśli komuś mogło się upiec, to z pewnością Gavinowi.

W następnych dniach wielokrotnie ratowałam się przed czarną rozpaczą, myśląc o tym, że być może Gavin żyje, że nadal gdzieś tam jest.

Ale ogólnie rzecz biorąc, czułam przede wszystkim rozpacz.

Poza tym dobijała mnie myśl, że pewnego dnia będę musiała spojrzeć tym wszystkim rodzicom w oczy i powiedzieć, że ich synowie i córki nie żyją. Rodzicom i rodzeństwu. Raczej nie byłam w stanie tego zrobić.

Przestałam myśleć o własnej przyszłości, o własnym przetrwaniu. Nie żebym była taką bohaterką i „stawiała siebie na końcu”, ale tak zwyczajnie, po prostu. Oczywiście – i zupełnie bez sensu – nadal zdarzały się chwile, kiedy miałam nadzieję, że przetrwam. Musiały się zdarzać, skoro wyobrażałam sobie spotkanie z rodzicami przyjaciół po wojnie. Ale przeważnie, jeśli w ogóle o tym myślałam, zwyczajnie zakładałam, że coś pójdzie nie tak, że pułkownik Long zawiedzie i prędzej czy później wytoczą mi proces, a potem rozstrzelają. Zwłaszcza jeśli mnie skojarzą z wcześniejszymi atakami. Jak dał do zrozumienia pułkownik, gdyby się o nich dowiedzieli, dostałabym bilet w jedną stronę do kostnicy.

Już teraz czułam się martwa. Wszystko, co się działo, co widziałam, spowijała szarość, jakbym umarła i trafiła do jakiejś otchłani, tak bardzo przypominającej śmierć, że równie dobrze sama mogła być śmiercią.

Nie próbowałam więcej chodzić. Po prostu leżałam.

Dopiero po trzech, czterech dniach pielęgniarka kazała mi się ruszać. Zepchnęła mnie z łóżka jak szmacianą lalkę i postawiła na nogi. Była szczupła, delikatna i niewiele starsza ode mnie, ale wykazała się siłą. A ja po tak długim leżeniu w ogóle nie miałam energii. Po raz pierwszy w szpitalu rozplakałam się, kiedy mnie pchała po oddziale. Nawet mój płacz brzmiał jak płacz umarlaka: miałam wrażenie, że wydobywa się z ust kogoś innego, słabe skomlenie, puste i głodne. Jeśli nie trupa, to niemowlęcia.

W następnych dniach znowu zaczęłam zwracać większą uwagę na otoczenie, jakby siłą przywracano mnie życiu.

Stopniowo praca w szpitalu nabierała tempa. Przez jakiś czas zmiana była subtelna, potem wszystko przyspieszyło. Lekarze i pielęgniarki byli coraz bardziej zajęci, pacjenci przyjmowani jednego dnia wychodzili już nazajutrz, mój lekarz wydawał się udręczony i miał mniej czasu na zagładanie do mojej karty. Częściej zdarzały się nagłe wypadki. W środku nocy budziły mnie ciężarówki, ludzie wbiegający na nasz oddział, krzyki i podniesione głosy. Gdybym nie wiedziała, że to wszystko wiąże się z wojną, domyśliłabym się tego po sposobie, w jaki traktowano mnie nazajutrz. I to nie raz czy dwa. Wkrótce weszło im to w nawyk. Wylewali na mnie wiadra jawnej złości i nienawiści. Pielęgniarka zmieniająca mi opatrunek odrywała go od rany najbrutalniej, jak umiała. Inne pacjentki bez przerwy na mnie wrzeszczały, zwłaszcza kiedy przychodziła do mnie pielęgniarka. Ich ton mówił: „Nie marnuj na nią czasu! Dlaczego miałabyś pomagać jednej z nich?”. Jak na więźniarki były wielkimi patriotkami. A może po prostu urodziły się zdziczałe.

Od mojego przyjazdu do szpitala raczej nie było walk na przedmieściach Cavendish, bo nie słyszałam żadnych samolotów ani wybuchów. W końcu jednak przyszła noc, kiedy zbudził mnie znajomy niski warkot bombowców na niebie. Wydawały dźwięk przypominający długie, głośnie burczenie w brzuchu. Kiedy się zbliżyły, zatrzęsły się szyby w oknach i słysząc tak mocne stukanie szkła, miałam nadzieję, że odpadną kraty. Niestety. Samoloty śmignęły dalej i kilka minut później usłyszałam, jak bombowce zaczynają zniżać lot. Zaledwie parę kilometrów dalej. Pyr, pyr, pyr.

Najwyraźniej reszta szpitala nadal spała. Nie słyszałam najmniejszego dźwięku na korytarzu, a już na pewno nie zjawił się nikt, żeby sprawdzić nasz stan zdrowia. Na oddziale było jednak trochę inaczej. Czułam się jak w koszmarze z udziałem zombie. Kobiety krzyczały i płakały, szlochając, jakby już teraz były na pogrzebie. Ktoś włączył lampkę nocną, a ktoś inny krzyknął, żeby ją zgasić. Ktoś podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony, ale reszta chciała, żeby pozostały rozsunięte. Dwie pacjentki – jedyne, które mogły chodzić – dokuśtykały do drzwi i próbowały je otworzyć. Ale wyglądało na to, że zostałyśmy zamknięte. Kobiety waliły pięściami w drzwi, wzywając pomocy. Nikt się nie zjawił.

Leżałam w łóżku i w ogóle się nie odzywałam, denerwując się nalotem, ale jeszcze bardziej ludźmi z oddziału. Czułam, że jestem w znacznie większym niebezpieczeństwie niż inne pacjentki. Z jednej strony byłam dumna z nowozelandzkich sił powietrznych – jeśli to one przeprowadzały tę akcję – i cieszyłam się, że najwyraźniej dobrze im idzie. Z drugiej strony wydawało mi się niesprawiedliwe, że może na mnie spaść bomba zrzucona przez moich sprzymierzeńców. Podejrzewam, że jeśli wylatujesz w powietrze, czujesz się tak samo, bez względu na to, kto cię wysadza: wróg czy przyjaciel.

Nalot trwał prawie dwadzieścia minut, a potem zakończył się równie nagle, jak się rozpoczął. Nocne niebo wypełniła cisza. Przez szpitalne okno widziałam sześć gwiazd. Kobiety przestały krzyczeć, ale nadal mocno szlochały i płakały. Ja siedziałam jak mysz pod miotłą. Zdecydowanie nie chciałam zwracać na siebie uwagi.

Pół godziny później personel wrócił. Nie wiem, gdzie był, ale najwyraźniej stawiał własne bezpieczeństwo znacznie wyżej od naszego. Trochę mnie to zszokowało. Pomyślałam, że pielęgniarki powinny odrobinę bardziej troszczyć się o swoich pacjentów.

Ucieszyłam się na ich widok, bo sytuacja na oddziale zaczęła się robić paskudna. Jedna z kobiet wygłosiła przemowę skierowaną do pozostałych i wszystko wskazywało na to, że głównym tematem jej tyrady jestem ja. Stała przed moim łóżkiem zwrócona do reszty pacjentek i mówiła do nich gardłowym głosem, od czasu do czasu wymachując w moją stronę. Światło nocnego nieba padało przez okno prosto na jej twarz, upodabniając ją do czarownicy. Ja po prostu leżałam – bo nie miałam innego wyjścia – i gapiłam się na nią z postanowieniem, że nie okażę najmniejszej słabości. Próbowałam znaleźć jakiś sposób, żeby się obronić. Gdybym miała basen, pewnie bym nim w nią rzuciła. Żałowałam, że go nie mam. Najlepszy byłby pełny. Nie chciałam odwracać wzroku, żeby nie wzięła tego za oznakę strachu, więc próbowałam sobie przypomnieć, jaka broń znajduje się przy moim łóżku. Miałam własne pudełko chusteczek, ale coś mi podpowiadało, że chusteczki na niewiele by się zdały. Przez kilka dni obok mnie stała lampka, ale ktoś mi ją zabrał. Wiedziałam, że jest jeszcze małe naczynie ze stali nierdzewnej w kształcie nerki, do którego pielęgniarki wrzucały opatrunki i inne rzeczy. Gdybym kogoś nim uderzyła, prawdopodobnie osiągnęłabym więcej, niż działając gołymi rękami, ale i tak zbyt mało. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że na oddziale prowadzono politykę niezostawiania niczego, co można wykorzystać jako broń. No jasne. Przecież nie byli stuknięci. Tyle że wcześniej, kiedy byłam bardzo chora, nie przyszło mi to do głowy.

Kobieta zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Bez wątpienia wymieniała wszystkie okropieństwa, do jakich doszło w ciągu tej wojny. Jednocześnie mierzyła mnie wściekłym spojrzeniem, a cała jej twarz lśniła z wściekłości jak wielki stary księżyc w pełni. Tak się nakręciła, że nagle złapała koniec mojego łóżka i potrząsnęła poręczą jak mała klatka w zoo.

To przelało czarę goryczy. Chwyciłam za drążek nad głową, podciągnęłam się w górę i wydarłam się na całe gardło. Boże, ale się wściekłam. Dałam jej popalić. Staralam się krzyczeć niskim i jak najdońszniejszym głosem, bo pomyślałam, że dzięki temu zabrzmie jak twardzielka. Wygarnęłam tej babie wszystko, co mi się nie podobało w niej, w jej przyjaciołach, jej kraju i tej inwazji. Wiedziałam, że jest silna, ale wiedziałam też, że ja muszę być silniejsza. Gdyby nie udało mi się jej utemperować, miałabym poważne kłopoty. Dlatego wrzeszczałam i wrzeszczałam, czując, jak coraz bardziej boli mnie gardło, jak dostaję chrypki, ale widząc, że tamta nie może dojść do słowa. Od czasu do czasu toczyłam wzrokiem po sali, patrząc na pozostałe kobiety i podejrzewając, że część z nich nie widzi mnie dobrze w ciemności, ale czuje na sobie mój wzrok i słyszy mój grzmiący głos. Kiedy wyczerpały mi się tematy związane z wojną, przeszłam do kilku starszych spraw, które strasznie mnie wkurzały, takich jak polityka nieustannego oceniania w szkole, brak rozrywek dla ludzi w moim wieku w Wirrawee i to, że w naszym liceum sport w wykonaniu chłopaków przyciągał o wiele większe zainteresowanie i pieniądze niż ten w wykonaniu dziewczyn. W pewnym sensie ryzykownie założyłam, że pozostałe pacjentki nie za bardzo rozumieją po angielsku i że moje wrzaski i tak uniemożliwią im zrozumienie czegokolwiek.

Problem w tym, że nie wiedziałam, co mogłabym zrobić później. Co będzie, kiedy dotrę do końca tego przemówienia?

Gdy rozwodziłam się nad tym, jak bardzo mnie wkurzał kierowca szkolnego autobusu, który nie czekał, nawet kiedy widział twój nadjeżdżający samochód, nagle otworzyły się drzwi. Przełożona pielęgniarek, którą widywałam tylko sporadycznie, wmaszerowała do sali, krzyknęła, żeby się zamknęła, podeszła do okna i zaciągnęła zasłony.

Opadłam na poduszki. Zastanawiałam się, czy wie, jak wielką radość sprawił mi jej widok. Odkąd usłyszałam o Homerze, Lee, Kevinie i Fi, opuściły mnie wszystkie siły. Moja wielka przemowa była najbardziej męczącym ćwiczeniem w życiu. Nowym rodzajem fizjoterapii. To zabawne: czułam się prawie tak, jakby przywróciła mnie do życia.

Ale od tamtej pory wiedziałam, że na oddziale grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Bałam się nawet zasypiać wieczorem, bo nigdy nie miałam pewności, że nie zostanę zaatakowana. Duża kobieta nie przejawiała żadnych oznak zniechęcenia, więc zaczęłam naciskać na lekarza, żeby mnie przeniósł. Nie wiedziałam, dokąd trafię, ale zakładałam, że gorzej być nie może.

Lekarz nie dał się długo namawiać. Chyba personel też zdawał sobie sprawę, że napięcie na oddziale przekroczyło normę. Kiedy zapytałam wprost, czy mogę stamtąd odejść, tylko wzruszył ramionami, ale dwanaście i pół godziny później dostałam rozkaz do wymarszu.

Nie dali mi za dużo czasu na spakowanie się, ale wcale mi to nie przeszkadzało, bo i tak nie miałam czego zabrać. Potrzebowałam tylko chwili, żeby przywyknąć do tego, że niedługo moje życie ulegnie kolejnej drastycznej zmianie. Nawet na tym dziwnym oddziale było mi w pewnym sensie wygodnie. Nie marzyłam o ponownym rzuceniu się w wir tego, co nieznane. Dali mi parę spodni koloru khaki i lekką koszulę do kompletu, a potem pozwolili zaciągnąć zasłonę wokół łóżka i się przebrać, ale dostałam na to tylko minutę. Oczywiście za mało. Bardzo się martwiłam sztywnością i bólem swojego ciała oraz tym, ile czasu zajmuje mi wykonywanie prostych czynności, takich jak ubieranie się.

Już po chwili kuśtykałam, wychodząc zza zasłony i zapinając guziki, a pozostałe kobiety leżały na łóżkach i mi się przyglądały. Oczywiście nie mogłam liczyć na żadne uśmiechy, machanie i życzenia szczęścia. Cieszyłam się, że stamtąd wychodzę. Od ostatniej wizyty pułkownika Longa czułam się tak, jakbym leżała w kostnicy, a nie w szpitalu. Może gdybym wiedziała, co mnie czeka, nie spieszyłabym się aż tak bardzo.

12

Moja eskorta okazała się dość liczna. Ciągłe zapomniałam, że jestem niebezpieczną terrorystką. Na szczęście nie znali całej historii. Ale nawet w środku wojny znaleźli czterech żołnierzy, którzy mieli mnie pilnować, a do tego założyli mi kajdanki, co było żenujące. Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w telewizji.

Mimo kajdanek udało mi się pomachać na pożegnanie paru miłszym pielęgniarkom i jedna z nich też mi pomachała. Miałam nadzieję, że nie wpakuje się przez to w kłopoty, ale dzięki niej poczułam się milion razy lepiej. Żałowałam tylko, że nie mogę jej powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

Kajdanki szybko zaczęły mnie uwierać, lecz kiedy poskarżyłam się strażnikom, zignorowali mnie. Problem polegał na tym, że były za ciasne, przez co ścisnęły mi kości i skórę. Ale nikt się nie kwapił, żeby temu zaradzić.

Zamiast do więziennej ciężarówki wsadzono mnie do minibusa, jednego z tych modeli Toyoty, które mogą pomieścić dwanaście, piętnaście osób. Na drzwiach widniało logo Klubu Krykieta Zachodniego Cavendish, więc chyba właśnie stamtąd go zwędzili.

Wsiadłam bez zbędnych ceregieli. Nie licząc skargi na kajdanki, nie próbowałam rozmawiać ze strażnikami. Nie zavracałam sobie tym głowy. Po części dlatego, że nie chciałam im dawać satysfakcji, a po części dlatego, że i tak nic bym nie wskórała. Wiedziałam, że co ma być, to będzie. Że ci goście nie mają żadnego wpływu na moje dalsze losy. Decyzje podejmował ktoś inny. Prawdopodobnie jakiś pozbawiony twarzy człowiek, którego nawet nie zobaczę.

Jakby jedna para kajdanek nie wystarczyła, posadzili mnie w połowie minibusa i przykuli do siedzeń z przodu i z tyłu. Od razu było widać, że nie zamierzają ryzykować. Wymachiwali karabinami i jasno dawali do zrozumienia, że jeśli spróbuję uciec, z radością mnie zastrzelą.

Jakbym mogła uciec skuta trzema parami kajdanek.

Potem nastąpiło jedno z tych niekończących się, pozbawionych znaczenia i wkurzających opóźnień, które w czasie wojny przydarzają się chyba dość często. Trwało to ze czterdzieści minut i zakończyło się w niespodziewany sposób. Drzwi minibusa gwałtownie się otworzyły i stanął w nich pułkownik Long.

– A, dobrze – powiedział, uśmiechając się jak świnia, której właśnie podano ciasto czekoladowe. – Tutaj jesteś.

Zamknął za sobą drzwi i usiadł obok mnie, żeby porozmawiać w cztery oczy.

– Wszystko załatwiłem – oznajmił. – Widzisz, nadal się tobą opiekuję.
– Tak, dziękuję – powiedziałam, połykając z sześć różnych emocji za jednym razem.
– Zobaczysz – ciągnął. – Posyłam cię w bardzo dobre miejsce. Nie jest złe. Dopóki będziesz rozsądna, nic ci się nie stanie.

Pokiwałam głową.

– Ale musisz bardzo uważać – dodał. – Do nikogo się nie odzywaj. Nawet do rodaków. Nawet do przyjaciół. Nazywasz się Amber Faulding. Wiesz tylko o pociągu i o niczym więcej. Dzięki temu wszystko będzie w porządku, a pewnego dnia, niedługo, wojna się skończy i wrócisz do rodziny, pamiętając o pułkowniku Longu i o tym, jaki był dla ciebie dobry.

– Tak – powiedziałam. – Bardzo dziękuję. Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie robi. Po wojnie na pewno o panu nie zapomnę.

Z zadowoleniem pokiwał głową.

Potem położył mi rękę na nodze, tuż nad kolaniem.

Poczułam się tak, jakby przystawiono mi do skóry gorącą zagiew. Czułam, jak wypala mi ciało aż do kości. Siedziałam wstrząśnięta. Dotąd nie miałam pojęcia, co naprawdę znaczą jego obleśne spojrzenia. Myślałam, że tak naprawdę interesuje go wyłącznie nasza konspiracja i usiadł obok mnie dlatego, że byliśmy współnikami działającymi na rzecz ocalenia mu skóry. Nagle sobie uświadomiłam, że miał też inne plany.

Zrobiłam się strasznie czerwona. Nie miałam pojęcia, jak mogłabym mu się spodobać – chyba że gustował w pomidorach. Właśnie przemieniłam się w Pomidorową Głowę. Nie wiedziałam, jak go powstrzymać. Byłam zdana na jego łaskę. Ale kiedy przesunął rękę wyżej, nie potrafiłam tego dłużej znieść. Żeby odwrócić jego uwagę, zapytałam:

– Pułkowniku Long, ci ludzie na parkingu byli jeszcze dziećmi, tak jak ja. Jest pan pewien, że...

Jego oczy wywiercały we mnie dziury.

– Już ci mówiłem – syknął. – Przecież już ci mówiłem. Nie wspominaj o tamtym miejscu. Oni zginęli. Tak jak ci powiedziałem. Jesteś bardzo niedobrą dziewczyną.

– Okej, przepraszam. Nie będę więcej pytała. Obiecuję.

Jeszcze raz rzucił mi wściekłe spojrzenie, a potem gwałtownie otworzył drzwi busa i wyszedł.

Opadłam na siedzenie, czując taką ulgę, jakbym właśnie uniknęła śmierci.

Kierowca i strażnicy weszli do środka i ruszyliśmy na małą malowniczą wycieczkę. Nie znałam tej okolicy, więc nie miałam pojęcia, dokąd mnie zabierają. Przez półtorej godziny jechaliśmy przeważnie prosto, mniej więcej na północny wschód. Potem przez jakieś dziesięć minut kierowaliśmy się na zachód i to był koniec. Dotarliśmy na miejsce.

Po rozmowie z pułkownikiem Longiem nadal byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam się skupić na widoku za oknem. Ale kiedy wjechaliśmy przez główną bramę i zobaczyłam to nowe miejsce, od razu pomyślałam: „O wiele lepiej niż w więzieniu w Stratton”.

Przed wszystkim byłam pod gołym niebem. Świeże powietrze. Światło. Prawdziwa pogoda. Sprawy, których normalnie nawet się nie zauważa. Sprawy, które stają się esencją życia, kiedy je tracimy. Wszystko wyglądało dość dobrze i ucieszyłam się, że opuściłam szpital. „Chyba tym razem podjęłam właściwą decyzję” – pomyślałam.

Nie nauczyłam się jeszcze, że pozory mylą.

To była sprytna pułapka. Nigdy nie widziałam obozu jenieckiego, więc nie wiem, jak wyglądają. W każdym razie Obóz 23 mieścił się w kamieniołomie. I to nie było jakimś. Można było tam urządzić sześć boisk piłkarskich, a i tak zostałyby miejsce dla stajni z kucykami. Wokół były same urwiska, które miały ze sto metrów. Spojrzałam na nie, zastanawiając się nad szansą wspinaczki, na przykład w nocy, kiedy strażnicy szukają cię z karabinami i reflektorami. Przypomniałam sobie swoje wcześniejsze wspinaczki z czasów wojny – w dolinie Holloway i całkiem niedawno, na stromej skale, kiedy szukaliśmy dzikusów – zadrżałam i odwróciłam wzrok. Musiałabym być bardzo zdesperowana, żeby się wspiąć na to urwisko.

Sam obóz składał się z rzędów namiotów, dwóch drewnianych budynków pośrodku i dwóch

dodatkowych na obrzeżach. Wkrótce odkryłam, do czego służą te budynki: były przede wszystkim kwaterami strażników, nie licząc tych pośrodku, w których urządzono jadłodajnie dla nas, jeńców. Obóz był otoczony dwoma ogrodzeniami pod napięciem. Dzieliło je piętnaście metrów, a w każdym rogu stała wieżyczka wartownicza. Ziemia między ogrodzeniami została oczyszczona i zagrabiona, jakby uznano ją za teren zakazany – dobre miejsce na spacer dla kogoś, komu znudziło się życie.

Miałam wrażenie, że rzędy namiotów ciągną się w nieskończoność, rozpościerając się prostymi liniami aż po drugi koniec kamieniołomu. Namioty były szare, miały mocno naciągnięte tropiki i napięte białe sznurki przy śledziach. Wszystko zachowywało idealną symetrię. Po dziczy, w której tak długo żyłam, było to nawet pocieszające.

Oczywiście tym, co najbardziej chciałam zobaczyć, co miało dla mnie największe znaczenie, byli ludzie mieszkający w tych namiotach. Jeśli miałam zostać uwięziona, chciałam być wśród rodaków. Najgorsze na oddziale nie były rany, zastrzyki i ból. Najgorsza była samotność. Wśród przyjaciół można wytrzymać wszystko. Jeśli ostatni rok mnie tego nie nauczył, to nie nauczył mnie niczego.

Niestety, nie widziałam jeńców. Zapach jedzenia podpowiadał, że trafiłam na porę posiłku, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanowić. Zdjęto mi kajdanki, którymi wcześniej przykuto mnie do siedzeń.

Wstałam i wyszłam, chcąc rozprostować nogi po długiej podróży i uwolnić się od rozklekotanego busika. Ale na to też nie było czasu. Strażnik z obozu, ubrany w nieskazitelny szary mundur, chwycił mnie za lewy łokieć, pociągnął, postawił przed sobą, a potem, zanim zdążyłam odzyskać równowagę, mocno popchnął w stronę bramy.

Upadłam na ziemię. Leżałam i chciałam się poddać. Czułam piach w ustach i miałam wrażenie, że moje serce też zmienia się w piach. Nagle zrozumiałam, że mogę bardzo kiepsko wyjść na tej przeprowadzce.

Usłyszałam czyjś krzyk:

– Zostaw ją, ty gnido!

Podniosłam głowę. Zjawilo się mniej więcej dziesięciu jeńców, chyba sami mężczyźni. Przyłgnęli do wewnętrznego ogrodzenia i przyglądali nam się przez druty. Przynajmniej dostałam odpowiedź na najważniejsze pytanie. Narodowość tych ludzi nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości. To dodało mi sił.

Strażnik chwycił mnie za włosy z tyłu głowy i szarpnął do góry. Wszyscy jeńcy zaczęli krzyczeć, ale przez ból, który wypełnił mi głowę, nie rozumiałam słów. Strażnik przemaszerował ze mną do małego drewnianego budynku. Gdy tylko tam dotarliśmy, rzucił mną o ścianę i wrzasnął:

– Stój tu! Prosto! Czekaj!

Potem wszedł do biura.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Stałam najprościej, jak mogłam, ale kiedy nadarzała się okazja, opierałam się o ścianę. Czasami jeden ze strażników kopał mnie w goleń, żebym się wyprostowała, ale byłam bardzo zmęczona i za każdym razem, kiedy odciągali mnie od ściany, szukałam sposobności, żeby z powrotem się na nią osunąć. Skupiłam się na chronieniu rannej nogi i odsuwałam ją od żołnierzy. Pilnowałam, żeby bili i kopali w zdrowy bok.

Nadal czułam miejsce, w którym dotknął mnie pułkownik Long, jakby było ciemnym punktem na mojej nodze. Marzyłam o tym, żeby zdobyć trochę mydła i szorować to miejsce przez parę godzin, usuwając cień jego ręki. Ale coś mi mówiło, że w takim miejscu jak to nie mam co liczyć na częste kąpiele z bąbelkami.

Ludzie przychodzili i wychodzili, przeważnie strażnicy w zwyczajnych szarych mundurach, ale poza tym kilku oficerów z czerwonymi lamówkami i czapkami o innym kształcie. Ciągłe dzwoniły telefony, ale rzadko je odbierali. Najwyraźniej nikt się nie przejmował pracą. Jeden młody facet siedział przy biurku i stukał w klawiaturę komputera, ale nie bił rekordów prędkości i sądząc po sposobie, w jaki kłął i wciskał backspace, raczej nie miał większego pojęcia o tym, co robi. Miałam wielką ochotę do niego podejść, zająć jego miejsce i pokazać mu, jak to się robi.

Mniej więcej w połowie popołudnia, koło trzeciej, z biura wszedł jakiś facet i dał mi znak,

żeby weszła do środka.

Począpiałam za nim. Trudno było się poruszać ze wszystkimi siniakami, które zebrałam od rana. Noga i twarz pulsowały mi z bólu i okropnie bolała mnie głowa.

Ku mojemu zaskoczeniu oficer okazał się dość miły. Zapytał o ranę postrzałową, ale o pozostałe obrażenia nie. Może nie chciał przyjąć do wiadomości, że żołnierze z jego armii znęcają się nad dziewczynami. Zresztą i tak nie wydawał się zbyt zainteresowany moimi odpowiedziami. W środku długiego i szczegółowego opisu mojego leczenia szpitalnego przerwał mi i podał kartkę. Wyglądało to na jakieś oficjalne pismo, ale niczego nie rozumiałam.

– Nie znasz naszego języka?

– Nie.

– To wyrok w twojej sprawie. Trybunał wojskowy obradował dwudziestego ósmego i uznał cię za winną sabotażu, terroryzmu i morderstwa. Zostałaś skazana na trzydzieści lat więzienia.

Chyba nie było nic więcej do powiedzenia. Prawie parsknęłam śmiechem. Jeśli już, to poczułam ulgę, że najwidoczniej nie zamierzają mnie zabić. W każdym razie trzydzieści lat wydało mi się jakimś absurdem. Jak to wykalkulowali? Dlaczego nie na przykład czterdzieści? Albo pięćdziesiąt. Wszystkie te liczby były równie pozbawione znaczenia.

Oficer próbował chyba czytać mi w myślach, bo powiedział:

– Masz dużo szczęścia, że uniknęłaś wyroku śmierci. Popełniłaś zbrodnie w odpowiednim czasie.

Zrobiłam zdziwioną minę, więc dodał:

– Tu chodzi wyłącznie o politykę. W obecnej sytuacji wyroki śmierci nie są uważane za właściwe.

Chyba doszedł do wniosku, że powiedział za dużo, bo nagle wstał i wyszedł. Słyszałam, jak do kogoś mówi.

Weszły dwie strażniczki. Wyprowadziły mnie na zewnątrz i poszłyśmy w stronę pierwszego rzędu namiotów. Nikogo nie było w pobliżu. Pomaszerowałyśmy aż na koniec, gdzie dotarłyśmy do następnego ogrodzenia. Strażnicy otworzyli bramę i wepchnęli mnie do małego bloku więziennego na północnym krańcu obozu. Na widok kilku kobiet w oddali zrozumiałam, że to sekcja żeńska. Moja podróż dobiegła końca. Jedna ze strażniczek zdjęła mi kajdanki. Boże, jak miło. Skóra w kilku miejscach zrobiła się czerwona. Potrząsnęłam rękami, żeby przywrócić krążenie, a potem wcisnęłam dłonie pod pachy. Strażniczki zawróciły, ale następna para, tym razem mężczyzna i kobieta, już maszerowała w moją stronę, mierząc mnie surowym spojrzeniem.

Czekałam i denerwowałam się. Moje początki w tym miejscu były tak kiepskie, że nie wiedziałam, czego się spodziewać. Odkąd mnie schwytali, jedni brutalnie przekazywali mnie drugim.

Zatrzymali się przede mną, wzbijając mały tuman kurzu. Obydwoje mieli nadwagę, mniej więcej trzydzieści pięć lat i gładkie dziecięce twarze. Zanim kurz zdążył opaść, mężczyzna zaczął na mnie krzyczeć. Albo raczej wrzeszczeć. Miał przeszywający głos. Pewnie było go słychać aż w Stratton. Nie miałam zielonego pojęcia, o co mu chodzi. Byłam zbyt zmęczona. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mówi po angielsku. Ale po chwili zrozumiałam, że oznajmia mi regulamin obowiązujący w obozie. Z każdym kolejnym punktem przechylał się coraz bardziej w moją stronę, aż jego bliskość zaczęła mnie naprawdę krępować.

– Nie spóźniasz się na posiłki! Nie spóźniasz się na apele! Nie spóźniasz się do pracy!

Zrobiłam krok do tyłu i od razu dostałam w twarz. Poczułam szczypanie i do oczu napłynęły mi łzy. Potem policzkował mnie przy każdej nowej zasadzie.

– Jesteś miła dla żołnierzy! – Bach. – Nie przekraczasz czerwonej linii! – Bach. – Nie gadasz na apelach! – Bach. – Utrzymujesz porządek w namiocie! Nie opuszczasz namiotu nocą! Nie wymyślasz kłamstw o żołnierzach! – Bach, bach, bach.

Twój mi zdrętwiała, a szczęka bolała coraz bardziej, jakby ją deformował. Nie ośmieliłam się zrobić następnego kroku w tył. Po prostu musiałam zaczekać, aż skończy.

Przestał równie nagle, jak zaczął.

– Stój tu, dopóki nie powiem, że masz przestać! – krzyknął i jeszcze raz dał mi w twarz, a potem obydwójce odeszli.

Myślałam, że to następna zasada regulaminu, więc dopiero po chwili do mnie dotarło, że przemówienie dobiegło końca. Czekałam ze spuchniętą, obolałą twarzą i myślałam: „Nie wiem, czy wytrzymam tu aż trzydzieści lat”.

Stałam tak przez chwilę, nie jestem pewna, jak długo, prawdopodobnie z godzinę, a potem zaczęło mi się kręcić w głowie. Dziwne. Miałam wrażenie, że w brzuchu i klatce piersiowej mam tylko powietrze, i wszystko rozmazywało mi się przed oczami. Myślałam, że się kołyszę, i chyba musiałam się kołysać dość mocno, bo nagle wywinęłam orla i zemdlałam.

Mdlenie to dziwne uczucie. Oczywiście podczas omdlenia niczego nie czujesz. Ale kiedy wracasz do siebie, nadal jesteś gdzieś daleko i dryfujesz, jakby coś poszło nie tak, tyle że jeszcze nie do końca wiesz co. Przynajmniej tak to wyglądało w moim wypadku. Nigdy wcześniej nie mdlałam, więc nie wiem, czy to typowa reakcja. Otrząsałam się powoli i czułam, że leżę na łóżku, chociaż o tej porze dnia nie powinnam. Usiłowałam się podnieść, ale dwoje ludzi natychmiast mnie przytrzymało, więc zaczęłam się starać jeszcze bardziej.

– Zostaw ją – powiedział jakiś głos.

Brzmiał przyjaźnie. Podniosłam się. Było mi głupio, próbowałam się rozejrzeć, żeby sprawdzić, gdzie jestem. Leżałam w namiocie. Stało tam osiem łóżek polowych, po cztery na stronę, wszystkie starannie zasłane. Siedziałam na pierwszym. To nie były łóżka szpitalne, ale zwykłe staromodne łóżka polowe, takie jak te, które moja babcia trzymała w szopie. Poza tym nie widziałam żadnych mebli. W szarozielonym świetle wszystko wydawało się stare, stonowane i spokojne, ale po chwili wróciły moje bóle i dolegliwości, przypominając mi o swoim istnieniu, więc szybko przestałam czuć spokój.

Przyglądały mi się trzy kobiety: jedna siedziała na sąsiednim łóżku, a dwie pozostałe stały obok mnie.

Wyglądały dość ponuro. Zaczynałam się stresować.

– Witaj w Obozie 23 – odezwała się jedna z nich.

Nie odpowiedziałam.

– Jestem Judy.

Nie byłam pewna, czy nadal mam wszystkie zęby, ale jakimś cudem udało mi się wymamrotać:

– A ja... A ja Amber.

Przypomniałam sobie swoje nowe imię dosłownie w ostatniej sekundzie.

Judy pokiwała głową. Znowu zamknęłam oczy. Trzymanie powiek w górze za bardzo bolało.

Poczułam, że w namiocie unosi się brzydki zapach. Jak w kurniku w naszym gospodarstwie, kiedy po całych wiekach niesprzątania siano zrobiło się cuchnące, zapleśniałe i zgniłe. Poczułam, że marszczę nos, ale starałam się nie zwracać na to uwagi. Słyszałam, że kobiety rozmawiają, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się skupić na słowach. Domyśliłam się, że szukają dla mnie miejsca. Chciałam powiedzieć: „Nie mogę się ruszać, nie chcę się ruszać, jestem za bardzo zmęczona”, ale przez to zmęczenie nie byłam w stanie niczego wykrztusić. Potem praktycznie sturlały mnie z łóżka.

Poczłapałam na zewnątrz. Było zimno. Bez końca popychały mnie naprzód. Wyglądało na to, że nawet moje rodaczki nie mają litości. Wcześniej, kiedy zobaczyłam za ogrodzeniem ludzi wykrzykujących słowa wsparcia, miałam nadzieję, że trafiłam do przyjaznego, miłego środowiska. A to nie wyglądało na nic przyjaznego ani miłego.

Doprowadziły mnie aż do innego namiotu. Wydawał się taki sam jak ten, z którego właśnie wyszłam, nawet pod względem smrodu. Padłam na łóżko i od razu zasnęłam, nie przykrywszy się nawet szorstkim szarym kocem. Musiałam zasnąć bardzo głęboko. Kiedy się obudziłam, na policzku miałam odcisniętą fakturę koca.

Od chwili gdy się obudziłam, czułam rozpaczliwy strach i niepewność. Nie wiedziałam, jakie zasady obowiązują w tym miejscu. Znajdowałam się w jakiejś próżni i nie zauważyłam żadnych możliwości kontaktu z innymi ludźmi. Byłam pewna tylko tego, że obóz jest paskudny, brutalny i przerażający. Sztywność i ból twarzy i ciała były tego najlepszym dowodem.

Dwie dziewczyny trochę starsze ode mnie właśnie wstawały z łóżek. Spały w ubraniu, w prostych ciuchach, które najwidoczniej nosili tutaj wszyscy, jakby zrobili nalot na śmietnik za sklepem z odzieżą dla ubogich.

– Lepiej się pośpiesz – powiedziała jedna z nich. – Chyba nie chcesz się spóźnić na apel.

Ton jej głosu sugerował, że apel to dla nas coś gorszego niż ostrzeżenie przed górą lodową dla Titanica.

Usiadłam, a potem jakimś cudem wstałam z łóżka i wyprostowałam się, ignorując rwący ból w karku i szczęce. Dwie dziewczyny pospiesznie wychodziły, więc powlekłam się za nimi i dogoniłam je, kiedy miałyśmy sąsiedni namiot. Przed nami szło kilkadziesiąt innych kobiet i wszystkie zmierzały w tym samym kierunku.

– Jestem Issa – powiedziała dziewczyna.

– Cześć, mam na imię Amber.

Było za zimno i czułam za wielkie zmęczenie, żeby cokolwiek dodać. Po chwili weszliśmy na plac.

Zjawili się strażnicy. Już kiedy do nas szli, czułam, jak rośnie napięcie. Nie świadczyło o tym nic konkretnego. Nikt nie krzychał, nie mdlał i nie padał na kolana. Nikt nikogo nie ścisnął i nie błagał o litość. Ale czułam strach, który nie przypominał niczego, co dotąd przeżyłam. Był jak bryza chłodząca całe to miejsce. Wyraźnie poczułam ciarki przebiegające po skórze.

Ale w zasadzie nic się nie stało. Musiałyśmy stać w przydzielonych miejscach, a oni odczytywali nasze nazwiska. Byli na tyle dobrze zorganizowani, że zdążyli dołączyć moje nazwisko w porządku alfabetycznym. Może tamten facet przy komputerze był bystrzejszy, niż mi się zdawało. Musiałyśmy głośno krzyknąć: „Obecna!”, a potem nas policzyli, żeby się upewnić, czy nikt nie krzychał dwa razy. Zadanie wydawało się łatwe, lecz ze względu na ludzi przebywających w szpitalu albo nieobecnych z jakiegoś innego słusznego powodu, na przykład ze względu na pracę w kuchni, liczby się nie zgadzały.

Stałyśmy tam przez czterdzieści pięć minut. W zimnym świetle poranka nie było nam do śmiechu, ale jednocześnie cieszyłam się na widok wschodu słońca. Wyglądało tak, jakby płynęło nad warstwą chmur, a nawet na nich przysiadło: olbrzymie, czerwone, miękkie słońce, które sprawiało wrażenie, jakby mogło się w nich roztopić.

Potem nagle nastał normalny jasny dzień, a niebo zrobiło się błękitne.

Stałam w kolejce po śniadanie obok dwóch dziewczyn z mojego nowego namiotu, Issy i Monique. Obejrzałam się, czując jakieś poruszenie na końcu kolejki. Nadchodzili mężczyźni zbliżający się od drugiej strony obozu. Stłoczyli się w prowizorycznej stołówce. Było ich co najmniej pięć razy więcej niż kobiet.

Dostałyśmy jedzenie na poobijanych tacach ze stali nierdzewnej. Były podrapane, wyszczerbione i wypaczone. Jedzenie okazało się obrzydliwe. Spleśniała pomarańcza z białym nalotem na połowie skórki, w środku rozmiękła i zbyt słodka, miseczka wody z jakimś rozrzedzonym aromatem wołowiny oraz jeden tost, wilgotny i nieposmarowany masłem. Kiedy spróbowałam zjeść pomarańczę, o mało nie zwymiotowałam. Chciałam ją odsunąć, ale Issa pochyliła się nade mną i powiedziała:

– Jeśli zamierzasz przetrwać, zjedz wszystko. Będziesz potrzebowała dużo siły.

No więc się zmusiłam. Wepchnęłam w siebie pomarańczę podzieloną na małe cząstki.

Przynajmniej nie szczypała w poranione usta.

Mężczyznom i kobietom nie wolno było siedzieć obok siebie, ale jeśli ktoś miał siłę, mógł rozmawiać przez wyznaczoną granicę.

Nie zbliżałam się do mężczyzn. Nie chciałam. Byłam zbyt chora, wystraszona, zmęczona i stara. Dźwięk męskich głosów tak dobitnie przypominał mi o Homerze, Lee i Kevinie, że poczułam potworny fizyczny ból, mdłości, od których przewracało mi się w żołądku.

Ulżyło mi, kiedy już stamtąd wyszłam, ale ulga zmalęła, gdy odkryłam, co mnie czeka w ciągu dnia. Poszłam do toalety, która była paskudna. Gdy tylko ją opuściłam, zobaczyłam biegnącą do mnie Issę.

– Szybko, nie możesz tu być. Zaczyna się parada pracy.

– Parada pracy?

Ale ona już biegła z powrotem między rzędami namiotów. Poszłam za nią do miejsca, gdzie przed śniadaniem stałyśmy na apelu. Po małej panice, którą przeżyliśmy, żeby się tam dostać, poczułyśmy lekkie rozczarowanie, bo znowu trzeba było czekać czterdzieści pięć minut, słuchając wydawanych krzykiem i odwoływanych rozkazów oraz sprawdzania list, patrząc, jak długie szeregi mężczyzn maszerują z drugiej części obozu w różnych kierunkach, oraz czując coraz większe zimno i głód.

Issa stała obok mnie, ubrana w stary dziurawy fioletowy golf nadpruty w wielu miejscach. Wyglądał tak, jakby mole zwołały w nim doroczną konferencję, ale wydawał się ciepły i dlatego jej go zazdrościłam.

– Co ci się stało w nogę? – zapytała.

Mimo że tak dużo spałam, zachowałam resztki rozumu. Nie spodobały mi się wnioski, do jakich doszłam, ale wiedziałam, że są słuszne. Obóz był ogromny. Przebywało w nim z tysiąc jeńców. Wiedziałam, że cokolwiek powiem, rozniesie się po tym terenie z prędkością błyskawicy.

– Jechałam pociągiem na gapę – powiedziałam. – A kiedy wysiadłam, pociąg się wykoleił. Dlatego wzięli mnie za sabotażystkę albo kogoś w tym rodzaju. Zaczęli mnie gonić, a ja uznałam, że to niezbyt miło, więc próbowałam uciec. Strzelali do mnie, aż w końcu oberwałam w nogę.

Współczująco pokiwała głową.

– Słyszałam, że zostałam oskarżona o wysadzenie pociągu. Widzisz, tu niczego nie da się ukryć. Mimo to masz szczęście. Kilka miesięcy temu postawiliby cię za coś takiego przed plutonem egzekucyjnym.

– Skąd ta zmiana?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nic nie wiesz? Zaczynają się denerwować. Od D-Day powoli się wycofują. Martwią się, że zostaną ukarani za zbrodnie wojenne, jeśli Nowozelandczycy wygrają.

Usiadłam.

– Więc zdecydowanie wygrywamy? Właśnie to się teraz dzieje?

– Boże, gdzie ty się podziewałaś?

– Ukrywałam się. Nie słyszałam niczego. Mieszkałam w lesie.

– Uciekłaś z terenu zamkniętego? Albo z grupy roboczej? Czy za coś takiego nie grozi odwet?

– Nie, nie – zaprzeczyłam z wahaniem. – Mieszkaliśmy daleko stąd, a tam nie są aż tacy skrupulatni. Zostawili nas w spokoju. Dosłownie wszystko uchodziło nam płazem.

Doszłam do wniosku, że Issa nie przejrzy tego kłamstwa. Oszukując ją, czułam się okropnie, ale dla mnie była to kwestia życia lub śmierci. Gdyby się wydało, że byłam zamieszana w takie akcje jak zniszczenie Zatoki Szewca albo lotniska w Wirrawee, z pewnością postawiliby mnie przed plutonem egzekucyjnym, bez względu na D-Day. Tak by się mną zajęli, że zanimby skończyli, pewnie błagałabym o kulkę.

Chcąc zmienić temat, zaczęłam wypytywać Issę o nią i o Monique.

– Dostałam dwanaście lat – powiedziała. – Za sabotaż.

– Co zrobiłaś?

– Umieścili mnie w fabryce w Cavendish przy produkcji przewodów hydraulicznych, głównie dla lotnictwa. Nie masz pojęcia, jakie to nudne. Dwie z nas zaczęły namawiać ludzi na sabotaż. Robiliśmy w tych przewodach małe dziurki, specjalnie skracaliśmy je o parę centymetrów, tego typu rzeczy. Kiedy się połapali, zaciągnęli kilka słabszych dziewczyn na przesłuchanie i po niespełna półgodzinie mieli już nazwiska: moje i dwóch innych dziewczyn, które uznali za prowodyrki. Te dwie się przyznały i dostały osiem lat, ale ja, jak kretyńka, wszystkiemu zaprzeczałam, więc dostałam dwanaście.

„Można walczyć na wiele sposobów” – pomyślałam.

– Więc szala naprawdę przechyla się na naszą stronę? – zapytałam.

– Wiesz, jak to jest. Plotka goni plotkę, trudno zgadnąć, co się naprawdę dzieje. W każdym razie podobno pojawiła się szansa.

Władze obozu i starsi strażnicy traktują nas inaczej. Pozostali nie, ale jeśli ktoś jest prawdziwym sadystą, nie lubi z tego rezygnować. Mimo to – dodała z westchnieniem – trudno sobie wyobrazić, że taki mały kraj jak Nowa Zelandia wygra tę wojnę. Nie wiem, jak miałby to zrobić.

– Może jeśli dostanie pomoc...

– Tak, podobno wspiera nas Japonia. Kto by pomyślał, nie? Monique twierdzi, że Japończycy nie mają nawet własnej armii. No, ale kto wie, może jeszcze się podźwigniemy. Boże, mam nadzieję, że tak. Dłużej tych drani nie zniosę.

Wreszcie byliśmy w ruchu: wymaszerowałyśmy przez bramę na drogę i zaczęłyśmy się oddalać od kamieniołomu. No, w każdym razie reszta maszerowała. Ja kuśtykałam. Pokonałyśmy około trzech kilometrów i trafiłyśmy do mniejszego kamieniołomu. Pod koniec noga bolała mnie jak diabli.

Kazali nam usuwać łopatami błoto. Było widać, że od dawna nie korzystano z tego kamieniołomu. Nie wiem, jak głęboko sięgało błoto pośrodku, ale na obrzeżach, gdzie pracowałyśmy, stałam po kolana w obrzydliwym, czarnym, lepkim paskudztwie, które wciągało mnie jak ruchome piaski. Ilekroć postawiło się nogę w niewłaściwym miejscu, wsiąkało się w nie, a jeśli się nie uważało, przy próbie wydostania się stamtąd można było stracić buty. Za piątym albo szóstym razem byłam już zupełnie wycieńczona, a minęła dopiero jedenasta.

Zamieniłam się z Issą i zamiast pracować łopata, pchałam taczki, ale wcale nie było łatwiej. Błoto powoli schło mi na nogach, aż oblepiło je jak gips, a potem odpadało, zostawiając na drodze skorupy. Ale to był najmniejszy z moich problemów. Myślałam, że jestem silna, i normalnie pewnie bym była, ale nie wydobrzałam jeszcze po wszystkim, co się stało, i w ogóle nie miałam energii. Podczas każdej wyprawy z taczkami najważniejsze było wprawienie ich w ruch. Najgorzej męczyłam się na początku. Kiedy ciężar błota rósł, taczki zapadały się coraz głębiej. Jeśli udało mi się je wyciągnąć z błota i ruszyć, była szansa, że dopchnę je na suchszy grunt. Wszystko zależało od siły rozpędu. Jeśli nie zdołałam rozhuścić tacek na pierwszych piętnastu metrach błota, pojawiał się prawdziwy kłopot.

Nie chodziło tylko o wagę tacek i lepka moc błota. Chodziło o strażników, którzy stali wokół, patrzyli i śmiali się z twoich wysiłków, a kiedy taczki się wywracały, dawali ci baty. Trzeba było podnieść taczki, zanim podszedł strażnik kołyszający pałką i poczuło się ciężki cios w łopatkę.

Poza tym kłopoty czekały pod koniec każdej wyprawy, kiedy należało wepchnąć taczki po desce na coś w rodzaju strefy załadunku, a potem wrzucić zawartość na ciężarówkę. Z dołu deska wydawała się niegroźna, ale kiedy się na niej stanęło, po kilku metrach zaczynała się wyginać i kołysać, jakby w każdej chwili mogła pęknąć.

Do utrzymania równowagi na desce i niedopuszczenia do wywrócenia tacek motywował mnie przede wszystkim widok kobiety w średnim wieku, której taczki spadły w połowie drogi do ciężarówki. Strażnik uderzył ją z całej siły pałką w twarz. Otworzyła usta, jak w zwolnionym tempie, i zobaczyłam wypływający ze środka strumień krwi. Po chwili wypłuła zęby, które wyglądały jak małe brylanty. Zastanawiałam się, jakie okropności działy się przed D-Day, skoro teraz mówiło się o znacznej poprawie sytuacji w Obozie 23. A może ten strażnik był jednym z sadystów, o których wspomniała Issa.

Na lunch było tyle pomidorów z puszki, ile można było pomieścić. Dziwny posiłek. Podjechała terenówka, która zrzuciła mniej więcej pięćdziesiąt puszek pomidorów bez skórki i dwa otwieracze. Pamiętając słowa Issy, która radziła mi jeść, ile się da, i doszedłszy do wniosku, że potrzebuję witaminy C, zjadłam tyle, ile zdołałam zmieścić – trzy i trzy czwarte puszki, a dziesięć minut później jeszcze pół.

Popołudnie było koszmarem. Myślałam, że nigdy się nie skończy. Brnęłam przez błoto ze sto razy, nogi bolały mnie, cierpły, łąpały mnie skurcze, aż w końcu nie mogłam dłużej stąpać i musiałam szurać, jakbym jeździła na tyżwach. Plecy miałam tak obolałe od ciosów pałki, że nie dawałam rady unieść rąk wyżej niż do ramion, przez co trudno mi się pracowało łopata. Na domiar złego przenieśli nas na zachodni kraniec kamieniołomu, i ilekroć pchałam taczki, musiałam przechodzić obok zwłok młodej kobiety, która wyglądała tak, jakby leżała tam co najmniej od miesiąca. Najwidoczniej wcześniej też była w obozie, ale nie chciałam nikogo pytać, jak i dlaczego

zmarła, żeby nie zasmucić Issy i pozostałych. Kobieta leżała z pustymi oczodołami, szerniała, oblażoną w słońcu skórą oraz ze wszystkimi śladami świadczącymi o tym, że gryzonie, ptaki albo lisy zrobiły z nią to, co zazwyczaj robią padlinożercy. Nie ułatwiało mi to trzymania pomidorów w żołądku.

Ale pomogła mi postawa innych więźniarek. Były odważne. Przez cały ranek wspierały mnie słowami zachęty, żartami i radami. W miarę upływu czasu miały coraz mniej sił i nie mówiły zbyt wiele, ale każdy uśmiech spierzchniętych i krwawiących ust pomagał mi przetrwać następane pół godziny.

Wreszcie harówka się skończyła. Zebrałyśmy narzędzia i zaniósłszy je do małej szopy. Potem pomaszerowałyśmy do obozu. Bałam się, że nie dojdę. Na ostatnim kilometrze upadłam cztery razy i zawsze pomagała mi Issa albo Monique. Pamiętałam, że kiedyś to ja byłam silna. Zastanawiałam się, czy po kilku tygodniach takiego życia stanę się równie twarda jak te kobiety. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek przybędzie mi sił na diecie złożonej ze spleśniałych pomarańczy i pomidorów z puszkki. Przypomniałam sobie, że kiedy oficer powiedział mi o wyroku, o mało się nie roześmiałam. Teraz nie było mi do śmiechu. Nie wiedziałam, jak przetrwam w obozie choćby pół roku, a nawet następny dzień.

Wróciłyśmy do namiotu. Padłam na łóżko – dosłownie. Ale miałam wystarczająco dużo sił, żeby zapytać Monique i Issę, czy w obozie są prysznice.

Spojrzały na mnie.

– Nie zauważyłaś smrodu, kiedy się wprowadzałaś? – zdziwiła się Issa.

Zaczerwieniłam się.

– No, w sumie tak, chyba zauważyłam... Ale teraz już go nie czuję.

Roześmiały się, ale jak każdy śmiech w Obozie 23, nie był to śmiech radości. Nie miał w sobie mnóstwa słodyczy.

– To dlatego, że ubrudzona tym błotem śmierdzisz tak samo jak reszta. Wszyscy tutaj cuchniemy.

I tyle: prosto i uczciwie. Zanim została aresztowana, studiowała architekturę.

– Więc nie ma pryszniców?

– Są. Jeśli chcesz z nich korzystać.

– Dlaczego miałabym nie chcieć? Jest tylko zimna woda? Teraz nie przeszkadzałby mi nawet ciekły lód.

– Specjalnie się nie myjemy – wyjaśniła Issa. – To jedyny środek antykoncepcyjny, jakim tu dysponujemy.

Dopiero po chwili zrozumiałam, co miała na myśli.

– Mówisz o... strażnikach?

– Bingo, mała – powiedziała Monique.

– Zależy wam na tym, żeby śmierdzieć?

– Niektóre kobiety nacierają się tutaj krowim łajnem – powiedziała Issa, patrząc prosto na mnie, jakby czekała, aż się wzdrygnę. A może sprawdzała, jaka jestem twarda, czy wystarczająco, żeby przetrwać w Obozie 23.

– Strażnicy są okropni – dodała Monique. – Jeśli możesz, staraj się nigdzie nie chodzić sama. Oni są niebezpieczni.

– Ale większość z tych, których widziałam, to kobiety.

– Tak. Tylko że oprócz nich jest jedenastu mężczyzn. A część kobiet nie ma nic przeciwko pomaganiu im. Jesteś młoda i ładna, a tutaj to ryzykowny zestaw.

Zadrżałam i znowu poczułam na nodze odcisk ręki pułkownika Longa. O tym też nie wspomniałam Monique i Issie. I dobrze. W porównaniu z tym, co się działo w obozie, pułkownik Long wydawał się dość nieszkodliwy.

W towarzystwie Monique i Issy czułam się bardzo onieśmielona. Nie licząc dzikusów i Ryana, którego w zasadzie można było pominąć, od dawna nie miałam do czynienia z obcymi ludźmi. A już z pewnością nie z dziewczynami w moim wieku – chyba że z Fi.

Zaczęły mi opowiadać o życiu w Obozie 23. Widziały, że nie jestem skora do opowiadania

o sobie, więc same zajęły się mówieniem. Wyjaśniły, że to obóz dla „krnąbrnych”, co oznaczało chyba „upartych”. Wiedziałam, że teraz większość ludności na zewnątrz mieszkała już w normalnych domach, nawet jeśli te domy były małe i zatłoczone. Moi rodacy wykonywali wszystkie nudne i brudne roboty dla swoich nowych szefów. Dlatego domyślałam się, że jeńcy w tym obozie są z jakiegoś powodu wyjątkowi. Kiedy tu przyjechałam, podejrzewałam, że to mogą być zwykli przestępcy, na przykład złodzieje albo gwałciciele. Ale słuchając dziewczyn, zrozumiałam, że najwyraźniej wszyscy zrobili coś takiego jak ja, tyle że w inny sposób.

Wiedziałam, czym zawiniła Issa. Monique podpadła tym, że rozbiła samochód, kiedy wiozła generała. Generał złamał obie nogi, Monique trzy żebra i dostała za to piętnaście lat. Miała dwadzieścia, a jej mały synek zginął podczas nowozelandzkiego nalotu. Co noc płakała przez sen.

Przed wojną Monique była na stażu dziennikarskim w małej lokalnej gazecie w Malton.

Miałam szczęście, że trafiłam na takie współlokatorki. Ale w połowie ich opowieści zasnęłam tak twardo, że chcąc mnie obudzić na podwieczorek, musiały mnie ściągnąć na podłogę. Nie wiem, dlaczego zadawały sobie aż tyle trudu. Cały posiłek składał się z suchego białego chleba naznaczonego pleśnią. A, przepraszam, zapomniałam o gorącej wodzie z kilkoma listkami herbaty na dnie kubka.

13

Tym, co odróżniało Obóz 23 od wszystkiego, z czym się spotkałam do tej pory, byli strażnicy: podli i okrutni cały czas, bez powodu. Tak dla jaj. Jasne, w szkole też była grupka chłopaków, którzy potrafili być okropni dla kogoś, kto im się nie spodobał. Ale od strażników z Obozu 23 dzieliło ich przejście kwantowe (cokolwiek to znaczy). Strażnicy bili i nekali ludzi, bo... No właśnie: bez powodu. Po prostu to robili.

Widziałam okropne rzeczy. Drugiego dnia w kamieniołomie, kiedy pracowałam z łopatą, strażnik wepchnął dziewczynie obok błoto do gardła, bo nie spodobała mu się jej postawa. Kazał jej połknąć, sama nie wiem, z litr tego paskudztwa, aż w końcu padła na ziemię, wymiotując i krztusząc się. Odszedł ze śmiechem.

Podobnie jak dzień wcześniej wzięłam przykład z innych i nie próbowałam interweniować. Wieczorem zapytałam Issę:

- Dlaczego nikt nic nie zrobił?
- Bo nie chcemy mieć połamanych rąk.
- Aha.

Czasami „aha” to jedyne, co można powiedzieć.

– Kojarzysz tę wysoką dziewczynę chodzącą o kulach? Vanesę? Chodzi o kulach dlatego, że próbowała obronić przyjaciółkę przed gwałtem. Strażnicy położyli ją głową na jednym krześle i stopami na drugim. Skakali jej po nodze, aż pękła kość.

Następnego dnia, kiedy dziewczyna była katowana kolbą po twarzy, aż jej usta zmieniły się w czerwoną dziurę wypełnioną krwawą jatką, nie podniosłam głowy. Było mi słabo, czułam, że oblewam się potem, że do oczu napływają mi łzy, które po chwili zaczynają kapać, jedna po drugiej, na lepkie czarne błoto, ale nie podniosłam głowy.

Funkcjonowałam dzięki Issie i Monique. Nic innego nie byłoby w stanie mnie podźwignąć. Miałam się poddać nie raz, ale sto razy. W Obozie 23 Issa i Monique były silniejsze ode mnie. Niezłomne.

Przejawiało się to na setki sposobów. Uściskiem, kiedy przechodziłam obok czegoś brutalnego i okropnego. Krótkim komentarzem w rodzaju: „No, Amber, nie pozwól, żeby cię dopadli”, kiedy siłowałam się z taczkami na desce. Żartem, kiedy patrzyłam na talerz i widziałam gówno, które strażnicy nazywali jedzeniem.

Nie miałyśmy jednak wielu powodów do śmiechu. Rzadko zdarzały się wesołe chwile. Jedynym naprawdę zabawnym epizodem, jaki tam widziałam, było postrzelenie się w stopę przez strażnika. Nagle przez kamieniołom, w którym pracowałyśmy, przebiegł zając i strażnik próbował wyjąć pistolet z kabury, żeby poćwiczyć celność. Miał pecha, bo tak się spieszył, że broń wypaliła, zanim zdążył ją wyciągnąć. Boże, jak on krzyczał. Właśnie to nazywaliśmy rozrywką w Obozie 23:

widok kogoś, kto postrzelił się w nogę.

Tym razem beznadzieja, którą miałam w środku, pasowała do beznadziei wokół mnie. Ból po stracie przyjaciół zniknął w bardziej ogólnym bólu: bólu związanym z życiem na tym okropnym pustkowiu, na pustyni ludzkiego ducha.

Nie było tu nic fajnego. Nic. Jedzenie, praca, błoto, strażnicy, nawet toalety – wszystko było okropne. Piekło, w którym mieszkałam przez ponad rok, stało się odległym wspomnieniem. To miejsce nazywano Obozem 23, ale tak naprawdę to ono było piekłem.

Przez cały tydzień czekałam na niedzielę, dzień odpoczynku. Razem z Issą i Monique długo układałyśmy plany na ten cenny wolny czas.

Jedną rzeczą, którą nie musiałyśmy się przejmować, było pranie. Nie znosiłam smrodu swojego ubrania i ciała, tej słonawej, stęchłej woni, podobnie jak nie znosiłam brudu głęboko wciśniętego w skórę, która wyglądała jak po piaskowaniu, ale zrozumiałam, że dziewczyny mają rację: lepiej być brudną i śmierdzieć, niż wpaść w ręce strażników.

W pierwszą niedzielę marzyłam tylko o tym, żeby się wyspać. Boże, naprawdę nie mogłam się doczekać. Ale zamiast tego tuż po śniadaniu przysłała po mnie Issa.

– Judy chce się z tobą zobaczyć.

– Judy?

– Poznałaś ją. To ona przyprowadziła cię do naszego namiotu. Jest naszą rzeczniczką. To jedna z wprowadzonych ostatnio zmian. Wolno nam mianować kogoś, kto będzie za nas odpowiadał i nas reprezentował. Teraz to z nią rozmawiają władze obozu.

Judy okazała się sporym wyzwaniem. Issa i Monique łyknęły moją historyjkę o wykolejeniu pociągu i nawet nie przyszło mi do głowy, że ktoś inny mógłby mieć co do niej wątpliwości. Ale Judy była inna. Powiedziała jej to samo co Issie, lecz od razu zaczęła wyszukiwać luki w tej wersji wydarzeń. Nagle zrozumiałam, że muszę być bardzo ostrożna. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że przed wojną Judy była prawniczką. Powinam się była domyślić.

– Więc opuściłaś pociąg, a on chwilę później się wykoleił?

Nie musiała dodawać: „To dopiero zbieg okoliczności!”. Widziałam to w jej oczach i słyszałam w tonie głosu.

– No tak, ale nie chwilę później. Po kilku minutach.

– Musiałaś być bardzo blisko, skoro żołnierze z pociągu ścigali cię i złapali.

– Chyba byłam blisko, ale nie aż tak bardzo.

Było mi głupio, że wymyślam takie słabe odpowiedzi.

– Dlaczego pociąg się wykoleił?

– Nie wiem. Może doszło do jakiegoś wypadku, może to był sabotaż? Niedaleko Cavendish działali chyba Nowozelandczycy, którzy wysadzali w powietrze różne obiekty.

– Było słychać eksplozję?

– No tak, chyba tak, zdaje się, że słyszałam jakiś huk. Trudno powiedzieć.

Wiedziałam, że kiepsko mi idzie, ale byłam wyczerpana, a ta kobieta mnie zaskoczyła. Zbiła mnie z tropu.

– Coś wyleciało w powietrze, ale nie wiem, czy przed wykolejeniem się pociągu, czy w trakcie. Możliwe, że coś w pociągu wybuchło, dopiero kiedy zbiegł z torów. Czy to naprawdę takie ważne?

– No cóż, możliwe. Mam tu do czynienia z władzami obozu, a one są zupełnie inne niż strażnicy. Jeśli któryś z jeńców został niesłusznie skazany, przygotowujemy wniosek o jego wypuszczenie. W paru sprawach robimy całkiem spore postępy. W każdym razie – dodała z uśmiechem – przynajmniej działamy im na nerwy i dokładamy im roboty. To element naszej kampanii gnębienia. Oczywiście większość z nas siedzi tu przede wszystkim właśnie z powodu gnębienia wroga. A teraz powiedz mi jeszcze coś. Mówisz, że od początku inwazji mieszkałaś na wsi?

– Tak.

Wróciłyśmy do przesłuchania.

– Gdzie dokładnie?

- Eee, mniej więcej w okolicach Wirrawee.
- Naprawdę? Dziwne. Myślałam, że ten teren był dość mocno kontrolowany.
- Tak, bliżej miasta, jasne, ale tam, gdzie mieszkaliśmy, było raczej luźno.
- Mówiąc: „my”, masz na myśli siebie i swoich rodziców.
- Tak.
- Więc pozwolono wam zostać w domu? Razem?

Nagle zrozumiałam, jaka byłam głupia. Nie tylko dlatego, że moja historyjka nie trzymała się kupy, ale dlatego, że przez swoje słowa i trzymanie się fałszywego nazwiska, straciłam szansę na jedyną rzecz, jakiej rozpaczliwie pragnęłam: uzyskanie informacji o rodzicach. Siedziałam tam jak astmatyk na meczu koszykówki, nie mogąc złapać tchu. Judy przyglądała mi się z przechyloną głową. Nie sposób było zgadnąć, o czym myśli.

– No – powiedziałam w końcu – jakiś czas temu nas rozdzielono. W zasadzie wsiadłam do tego pociągu, żeby odszukać rodziców.

– Możliwe, że zdołamy ci pomóc w tej sprawie. Mamy tu ludzi z różnych części kraju. Może uda nam się znaleźć w obozie kogoś, kto ich widział.

W głębi duszy jęknęłam. Sytuacja wyglądała coraz gorzej. Miałam wielką szansę, żeby namierzyć najbliższych, a coraz bardziej się plątałam.

Jedynę, co przyszło mi do głowy, to stara śpiewka, z której tak często korzystałam w liceum w Wirrawee.

– Czy mogłabym już iść? – wymamrotałam. – Kiepsko się czuję.

– Oczywiście. – Wstała. – Widać, że wiele przeszłaś. Ta wojna daje się we znaki nam wszystkim.

Kiedy wyszłam, poczułam się naprawdę okropnie. Judy sprawiała wrażenie milej i kompetentnej osoby. Nie mogłam ścierpieć, że muszę ją okłamywać.

Po powrocie do namiotu pojawiły się kolejne pytania. Czego chciała? Co jej powiedziałaś? Co powiedziała o twoim wyroku?

Za dużo pytań. Miałam dość pytań. Nagle miałam dość wszystkiego. Odwróciłam twarz do poduszki, a potem wierciłam się i wierzgałam, aż moje nogi znalazły się pod kocem. Pewnie wyglądało to dość głupio. Jak kolczatka wkopująca się w ziemię. Ale pytania jeszcze się nie skończyły. Kilka godzin później, tuż przed lunchem, znowu usłyszałam, że mam iść do Judy. Ruszyłam bardzo niechętnie, człapiąc nogą za nogą, jakbym była w kamieniołomie i wtaczała błoto pod górę. A gdy tylko usiadłam w jej biurze, przystąpiła do ataku.

– Wypytałam parę osób, Amber. Nie ulega wątpliwości, że pociąg był sabotowany z użyciem silnego ładunku wybuchowego.

Nie odpowiedziałam. Siedziałam i tępo się na nią gapiłam.

– Poza tym krążą plotki, że mogłaś być zamieszana w atak na parkingu dla ciężarówek, gdzie zginęło wiele osób. Nie rozumiem, Amber. Skoro udało ci się wysadzić w powietrze pociąg wroga na tak ważnym etapie wojny, w tym obozie uznano by cię za bohaterkę. Jak myślisz, dlaczego nas tu zamknęli? Na swój sposób każda z nas sprzeciwiła się inwazji, stawiała jej opór, walczyła przeciwko niej. Większość nie zrobiła niczego aż tak spektakularnego jak wysadzenie pociągu, ale dawałyśmy z siebie wszystko.

Usiadła wygodniej, czekając, aż coś powiem. Jakby zachęcała mnie do tego, żebym jej zaufała. Nie potrafiłam zmusić umysłu do pracy. Bez przerwy przyciskałam wszystkie klawisze w mózgu, ale nie chciał zaskoczyć. Zero reakcji. Nie jak traktor z rozładowanym akumulatorem w środku zimy. Nawet on wydałby jakiś pomruk. Nawet on cicho by warknął. Ja nie wykrzesalam z siebie niczego.

Nie jestem pewna, jak długo Judy tak siedziała. Widziałam, że jest kompletnie zdziwiona i naprawdę było mi jej żal. Czuję się głupio, robiąc jej tyle trudności. Ale co mogłam poradzić?

W końcu położyła dłonie płasko na biurku i spojrzała na mnie.

– Amber, nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Czasami w obozie umieszczano szpiegów i donosicieli. Naprawdę mam nadzieję, że nie jesteś jedną z nich. Myślę, że nie, ale muszę cię ostrzec, że jeśli tak, znalazłaś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji i proponuję, żebyś stąd

zniknęła najszybciej, jak możesz.

Powoli pokręciłam głową i pozbawionym emocji głosem powiedziałam:

– Nie jestem ani szpiegiem, ani donosicielką.

– Tak – powiedziała. – Wierzę.

Wyglądało na to, że następne przesłuchanie dobiegło końca. Wstałam, żeby wyjść. Zanim się odwróciłam, zapytałam:

– Co powinnam zrobić, żeby zdobyć informacje o przyjaciółach, ludziach, których znałam przed wojną?

– Właśnie stworzyliśmy biuro dla osób poszukujących swoich bliskich. Działa w namiocie 29. Pomaga nam Czerwony Krzyż. Idź tam i zobacz.

– Dziękuję.

Nadal nie wiedziałam, jak to załatwić. Gdybym poszła do namiotu 29 i zapytała o rodziców, Judy od razu by się o tym dowiedziała. Te wszystkie wystąpienia w nowozelandzkich mediach – miałam wrażenie, że przydarzyły mi się ze sto lat temu – oznaczały, że moje nazwisko jest aż za dobrze znane. Szczerze mówiąc, jednym z najdziwniejszych skutków ubocznych tej wojny było to, że staliśmy się sławni. Przed wojną, kiedy marzyłam o sławie, nigdy nie przypuszczałam, że można ją zdobyć w taki sposób.

Rozgłos oznaczał, że Judy – i każda osoba, która potrafi choćby przeliterować skrót IQ – domyśli się, kim jestem. A jeśli dowie się jeden człowiek, równie dobrze mogły się dowiedzieć tysiące.

Martwiłam się tym przez cały lunch. Mimo to nadal nie potrafiłam się skupić. Nie tylko przez pustkę w głowie, ale i przez hałas panujący na stołówce. Pewnie po umieszczeniu stu kobiet i dziewięciuset mężczyzn na tak małej przestrzeni nie może być cicho.

No więc minęłam ostatni rząd namiotów i podeszłam do pierwszego ogrodzenia. Znalazłam się na krańcu obozu. Za ogrodzeniem była naga ziemia piętnastometrowej strefy zakazanej, z prawej i z lewej miałam budki wartownicze. Stałam i patrzyłam na ścianę kamieniołomu. Chciałam pobyć sama, ale wiedziałam, że strażnicy obserwują mnie ze swoich wież. Gdybym podniosła głowę, na pewno bym ich zobaczyła: wycelowane we mnie karabiny automatyczne, znudzone twarze nad barierkami, oczy ukryte za ciemnymi okularami. Nie odważyłam się podejść pod samo ogrodzenie. Byłam pewna, że to dozwolone, ale przebywałam tu zbyt krótko, żeby poznać wszystkie zasady.

Nagle przytłoczyło mnie poczucie straty po śmierci przyjaciół. Walczyłam z nim, zaprzeczałam mu, ignorowałam je, ale już dłużej nie byłam w stanie. Nie wiedziałam, kogo opłakiwać najbardziej, a moje uczucia rozdarły się między całą czwórkę. Jeśli się dorasta w małej społeczności, tak jak my, wszyscy i wszystko staje się ważne. Nie ma rzeczy nieistotnych. Pada drzewo, rozrasta się ogród, rodzi się dziecko, umiera staruszek. I każde z tych wydarzeń trafia ci prosto do serca. Zmienia cię. Im większe wydarzenie, tym większa zmiana.

Ale z jakiegoś powodu w wypadku Homera, Lee, Fi i Kevina to nie wystarczało. Tak samo jak po śmierci Chrisa, Robyn albo Corrie. To mi nie wystarczało. Starsi ludzie potrafią zaakceptować taki los, ale my nie.

Kiedy postanowiłam spisać nasze losy w czasie wojny, miało to wymiar publiczny. Potrzebowaliśmy świadomości, że dzięki nam zaszły jakieś wielkie zmiany. Napisałam to, bo chcieliśmy zostać zapamiętani, bo chcieliśmy wierzyć, że nasze życie miało znaczenie. Pragnęliśmy wiedzieć, że nie przeszliśmy przez świat niezmienieni i że nie pozostawiliśmy go w niezmienionym stanie. Nie chcieliśmy pojawić się na tej planecie i zniknąć, nie zostawiwszy jakiegoś śladu. Czasami, jeszcze przed wojną, w szkole, rozglądałam się i miałam wrażenie, że jedynym śladem, jaki pozostawią po sobie niektórzy ludzie, będzie ślad po gwałtownym hamowaniu.

Z biegiem czasu pisanie stało się dla mnie czymś osobistym, robionym dla siebie. Nawykem, przymusem, sposobem na zapamiętanie i zrozumienie. Dzięki zapisywaniu to wszystko stawało się prawdziwe. Ale teraz, stojąc przy ogrodzeniu, pomyślałam, że muszę przelewać te wydarzenia na papier, bo w ten sposób mogę opowiedzieć ludziom o moich przyjaciółach, o ich życiu i śmierci.

Dość mocno zmieniałam zdanie na temat szerokiego grona odbiorców. Tak naprawdę liczą się tylko te osoby, które są blisko ciebie, które znają cię takim, jakim jesteś, i kochają cię takim, jakim jesteś. Nie trzeba było śmierci siedmiu osób, żebym się tego nauczyła. Ale nadal uważam, że to źle, kiedy ludzie żyją i umierają po cichu i nikt tego nie zauważa. Nie wiem, dlaczego celebrytów oplakujemy bardziej niż listonosza, papuaskie niemowlę albo wdowę z Boliwii. „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie. Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie. Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą”*. Instruktor ze szkoły przetrwania ciągle to cytował.

Kiedyś, gdy byłam znacznie młodsza, czytałam gazetę nad ramieniem mamy. Pokazałam jej mały artykuł zatytułowany: „Zabójczy alkohol”. Napisano w nim mniej więcej tak: „Pracownik browaru w Osace w Japonii utopił się wczoraj w kadzi piwa. Policja poinformowała, że mężczyzna był nieprzytomny, kiedy wpadał do zbiornika. Współpracownicy zauważyli jego zniknięcie dopiero kilka godzin później”.

Czytając to, chichotałam. Moja mama nie.

– To straszne i smutne – powiedziała.

Poczułam, że moje chichotanie było nie na miejscu.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Zginął człowiek. Jego rodzina będzie go dziś oplakiwała. Przyjaciele będą za nim tęsknili.

W ich życiu powstała ogromna pustka. To źle, że gazeta obraca to w żart.

Czasami myślę, że moja mama jest najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Ostatnim zwierzęciem, które umarło na naszej farmie przed inwazją, był Borys, dziki paw, który przyleciał do nas pewnego popołudnia, spodobało mu się i został. To nie było aż tak nieprawdopodobne, jak się wydaje, bo stary emeryt mieszkający kilka kilometrów dalej miał u siebie mnóstwo pawi, przepiórek, gołębi i tego typu ptaków i Borys najwidoczniej mu prysnął. Tata zadzwonił do tego pana i powiedział, że mamy jego uciekiniera, ale facet się nie zainteresował.

Borys był kompletnie stukniętym ptakiem. Miał świra na punkcie domów. Zawsze kiedy zostawialiśmy otwarte drzwi, wpadał do środka i fajdał na podłogę. Nie znosiłam po nim sprzątać. Nie znosiłam Borysa. Pewnego wieczoru zastałam go w domu i wygoniłam, ale po jakimś czasie zauważyłam, że przycupnął na najniższej gałęzi sosny przed moim oknem. Jakiś metr nad ziemią. „Niedobrze – pomyślałam. – Dopadnie go lis”. Próbowałam go podnieść i posadzić wyżej. Był niesamowicie ciężki, ale jakoś udało mi się go umieścić na innej gałęzi. Gdy tylko to zrobiłam, runął prosto na ziemię. To było straszne. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ptak zrobił coś podobnego. Może nocą wyłączyły mu się wszystkie systemy, łącznie z poczuciem równowagi. Myślałam, że skręcił kark. Na szczęście nic mu się nie stało, ale trzeba było dwóch osób, mnie i mamy, żeby go posadzić na pniu, z którego nie spadłby po raz drugi.

Mówiąc w skrócie, pewnego ranka zobaczyłam pióra Borysa tworzące ścieżkę na podwórzu. Poszłam w tamtą stronę i w końcu dotarłam do piór poplamionych krwią. Wiedziałam, że nigdy więcej nie zobaczę Borysa. Lis musiał się bardzo napocić, żeby go stąd zabrać, ale ostatecznie drapieżnik wygrał.

A ja poczułam się okropnie. Było mi tak bardzo żal Borysa. Mimo że go nie lubiłam, mimo że był odmieńcem, chciałam, żeby żył dalej. Dlaczego? Nie wiem. Po prostu dlatego, że był takim dumnym, głupim, pięknym ptakiem z własną denerwującą osobowością i własnym samotniczym stylem życia.

Chyba próbuję powiedzieć, że życie jest cenne, dziwne, piękne, smutne i wyjątkowe i nienawidzę patrzeć, jak się je wyrzuca, odbiera, miażdży i niszczy.

Mimo wszystko nadal nie potrafiłam uronić łzy za Homera, Fi, Lee i Kevina. Stojąc pod ogrodzeniem, czułam, że stopniowo coraz bardziej pochylałam się nad ziemią, zmieniając się w żalospną kupkę nieszczęścia. Chyba zwinęłam się jak dzieci w łonie matki widoczne na USG. Dziwne. Nie wiem, jak długo tam byłam. Może ze dwie, trzy godziny. Naprawdę nie mam pojęcia.

Nagle poczułam, że niedziela się kończy, i wkurzyłam się, że nie zrobiłam niczego fajnego. Zmarnowałam swój dzień odpoczynku.

Ale niedziela wcale nie dobiegła końca. Wieczorem miałam gościa. Judy uznała, że potrzebuję lekarza, więc doktor Muir wpadł z wizytą domową.

Zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się mężczyzny w naszej części obozu, ale okazało się, że lekarzowi wolno przebywać na całym terenie. Strażnicy pozwalali nam przechodzić przez część dla mężczyzn, tylko kiedy szliśmy do obozowego szpitala, i to pod warunkiem że eskortowała nas Judy.

W zasadzie doktor Muir okazał się całkiem miły. Był młody, miał bardzo jasne włosy, bladą cerę, blade oczy i rude brwi, zadawał pytania powoli i ostrożnie i tak samo mnie badał. Poświęcił sporo czasu zwłaszcza moim oczom, uszom i ustom. Nie miał wielu przyrządów, tylko stetoskop, termometr i gumowy młotek, którym stukał w kolana, żeby zbadać moje odruchy.

– Będę żyła? – zapytałam, kiedy skończył.

– Jesteś w lepszym stanie, niż powinnaś, biorąc pod uwagę to, przez co przeszłaś. Dziś ku mojemu zaskoczeniu przyszły twoje papiery ze szpitala. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć na tej wojnie. Sądząc po wynikach badań, powinnaś już nie żyć. Ale jesteś bardzo silna. Pewnie to ci pomogło.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Bardzo zaintrygowałaś Judy. Nazywa cię tajemniczą dziewczyną.

– Nie ma we mnie niczego tajemniczego.

– No, nie byłbym taki pewny. Jesteś tutaj prawie od tygodnia, a nadal nikt nic o tobie nie wie. Biorąc pod uwagę, jak dobrze działa tu poczta pantoflowa, powiedziałbym, że to dość tajemnicze.

Te słowa jeszcze bardziej mnie zestresowały. Spojrzałam na Issę, która siedziała w wejściu do namiotu, zwrócona do mnie plecami. Nie wiedziałam, czy nas słyszy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było zainteresowanie ludzi. W miejscu, które żywiło się plotkami, coś takiego było okropnie niebezpieczne.

Issa i Monique miały już za sobą etap wielkiej ciekawości i zadawania mnóstwa pytań. Kiedy go przetrwałam, w zasadzie dały za wygraną, jakby zrozumiały, że nie chcę mówić i nie mam zamiaru zacząć. I dobrze, tylko że powstał między nami mur: czułam się wykluczona, jakbym nie miała pełnego wstępu do ich grona. Były dla mnie cudowne i bardzo się starałam na wszystkie inne sposoby – na przykład wykonywałam większość pracy w celu utrzymania porządku w namiocie – ale mimo to trzymały mnie trochę na dystans.

Tydzień później zamiatalam teren na zapleczu stołówki. Dzień był ładny i zamiatanie okazało się całkiem przyjemne. Wcześniej przez sześć dni ładowaliśmy cegły na ciężarówkę. Moje ręce były całe w pęcherzach, pocięte i posiniaczone. W dziesięciu różnych miejscach zdarłam sobie z nich skórę. Mniej więcej co pół godziny jeden z moich palców był przygniatany, szczypany albo drapany, aż w końcu wszystkie podwoiły objętość i zaczęły przypominać kolorowe kielbaski wieprzowe.

Chyba najgorsze było to, że cegły okazały się idealną bronią dla strażników. Dziewczyna, która pracowała tuż obok mnie, dostała tak silny cios cegłą w bok głowy, że oko wyskoczyło jej z oczodołu. Nadal leżała w obozowym szpitalu. Jeśli któremuś ze strażników nie spodobało się coś, co robiłaś, rzucał w ciebie cegłą z odległości dziesięciu metrów. Nie można było ich spuszczać z oka.

Do zamiatania zgłosiłam się na ochotnika. Zgodnie z polityką Judy każdy musiał zrobić w niedzielę coś pożytecznego, żeby w obozie panował ład i porządek. Nie miałam nic przeciwko temu, ale od trzymania miotły bolały mnie ręce. Judy powiedziała, że czysty obóz dobrze wpływa na morale, i pewnie miała rację. Przynajmniej dostałam jedno z tych niewymagających myślenia zadań, przy których można się skupić na innych sprawach. Tym razem skoncentrowałam się raczej na przyszłości niż na przeszłości. Wyobrażałam sobie, że znowu jestem na farmie z rodzicami, wojna się skończyła i wszystko wróciło do normalności. Siedziałam na motorze i wjeżdżałam w krowie placki, żeby opryskać jadącego za mną tatę, impregnowałam kreozotem nowe barierki do przepędzania bydła, ignorując widoczne na beczkach ostrzeżenia mówiące o jego rakotwórczości, i wyciągałam land-rovera z rzeki najszybciej, jak umiałam, zanim tata się dowie, że go wzięłam, „choć powinnam mieć więcej oleju w głowie”.

Oczywiście, rozmyślając o przyszłości, tak naprawdę rozmyślałam o przeszłości. Czasami

nie sposób ich rozdzielić. To chyba w ogóle niemożliwe. Jakby przyszłość była budynkiem wznoszonym na fundamentach z przeszłości.

Zamiatalam mniej więcej pół godziny i dotarłam do przedniej części stołówki, gdzie kilkadziesiąt osób już czekało na lunch. Jedzenie było obrzydliwe, ale posiłki nadal traktowano w obozie jak wielkie wydarzenie. Po części dlatego, że przerywały monotonię, a po części dlatego, że widywało się na nich mężczyzn.

Nagle moja przeszłość mnie dogoniła. Kobięcy głos zawołał:

– O mój Boże! Ellie!

Moja głowa podskoczyła jak łeb jacka russella na widok królika. Oczy prawie wyszły mi z orbit, a włosy na głowie stanęły dęba, jakby uderzył w nie tropikalny cyklon. Stałam, trzymając miotłę i gapiąc się na kobietę, która szła w moją stronę. Nawet jej nie poznałam. Właśnie to było najśmieszniejsze.

– Ellie – powtarzała, jakby raz nie wystarczyło. – Ellie Linton! Och, nie wierzę! Ellie!

Wszyscy o tobie mówią! A ty jesteś tutaj!

Kiedyś była postawną kobietą, to rzucało się w oczy, i nagle zrozumiałam, kto to taki. Pani Samuels, która przez lata rozwoziła pocztę. Problem w tym, że rzadko było widać osobę siedzącą za kółkiem małego kombi dostarczającego listy, więc nic dziwnego, że nie od razu ją poznałam. Poza tym oczywiście schudła, jak wszyscy podczas tej wojny.

Upuściłam miotłę i wyciągnęłam ręce, żeby ją powstrzymać. Ale było za późno.

Zaciekawieni ludzie już się do nas odwracali – między innymi Issa i Monique. Słyszałam, jak ktoś mówi:

– Ona ma na imię Amber.

Pani Samuels odwróciła się do tej osoby z całą dumą człowieka, który właśnie kupił najdroższą krowę na dorocznych targach.

– Ależ skąd! – powiedziała. – Nie wiecie, kto to jest? Słyszeliście o tych młodych ludziach, którzy wysadzili w powietrze statki w Zatoce Szewca? I fabrykę amunicji w Point Nelson? Mamy tu prawdziwą sławę.

Potem zwróciła się do mnie:

– Od jak dawna jesteś w obozie, Ellie? Jak cię złapali? Przez kilka tygodni chorowałam i leżałam w obozowym szpitalu...

Uciekałam. To było ponad moje siły. Nie mogłam jej powstrzymać, tak jak nie można powstrzymać galopującego byka. Tak się nakręciła, że gadałaby z półtorej godziny. I o co jej chodziło z tą fabryką amunicji? Nigdy w życiu nie widziałam fabryki amunicji, nie mówiąc o wysadzeniu jej w powietrze.

Problem z siedzeniem w więzieniu polega na tym, że nie ma dokąd uciec. Wróciłam do namiotu nie dlatego, że czułam się tam bezpieczna, ale dlatego, że nie miałam innego wyjścia. I oczywiście wcale nie było w nim bezpiecznie. Trzy albo cztery minuty później zjawiły się Issa i Monique. Patrzyły na mnie wytrzeszczonymi oczami.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Wiedziałyśmy, że chowasz coś w zanadrzu.

– O Boże, to niesamowite!

– Słuchałyśmy o was w pirackich rozgłoszeniach radiowych.

– To dlatego nigdy o sobie nie opowiadałaś.

– Coś ci powiem, dziewczyno, gdybym zrobiła przynajmniej połowę tego, co ty, przechwalałabym się w całym obozie. Nikt nie byłby w stanie zamknąć mi ust.

– Nie wiem, jak się do ciebie zwracać: Amber czy Ellie. Dalej o tobie myślę jak o Amber.

– Jak ci się udało tego wszystkiego dokonać? Nie robiłaś w majtki ze strachu?

Jedyną dobrą rzeczą, jaką usłyszałam podczas tej paplaniny, były słowa Issy:

– Powiedziałyśmy wszystkim, żeby cię zostawili w spokoju. Teraz jedzą lunch.

Po chwili musiały wyjść. Zjawiła się Judy.

* Fragment *Medytacji XVII* Johna Donne'a w tłumaczeniu Bronisława Zielińskiego (przyp. tłum.).

Po wejściu do biura Judy w pierwszym odruchu chciałam paść na podłogę i płakać. Niestety, nie mogłam sobie pozwolić na taki luksus. Znalazłam się w zbyt rozpaczliwej sytuacji.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś – zaczęła ze złością.

– Nie mogłam ryzykować.

– No tak, nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Musimy zdecydować, co z tym zrobić. – Urwała i chyba doszła do wniosku, że zachowała się trochę niewdzięcznie, bo zarumieniła się i dodała: – Ty i twoi przyjaciele osiągnęliście coś cudownego. Domyślam się, że to jednak ty wysadziłaś tamten pociąg?

Przytaknęłam.

– No tak, wiedziałam. Między innymi właśnie dlatego nie mogłam cię rozgryźć. Co się stało z twoimi przyjaciółmi? Masz o nich jakieś wieści? Nic im się nie stało?

– Zginęli tego samego dnia, kiedy mnie złapano.

Mówiąc to, czułam, jak twarz wykrzywia mi się z bólu, i musiałam walczyć, żeby odzyskać nad nią kontrolę.

– Bardzo mi przykro. – Wstała i dorzuciła: – Posłuchaj, pójdę porozmawiać z Joachimem, moim odpowiednikiem w sekcji męskiej. Mamy teraz poważny problem. Dowie się o tobie cały obóz, a moim zdaniem część jeńców zdecydowanie za bardzo zbratała się ze strażnikami. Dlatego zachowanie twojej tożsamości w tajemnicy to dla nas wielkie wyzwanie. Zostań tutaj, a ja dopilnuję, żeby nikogo tu nie wpuszczano.

– Jak zdołasz utrzymać moją tożsamość w tajemnicy? – zapytałam.

Czułam, że nie ma na to szans. Czekala mnie katastrofa.

– Nie wiem. Bardzo możliwe, że mi się nie uda.

Doceniłam jej szczerłość, mimo że na myśl o tym, co oznaczają jej słowa, zrobiło mi się niedobrze.

Wtedy naprawdę mnie zszokowała:

– Jest inne wyjście. Możemy spróbować cię stąd wydostać, zanim władze odkryją, kim jesteś.

– Jak moglibyście to zrobić?

– Z wielką trudnością. Były cztery próby ucieczki z obozu w ciągu dwunastu miesięcy, ale tylko dwie zakończyły się powodzeniem. Pozostałe dwie osoby złapano, zanim zdążyły przebiec pół kilometra.

Już miała wyjść, ale zatrzymała się, spojrzała na mnie i zapytała:

– Wolałabyś takie rozwiązanie? Jesteś gotowa zaryzykować, jeśli obmyślimy w miarę wykonalny plan?

– Mam inne wyjście? – odparłam z goryczą.

To dość dziwne, ale w tamtej chwili myślałam nie tyle o ryzyku, ile o tym, jak okropnie będzie opuścić bezpieczny namiot, w którym mieszkałam z dziewczynami, spokój płynący z życia w otoczeniu rodaków. Świat poza obozem wydawał się pusty i niebezpieczny. Ale oczywiście wiedziałam, że teraz w środku będzie czyhało jeszcze większe zagrożenie. Poczucie bezpieczeństwa, które towarzyszyło mi w tym zamknięciu, od początku było jedynie złudzeniem. A teraz to złudzenie zagrażało mojemu życiu.

Judy zniknęła prawie na dwie godziny. Ktoś przyniósł mi lunch: ryż, który ugotowano ze dwa, trzy dni wcześniej. Ziarenka przypominały twarde nasionka. Nigdy nie miałam mniejszej ochoty na jedzenie, ale przypomniałam sobie słowa Issy i wmusiłam w siebie wszystko. Kiedy wróciła Judy, przysypiałam, wisząc na oparciu krzesła, ale na jej widok dość szybko się obudziłam.

– Wpadliśmy na pewien pomysł – powiedziała – ale muszę cię zapytać jeszcze raz: naprawdę tego chcesz? Myślisz, że ucieczka jest lepsza niż pozostanie w obozie?

– A ty?

– Prawda wygląda tak, że jeśli tu zostaniesz, władze odkryją twoją tożsamość w ciągu dwudziestu czterech godzin, a wtedy twoje życie nie będzie warte nawet... – Pstryknęła palcami.

Tylko potwierdzała to, o czym już wiedziałam. Ale musiałam to usłyszeć z jej ust. Przyszła pora się zbierać – im szybciej, tym lepiej.

Nie musiałam odpowiadać. Na widok mojej miny domyśliła się, co wybrałam.

– W porządku – powiedziała z werwą. – Oto pomysł, który podsunął nam doktor Muir. Być może już wiesz, że na drugim końcu obozu stoi kilka namiotów, które służą nam za szpital.

Przytaknęłam. Już o tym wiedziałam.

– Większość pacjentów cierpi na stosunkowo niegroźne dolegliwości albo leczy rany zadane przez strażników. Zazwyczaj udaje nam się namówić władze, żeby poważniejsze przypadki, nowotwory i tego typu sprawy, wysyłały do swoich szpitali.

Znowu przytaknęłam. Chciałam jak najszybciej poznać jej plan. Zależało od tego moje życie.

– Wyjątkiem są czterej mężczyźni chorzy na AIDS. Leżeli tu cały czas, mimo że dwaj z nich byli w naprawdę ciężkim stanie. Należało ich hospitalizować już dawno temu, ale jesteśmy zmuszeni trzymać ich tutaj, bo gdy chodzi o AIDS, władze mają paranoję. Myślę, że pod pewnymi względami chorym jest lepiej tutaj. Niestety, dziś wcześnie rano jeden z nich zmarł. To bardzo smutna wiadomość dla tych z nas, którzy zdążyli go dobrze poznać i którzy podziwiali jego odwagę, ale być może wyniknie z tego coś dobrego. Wiem, że byłby zachwycony planem, który ci za chwilę przedstawię. Trzy dni temu powiedział, że chciałby oddać organy do przeszczepu. W jego wypadku to oczywiście niemożliwe, ale myślę, że w nieco innym sensie jego śmierć może dać ci szansę na nowe życie. Doktor Muir zaproponował, żebyśmy wykorzystali irracjonalny strach żołnierzy przed AIDS. Jeśli się zgodzisz, pójdziesz do władz obozu i powiesz, że wszystko, co należało do Aarona, i to, z czego korzystał, musi zostać spalone, żeby uniemożliwić rozprzestrzenienie się wirusa. Z medycznego punktu widzenia to bzdura, ale jesteśmy pewni, że strażnicy w nią uwierzą. To pierwszy zgon osoby chorej na AIDS w tym obozie, więc możemy ustanowić własne zasady. Lekarz zaferuje, że będzie nadzorował spalanie. Jest tu stara ciężarówka, którą strażnicy jeżdżą na wysypisko i zakładam, że postanowią ją wykorzystać do tego celu. Jak się pewnie domyślasz, zamierzamy cię umieścić właśnie w tej ciężarówce.

– Jak?

– Na razie nie wiemy. Doktor Muir poszedł porozmawiać z kilkoma osobami, które mogą coś wymyślić.

– Więc chodzi o to, żeby żołnierze nie zawracali sobie głowy skrupulatnym przeszukaniem ciężarówki...

– Mamy powody do optymizmu, bo przecież chodzi o pacjenta zmarłego na AIDS.

– ... i żeby udało mi się uciec, kiedy już dotrzemy do miejsca, w którym odbywa się spalanie.

– Tak. Tej części nie jesteśmy w stanie zaplanować. Będziesz musiała wykorzystać każdą nadarzącą się okazję.

Gdy nie odpowiedziałam, dodała:

– To kwestia wyboru mniejszego ryzyka. Co jest bardziej niebezpieczne: pozostanie tutaj czy próba ucieczki?

Wiedziałam, że nie ma wyboru. Wiedziałam o tym już w chwili, w której nakryła mnie pani Samuels. Jedynym powodem, dla którego nie zdecydowałam się od razu, była niechęć do wypowiedzenia tych słów, do skazania się na to ogromne niebezpieczeństwo. Ale teraz, zanim zdążyłam się powstrzymać, powiedziałam:

– Zrobię to, oczywiście.

Wiedziałam, że zabrzmiało to bardzo zdecydowanie. Żałowałam tylko, że nie czuję choćby ułamka tej pewności.

Zanim zmieniłam zdanie, Judy kiwnęła głową i wyszła. I chyba tak było lepiej. Jeśli nie miałam szansy na ponowne zastanowienie się, nie mogłam się zastanawiać.

Judy wychodziła i wracała przez całe popołudnie. Docierały do mnie tylko zdawkowe informacje na temat tego, co się działo. Ale wyglądało na to, że na zewnątrz praca wre. Jeńcy dostali zakaz rozmawiania ze strażnikami sam na sam. Nie można było w ogóle zakazać rozmów,

bo wtedy strażnicy nabraliby podejrzeń, ale przyjęte rozwiązanie wydawało się najlepszym możliwym kompromisem. Byłam wzruszona, że zadają sobie tyle trudu ze względu na mnie.

Późnym popołudniem Judy powiedziała, że władze wydały zgodę na to, aby doktor Muir zawiózł rzeczy zmarłego na wysypisko i je spalił.

Tymczasem trochę się zastanawiałam i powiedziałam do Judy:

– W obozie może być ktoś, kto ma jakieś informacje o moich rodzicach. Nie pytałam o nich wcześniej, bo to byłoby zbyt niebezpieczne, ale czy mogłabyś zasięgnąć języka? Wspomniałaś o namiocie, w którym pomagają ludziom odnaleźć krewnych.

– Zrobię, co w mojej mocy – odpowiedziała krótko i wyszła, zanim zdążyłam się wdać w szczegóły.

Przez jakiś czas drzemałam przy jej biurku z głową opartą na rękach. Obudziła mnie, wpadając do środka mniej więcej o wpół do siódmej.

– Załatwimy to dziś wieczorem, teraz – oznajmiła.

– Teraz?

Podźwignęłam się na nogi, próbując się obudzić.

– Tak. Poszło bardzo dobrze. Władze tak bardzo boją się wirusa, że chcą bezzwłocznego spalenia wszystkich rzeczy Aarona. Chyba Stuart zdołał przekonać tych ludzi, że wirus wydostaje się z ciała zmarłego.

Domyśliłam się, że Stuart to doktor Muir.

Kiedy wyszłyśmy z biura, Judy powiedziała:

– Zaaranżowałam spotkanie z panią Samuels. Myślę, że ma jakieś informacje o twoich rodzicach.

Zakręciło mi się w głowie i musiałam się przytrzymać futryny.

– Naprawdę?

– Wszystko na to wskazuje. – Spojrzała na mnie z ukosa. – Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Na tej wojnie panuje taki bałagan, że wiele informacji się nie potwierdza. Nie można na nich za bardzo polegać.

Kiedy weszliśmy do szpitalnego namiotu, pani Samuels już czekała. Była bardzo poruszona. Obwiniła się o to, że mnie zdemaskowała. Nie wiedziała, że zamierzam spróbować uciec, ale miała świadomość, że naraziła mnie na ogromne niebezpieczeństwo.

Nie byłam zainteresowana długą rozmową na ten temat. Chciałam zdobyć jak najwięcej informacji w jak najkrótszym czasie. Odkąd Judy mi powiedziała, że pani Samuels może coś wiedzieć, byłam strasznie rozgorączkowana. Nawet pomimo całego strachu związanego z ucieczką myślami błądziłam gdzie indziej, zastanawiając się, co usłyszę i kiedy.

Dlatego uciełam przeprosiny pani Samuels. Judy czekała tuż obok. Wiedziałam, że czas nagli.

– Pani Samuels, przepraszam, że pani przerwę, ale chyba czeka na mnie lekarz. Chcę panią tylko zapytać, czy widziała pani moich rodziców.

Natychmiast spuściła wzrok. Poczułam ucisk w żołądku, jakbym połknęła pół tony cementu.

– O co chodzi? – zapytałam błagalnym głosem, łapiąc ją za rękę.

– Nie, nie, myślę, że nic im się nie stało – zapewniła pospiesznie. – Z tego, co wiem, są cali i zdrowi.

– Jest pani pewna?

– Tak – powiedziała, ale znowu poczułam, że coś przede mną ukrywa. – No cóż, przynajmniej twoja mama, którą spotkałam całkiem niedawno. Taty nie widziałam od wieków.

– Gdzie oni są?

– Rozdzielili ich już na początku wojny. Dlatego nie jestem pewna, gdzie dokładnie przebywa twój tata. Ale mogę ci powiedzieć, gdzie jest mama.

– Gdzie? Gdzie?

Po chwili wahania powiedziała:

– W Simmons' Reef. Jest tam cała grupa z Wirrawee i oczywiście z innych miejsc. Trzymają ludzi w wielkich blokach. Każą im pracować w różnych sklepach, fabrykach, tego typu

miejskach. To wstyd, że taka dama jak twoja mama, która przez tyle lat prowadziła gospodarstwo, musi teraz mieszkać w jednym z tych paskudnych mieszkań. Są tam stłoczeni jak sardynki. To straszne.

– Nic więcej pani nie wie?

– No cóż, właściwie nie...

– Chodźmy – wtrąciła się Judy.

Nie było czasu na dalszą rozmowę. Judy pociągnęła mnie za sobą, popychając jednocześnie panią Samuels w przeciwną stronę.

Jedno musiałam jej przyznać. Była odpowiednią osobą do kierowania jeńcami. Miała zmysł organizacyjny.

W namiocie czekał doktor Muir.

– Musimy działać szybko – zwrócił się do mnie. – Lada chwila przyjedzie ciężarówka. – Potem zapytał Judy: – Powiedziałaś jej?

– Nie.

– Jest tylko jeden sposób, w jaki możemy to zrobić – wyjaśnił mi. – Obawiam się, że niezbyt przyjemny.

– Jak to?

– Zaszycę cię w materacu. Już go otworzyliśmy i wyjęliśmy wystarczająco dużo wypełnienia. Będziesz musiała wejść do środka, a potem znowu go zaszyć.

Na samą myśl o tym poczułam przyływ klaustrofobii.

– To materac tego zmarłego?

– Nie – powiedział.

Ale podobnie jak pani Samuels nie wydawał się do końca pewny. Dziś wieczorem wszyscy się wahali. Bardzo mnie to stresowało. Po doktorze Muirze od razu było widać, że kłamie. Co do pani Samuels, nie miałam pojęcia.

Poszłam za doktorem i Judy do następnego namiotu. Materac już czekał, zgodnie z zapowiedzią. Obok leżała sterta wyjętego ze środka końskiego włosia. Zobaczyłam szeroki otwór.

W przeciwieństwie do pozostałych nie wahałam się ani chwili.

Nie było na to czasu. Zaczęłam wpełzać do środka. Wtedy coś mi przyszło do głowy. I od razu się zawahałam.

– Nie zemszczą się na was, jeśli zabraknie mnie na apelu?

– To już nasze zmartwienie – ucięła Judy.

Poczułam ogromny przyływ wdzięczności, kiedy zdałam sobie sprawę, ile dla mnie robią.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Do zobaczenia po wojnie.

– Tak. Po wojnie.

Wewnątrz materaca było dziwnie. Docierało tam światło i mogłam oddychać, ale musiałam się starać, żeby nie wpaść w panikę. Wypełnienie było strasznie niewygodne: kłuło i drapało, wbijało się w skórę przy każdym ruchu. Na farmie mieliśmy dwa stare materace wypełnione końskim włosiem i upchnięte w kwaterach postrzygaczy, ale w dzisiejszych czasach nikt nie zechciałby na nich spać.

Nie odwracając głowy, poczułam, że doktor Muir zaczął zszywanie. Pewnie on też czuł się dziwnie – założę się, że na studiach medycznych nie przygotowywano go do zakładania tego typu szwów.

Leżenie w materacu wydało mi się jakby znajome i zaczęłam się zastanawiać, z czym mi się kojarzy. W końcu sobie przypomniałam. Kiedy byłam mała, chowałam się w łóżku, zakładałam koc na głowę i wyobrażałam sobie, że jestem w swoim małym świecie, gdzie nie dosięga mnie nic z zewnątrz – to było właśnie takie uczucie. Jakbym siedziała w wahadłowcu.

Niespełna pięć minut później usłyszałam głośne kroki na deskach rozłożonych w namiocie. Poczułam, że ktoś mnie podnosi. Musieli się trochę napocić. Całe szczęście, że przez tę wojnę sporo schudłam. Poczułam pod sobą czyjeś ręce, niedopuszczające do tego, żebym wypadła z materaca.

– Nie ruszaj się – szepnął ktoś.

Nawet leżąc w materacu, poczułam chłód powietrza. Kilka metrów dalej podniesiono mnie jeszcze wyżej, a potem położono na metalowej podłodze. Od czasu do czasu słyszałam czyjeś krzyki, ale przez dłuższą chwilę nic więcej się nie działo. Potem rozległo się kilka huków, kiedy do ciężarówki wrzucano inne rzeczy. Kierowca prawie natychmiast uruchomił silnik, duży, diesel. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły, poczułam szarpnięcie i ruszyliśmy.

Już wkrótce ciężarówka się zatrzymała. Znowu usłyszałam krzyki, a po nich głos doktora Muira. Kilka razy padło słowo „AIDS”. Tak bardzo się pociłam, że wypełnienie materaca robiło się wilgotne, a powietrze wokół mnie coraz cięższe i bardziej śmierdzące. Miałam wrażenie, że czekanie ciągnie się w nieskończoność.

To trwało za długo. Coś musiało pójść nie tak. Nigdy nie czułam się bardziej bezradna. Byłam całkowicie zdana na innych ludzi. Nie lubię tego. Nigdy nie lubiłam.

Ciężarówka zakołysała się, kiedy ktoś do niej wszedł. Pot lał się ze mnie jak nigdy dotąd. Pociłam się wszystkimi porami skóry. Włączyły mi się automatyczne zraszacze. Byłam sztywna ze strachu. Czyjeś buty ciężko przeszły obok mnie i zatrzymały się. Usłyszałam głośnie sapanie, a potem szuranie, jakby przesuвано duży metalowy przedmiot. Po krótkich przepychankach but kopnął w róg materaca. Mocno. Zebrało mi się na wymioty, ale czując ich smak, mocno zacisnęłam usta i powstrzymałam torsję. Ostry kij, a raczej karabin, zaczął gwałtownie dźgać środek materaca, dosłownie o włos ode mnie. Mój żołądek zacisnął się jak ogromny supel poplątanej żyłki wędkarskiej.

Zapadła cisza, która trwała – hm, szczerze mówiąc, nie wiem, jak długo. Między trzydziestoma sekundami a czterema minutami. Dokładniej nie potrafię tego ocenić. Czas wkracza w nowy wymiar, kiedy czekasz na śmierć.

Ciężarówka szarpnęła. Wydałam zduszony okrzyk, a po chwili, bez ostrzeżenia, znowu byliśmy w drodze.

Wiedziałam, że wyjechaliśmy z obozu, bo samochód zaczął się wspinać, oddalając się od kamieniołomu. Nie miałam odwagi się ruszyć, bo nie słyszałam, żeby tamten żołnierz zszedł z paki. Możliwe, że jechał obok mnie.

Podróż trwała zaledwie jakieś dziesięć minut, a potem przez jakiś czas podskakiwaliśmy na wybojach, by wreszcie zatrzymać się z piskiem hamulców. Silnik zgasł. Nagle zapadła niewiarygodna cisza. Usłyszałam, jak tylna kłapa otwiera się ze zgrzytem. Para butów zastukała o metal i obok mnie przeciągnięto jakiś przedmiot. Kilka minut później buty wróciły. Usłyszałam głos doktora Muira, który szepnął:

– Trzymają się z daleka, Ellie. Ale sam muszę cię wyciągnąć z ciężarówki, więc może być dość ciężko.

– W porządku – szepnęłam w odpowiedzi, ale nie jestem pewna, czy usłyszał.

Szybko się przekonałam, co znaczy „dość ciężko”. Doktor Muir przyciągnął mój materac do kłapy, a potem na wpół zrzucił, na wpół zsunął go na ziemię. Wylądowałam na biodrze. Zabolalo. Miałam pod sobą trochę wypełnienia, które chroniło mój tyłek, ale biodro było nieosłonięte.

Potem zaczęłam się przesuwać dalej.

Biedny doktor Muir. Musiał mnie dowlec do spalarni, a przy tym zrobić to tak, jakby zadanie nie wymagało wielkiego wysiłku. Nie mógł dopuścić, żeby materac wydał się strażnikom podejrzany.

Czułam swąd spalenizny, mimo że odgradzał mnie od niego materiał i wypełnienie. Wiedziałam, że się zbliżamy. Miałam tylko nadzieję, że doktor Muir nie będzie musiał mnie wrzucić w płomienie.

Zostawił materac i chyba na chwilę odszedł. Potem poczułam lekki powiew z boku, rozejrzałam się i zobaczyłam, że cienki ostry nóż rozcina szwy. Usłyszałam ściszony głos doktora:

– Wychodź, szybko. Teraz cię nie widzą.

Posłuchałam natychmiast, mimo że poruszanie się sprawiało mi trudność. Moje ciało zeszywniało po tak długim bezruchu, zwłaszcza ranna noga. Ale jakoś udało mi się stamtąd wydostać i położyłam się na asfalcie. Piec był kilka metrów dalej. Ogromny – rozmiar

przemysłowy. Teraz, kiedy wyszłam z materaca i mogłam dokonać pełnej oceny, poczułam, że panował tam paskudny smród.

Leżałam dalej, aż od strony ciężarówki przyszedł doktor Muir i wrzucił w ogień dwa zielone worki na śmieci pełne jakichś rzeczy. Nie patrząc na mnie, powiedział:

– Wymknij się od tyłu.

Podczołgałam się tam, gdzie powiedział, i przycupnęłam przy ciepłej tylnej ścianie spalarni. Było tam miło i bezpiecznie, prawie zapomniałam o zagrożeniu. Ale przypomniałam sobie bardzo szybko, kiedy nagle, niebezpiecznie blisko, rozległ się głos żołnierza.

– Szybciej – powiedział.

– Tak, tak, już kończę. – Doktor Muir wydawał się opanowany, mówił spokojnym głosem.

Usłyszałam, jak ktoś, prawdopodobnie ten żołnierz, dźga coś kijem albo metalowym prętem. Szurał nim o betonową podstawę, na której umieszczono spalarnię. Brzmiało to tak, jakby był przeraźliwie blisko. Skuliłam się jeszcze bardziej i jeszcze mocniej przytuliłam się do pieca. Ciepło cegiel wycisnęło ze mnie pot.

– Ostrożnie – powiedział doktor Muir. Tym razem jego głos wydawał się mniej spokojny, trochę bardziej piskliwy. – Wirus może przetrwać dość długi okres.

W moich uszach nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, a żołnierz tylko coś mruknął. Widocznie był zaledwie parę metrów ode mnie, ale zaokrąglony kształt pieca chronił mnie przed jego wzrokiem.

Usłyszałam silnik ciężarówki, a potem klakson. Ktoś się niecierpliwił. Żołnierz powiedział kilka słów do doktora Muira – coś, czego nie zrozumiałam – a lekarz odpowiedział:

– Dobrze, w porządku.

Poczułam dziwą radość i po raz pierwszy pomyślałam: „Tak! Może mi się uda”.

I jakby Bóg chciał mnie ukarać za tę chwilę odprężenia, sekundę później zza pieca wychylił się strażnik.

Przeżył taki wstrząs, że zastygł bez ruchu. Gapił się na mnie i coraz bardziej wytrzeszczał oczy. Miał karabin i zaczął przy nim gmerać, podnosząc go do ramienia. Wyprostowałam się, wstałam, odwróciłam i próbowałam uciec. Rozpaczliwie chciałam zmusić nogi do pracy. Przypominałam pijaka próbującego wygrać sprint na olimpiadzie. Pamiętam, że wyciągnęłam rękę, jakbym po coś sięgała, po wstęgę, której nigdzie nie było widać. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że nie zniosłabym następnego postrzału. Nie potrafiłabym przez to przejść po raz drugi. Wcale nie czułam, żebym się ruszała, ale widocznie było inaczej, bo kiedy żołnierz w końcu strzelił, kula śmignęła z lewej, omijając mnie najwyżej o włos. Zobaczyłam, że oddaliłam się wystarczająco mocno, by za chwilę znowu znaleźć się poza zasięgiem jego wzroku.

Ale zniknęłam mu tylko na moment. Miałam przed sobą drzwi pieca. Były większe, niż się spodziewałam, jak dwa kominki w domu. Ze środka wypelzały płomienie. Wokół panował bałagan, między piecem a ciężarówką wałały się różne przedmioty, które lekarz przywiózł do spalania. Nigdzie nie było widać doktora Muira. Ale kątem oka zauważyłam ścigającego mnie żołnierza, który szykował się do następnego strzału. Zdesperowana podniosłam kawałek płonącego drewna, które wyglądało na część ramy łóżka, odwróciłam się i rzuciłam nim w żołnierza jak włócznią. Trafiłam go w prawą rękę. Z krzykiem upuścił karabin i uciekł do tyłu, łapiąc się za poparzoną kończynę. Pomyślałam, że lepiej działać, zanim odzyska równowagę, więc obróciłam się w lewo i złapałam to, co było najbliżej.

Okazało się, że to zwłoki. Kiedy ich dotknęłam, jak przez mgłę zdałam sobie sprawę, że to ciało człowieka, i domyśliłam się, że najprawdopodobniej należy do mężczyzny zmarłego na AIDS. Zdaje się, że Judy nazywała go Aaronem. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje, ale znajdowałam się w sytuacji, w której nie dostaje się drugiej szansy ani czasu na zastanowienie. Ciało Aarona leżało na noszach opartych górną częścią o pustą drewnianą skrzynkę, a dolną o ziemię. Mężczyzna miał na sobie białą koszulkę i niebieskie dzinsy, a głowę obwiązano mu chustką, jakby bez tego mogła mu opaść szczeka. Podniosłam go bez problemu, chwytając za przód koszulki i pasek. Ważył ze czterdzieści kilo. Jego ciało było całkiem sztywne, ale kiedy go podźwignęłam, głowa opadła do tyłu w przerażający, przyprawiający o mdłości sposób i rozległ się

trzask, jakby pękła kość. Ale nie było czasu na mdłości. Rzuciłam nim prosto w żołnierza, mając przy tym nadzieję, że Judy wiedziała, co mówi, kiedy wspomniała o poczuciu humoru Aarona.

Facet sięgał po karabin. Płonąca włócznia raczej nie zrobiła mu krzywdy. Wtedy Aaron wylądował mu na głowie. Być może w innych okolicznościach wyglądałoby to zabawnie. Ale wyczerpałam już zapasy śmiechu. Zdażyłam tylko zobaczyć przerażenie i obrzydzenie na twarzy żołnierza, który próbował się wyczołgać spod zwłok, a potem pobiegłam. Rozejrzałam się w poszukiwaniu doktora Muira, lecz nigdzie nie było go widać. Teraz obydwójce byliśmy zdani wyłącznie na siebie. Aż za dobrze wiedziałam, że zaryzykował dla mnie życie i że teraz może robić w majtki ze strachu, ale nie byliśmy już w stanie sobie pomóc.

Miałam nadzieję, że pewnego dnia, jeśli obydwójce przeżyjemy, zdołam mu podziękować.

Tymczasem biegłam przed siebie, wykonując coś w rodzaju potykającego się i kuśtykającego joggingu, aż w końcu znalazłam się co najmniej trzy kilometry od przerażającej spalarni. Potem szłam dalej i zamierzałam tak iść, dopóki biedne, zmęczone nogi nie odmówią mi posłuszeństwa.

Teraz miałam przynajmniej konkretną misję, wyraźny cel. Jeśli moja mama była w Simmons' Reef, zamierzałam ją odnaleźć. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek czuła większą determinację.

15

Dotarłam do Simmons' Reef o trzeciej po południu, po sześciu dniach i sześciu nocach. To była szalona wyprawa. Podczas mojego pobytu w szpitalu i w obozie wiele się zmieniło. Wojna gnała pełną parą, wcisnęła gaz do dechy i z rury wydechowej wydobywał się czarny dym. Kiedy ukrywałam się w przydrożnym rowie, stojąc po biodra w wodzie, zziębnięta i głodna, mając nadzieję, że nie zauważy mnie przejeżdżający konwój ciężarówek i czołgów, trudno było uwierzyć, że ci wszyscy żołnierze biegający po kraju to dla mnie na dłuższą metę dobra wiadomość.

Niewiele myślałam o aktach sabotażu i atakowaniu wroga. Bez wsparcia Homera i Lee nie miałam odwagi próbować. Poza tym brakowało mi broni. Prawdę mówiąc, nie miałam odwagi na nic więcej niż pozostanie przy życiu. Zresztą i tak nie było zbyt wielu okazji do sabotażu.

W pobliżu Simmons' Reef zrobiło się spokojniej. Przypominało to coś w rodzaju prowincji i z tego, co pamiętam, zawsze nią było. Biegła tamtędy autostrada, ale została tak mocno zbombardowana, że nawet jazda po niej rowerem wymagałaby sporo szczęścia. Wyglądało na to, że transporty wojskowe jeżdżą okrężną drogą, na zachód, przez Wyndham River. Żałowałam, że nie mam radia i nie mogę o tym powiedzieć pułkownikowi Finleyowi. Gdyby Nowozelandczycy wiedzieli, że konwoje poruszają się po bocznych drogach, mogliby tam zrzucić parę bomb, żeby poruszały się trochę wolniej.

Całkiem prawdopodobne, że Nowozelandczycy już o tym wiedzieli. Bez wątplenia działali intensywnie. Nie było dnia, żeby nad głową nie przemknęło z hukiem mnóstwo nowozelandzkich bombowców albo lżejszych i szybszych myśliwców pędzących jak charty. Jeszcze lepsze było to, że prawie nie widywałam samolotów wroga, a te, które się pojawiały, były stare i powolne, zupełnie inne niż nowe, odjazdowe samoloty Nowej Zelandii. Wyglądało na to, że wojskowe wsparcie Japonii wiele zmieniło.

Pierwszego pełnego dnia wolności, kiedy okrążałam Cavendish, zobaczyłam potężną eksplozję we wschodniej części miasta. Niebo zrobiło się czerwone od jednego końca horyzontu po drugi, jakby ktoś spryskał je krwią. Potem pojawiła się olbrzymia, powolna ciemna chmura, bardziej przypominająca muchomora niż borowika. Zastanawiałam się, kto wysadził i co, ale nie zwolniłam kroku. Doszłam do wniosku, że w najgorszym razie eksplozja przyciągnie ich uwagę i będzie mnie szukało mniej żołnierzy.

Po tym wszystkim Simmons' Reef skąpane w popołudniowym słońcu wyglądało cicho i spokojnie. Nie miałam pojęcia, jaki jest dzień tygodnia ani nawet jaki miesiąc, ale zbliżała się jesień i liście zmieniały kolor. W ciągu ostatnich sześciu dni jadłam niewiele. Przez pierwsze dwa zadowalałam się owocami skradzionymi z sadów, ale trzeciego byłam już tak zdesperowana, że podkradłam się do rzędu motocykli przy drodze niedaleko Kerrie. Nie wiedziałam, gdzie się

podzieli kierowcy, ale nigdzie nie było ich widać. Podczołgałam się do pierwszego motoru z brzegu, rozglądając się na wszystkie strony. Wsunęłam rękę do sakwy. Było tam kilka par obcęgów i śrubokręty oraz pusta papierowa torba. Znalazłam też podłużny, chłodny pojemnik z aluminium. Wysunęłam go do połowy i zdjęłam pokrywę, a potem szybko nałożyłam ją z powrotem, bo w środku zobaczyłam porcję ryżu. Tyle mi wystarczyło. Wyjęłam cały pojemnik i pospiesznie wycofałam się w trawę jak wąż pełznący do tyłu. Miałam tylko nadzieję, że nie spotkam po drodze prawdziwego węża.

Byłam bardzo głodna, ale nie odważyłam się otworzyć pojemnika, dopóki nie oddaliłam się od motorów o co najmniej trzy kilometry. Śliska ciekła mi tak bardzo, że aż spływała po brodzie. W końcu, ukryta za fałdą ziemi porośniętą krzakami, poczułam się wystarczająco bezpiecznie, żeby otworzyć pojemnik.

To było bardzo sprytne rozwiązanie: trzy miski, ułożone jedna na drugiej, a w każdej z nich inne jedzenie. Pod ryżem znalazłam warzywa, głównie coś przypominającego szpinak, a do tego kapustę bok choy i coś w rodzaju selera. Wszystko skąpane w pięknym sosie, chyba ostrygowym, z odrobiną czosnku. Na samym dole leżała wołowina. Kiedy zobaczyłam mięso i poczułam jego zapach, pociekło mi z ust jak z zepsutego węża ogrodowego. Jestem strasznie mięsożerna.

Zjadłam połowę z każdej miski, mimo że trudno było się powstrzymać. Czułam, że mam pełny żołądek, ale chciałam jeść dalej. Po tygodniach karmienia się rzeczami smakującymi jak szczurze bobki aromaty wydawały się głębokie i silne.

Przed dotarciem do Simmons' Reef zjadłam to, co zostało w trzech miseczkach, wyrzuciłam aluminiowy pojemnik i znowu poczułam wilczy głód.

Zapomniałam o nim na chwilę, kiedy patrzyłam na Simmons' Reef. Miasto było ładne, wzniesione obok wzgórz, porośnięte mnóstwem żółknących drzew. Na pierwszy plan wysuwały się iglice dwóch kościołów. Jediną rzeczą, która psuła widok, było wielkie blokowisko we wschodniej części, o którym wspomniała pani Samuels. Tyle że mnie wcale nie wydawało się brzydkie. Przebyłam długą drogę, żeby je zobaczyć, i na razie wyglądało całkiem atrakcyjnie.

Zacząłam się przybliżać. Do zmroku zostało jeszcze dużo czasu, ale nie mogłam czekać. Czułam głęboką, intensywną tęsknotę za mamą, a do tego okropną, uporczywą niepewność wywołaną tonem głosu pani Samuels. Strach, który we mnie zasiała, nękał mnie już prawie tydzień. Czy mamie stało się coś złego? Była bita albo torturowana? Ranna, okaleczona, miała uszkodzony mózg? Pocieszało mnie tylko to, że rzeczywista sytuacja w Simmons' Reef nie może być gorsza niż w moich wyobrażeniach i że cokolwiek tam znajdę, cokolwiek się stanie, nic nie zdoła wpłynąć na moją miłość do mamy.

Od mostu szłam wzdłuż zlewu, a potem po piaszczystym korycie rzeki. Wody było niewiele, więc zadanie okazało się dość łatwe. Kiedy zbliżyłam się do miasta, zauważyłam, że mogłabym dojść tą rzeką aż do centrum, jak po drodze. Byłam coraz bardziej podekscytowana i zniecierpliwiona, ale musiałam się powstrzymać, powtarzając sobie: „Daj spokój, zwolnij, uważaj, nie daj się złapać, kiedy jesteś już tak blisko”.

Dlatego przy każdym zakolu kryłam się w zaroślach i poruszałam się ostrożnie, rozchylając gałęzie i uważnie się rozglądając, żeby uniknąć niemiłych niespodzianek. Przez jakiś czas szłam dość sprawnie. Ale kiedy zaczęłam nabierać pewności, utknęłam. Przy następnym odcinku rzeki zatrzymali się dwaj wędkarze, którzy zarzucili sławiki w długim, głębokim rozlewisku.

Przekląłam ich pod nosem. Mogłam się tego spodziewać. Nie powinnam była czuć się aż tak pewnie. Po tym wszystkim, przez co przeszłam na tej wojnie, powinnam była mieć więcej rozumu. Przez chwilę czekałam, mając nadzieję, że wędkarze się wyniosą, ale wyglądali na bardzo zadowolonych, a potem jeden z nich złapał pstrąga, więc doszłam do wniosku, że posiedzą tu co najmniej do zmroku. Wycofałam się wzdłuż rzeki, nadal klnąc, i wspierałam się na brzeg.

Znalazłam się w parku na skraju miasta. Był całkiem ładny: pośrodku stał pomnik matki z córką, a ścieżki rozchodziły się promieniście jak szprychy w kole. O dziwo, park nadal wyglądał na dobrze utrzymany – ktoś się o niego troszczył. Ale pomnik został jakby przetrącony. W oddali kilkoro dzieci bawiło się na huśtawkach. Dwoje wybrało karuzelę, a trzecie drabinki.

Nie wychylałam się z cienia drzew i szłam wzdłuż brzegu rzeki, wystarczająco blisko, żeby

widzieć głowy wędkarzy w dole. Zamierzałam wrócić do rzeki, ale niedługo skręciła, oddalając się od kierunku, w którym szłam. Dwa, trzy kilometry przed sobą widziałam bloki, więc postanowiłam ruszyć prosto w ich stronę.

Szłam ulicami miasta po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy Stratton. Wydawało mi się, że od tamtej pory minęło dużo czasu. Simmons' Reef nie było tak duże jak Stratton, ale o wiele większe niż Wirrawee, jednak najbardziej uderzyło mnie to, że bardzo mało ucierpiało w czasie wojny. Podejrzewam, że wróg nie miał powodu, aby je niszczyć, a Nowozelandczycy nie musieli go bombardować. Zdecydowanie nie było ważnym celem wojskowym. Wirrawee mogłoby wyglądać tak samo, gdyby nie miało pecha i nie leżało przy drodze prowadzącej z Zatoki Szewca do dużego miasta.

Tutaj zmieniło się tylko to, że teraz po ulicach chodzili ludzie innej narodowości. Musiałam sobie powtarzać, że powinnam być czujna. Te starszki pilnujące dzieci na chodnikach, mężczyźni rozmawiający w ogródkach w kłębach dymu tytoniowego, dzieci grające w piłkę na czyimś szerokim podjeździe – oni wszyscy byli moimi wrogami.

Nie wiedziałam jednak, jakie zasady obowiązują w tym mieście. Każde miejsce zdawało się rządzić innymi regułami. Od ludzi z Obozu 23 dowiedziałam się, że w niektórych miastach jeńcy mogli zostać w swoich dawnych domach, w innych byli wysyłani do obozu na terenie wystawowym albo na boisku, a w jeszcze innych wywożono ich do innego okręgu. Najwyraźniej nie było w tym żadnej logiki. Może wszystko zależało od tego, kto sprawował władzę na danym obszarze.

Nie widziałam rodaków na ulicach, więc założyłam, że przesiedlono ich do tej części miasta, w której było blokowisko. Nie mogłam zatem swobodnie poruszać się po mieście i liczyć na to, że zostanę uznana za jedną z robotnic z fabryki. Tak jak od początku wojny musiałam się czaić, ukrywać i traktować każdy hałas i ruch jak zagrożenie życia.

To nie było aż takie trudne. Moje prawdziwe problemy zaczęły się wtedy, kiedy dotarłam do wschodniej części miasta. Od razu poznałam, że trzymają tam jeńców. Pani Samuels miała rację. Cały teren otoczono ogrodzeniem pod napięciem, a jedynej bramy strzegły dwie umundurowane kobiety z karabinami.

W środku zobaczyłam ludzi o bardziej znajomym wyglądzie. Robili to samo co ci na zewnątrz, tyle że na znacznie mniejszym i mniej atrakcyjnym terenie.

Wyglądało na to, że w porównaniu z innymi rzeczami, które robiłam w czasie wojny, dostanie się do środka powinno być łatwe, ale im dłużej się przyglądałam tej sytuacji, tym bardziej uświadamiałam sobie skalę problemów.

Czekałam i obserwowałam przez godzinę. Przez ten cały czas nikt tam nie wszedł ani stamtąd nie wyszedł. Kiepsko. A kiedy w końcu ktoś przyjechał i chciał się dostać do środka, okazało się, że to delikatna i skomplikowana sprawa. Zjawił się minibus z dwunastoma jeńcami i dwoma żołnierzami. Jedna z wartowniczek weszła do pojazdu i policzyła pasażerów, a potem przejrzała papiery, które jej podano. Byłam za daleko, żeby cokolwiek zobaczyć, ale najprawdopodobniej pokazano jej przepustki albo identyfikatory. Ja niczego takiego nie miałam.

Mogłam się cieszyć tylko z tego, że zbliżał się wieczór. Wyczekiwałam go z niecierpliwością. Byłam tak wyczerpana i przejęta, że groziła mi utrata zdrowego rozsądku: bardzo mnie kusilo, żeby pobiec prosto na bramę i ją staranować, ignorując fakt, że zostałabym zastrzelona, zanim zdążyłabym zrobić dziesięć kroków.

To wszystko wydawało się dziwne. Przecież te bloki właściwie były więzieniem, a ja próbowałam się do niego włamać. Włamać się do więzienia. „Nieźle, Ellie – pomyślałam. – Jak zwykle robisz wszystko na odwrót”.

Trzymając się cienia, wyruszyłam na wycieczkę wokół osiedla. Nie mogłam go okrążyć, bo po drugiej stronie brakowało osłony: na wzgórzu rozciągały się nowsze przedmieścia. Do wieżowców nie prowadziła żadna wyraźna droga.

To było zbyt dobijające. Nie mogłam uwierzyć, że napotkałam aż takie trudności. Z każdą mijającą minutą coraz bardziej się niecierpliwiłam.

Rozzłoszczona oparłam się o drzewo, patrząc na proste rzędy domów na przedmieściach

spoglądających na siebie z przeciwległych stron zadbanych ulic. Musiałam poczekać, aż zrobi się całkiem ciemno. Musiałam jakoś zignorować potworny głód, który upodabniał mój żołądek do kabiny pogłosowej. Słyszałam pomruki i burczenie, zdecydowanie za głośne w nieruchomym wieczornym powietrzu.

W dodatku byłam spragniona nie tylko jedzenia.

Wtedy na ulicach poniżej stało się coś dziwnego. Z domu wybiegła jakaś kobieta. Wołała – nie, nie wołała: krzyczała. Na ulicy było z dziesięć osób, które robiły to, co zazwyczaj robi się wczesnym wieczorem: chodziły, rozmawiały, grały w coś. Nagle na chwilę przestały, jakby je zmroziło. Potem pobiegły do tej kobiety. To wyglądało jak taniec: ktoś mógłby ułożyć tę choreografię. Kobieta stała na środku ulicy, machała rękami i mówiła jak najęta. Przyglądałam się temu ze zdziwieniem. Za mną odezwał się dzwon: nagły, wkurzający dźwięk. Otworzyły się inne drzwi i ludzie zaczęli wychodzić na ulicę. Wtedy z tyłu, na blokowisku, rozpętał się chaos. Słyszałam krzyki, wrzaski. Próbowałam zrozumieć, o co chodzi, ale mi się nie udało. Szybko wycofałam się w zarośla. Nie wiedziałam, co jest grane, i wcale mi się to nie podobało. Popędziłam naokoło, żeby zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie. Ludzie wybiegali z mieszkań i gnali w stronę wartowniczek przy bramie. Wartowniczki zdjęły karabiny z ramion i przyklękły, mierząc do tłumu. Ludzie nagle się zatrzymali i zbici w gromadę stanęli naprzeciwko wartowniczek. Krzyczeli. W końcu zrozumiałam ich słowa:

– Wojna się skończyła, cholerne idiotki!

Poczułam, że dostaję gęziej skórki. Zrobiłam kilka kroków naprzód. Czy na pewno dobrze rozumiałam? Nie przesłyszałam się? Czy to naprawdę były słowa, na które tak długo czekałam? W oddali zawyła syrena jak rozszluszczony bunyip. Wartowniczki nie ruszyły się z miejsca, a kiedy któryś z mężczyzn wystąpił z tłumu, żeby z nimi porozmawiać, jedna oddała strzał. Mierzyła obok, to pewne – gdyby chciała, zastrzeliłaby go z łatwością – ale to była przerażająca chwila. Wszyscy pospiesznie się wycofali.

Wycie syren coraz bardziej się zbliżało i nagle znalazły się tuż obok nas, zawodząc tak głośno, że musiałam zasłonić uszy rękami. Trzy radiowozy gwałtownie zahamowały, jeden obok drugiego, zatrzymując się przed bramą. Ze środka wysypało się z dziesięciu żołnierzy, którzy utworzyli szereg na wzgórzu i przyklękli, podnosząc karabiny, tak jak wartowniczki.

Kiedy to zrobili, z przodu pierwszego radiowozu wyszedł oficer. Zatrzymał się jakieś dziesięć metrów od bramy i podniósł rękę, domagając się ciszy. Wszyscy ucichli.

– Widzę, że wiadomości już do was dotarły – powiedział. Miał przyjemny głos i mówił z silnym akcentem, ale doskonale władał angielskim. – Nie wiem, jak to możliwe, bo radia są przecież nielegalne. Rzecz w tym, że nie wiemy jeszcze na pewno, czy informacja jest zgodna z prawdą. Dopóki tego nie wyjaśnimy, moi żołnierze będą was tutaj pilnować. Na razie wszystkie przepustki zostają anulowane, wszystkie grupy robocze zawieszono, a wszystkie przywileje cofnięte. Jestem pewien, że zrozumiecie potrzebę tych środków ostrożności. Daję żołnierzom rozkaz, żeby strzelali bez ostrzeżenia do każdego, kogo zobaczą na zewnątrz tego ogrodu.

Gdy tylko usłyszałam te słowa, wpadłam na genialny pomysł. Jedynym źródłem światła były budynki i radiowozy, więc uznałam, że jest wystarczająco ciemno i może mi się udać. Kiedy tłum za ogrodzeniem – przygaszony po przemówieniu oficera, ale nadal przejęty – zaczął się oddalać w stronę wieżowców, wyszłam z cienia.

– Przepraszam pana – zwróciłam się do oficera.

– Tak?

– Słyszałam, co pan powiedział o strzelaniu do ludzi przebywających poza ogrodzeniem. Wyszłam tuż przed pańskim przyjazdem. Chyba powinnam wrócić do środka. Tam będzie bezpieczniej.

Powiedziałam to z całą pewnością siebie, na jaką zdołałam się zdobyć, i patrzyłam mu prosto w oczy, ale równocześnie starałam się wyglądać jak skruszona niegrzeczna dziewczynka. Próbowałam wręcz obrócić to w żart.

– Bardzo rozsądnie z twojej strony – powiedział. – Ale właściwie jak się stąd wydostałaś?

– Kiedy rozeszła się wiadomość o końcu wojny, rozpętał się prawdziwy chaos – odparłam. –

Wartowniczkę nie wiedziały, co się dzieje. Ale nikt oprócz mnie nie wyszedł.

– Obyś mówiła prawdę – powiedział. – W porządku. Pośpiesz się.

Nie patrzył na mnie, kiedy wchodziłam przez bramę, bo zaczął wygłaszać wielkie przemówienie w swoim języku skierowane do żołnierzy. Pewnie mówił o tym, że mają nas pozabijać, jeśli wykonamy jakiś nieodpowiedni ruch.

Zbliżając się do bramy, usłyszałam głos wyraźnie brzmiący na tle ogólnej paplaniny.

– Mój Boże, przecież to Ellie Linton – powiedziała jakaś kobieta.

Nagle wszyscy zamilkli. Od razu zdałam sobie sprawę z zagrożenia. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było takie zainteresowanie.

Wartowniczkę przy bramie stały odwrócone do mnie plecami. Założyłam, że żołnierze posłusznie słuchają oficera. Dlatego zaryzykowałam i przysunęłam palec do ust, pokazując wszystkim, żeby nie zwracali na mnie uwagi. Miałam wrażenie, że zanim załapali, minęła dłuższa chwila. Ciągnęła się jak pięć minut. A pewnie trwała z dziesięć sekund. Potrafiłam myśleć tylko o tym, jak okrutny okazałby się los, gdybym w tej chwili, będąc już tak blisko mamy, została aresztowana i wywieziona. Prawie wydarta z jej ramion.

W końcu jakiś bystry facet zaskoczył, o co chodzi, i znowu zaczął głośno mówić. Szłam powoli, licząc kroki i coraz bardziej zbliżając się do bramy. Czułam się tak, jakby podgrzewano mi plecy w mikrofalówce. Dzieliły mnie już tylko dwa metry od wartowniczek.

Wtedy usłyszałam głos oficera.

– Chwileczkę, młoda damo!

Spanikowałam. Byłam już zbyt blisko, żeby zawrócić. Wartowniczkę, zaskoczone głosem oficera, zaczęły się odwracać. Przyspieszyłam i przebiegłam obok nich. Krzyknęły coś, oficer krzyknął coś innego. Tłum przede mną się rozstał. Za plecami rozległ się odgłos ładowanej broni. Jedyne dźwięki, którego nie sposób pomylić z żadnym innym. Nieważne, ile hałasu cię otacza – szcęk odbezpieczanego karabinu przenika aż do kości. Po prawej tłum rzucił się na ziemię. Ludzie z lewej padli równie szybko. To było prawie zabawne. Wyglądali jak łan pszenicy podczas wichury. Ja też skoczyłam na ziemię, ale w przeciwieństwie do innych, zaczęłam się turlać. Usłyszałam, jak ktoś krzyczy – prawdopodobnie do oficera:

– Nie strzelać, wojna się skończyła! Jeśli teraz kogoś zastrzelicie, to będzie morderstwo!

Turlałam się dalej, wzbijając nogami kurz. Zatrzymałam się przy betonowym bloku, uderzając w niego z dużą siłą. To były schody. Poderwałam się i wpadłam do środka, zanim mój umysł zdołał zrozumieć, co się dzieje. Znalazłam się w długim ciemnym korytarzu. W środku było zimno, ale unosiło się milion różnych zapachów, w większości nieprzyjemnych. Nie wiedziałam, co robić, zatem biegłam dalej. Odgłos moich kroków odbijał się echem w długim tunelu z betonu. Na końcu były schody, więc ruszyłam w tamtą stronę. Z zewnątrz dobiegały liczne krzyki, ale kiedy zaczęłam wchodzić na górę, dźwięki dochodzące z zewnątrz zupełnie ucichły, jakby wyrosła między nami ściana. Biegłam dalej. Nawet nie wiedziałam, czy jestem we właściwym budynku, ale coś mnie pchało naprzód. Wyżej, wyżej, wyżej. Mimo wyczerpania, głodu, rany postrzałowej i chorego kolana wcale nie czułam bólu. Dotarłam na trzecie piętro i wreszcie znowu zaczęłam myśleć. Na tablicy na końcu każdego korytarza wisiała długa lista nazwisk. Domyśliłam się, że to nazwiska lokatorów mieszkających na danym piętrze. Przebiegłam po niej wzrokiem. Było tam tyle zmian – nazwiska wykreślone albo wpisane nad innymi nazwiskami – ale wiedziałam, że własne nazwisko od razu rzuciłoby mi się w oczy. Nie znalazłam go tam. Pobiegnęłam na następne piętro.

Tam też go nie było, ale wcale się nie zraziłam. Pobiegnęłam dalej, na piąte piętro. Zupełnie zapomniałam, co się działo na zewnątrz. Nawet przez chwilę o tym nie myślałam.

Nazwisko mojej mamy znajdowało się przy mieszkaniu 5A12, obok mnóstwa innych ludzi. Ale we wszystkich mieszkaniach panował taki tłok: tłum nazwisk upchnięto na liście prawdopodobnie tak samo jak tłum ludzi w lokalach. Pobiegnęłam korytarzem, patrząc na litery i cyfry na drzwiach. Nie było łatwo, bo połowy z nich – więcej niż połowy – brakowało. Poza tym wiele drzwi uległo zniszczeniu. To miejsce wyglądało tak, jakby było świadkiem trudnych czasów. W dalszym ciągu nie potrafiłam rozgryźć systemu liter i cyfr. Na jednych drzwiach był napis 5A17, a na sąsiednich 5A22. Skręciłam w prawo i na pierwszych z brzegu zobaczyłam oznaczenie 5A12.

Poczułam, jak moim ciałem wstrząsa dreszcz, potężne drzenie przypominające podwodne trzęsienie ziemi. Przystanąłam, zmówiłam coś w rodzaju modlitwy bez słów, otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Jeśli się nie wierzy w przeznaczenie, nie sposób wyjaśnić, dlaczego mimo tak ogromnej rzeszy lokatorów moja mama okazała się chyba jedyną osobą, która została w środku.

Podejrzewam, że właśnie tak wpłynęła na nią wojna. Z drugiej strony mnóstwo innych ludzi też okropnie ucierpiało w trakcie tego konfliktu, a przecież byli na zewnątrz, tłoczyli się przed bramą.

Podczas wojny zmieniło się wiele rzeczy. Ale najwidoczniej odgłos moich kroków pozostał taki sam jak kiedyś. Mama wyskoczyła z pokoju obok, jakby ukąsił ją wąż. Świeciło słabe światło – później się dowiedziałam, że władze skąpiły mieszkańcom energii elektrycznej – ale nawet w półmroku zobaczyłam, jak bardzo jest blada. Nie, nie blada: była biała. Biała jak lody waniliowe. Złapała mnie za ramiona z taką siłą, że zostawiła siniaki. Nadal czuję ucisk jej dłoni.

– Hej, spokojnie – powiedziałam. – To tylko ja.

Była przeraźliwie chuda. Zawsze miała szczupłą sylwetkę, ale teraz wyglądała jak więzień ze zdjęć z obozów koncentracyjnych. Objęłam ją. Zaczęła z siebie wydawać jakieś pohukujące odgłosy, które brzmiały – nie chciałabym być niegrzeczna – trochę jak koale w porze rui.

Nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Myślałam, że to ona będzie mnie trzymała w ramionach. Posadziłam ją w fotelu i wcisnęłam się obok niej, trochę na oparciu, trochę na siedzisku. Fotel był stary i zniszczony. Ledwie nas pomieścił.

– Przyniosę ci kubek herbaty – zaproponowałam, ale się nie podniosłam.

Przypomniałam sobie o zamieszaniu przed bramą i zaczęłam się zastanawiać, co się tam dzieje.

– Myślałam... że już nigdy cię nie zobaczę – powiedziała mama. Mówiła bardzo zachrypniętym głosem, jak stara kobieta. Brzmiała jak jej matka.

– Wiem, miało nas nie być tylko pięć dni – zażartowałam. – Coś nas zatrzymało.

Przepraszam.

Okropnie się trzęsła i wcale jej nie przechodziło.

– Hej – dodałam i zabrzmiało to trochę tak, jakbym to ja była mamą. – Daj spokój.

Wszystko w porządku. Nic ci się nie stało.

To już koniec.

– Co z resztą? Co z Homerem?

Nie potrafiłam znaleźć delikatnej odpowiedzi na to pytanie.

– Im się nie udało – powiedziałam, przytulając ją mocniej i czując, jak się trzęsie.

Załkała i zasłoniła usta dłonią. Homer zawsze był jej ulubieńcem.

Nie odezwała się, więc zapytałam:

– Jak się czuje tata? Wiesz, gdzie jest?

– Mniej więcej. Sprząta stajnie w stadninie niedaleko Absalom. Kiedy o nim słyszałam po raz ostatni, nie było z nim źle.

– O Boże – westchnęłam z ulgą. Przynajmniej mogłam mieć nadzieję, że przeżył.

Z korytarza dobiegły jakieś dźwięki. Wystraszona zerwałam się na nogi. Usłyszałyśmy krótkie pukanie do drzwi i szybko weszło dwoje ludzi. W mężczyźnie rozpoznałam Dona Murraya, farmera z Wirrawee, ale kobiety nie znałam. Była niska i śniada. Przywitała się ze mną szerokim, ciepłym uśmiechem.

– To naprawdę ty – powiedział Don. – Fantastycznie! Po prostu cudownie. Pierwsza dobra rzecz, jaka nas spotkała od wybuchu tej przeklętej wojny.

– Co się dzieje na zewnątrz? – zapytałam nerwowo.

– Wszystko pod kontrolą – uspokoił mnie. – Przekonaliśmy oficera, że zastrzelenie cię to zły pomysł. Zeznalibyśmy przed ONZ, że to było morderstwo. Ogólnie ten facet nie jest zły. Nie trzeba go było długo przekonywać. Oczywiście najwyraźniej nie wie, kim jesteś. Raczej nie słyszał tego wała, przepraszam za wyrażenie, który zawołał cię po nazwisku. Wie, że coś tu nie gra, ale nie domyśla się co. W każdym razie jesteś już bezpieczna.

– Czyżby? – zapytałam, czując ogarniającą mnie rozpacz. – Teraz, kiedy wszyscy tu o mnie

wiedzą? Nie wydaje mi się.

To było jak powtórka z Obozu 23.

– Nawet jeśli wojna się skończyła, nie będę bezpieczna, dopóki wokół kręcą się żołnierze wroga.

Don chciał zaprzeczyć, ale się powstrzymał.

– Tak. Tak. Rozumiem, co masz na myśli. No, w każdym razie będziesz bezpieczna do rana. Do tego czasu nikomu nie wolno stąd wychodzić. Ale jeśli w radiu mówili prawdę i wojna rzeczywiście się skończyła, raczej nikt nie przyjdzie cię tu szukać. Według mnie będziesz bezpieczna tak długo, jak długo zechcesz tu zostać. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek miałby chcieć zostawać w tym obrzydliwym, zaszczurzonym bloku.

Kobieta, która stała obok niego, pociągnęła go za rękaw.

– Chodźmy, Don – powiedziała. – Na pewno przeszkadzamy.

– Co? – zdziwił się Don. Po chwili zrozumiał, o co jej chodzi. – A tak. Oczywiście.

Drzwi zamknęły się za nimi, a ja poszłam do kuchni, żeby zrobić mamie obiecaną herbatę. Zajęło mi to kilka minut, ale bynajmniej nie dlatego, że przebierałam w gatunkach i nie mogłam się zdecydować. Kuchnia była na tyle czysta i schludna, na ile udało się ją wyszorować, ale zdecydowanie brakowało tam jedzenia i picia. Zrobienie herbaty zajęło mi tak dużo czasu wyłącznie dlatego, że musiałam otworzyć co najmniej dziesięć pustych pojemników, zanim w końcu znalazłam odrobinę herbacianych liści.

Po powrocie do pokoju zastałam mamę bezwładnie siedzącą w fotelu z zamkniętymi oczami. Ogarnął mnie potworny strach. Szybko odstawiłam kubek i podbiegłam do niej. Kiedy ją podniosłam, od razu się obudziła, ale mimo to nie potrafiłam powstrzymać łomotania serca. Usiadłam obok niej, trzęsąc się jak galareta.

– Wszystko w porządku – powiedziałam, kładąc jej dłoń na swoim ramieniu. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

Ale była taka drżąca i słaba, że musiałam wejść w rolę pielęgniarki. Ugotowałam trochę zupy ze starych miękkich ziemniaków. Przynajmniej soli i pieprzu było pod dostatkiem. Potem położyłam ją do łóżka, a ponieważ było za wąskie dla nas dwóch, sama wpakowałam się do innego. Po raz pierwszy od wybuchu wojny spałam bez snów, a kiedy się obudziłam, świeciło słońce i wojna się skończyła.

Były dwa powody, dla których znalazłyśmy się w pierwszej grupie ludzi odesłanych na tereny odzyskane. Jednym z nich było to, że osoby chore i niepełnosprawne miały pierwszeństwo. Mama się zakwalifikowała, bo naprawdę poważnie chorowała. Pewnie nazwalibyście to załamaniem nerwowym. Nazajutrz po naszym spotkaniu Don Murray powiedział, że od czterech miesięcy prawie w ogóle się nie odzywała.

To dlatego pani Samuels tak bardzo się pilnowała, rozmawiając ze mną w obozie jenieckim.

W centrum mojej troski o mamę i strachu o to, że może jej się pogorszyć, tkwiła irracjonalna złość, że mama mnie nie wspiera. Zamiast mi nadskakiwać i dogadzać – zgodnie z wyobrażeniem, które towarzyszyło mi przez całą wojnę – snuła się jak zombie, wyglądała okropnie i jakimś cudem to ja musiałam znaleźć siłę, żeby się nią opiekować.

Brakowało jej energii i wytrzymałości: ciągle mdlała. Dlatego bez wątpienia kwalifikowała się do tego pierwszego autobusu, nie potrzebowała żadnych dodatkowych argumentów.

Drugim powodem, dla którego nas wybrano, było to, że komisja odpowiedzialna za mieszkania w bloku chciała, żebym jak najszybciej stamtąd zniknęła, dla własnego dobra i przez wzgląd na innych ludzi.

– Jeśli wiedzą, że tutaj jesteś, istnieje ryzyko, że będą chcieli cię porwać. Im szybciej wyjedziesz, tym lepiej.

Bardzo się cieszyłam, że mogę wyjechać. Zatłoczone, śmierdzące mieszkania działały na mnie strasznie dołująco i każdą komórką ciała pragnęłam wrócić do domu.

Wyjechałyśmy w konwoju autobusów we wtorek rano. To była cudowna chwila. Ludzie, którzy nie dostali się do pierwszego konwoju, zgotowali nam wspaniałe pożegnanie: wiwatowali, klaskali i rzucali kwiaty. Kiedy autobusy ruszyły, wszyscy śpiewali *Auld Lang Syne*. Wcześniej ta piosenka znaczyła dla mnie niewiele. Zawsze kojarzyła mi się z kawalkiem dla staruszków. Ale kiedy jej słuchałam tamtego ranka, śpiewaną przez ludzi, którzy tak wiele razem przeszli, którzy tak długo cierpieli przez tę wojnę, poczułam, jak do oczu napływają mi łzy.

Potem, gdy przejeżdżaliśmy przez bramę, zaśpiewali *Maoryskie pożegnanie* i wtedy się poryczałam.

Poczułam, że teraz, skoro wojna się skończyła, mogę sobie na to pozwolić. Siedziałam przy oknie, obok mamy. Oparłam głowę na jej ramieniu i pozwoliłam łzom spływać jej na rękaw spokojnym strumieniem. Powtarzałam w myślach: „Fi, Homer, Lee, Kevin, Gavin”, nie zachowując żadnej konkretnej kolejności. Pamiętam, jak kiedyś usłyszałam, że gdy umiera ktoś bliski, to tak, jakby ci ucięto kończynę. Ona nigdy nie odrasta, nigdy jej nie odzyskujesz, ale po jakimś czasie uczysz się żyć z trzema kończynami zamiast czterech.

Nie byłam pewna, co to dla mnie oznacza. Straciłam wszystkich przyjaciół i czułam się tak, jakbym w ogóle nie miała rąk i nóg.

Ale pod smutkiem pulsowało coś innego. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby się temu przyjrzeć, lecz chyba miałam poczucie, że moje życie będzie trwało dalej. Przetwarłam i niech się dzieje, co chce. Może właśnie przede wszystkim dlatego płakałam: bo przetrwałam.

Jechaliśmy do domu przez Stratton. Tam autobusy miały się rozjechać w różnych kierunkach. W naszym byli tylko ludzie z Wirrawee. Już wiedzieliśmy, że włączono je do obszaru odzyskanego na mocy traktatu pokojowego. To była dobra wiadomość. Zła brzmiała tak, że Wirrawee leżało na samym skraju terenów odzyskanych, więc nie wiedzieliśmy, jaka część pól zostanie zwrócona. Inaczej mówiąc, nie mieliśmy pojęcia, czy nasze gospodarstwo znalazło się po właściwej stronie nowej granicy.

Znowu zaskoczyło mnie spustoszenie, które widzieliśmy po drodze. Wiele razy musieliśmy robić duże objazdy z powodu zniszczonych mostów albo dróg oznaczonych olbrzymimi lejami i niewypałami. Ale to nic w porównaniu z tym, co zastaliśmy w Stratton. Z każdą wizytą w tym mieście widziałam większe zniszczenia, lecz teraz praktycznie nic tam nie pozostało. Kolejne ulice okazywały się stertą gruzów. Nie przetrwał prawie żaden budynek. Tylko na dalekich przedmieściach zdarzały się stosunkowo nienaruszone zakątki. Dom babci też pewnie został zniszczony.

Nie potrafiłam przestać się zastanawiać, jak duża część tych zniszczeń była pośrednim – a czasami bezpośrednim – skutkiem tego, co zrobiliśmy z Homerem, Lee, Fi, Kevinem i Gavinem. To było straszne, przerażające – a zarazem emocjonujące. Siedziałam w milczeniu i patrzyłam przez okno.

Nigdy nie zapomnę powrotu do Wirrawee. Zanim dojechaliśmy na miejsce, wszyscy byliśmy zmęczeni, głodni i mieliśmy tego dość. Mimo to udało nam się wznieść okrzyk radości na widok mijanego znaku z nazwą Wirrawee. Wszyscy stłoczyli się przy oknach, żeby popatrzeć. Większość z tych ludzi nie widziała tego miasta od ponad roku.

Kiedy autobus zatrzymał się przed pocztą, z domów zaczęli wychodzić ludzie, żeby zobaczyć, co się dzieje. Poprzedniego dnia w tych budynkach mieszkali jeszcze nasi wrogowie. Kolonizatorzy zostali już ewakuowani – na pewno gorzko narzekali, czując się jak pokrzywdzone ofiary. Jednocześnie uwolniono nielicznych jeńców, którzy nadal przebywali na terenie wystawowym. Nie tracili ani minuty i od razu zajęli swoje domy i gospodarstwa. To właśnie oni wyszli teraz na ulicę, zaciekawieni autobusem, który zatrzymał się w centrum miasta.

Gdyby przed przyjazdem do Wirrawee ktoś zapytał pasażerów tego autobusu, czy mają ochotę na imprezę, nie okazaliby entuzjazmu. Ale kiedy dojechaliśmy, coś w nas wstąpiło. Przez autobus, przez tłum przebiegł jakiś potężny impuls. Na jeden wieczór zapomnieliśmy o wojnie, o cierpieniu, o niedostatku, a nawet o utraconych przyjaciółach i członkach rodziny. Czasami człowiekowi należy się uznanie za to, że przetrwał. A my przetrwaliśmy.

Mama i ja w końcu dostałyśmy konkretny powód do świętowania. Potwierdzono, że nasze gospodarstwo znalazło się na terenach odzyskanych. Mieszkaliśmy na skraju, przy samej granicy dwóch nowych państw, które od teraz musiały ze sobą sąsiadować tam, gdzie przez ponad dwieście lat było tylko jedno, lecz na razie byliśmy całkiem zadowolone. Nie chciałyśmy za dużo myśleć o problemach, jakie to spowoduje.

Tuż po zmierzchu, kiedy ludzie usiedli wokół ognisk rozpalonych na środku głównej ulicy, nadal pochłonięci rozmową i wspomnieniami, nadal zadający pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć, usłyszeliśmy warkot następnego dużego pojazdu, który zjeżdżał ze wzgórza w naszym kierunku.

– To autobus! – zawołał ktoś. – Następny autobus!

Wszyscy zerwaliśmy się z miejsc i pobiegliśmy na koniec ulicy, żeby przynajmniej powstrzymać autobus przed wjechaniem prosto w nasze ogniska. Jak można się było spodziewać, wiózł następnych „powróceńców”. Z okna w tylnej części machał do nas mój tata. Miał nieogoloną twarz i ciemne sińce pod oczami.

– Co wy tu robicie, leniuchy? Myślałem, że będziecie szykować w domu jagnięcinę na kolację.

Tak brzmiały jego pierwsze słowa. Typowe.

Uścisnął mamę, a potem przysła kolej na mnie. Nigdy nie był typem przytulasa, ale teraz mi dorównał: kołysał mnie w przód i w tył, jakbyśmy tańczyli coś w rodzaju powolnego walca. Przyłgnęłam do niego jak małe dziecko. W końcu się od siebie odsunęliśmy, ale tylko trochę. Jedną rękę nadal trzymałam mu na plecach, a drugą ocierałam łzy.

Większość wiadomości o mamie dotarła do niego już wcześniej dzięki ludziom przynoszonym z miejsca na miejsce. Poczta pantoflowa działała dość dobrze, umożliwiając przekazywanie informacji po całym kraju.

Zaledwie godzinę później przyjechał następny autobus. Przywiózł problem, z którym wiedziałam, że w końcu przyjdzie mi się zmierzyć, ale zdecydowanie zepchnęłam go na dno umysłu. Nie tylko zepchnęłam, ale zamknęłam, zabetonowałam drzwi i wyrzuciłam klucz.

Tym autobusem przyjechała mama Homera.

Nawet jej nie zauważyłam i przez kilka minut witałam się z innymi ludźmi. Potem zobaczyłam, jak prowadzi ją do mnie tata.

Nie po raz pierwszy od wybuchu tej wojny zawiodły mnie nerwy. Przywarłam do mamy.

– Mamo, proszę, nie dam rady powiedzieć jej tego sama.

Ale moja mama zaczęła się strasznie trząść i od razu wiedziałam, że nie powinnam była się do niej zwracać. Po chwili pani Yannos zobaczyła nasze miny i też zaczęła drzeć. Przycisnęła dłonie do głowy i tak mocno szarpała się za włosy, jakby oszalała.

– Ellie, Ellie, co próbujesz mi powiedzieć? – pytała z płaczem.

Ale ja tylko się w nią wpatrywałam i kręciłam głową. Nie byłam w stanie się odezwać, nie potrafiłam wymówić tych okropnych słów.

Pani Yannos dosłownie postradała zmysły. Siedziała na krawężniku, z nogami w rynsztoku, szlochając i okładając się pięściami, a potem upadła na bok i leżała na trawie, cały czas płacząc.

W pewnym sensie pomogło mi to jednak znaleźć w sobie trochę siły. Widok mamy Homera w takim stanie był na tyle wstrząsający, że wzięłam się w garść i nie załamalam się tak jak ona.

Próbowaliśmy ją podnieść, ale nie chciała, więc w końcu tata usiadł obok i ją przytulił, a ja zaczęłam ją głaskać.

Wróciły do mnie wszystkie wspomnienia, dokładnie w chwili, kiedy już miałam nadzieję, że powoli o nich zapomnę. Miałam nadzieję, że czas wyleczy niektóre rany, ale tamtego ranka już wiedziałam, że nie ma co na to liczyć.

Że bez przyjaciół już zawsze będę sama.

Pod wieloma względami tamten dzień był dość paskudny. Wszędzie panował bałagan. Ciągłe wybuchaty kłótnie i nikt niczego nie wiedział. Na przykład chcieliśmy jak najszybciej pojechać do naszego gospodarstwa i sprawdzić, w jakim jest stanie. Postanowiliśmy, że noc spędzimy w domu. Ale nie mieliśmy pojazdu, a te z miasta były wręcz rozchwytywane. Dopiero o

pierwszej po południu udało nam się złapać mitsubishi tritona, a nawet wtedy musieliśmy się zgodzić na zabranie ośmiu osób, które mieliśmy wysadzić w różnych miejscach po drodze. Oczywiście nie mieliśmy nic przeciwko temu, ale byliśmy bardzo zniecierpliwieni. Wszyscy czuli zmęczenie i strasznie zrzędzili, trudno było o porozumienie w jakiegokolwiek sprawie. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że taki schemat będzie obowiązywał przez kilka następnych miesięcy, ale podejrzewam, że po chwili zastanowienia na pewno byśmy to przewidzieli.

Do domu dotarliśmy dopiero o zmroku – nie dlatego, że po drodze musieliśmy wysadzać pasażerów, ale dlatego, że przy każdej farmie wysiadaliśmy, wymienialiśmy uprzejmości, dawaliśmy rady i podnosiliśmy ludzi na duchu. To był długi proces, a ponieważ mieszkaliśmy na końcu trasy, nie pozostał nikt, kto by się nam odwdzieczył w podobny sposób. Przyjechaliśmy do domu sami i jeśli potrzebowaliśmy jakiejś pociechy, też musieliśmy ją sobie zapewnić sami.

Nie chcę biadolić: prawda wygląda tak, że nasze gospodarstwo było w całkiem dobrym stanie. Ktokolwiek w nim mieszkał – i wyjechał zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej – czerpał z tego domu dumę i starał się, jak mógł. Ale coś sprawia, że trudno chodzić po własnym domu i patrzeć na zmiany, jakie w nim zaszły. Małe i duże. Lodówka w innym miejscu kuchni. Pokój taty przemieniony w sypialnię. Wszystkie książki usunięte z domu i wrzucone do szopy z tyłu.

Oczywiście zniknęło mnóstwo rzeczy. W zasadzie wszystko, co miało jakąś wartość. Spodziewaliśmy się tego, więc nie byliśmy chyba aż tak wstrząśnięci. Ale Boże, to boli, kiedy nagle zdajesz sobie sprawę, że nie możesz znaleźć kolejnej cennej pamiątki. Nie przejmowałam się takimi rzeczami jak odtwarzacz wideo, płyty i telewizory. „Nigdy nie płacz po niczym, co nie może zapłakać po tobie” – mówił tata. Wiedziałam, że nie znajdziemy biżuterii, ale mimo to było mi smutno. Do tego doszły jeszcze różne drobiazgi, których też nie mogliśmy znaleźć, choć trudno było pojąć, dlaczego ktokolwiek postanowił ukraść niektóre z nich. Na przykład mój album ze zdjęciami, podpórki do książek, które dostałam od Fi, maska, którą zrobiłam w ósmej klasie. Byłam dumna z tej maski.

Może po prostu to wyrzucili.

Nie należy zapominać, że kilka przedmiotów zyskaliśmy.

W jadalni stał nowy stół do ping-ponga, w spiżarni było sporo jedzenia i – co najbardziej zadziwiające – w stodole stał nowiusieńki zbiornik opadowy. Uznaliśmy, że trzeba będzie go oddać, kiedy już się dowiemy, komu go skradziono.

Myślałam, że po powrocie do domu od razu rzucimy się w wir pracy, żeby zebrać wszystko do kupy i naprawić: nie tylko dom i szopy, lecz całą posiadłość. Ale właściwie nic takiego się nie stało. Chyba wszyscy byliśmy w lekkim szoku. Mama i tata często się kłócili, zazwyczaj o jakieś kompletne bzdury. Mama godzinami siedziała w ogródku i tylko gapiła się na góry. Zakładała, że zajmę się domem, podczas gdy, jak już wspomniałam, ja zawsze zakładałam, że kiedy wojna się skończy, to mama będzie się mną opiekowała. Nie narzekałam, ale nie byłam tym uszczęśliwiona i nie przykładałam się do pracy. Nie wiem, czy snujący się po polach tata i mama, która siedziała w ogródku, przeżywając swoją wielką depresję, w ogóle zauważyli, że to ja odwałam większość roboty. Uważałam, że to strasznie niesprawiedliwe. Nadal utykałam, nadal wyglądałam jak siedem nieszczęść i jeszcze więcej nieszczęścia miałam w środku, a moi rodzice byli zagubieni w swoich własnych światach.

Oczywiście zdarzało się wiele dobrych chwil, zwłaszcza wtedy, kiedy znowu byliśmy dla siebie mili, kiedy się przytulaliśmy, siedzieliśmy, trzymając się za ręce, kiedy razem spacerowaliśmy albo rozmawialiśmy o tym, co widzieliśmy w czasie wojny. W tamtych chwilach znowu wierzyłam, że w końcu będzie tak jak dawniej.

Gdy znajdowałam chwilę, żeby się zatrzymać i pomyśleć – a nie chciałam myśleć, więc bardzo się starałam, żeby takich chwil było niewiele – byłam zaskoczona zmianami, jakie we mnie zaszły. Nawet tymi małymi. Po paru dniach zaczęła nadawać pierwsza stacja telewizyjna. Działała tylko od piątej po południu do dziewiątej wieczorem, ale codziennie oglądałam wiadomości. Po pierwsze, uznałam, że lepiej zacząć się interesować tą całą polityką, a po drugie, nie puszczali niczego więcej. Ale poza tym codziennie ogłaszano coś ważnego. Niestety, nie można było polegać

na tych ogłoszeniach. We wtorek wieczorem mówili, że za dziesięć dni zostaną otwarte szkoły, a w czwartek słyszałam: „Przykro nam, nie wiemy, kiedy szkoły zostaną otwarte”. W sobotę informowali, że na jednym z przygranicznych terytoriów wybuchły walki. W sobotę przyznawali, że to była pomyłka.

Dzień później, w poniedziałek, przyjechali pierwsi przedstawiciele Komisji ONZ do spraw Zbrodni Wojennych, którzy ogłosili, że będą wzywali ludzi w celu zgromadzenia dowodów. Zastanawiałam się, czy ktoś mnie zapyta o pułkownika Longa. Na pewno nie zamierzałam się wysilać, żeby go szukać.

Największą z błyskawicznych zmian było ponowne zasiedlenie. Trzeba było je przeprowadzić, i to szybko. Dwadzieścia milionów ludzi musiało się pomieścić na terenie, na którym wcześniej mieszkało sześć milionów. Wiedzieliśmy, że stracimy większość farmy – pozostawało tylko pytanie, jak dużą i którą. Byliśmy całkiem pewni, że zachowamy wystarczająco dużo ziemi, żeby jakoś się później utrzymać, bo oczywiście gospodarstwa i farmerzy byli teraz bardziej potrzebni niż kiedykolwiek wcześniej, a doświadczenie taty miało sporą wartość. Ale mogłam się pożegnać ze swobodną jazdą motorem przez pola albo z kąpielami na waleta w zbiornikach z wodą.

Na obszarze Wirrawee zadanie podziału ziemi przypadło mamie Fi. Nie była w najlepszej formie, ale uznała, że praca odciągnie jej myśli od córki, więc może to był dobry pomysł, sama nie wiem. Wiedziałam, że nie da się tego zrobić bez szkody dla dotychczasowych właścicieli. Mama Fi codziennie wywieszała swoje propozycje na pocztę, więc jeśli ktoś chciał, mógł zgłaszać zastrzeżenia. Myślę, że nas potraktowała za ostro – może chciała pokazać innym, że nas nie faworyzuje, a może nawet była wściekła, że nie otoczyłam Fi lepszą opieką albo że wysadziłam jej dom w powietrze. Ostatecznie zostały nam tylko dwa hektary ziemi uprawnej – część pola Nellie's i część Spalonej Chaty. Do tego mokradła, które można było wykorzystać dopiero po osuszeniu. Kiedy jednak zastanawialiśmy się nad taką możliwością, mama Fi objęła mokradła ochroną, więc ostatecznie nie mogliśmy ich tknąć. Nazwano to ugodą, co oznaczało, że nadal byliśmy prawowitymi właścicielami, ale nie było nam wolno niczego tam zmienić.

Jakby tego było mało, ogłoszono, że tacy ludzie jak my mają zapewnić schronienie i żywność osobom osiedlonym na naszej dawnej farmie, do czasu aż ci ludzie rozpoczną budowę swoich domów.

Kiedy udało mi się znaleźć trochę wolnego czasu, pojechałam do Wirrawee, żeby spróbować odnaleźć kilka osób. Miałam długa listę. Na jej szczycie figurowała moja babcia ze Stratton, której szukaliśmy już w pierwszych godzinach pokoju. Nie było o niej żadnych wieści. Mama i tata gorączkowo jej szukali. Poza tym próbowałam odnaleźć komandosów z Nowej Zelandii, Monique, Issę i Judy z Obozu 23, Nell Ford i panią Slater, z którymi rozmawialiśmy w szpitalu w Wirrawee, oraz panią Alexander, której zniszczyłam traktorek do koszenia trawy...

Jednak najważniejsi – oprócz mojej babci – byli dla mnie bracia i siostry Lee oraz doktor Muir. Okropnie się o niego martwiłam, bo nie wiedziałam, czy zdołał uciec żołnierzom przy spalarni. Chyba bym nie przeżyła, gdyby przeze mnie spotkało go coś złego.

Poszukiwania ludzi spoza miasta nie przyniosły żadnych rezultatów. Doczepiłam ogłoszenia do ogromnych tablic przed supermarketem, które wystawiono właśnie w tym celu, i zarejestrowałam nazwiska w biurze Czerwonego Krzyża przy Barker Street. Ale w tamtym czasie pracowników Czerwonego Krzyża interesowały wyłącznie poszukiwania członków rodzin. Tata wypytywał ich już o babcię. Poszukiwaniem przyjaciół mieli się zająć dopiero za parę tygodni.

Poinformowali mnie, że Nell Ford zmarła w szpitalu w Wirrawee mniej więcej pół roku przed końcem wojny.

Usłyszałam też dobre wieści: panie Slater i Alexander były całe i zdrowe. Rodzicom Robyn też nic się nie stało, jeśli można tak powiedzieć o ludziach, którym nie starcza sił na nic oprócz poruszania się i oddychania. Obydwoje nadal funkcjonowali, ale wyczuwało się, że w środku są puści i jałowi. Najgorszy był sposób, w jaki pan Mathers chwycił mnie i uściskał, kiedy złożyłam im wizytę. O mało nie pogruchotał mi żeber. Czułam jego rozpacz. Wiedziałam, że nie mogę być Robyn. Wystarczająco trudno było być sobą. I nie mogłam udźwignąć dwojga dodatkowych

rodziców.

W obliczu takich spraw miałam bardzo mieszane uczucia w stosunku do wizyt w Wirrawee. Każda ulica, którą szłam, każdy mijany park, każdy sklep i każde skrzyżowanie przypominały mi o Robyn, Lee, Fi albo o innych przyjaciółkach. Na tym rondzie Robyn spadła z roweru i rozkwasiała sobie nos. W tamtym sklepie zwędziliśmy z Homerem paczkę gum Stimorol, a potem zawstydzeni podrzuciliśmy ją z powrotem. W tamtym domu Corrie ugryzła Trávisa w ucho, kiedy byliśmy w trzeciej klasie i Travis próbował ją pocałować na imprezie urodzinowej Simone. Czułam się jak w lunaparku wspomnień, ze wszystkich stron otoczona śmiechem, łzami, krzykiem i radosnym nawoływaniem duchów.

Innym poważnym problemem związanym z wizytami w mieście była rzesza osób, które chciały mnie zatrzymać i porozmawiać. To znaczy zawsze tak było – jeśli zamierzało się kupić bochenek chleba w Wirrawee, trzeba było poświęcić co najmniej pół godziny. Czasami bywało to denerwujące, a czasami miłe, ale teraz czułam się zakłopotana i śmieszna. Jakbym była chodzącym gabinetem osobliwości.

To był trudny okres, a dodatkowo pogarszał go fakt, że wcześniej wyobrażałam sobie koniec wojny jako coś w rodzaju rajy na ziemi. Bez względu na to, ile razy podczas walki powtarzałam sobie, że życie po wojnie będzie inne, trudne, w głębi serca nadal się oszukiwałam, myśląc, że wszystko może wrócić do normalności. Nawet lepiej: im dłużej trwała wojna, tym doskonalsze wydawało mi się dawne życie.

Potem wydarzyło się kilka rzeczy. Po pierwsze, dostałam wieści o dzikusach, które poleciały z Ryanem do Nowej Zelandii. Wcześniej kontakt był niemożliwy, bo linie telefoniczne zostały zarezerwowane dla wojska i rządu. Gdy udostępniono je cywilom na trzy godziny dziennie, nadal nie można było się połączyć z powodu przeciążenia sieci oraz problemów ze sprzętem zniszczonym podczas wojny. Centrala telefoniczna w Wirrawee najwyraźniej znajdowała się nisko na liście priorytetów.

Próbowałam się dodzwonić kilka razy, kiedy tylko byłam w pobliżu telefonu, ale w końcu udało mi się tylko dzięki wysoko postawionym znajomym. Właśnie przyjechałam z tatą do miasta, gdzie próbowaliśmy kupić środek przeciw chwastom pochodzący z ograniczonych zapasów. Nagle na ulicy pojawiła się Heather z poczty. Usiłowała mnie dogonić.

– Och, Ellie – wysapała – wołałabym, żebyś chodziła trochę wolniej. Och, niech no trochę odsapnę.

Czekałam, zastanawiając się, czym sobie zasłużyłam na taki pościg ulicami.

– Och – powtórzyła – tak się cieszę, że cię złapałam. Jakiś bardzo ważny wojskowy z Nowej Zelandii od rana usiłuje się z tobą skontaktować. Mówi, że to pilne. Podobno dopiero wczoraj się dowiedział, że jesteś na wolności. Zobaczył w gazecie jakiś artykuł o tobie.

– Pamięta pani, jak się nazywał? – zapytałam, na przekór wszystkiemu mając nadzieję, że to mógł być...

– Generał Finley. Coś ci to mówi?

– Pułkownik Finley? Poważnie? O Boże, nie mogę w to uwierzyć.

Obie ruszyłyśmy pospiesznie w stronę poczty.

– Tak, był naprawdę stanowczy. I dość niecierpliwy. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z generałem. Mam nadzieję, że nie wszyscy są tacy niegrzeczni jak on.

– To nie generał, tylko pułkownik.

– Jestem pewna, że przedstawił się jako generał.

Okazało się, że to ja jestem w błędzie, bo kiedy w końcu udało się uzyskać połączenie, dowiedziałam się o awansie pułkownika Finleya. Pogratulowałam mu, ale jak zwykle nie miał ochoty na pogaduszki. Na szczęście dla mnie zdecydowanie nie był niegrzeczny.

– No, Ellie, powiem to tylko raz: jeśli czegokolwiek potrzebujesz, musisz tylko poprosić. Chyba mogę już zdradzić, że to, czego dokonałaś, zostanie nagrodzone w bardziej oficjalnej formie w odpowiednim czasie, ale na razie możesz stawiać najwymyślniejsze żądania i gwarantuję, że zostaną spełnione.

Wydawał się tak szczerze uradowany tym, że przetrwałam wojnę, że aż się wzruszyłam. Nie

miałam do niego żalu o wyekspediowanie nas z Nowej Zelandii i ponowne pchnięcie do działania. Na tym polegała jego praca. Ale nigdy nie myślałam, że interesowaliśmy go jako ludzie, a nie wyłącznie jako jednostki bojowe, które mógł skierować, dokądkolwiek chciał.

– Panie pułkowniku, to znaczy generale, mam dwa ważne pytania. Po pierwsze, co się stało z tymi dziećmi, które wysłaliśmy razem z Ryanem?

– No cóż, mają się dobrze. Na razie umieściliśmy je w rodzinach zastępczych, ale mamy nadzieję, że uda się odnaleźć ich rodziców. Jeśli nie, może sama pomyślisz o adopcji któregoś z nich.

„Boże – pomyślałam. – Chyba jestem na to trochę za młoda”.

Był to jednak kolejny znak tego, jak wiele się zmieniło: osoba w moim wieku mogła być poważnym kandydatem do zaadoptowania dziecka.

– A drugie pytanie?

– Ma pan jakieś wieści o Iainie, Ursuli i reszcie komandosów?

– O, to bardzo ciekawe. W skrócie odpowiedź brzmi „nie”, ale druga strona toczy z nami skomplikowane gry. Jak wiesz, traktat pokojowy przewiduje wymianę wszystkich jeńców, lecz nie odbywa się to w takim tempie, jak powinno. Nawet nie chcą nam dać listy nazwisk. Dlatego o niektórych osobach wiemy, a o innych nie. Wiemy, że twoi przyjaciele są przetrzymywani w jednym z więzień, tylko nie mamy pojęcia, w którym, ale Iain i reszta to twarde sztuki, więc...

I wtedy nas rozłączyło bez najmniejszego ostrzeżenia. Typowe, ale wkurzające: akurat w chwili, w której miałam tak dobre połączenie z pułkownikiem – bo nadal myślałam o nim jako o pułkowniku. Ja i Heather bardzo się starałyśmy, ale nie udało się wznowić rozmowy. Najbardziej wkurzające było to, że nawet nie zdążyłam wspomnieć o Homerze i pozostałych. Tak bardzo chciałam powiedzieć pułkownikowi o naszym ostatnim ataku i o tym, jak się skończył.

Mimo wszystko rozmowa wyraźnie poprawiła mi humor.

W drodze do domu tata powiedział, że odkąd wrócił, nie widział mnie szczęśliwszej. Rzeczywiście byłam wręcz rozradowana. Usłyszałam, że dzikusy są całe i zdrowe, a do tego pułkownik Finley powiedział, że Iain, Ursula i ich ludzie prawdopodobnie są w obozie jenieckim – nie śmiałam liczyć na tyle dobrych wieści.

I nie zapomniałam o obietnicy danej Casey.

Będąc w tak dobrym humorze, postanowiłam zrobić coś, co odwlekałam od dnia powrotu do Wirrawee. Chciałam się wybrać na spacer – albo pójść na pielgrzymkę, jak zwał, tak zwał – na Szew Krawca, żeby znowu spojrzeć na Piekło. Wiedziałam, że nie zejść aż na polanę. Pragnęłam tylko stanąć na górze, może zmówić modlitwę, rzucić kwiat albo coś w tym rodzaju. Nie licząc krótkiej wyprawy z tatą po land-rovera, to był mój pierwszy raz, odkąd dawno temu opuściłam Piekło z Ryanem i dzikusami. Przynajmniej cały obszar znowu został włączony do domen królewskich – i bardzo dobrze, bo na każdym wolnym skrawku ziemi roiło się od ludzkich królików.

Chyba postąpiłam trochę głupio, idąc w te góry, gdy ciągle słyszało się ostrzeżenia przed czymś, co wojsko nazywało terenami „niebezpiecznymi” – obszarami, które nie zostały jeszcze do końca oczyszczone z żołnierzy wroga. Oczywiście prawie wszystkie obce oddziały i osadnicy odeszli dobrowolnie – no, tak jakby; większość z nich była wściekła – ale krążyły historie o tych, którzy nie chcieli dać za wygraną, i o powodowanych przez nich problemach. Niektórzy byli fanatykami i postanowili bronić swoich nowych domów do ostatniej kropli krwi, inni byli głupi i nie rozumieli, że wojna się skończyła, a jeszcze innym po prostu odbiło.

Wszyscy byli bardzo zajęci sprzątnięciem, budowaniem, sadzeniem i naprawianiem, więc czułam, że będę miała cały Szew Krawca tylko dla siebie. Z tego, co wiedziałam, od zakończenia wojny nie było tam nikogo oprócz mnie i taty.

Boże, poranek był piękny. Najpierw wszystko spowijała lekka mgiełka, ale kiedy się podniosła, od razu wiedziałam, że zapowiada się idealna pogoda. Krzyczały do mnie kakadu z siarczany grzebieniami, kukabury śmiały się jak karabiny maszynowe, rozelle fruwały między drzewami jak czerwone strzały.

Musiałam iść piechotą, bo mieliśmy za mało benzyny, ale nie przypuszczałam, że od

zakończenia wojny tak wiele straciłam: tyle energii, siły, odporności. W połowie drogi już się męczyłam i na szczyt dotarłam wyłącznie dzięki sile woli.

Na Szwie Krawca wreszcie mogłam się wyluzować. Pierwszy raz od zakończenia wojny poczułam odrobinę spokoju. Leżałam w słońcu, myśląc, że dopóki trwa las, musi być jakaś nadzieja dla świata. Więzienie w Stratton, szpital w Cavendish, obóz jeniecki, blokowisko w Simmons' Reef w końcu zaczęły niknąć gdzieś w oddali. Czulałam, jak ich zapach ulatuje w prażącym słońcu. Pozostałości po minionym lecie.

Po chwili wstałam i ruszyłam w prawo, w stronę Piekła. Przez parę kilometrów trzymałam się wąskiego szlaku. Dziwnie się czułam, idąc tamtędy w biały dzień i nie martwiąc się, że zostanę zauważona albo zaatakowana. W tych okolicznościach wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Kiedy stanęłam bezpośrednio nad naszą polaną – w każdym razie tak mi się wydawało – zesłam niżej, zastanawiając się, czy uda mi się dojrzeć obozowisko. Nasz kamuflaż powinien był zapewniać dość dobrą osłonę, ale przypuszczałam, że i tak zlokalizuję to miejsce, nawet jeśli nie będę miała stuprocentowej pewności.

Spędziłam tam jakieś dziesięć minut. W końcu uznałam, że znalazłam polanę. Kierowałam się wyłącznie zarysem terenu, zwłaszcza w sąsiedztwie strumienia.

Odsunęłam włosy z oczu, odwróciłam się i powoli zaczęłam wędrowkę pod górę. Poszłam w prawo, na skraj najbardziej stromego urwiska – do tej części Szatańskich Schodów, gdzie Kevin przeciął sznur, posyłając kobietę na śmierć. Jakieś makabryczne uczucie kazało mi spojrzeć w tamtą stronę. Miałam nadzieję, że niczego nie zobaczę, ale musiałam popatrzeć.

Niczego tam nie było. Tylko drzewo z utraconym wierzchołkiem, biała gałąź stercząca jak ludzka kość. Eukaliptus ze złamaniem wieloodłamowym.

Zaczęłam się odwracać, zastanawiając się, po co w ogóle tam spójrzałam. I właśnie wtedy usłyszałam za sobą głośnie stukanie. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to tupot. Tupot biegnących stóp.

Gwałtownie spójrzałam za siebie. Prosto na mnie pędził żołnierz, wrogi żołnierz. Od razu wiedziałam, że to kobieta, którą złapaliśmy tamtego ranka na szczycie urwiska. Była młoda, miała z dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat, ale wyczułam, że jest szalona. Widziałam jej wychudzone ciało, drżące ręce, obnażone zęby. Szaleństwo malowało się przede wszystkim w jej oczach. Wyglądały po prostu nieludzko, przestały być ludzkie dawno temu.

Płonęły, jakby były radioaktywne. Tym jaskrawym zielonym światłem, które czasami, późną nocą, widuje się na ulicach w mieście, kiedy wszyscy śpią w domach.

Już tamtego ranka, gdy zabiliśmy jej przyjaciół, wyglądała na obłąkaną. Jeśli od tamtej pory snuła się po okolicy zupełnie sama, mogłam zrozumieć, dlaczego postradała zmysły. Wiedziała, że jestem jedną z tych, którzy zastrzelili jej kumpli. Rozpoznała mnie. To też zobaczyłam w jej oczach.

Zupełnie jakby wrócił pustelnik. Następny szalony człowiek, który postradał zmysły po śmierci bliskich osób, błąkał się po tych górach.

Nie miałam dużo czasu na zastanowienie się, co robić. Dzieliło ją ode mnie z pięć, sześć kroków, biegła prosto na mnie – i to szybko, wielkimi susami. Podczas wojny mój lęk wysokości jeszcze się pogłębił, przede wszystkim po upadku z urwiska w dolinie Holloway. Ona biegła, a ja poczułam, że się zablokowałam, z moich kończyn uszła cała siła, wyssana przez strach. Wiedziałam, że to grozi śmiercią, więc najzacieklej, jak umiałam, usiłowałam odzyskać siłę. Pomyślałam o Robyn. Ona odkryła w sobie odwagę, kiedy jej potrzebowała.

Gdy kobieta znalazła się trzy metry ode mnie, poczułam, jak do moich kończyn napływa energia. Nie wiem, skąd się wzięła. Sekunda, której potrzebowałam, żeby wziąć się w garść, mogła mnie kosztować życie. Za chwilę miało nastąpić zderzenie, po którym runęłabym do tyłu. Po którym spadłabym z urwiska.

Nie było czasu, żeby uskoczyć, uciec przed nią. Zamiast tego pochyliłam się i spróbowałam rzucić się na jej nogi, trzymając się jak najbliżej ziemi, z nadzieją, że jeśli mi się uda, ona spadnie z krawędzi, a ja nie.

W pewnym sensie podziałało. Z pewnością ją zaskoczyłam. Runęła w dół, ale bokiem, i o

mało nie wylądowała mi na głowie. Złapałam ją za kolana i przywarłam do jej nóg jak blokujący zawodnik rugby, ale odepchnęła mnie kopniakiem. Gdy się od niej odrywałam, zarobiłam kolaniem w brodę.

Potem znowu byłam na nogach i ruszałam do ataku, mając nadzieję, że podniosę się szybciej niż ona i że znowu zyskam przewagę. W rzeczywistości wstałyśmy mniej więcej w tym samym czasie. Ona była zwrócona plecami do urwiska, a ja próbowałam w nią uderzyć wystarczająco mocno, żeby ją zepchnąć, ale zamknęła mnie w silnym uścisku i wiedziałam, że jeśli ona spadnie, polecimy razem, splecione w objęciach, które zabiorą nas obie aż do śmierci. Wyswobodziłam się i próbowałam się schylić, żeby ją przewrócić. Zamiast tego złapała mnie w pasie i zaczęła odwracać, ustawiając tak, żeby móc mnie zepchnąć.

Wtedy poczułam jej siłę. Siłę maniaczki walczącej o życie. Czytałam *Wielkie nadzieje*. Wiem, jacy silni potrafią być szaleńcy. Odwróciła mnie i zaczęła pchać. Nadal byłam pochylona i widziałam, jak moje buty żłobią ślady w suchej ziemi. A ona pchała dalej, centymetr po centymetrze.

Ślady zrobiły się głębsze, jej siła rozpędu słabła – coraz głębiej zapierałam się piętami. Ale bez względu na to, co robiłam, ta kobieta nadal mnie przesuwiała, coraz bliżej krawędzi. Nie wiedziałam, jak blisko jestem, ale możliwe, że od przepaści dzieliła mnie już tylko długość buta.

Musiałam zaryzykować, żeby podnieść kolano i kopnąć ją w pachwinę. To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu, bo wiedziałam, że podnosząc stopę, zmniejszę swój opór o połowę i jeśli ona zdąży zareagować, zepchnie mnie z krawędzi i zniknę. Ale przesunawszy się o kolejny centymetr, czując pustkę pod spodem, poderwałam prawe kolano.

Zaskowityła jak lis i na moment jej uścisk osłabł. Przez tę jedną okropną chwilę wisiałam nad urwiskiem i miałam spaść. Chyba już straciłam równowagę; tylko dzięki czystej sile woli wyprostowałam się i odsunęłam, ratując się od upadku, który powinien był już się zacząć. Zatoczyłam się do przodu, odepchnęłam tę kobietę, a potem rąbnęłam ją głową w brzuch. Tyle że za słabo: zabrakło mi rozpędu. Znowu mogła z łatwością chwycić mnie w pasie i zacząć pchać ku krawędzi urwiska.

Przynajmniej tym razem jej uścisk okazał się słabszy. Byłam wdzięczna Homerowi za te wszystkie lekcje zapasów. Obróciłam się i jednocześnie pchnęłam, a ona runęła do tyłu z rozłożonymi rękami. Wstała jednak i znowu ruszyła do ataku z tą potworną szybkością, którą pokazała już wcześniej. Odsunęłam się, zrobiłam tylko pół kroku w bok, a potem ją złapałam i spróbowałam zepchnąć na krawędź, korzystając z tego, że trochę straciła równowagę. Podniosła łokieć i uderzyła mnie w policzek. Wypuściłam ją odruchowo, a wtedy usiłowała mnie zepchnąć dwiema rękami, trzymając za prawe ramię. Wyswobodziłam się, robiąc obrót, i dostawszy się pod nią, próbowałam dosięgnąć jej twarzy. To ją zaskoczyło i przez chwilę miałam ją w garści. Pchałam do tyłu najmocniej, jak umiałam. Zepchnęłam ją aż na krawędź. Przez chwilę myślałam, że już się zsuwa, i wtedy się zawahałam, zatrzymałam, osłabłam.

Chyba to wyczuła. Zaskoczyła mnie, pochylając się jeszcze niżej niż ja przed chwilą. Zamierzała mnie złapać za kolana i po prostu wyrzucić przez ramię prosto w otchłań. Mogła to zrobić, bo jej środek ciężkości był nisko, a mój oddalił się od ziemi.

W tej chwili osunęła się ziemia pod jej stopami. Zobaczyłam, jak kobieta się kołysze i zaczyna spadać. Prawie wyciągnęłam rękę, żeby ją złapać, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, spadniemy obie. Dlatego się odsunęłam. Ona coraz bardziej przechylała się do tyłu, wymachując rękami, żeby odzyskać równowagę. Ja ciągle się wycofywałam, uciekając od krawędzi najdalej, jak się dało, bo nie wiedziałam, jak duża część urwiska runie w przepaść. Ale przez cały czas patrzyłam jej prosto w oczy. Widziałam, jak szaleństwo ustępuje w nich miejsca świadomości: świadomości, że już jest martwa. Wyciągnęła prawą rękę, jakby chciała mnie błagać. Otworzyła usta. Wyrwał się z nich szloch. Zaczęła spadać. A ja nadal widziałam jej oczy. Boże, te oczy. Będę je widzieć każdego dnia i każdej nocy, aż do śmierci. Zielone oczy, wpatrzone w horror tysiącmetrowego lotu, który właśnie się zaczynał. Wpatrzone w horror śmierci. Widzące już skały, wiedzące, że ona na nie spadnie, że jej ciało roztrzaska się o bezwzględną ziemię.

Kiedy zniknęła mi z oczu, zaczęła krzyczeć. Krzyczała przez całą drogę w dół.

Wtedy już znałam odpowiedź na moje pytanie: na to, które zadawałam sobie tyle razy podczas wojny i wielokrotnie po jej zakończeniu. Kiedy będę mogła zacząć żyć dalej? Kiedy zdołam o tym wszystkim zapomnieć? Wiedziałam, że odpowiedź jest prosta.

Nigdy. Nigdy. Niektóre rzeczy się kończą. Ale nie wojna.

17

Nadal nie mieliśmy podłączonego telefonu, kiedy kilka dni później jeden z naszych nowych sąsiadów wpadł z wiadomością od Heather z poczty. Wyglądało na to, że znowu dzwoni generał. I najwyraźniej sprawa była jeszcze pilniejsza niż poprzednim razem.

Westchnęłam. Wcale nie byłam pewna, czy chcę usłyszeć kolejną pilną wiadomość od generała. Większość naszych rozmów nadal kojarzyła mi się z niebezpieczeństwem i nieprzyjemnościami.

Ale z generałem Finleyem było tak jak z Judy z Obozu 23. Nie dało się go zignorować. Nawet ja, choć nie byłam żołnierzem i nie musiałam wypełniać jego rozkazów, nie odważyłam się go zlekceważyć. To pewnie przez siłę jego osobowości.

Najbliższy sprawny telefon był aż u państwa Shannon. Brakowało nam benzyny i nie mogłam wziąć land-rovera, ale nie miałam nic przeciwko spacerowi. Powiedziałam mamie, dokąd idę, i ruszyłam w drogę.

Dla zabicia czasu próbowałam zgadnąć, po co generał chce się ze mną skontaktować. Niespełna kilometr dalej przysła mi do głowy dziwna myśl. Przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z generałem Finleyem – moją ostatnią wizytę w Wirrawee. I coś mnie uderzyło. Może powinno było mnie uderzyć już wcześniej. Kiedy rozmawiałam z nim o Ursuli i Iainie, w zasadzie powiedział, że nie wie, gdzie są. Jakby nie miał pojęcia, czy Iain, Ursula i inni Nowozelandczycy w ogóle żyją. Ale potem dodał coś w rodzaju: „Wiemy, że twoi przyjaciele są jeńcami”.

Czy nazwałby nowozelandzkich komandosów moimi przyjaciółmi? Niewykluczone. Czasami ludzie używają takich słów dość swobodnie. Ale z drugiej strony...

Nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszą nadzieję. Po prostu nie mogłam. Ale poczułam, że moje nogi poruszają się szybciej. Załóżmy, że generał Finley wie, że ktoś z naszej grupy przeżył. Homer, Fi, Lee albo Kevin. I załóżmy, że generał był przekonany, że ja też o tym wiem. To wyjaśniałoby sposób, w jaki rozmawiał ze mną przez telefon.

Następna sprawa: kontakt z generałem był bardzo utrudniony, to prawda, ale jak to się stało, że podczas rozmowy nie zapytał mnie o Homera i resztę? Trochę mnie tym rozczerował. Ale gdyby wiedział, że są jeńcami, i gdyby założył, że ja też o tym wiem...

Nagle zaczęłam biec. Musiałam – w żaden inny sposób nie mogłabym dać ujścia radości, adrenaliny i strachowi, które trysnęły mi do żył. Wiedziałam, że szanse są minimalne i że pomyłka podziiała na mnie druzgocąco, ale jednocześnie czułam, że jeśli jakimś cudem któreś z moich przyjaciół przetrwało, mnie też się uda: że poradzę sobie z mętlikiem w głowie, z przygnębieniem i stresem tego powojennego świata. No i co z Gavinem? Och, tak bardzo chciałam go znowu zobaczyć! Był taki mały, miał ciężkie życie, ale za to niesamowicie mocny charakter. Zasługiwał na drugą szansę.

Potem sobie przypomniałam, że nie ma sensu pytać generała Finleya o Gavina, bo Gavin nic dla niego nie znaczył: generał Finley pewnie nawet o nim nie słyszał,

Kiedy dotarłam do państwa Shannon, zachowałam się dość niegrzecznie: po prostu wpadłam do domu, zapytałam, czy mogę skorzystać z telefonu, i chwyciłam słuchawkę. Potem jak zwykle przesłałam wkurzającą i dobijającą procedurę: bez końca dzwoniłam i wysłuchiwałam wszystkich możliwych automatycznych komunikatów, poczynając od: „Wszystkie linie zagraniczne są obecnie zajęte, prosimy spróbować później”, a kończąc na: „Wybrany numer nie istnieje”. Zignorowałam je i po prostu dalej wciskałam przycisk ponownego wybierania.

Co kilka minut któreś z państwa Shannon wysuwało głowę zza drzwi, patrzyło na moją czerwoną, sfrustrowaną twarz i znowu zniknęło. Myślę, że minęło ze czterdzieści pięć minut, zanim w końcu usłyszałam sygnał. Tak bardzo się przyzwyczaiłam do przerywania nieudanych połączeń,

że o mało się nie rozłączyłam. Całe szczęście, że tego nie zrobiłam. Czekałam, pocąc się i myśląc: „Szkoda, że już nie mam naszego radia, mogłabym dzwonić do Nowej Zelandii, kiedy tylko przyszlaby mi ochota”.

Odebrał jakiś mężczyzna, a gdy się przedstawiłam, powiedział:

– Proszę poczekać, poszukam go.

Prawie natychmiast usłyszałam głos generała Finleya. Jak zwykle od razu przeszedł do rzeczy.

– No, Ellie, odnaleźliśmy ich dla ciebie.

Serce zamarło mi w piersi i zapytałam:

– Kogo?

Z przejęcia włożyłam palce do ust.

– No, właściwie wszystkich.

– Na miłość boską! – krzyknęłam, czując, jak do oczu napływają mi wkurzające łzy. –

Kogo?!

W przeciwieństwie do wszystkich dorosłych, których znam, generał Finley nie wygłosił wtedy małego wykładu na temat tego, że okazując odrobinę uprzejmości, można zajść znacznie dalej w życiu i że krzycząc na ludzi, niczego się nie osiągnie.

Zaczął czytać listę, która zaczynała się od Homera, Lee, Kevina, Fi, Iaina, Ursuli, Bui-Tersy i Kaya, a kończyła na sześciu innych osobach, których nie znałam albo nie pamiętałam, ale domyśliłam się, że to pozostali komandosi z Nowej Zelandii.

Po pierwszej szóstce nie słuchałam zbyt uważnie.

W końcu generał dodał:

– Potwierdzono, że troje z naszych ludzi zginęło lub zmarło na skutek odniesionych ran.

Poza tym jest jeszcze chłopiec z wadą słuchu, którego najwidoczniej złapano razem z twoimi przyjaciółmi. Nie wiem, które to nazwisko na liście. Mam ich tutaj sto czterdzieści trzy. Ale Fiona powiedziała, że chciałabyś o nim usłyszeć.

– Nic mu się nie stało?

– Wygląda na to, że nie. Wszyscy mają za sobą ciężkie chwile, a ten mały był z twoimi przyjaciółmi w więzieniu dla dorosłych, więc pewnie nie jest w najlepszej formie. Dziś zbada ich jeden z naszych lekarzy.

– Kiedy będę mogła ich zobaczyć?

– Postaramy się, żeby to nastąpiło jak najszybciej. Nie jestem pewny, jaka odległość dzieli Wirrawee od Absalom, gdzie ich przetrzymywano, ale słyszałem, że będą w Wirrawee jutro o ósmej.

O ósmej rano. Za siedemnaście godzin.

Popołudnie i noc. Jedno spanie. Sen, którego nie zakosztuję. Siedemnaście godzin.

Wszystko działo się tak szybko. W jednej chwili byli martwi, w drugiej przywrócono ich do życia, a w następnej staną naprzeciwko mnie.

Zadzwoiłam do rodziców Fi, którzy jako jedyni mieli już telefon. Nie pamiętam, co im powiedziałam – nie zapamiętałam ani słowa z tej rozmowy. Potem wypadłam z domu Shannonów i pobiegłam do rodziców Kevina. Im dłużej biegłam, tym lżejsze stawały się moje stopy, a ostatnich trzech kilometrów nawet nie zauważyłam. Szkoda, że tamtego dnia nie było eliminacji do olimpiady. Prześcignęłabym wszystkich.

Kiedy dotarłam do domu, była już druga w nocy, ale i tak wróciłam wyłącznie po to, żeby mama i tata nie oszaleli ze zmartwienia. Na szczęście dzięki nowinom mi się upiekło. Gdybym próbowała wymyślić inne usprawiedliwienie dla tak późnego powrotu do domu, pewnie by się wściekli.

Dziwnie było musieć wracać do domu o określonej porze, skoro jeszcze niedawno biegano się po nocach, organizując ataki i zabijając ludzi. Ale ta nowa sytuacja nawet mi się podobała. Dzięki niej znowu czułam się trochę normalniej. Jakbym naprawdę mieszkała w domu, znowu z rodzicami, jak przed wojną, kiedy jeszcze byłam dzieckiem.

Gdy rodzice usłyszeli wieści, chcieli porozmawiać. Ale ja miałam dość rozmów. Mówiłam,

słuchałam i znowu mówiłam u państwa Holmes, a potem jeszcze raz u Yannosów. Nigdy nie przegadałam aż tylu godzin. Krzyczeliśmy, śmialiśmy się, paplaliśmy, ściskaliśmy się, a potem mówiliśmy, mówiliśmy i mówiliśmy. Bóg z pewnością wiedział, co robił, kiedy dawał ludziom języki. Bez nich mielibyśmy przechlapane. Trzeba by było znacznie częściej tańczyć.

Dlatego poszłam do łóżka. I oczywiście nie zasnęłam. Rzucałam się i przewracałam, wierciłam i kręciłam, miotałam i wyginałam. Co pół minuty zmieniałam pozycję. W jednej chwili byłam ciasno zwiniętym kłębkim, w następnej leżałam rozwalona na całym łóżku.

Mniej więcej o wpół do czwartej zrozumiałam, co czuję przede wszystkim. Prerażenie. Prerażenie? Jak to? Bałam się ludzi, którzy prawdopodobnie byli mi teraz bliżsi niż rodzice? No właśnie, na początek prerażało mnie choćby to. Nie chciałam, żeby ktokolwiek był mi bliższy niż rodzice. Przeżyłam szok, kiedy tam, w ciemności, zdałam sobie sprawę, jacy bliscy stali się dla mnie Fi i reszta.

Tyle że ten problem był długofalowy. W zasadzie to nie przez niego wierzęłam i miotałam się na łóżku.

Nie – bałam się, że wrócą jako potwory. Że cokolwiek ich spotkało w ciągu tych ostatnich tygodni wojny, a nawet po jej zakończeniu, mogło być takie straszne, takie brutalne, że wrócą do mnie otoczeni jakąś piekielną poświatą, z zielonym światłem w szalonych oczach. Tak jak tamta kobieta na Szwie Krawca.

Przeszliśmy razem tak wiele i nagle zostaliśmy rozdzieleni. Oni mieli mnóstwo nowych wspólnych doświadczeń, które mnie wykluczały. Więzienie, do którego trafili, mogło ustanowić nowy rekord okrucieństwa. Generał Finley powiedział, że przeżyli ciężkie chwile. Tylko jak bardzo ciężkie? Wystarczająco ciężkie, żeby na zawsze się zmienić, żeby wrócić jako obcy ludzie? Czy mieli gorzej niż ja w Obozie 23?

I – co najważniejsze – czy winili mnie za to, że zostali złapani? Czy zrobiłam coś złego? Może tamtej nocy w lesie, kiedy uciekałam z parkingu dla ciężarówek, powinnam była pobiec w inną stronę? Czy powinnam była poszukać Lee i pozostałych? Odciągnąć żołnierzy od naszych plecaków? Czy postąpiłam źle, wskakując do pociągu? Wtedy czułam, że nie mam innego wyjścia, ale może się myliłam.

Wstałam mniej więcej za piętnaście szósta i usiadłam w kuchni, żeby łuskać groch. Łuskanie grochu to bardzo dobra terapia. Przynajmniej normalnie. Tego ranka byłam zbyt zmęczona, zasnana, ociężała i ogłupiała.

W końcu wstał tata. Wszedł do kuchni i mruknął coś, co trochę przypominało „dzień dobry”. Włączył toster, nastawił czajnik, wyjął kiepskie dżemy, którymi musieliśmy się wtedy zadowalać. Kiedy grzanka wyskoczyła z tostera, posmarował ją dla mnie Vegemite. Gdybym musiała to zrobić sama, zrezygnowałabym ze śniadania, ale widząc, że zadał sobie tyle trudu i że siedzi naprzeciwko mnie, zjadłam ją. I faktycznie poczułam się trochę lepiej.

– Denerwujesz się? – zapytał.

– Tak. Nie wiem dlaczego. Ale się denerwuję.

– Domyśliłem się. Pewnie nie wiesz, w jakiej będą formie.

– No właśnie.

Chodziło o coś znacznie więcej, ale nie miałam ochoty wdawać się w wyjaśnienia. Kiedy jest się nastolatkiem, rodzice bardzo często czegoś nie rozumieją, i to chyba jedyna rzecz, której wojna nie zmienia.

Z drugiej strony, gdy wróciłam ze Szwu Krawca cała posiniaczona i podrapana po walce na szczycie urwiska, zachowali się super. Tulili mnie, głaskali i pozwolili mi się wypłakać. Potem tata zawiózł mnie do Wirrawee, żeby to zgłosić. Musiałam napisać długie oświadczenie i odpowiedzieć na mnóstwo pytań. Cieszyłam się, że jest przy mnie tata. Dobrze sobie radzi z takimi sprawami.

O wojnie rozmawialiśmy tylko kilka razy – to znaczy naprawdę usiedliśmy i odbyliśmy pełną, poważną rozmowę. Tacy już jesteśmy. Rozmawiamy ze sobą, zawsze rozmawialiśmy, ale o pewnych rzeczach wolimy milczeć. Oczywiście cały czas nawiązywaliśmy do wojny. Jak mogłoby być inaczej? Ale nie licząc jednej rozmowy, która ciągnęła się jeszcze po północy, rozpoczętej drugiego wieczoru po powrocie do domu, nie drążyliśmy tego tematu. To, że robiłam to, co

robiłam, że zabiłam tak wielu ludzi, wydawało się tak niesamowicie nierzeczywiste, totalnie niewiarygodne. Chyba się bałam, że jeśli zacznę o tym za dużo mówić, między mną a rodzicami wytworzy się przepaść, której już nigdy nie zdołamy przeskoczyć. Dlatego w pewnym sensie rozgrywaliśmy to ostrożnie, mówiliśmy o innych ludziach, raczej o teraźniejszości i przyszłości niż o przeszłości.

Zjawiła się mama i gdy tylko posprzątałam po śniadaniu, poszłam odpalić land-rovera i podjechałam pod drzwi, żeby ich ponaglić.

Miałam wrażenie, że podróż do Wirrawee dłuży się bardziej niż podczas wojny. Nawet bardziej niż kiedy chodziliśmy piechotą. Ja prowadziłam, tata siedział obok, a mama z tyłu. Jediną osobą, która się odezwała, był tata, kiedy spojrzał na stado bydła na polu z lewej strony drogi i powiedział:

– Nic nie przebije mieszańców.

Zaparkowałam półtorej przecznicy od poczty. Oczywiście przyjechaliśmy o wiele za wcześnie. Kilka minut później zjawili się rodzice Homera z George'em za kółkiem, a potem zauważyłam, że rodzice Kevina już są, z dwoma młodszymi synami. Zaparkowali po drugiej stronie ulicy, przecznicę dalej. Jako ostatni przyjechali rodzice Fi i jej siostra Victoria.

Zrobiło mi się smutno, że nie ma nikogo, komu mogłabym powiedzieć o Lee. Nadal nie miałam żadnych wieści o jego rodzeństwie.

Kiedy zbliżyła się ósma, wszyscy powoli wysiedliśmy z samochodów i zebraliśmy się przed budynkiem poczty. Panowała dziwna atmosfera. Pewnie niewielu z nas spało w nocy. W zasadzie nikt się nie odzywał. Widać było tłumioną radość w zaciśniętych pięściach, w spojrzeniach wbitych w asfalt, w nerwowym podrygiwaniu dzieci. A przede wszystkim w oczach nas wszystkich. Tyle że w tych oczach było znacznie więcej. Mnóstwo cieni. Wszyscy rodzice wyglądali na dwadzieścia lat starszych niż na początku wojny. Wszyscy, rodzice i dzieci, byli wychudzeni, zmęczeni, smutni i głodni, nawet w tak wyjątkowym dniu. Po prostu tak wyglądali teraz ludzie. Może z czasem miało się to zmienić i może zaczną wyglądać tak jak nieco ponad rok temu. Nie mogłam się tego doczekać. Chciałam zetrzeć zmartwienia z ich twarzy i patrzeć, jak znowu wypełniają im się policzki.

Nadal pamiętam pisk hamulców zatrzymującego się autobusu. Był jak nóż wbity w moje serce. Zobaczyłam twarze ludzi wyglądające przez okna, ale nie widziałam nikogo znajomego. Potem zauważyłam Kevina, zmizerniałego i nieogolonego. Machał do mnie z tyłu. I nagle wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Pomachałam do niego jak szalona, a później podbiegłam do wejścia. O mało nie stratowałam Fi. Zupełnie się nie zmieniła i to było aż niepokojące. Nawet mimo blizny wyglądała tak, jakby ta wojna w ogóle na nią nie wpłynęła. Uściskałyśmy się, ale tylko przez chwilę, bo zaraz złapała ją pochlipująca i zasapana Victoria. Homer wysiadł z autobusu, lecz zanim zdążyłam do niego dotrzeć, otoczyli go inni ludzie. Szeroko się do mnie uśmiechnął, a potem zniknął w ludzkim węzle sześciu ciał. Ktoś mnie złapał od tyłu: to był Kevin, ścisnął mnie swoimi wielkimi dłońmi i długimi rękami. Kiedy mnie wypuścił, za nim zobaczyłam Lee. Czekał.

Chyba właśnie przez to najbardziej się denerwowałam. Nikt nie wyszedł powitać Lee i wiedziałam, że sama będę musiała to zrobić. Czułam się tak, jakbym miała dla niego być matką, ojcem, siostrą, dziewczyną, jakbym miała go powitać w domu. Okropnie wiele ról jak na jedną osobę. Wątpiłam, czy uda mi się zapełnić te wszystkie wolne miejsca. Lee zasługiwał na tych wszystkich ludzi – i na jeszcze więcej. Powinna go witać cała aleja, całe miasto z żółtymi wstążkami na starych dębach. A miał tylko mnie.

Starałam się być dla niego wszystkim, czym zdołam. Uścisnęłam go, wycalowałam po całej gładkiej twarzy, mocno przytuliłam. Kiedy to robiłam, nagle zdałam sobie sprawę, że pod wieloma względami to właśnie Lee jest naszym prawdziwym bohaterem. To on odwał najbrudniejszą robotę, po cichu, bez zamieszania, bez wielkich dramatycznych scen. Był taki skuteczny, taki niezawodny, taki odważny. Jeśli czegoś nam brakowało, wypełniał tę pustkę. Nie mówię wyłącznie o chwilach grozy, kiedy strzelali do nas żołnierze wroga, kiedy byliśmy o włos od śmierci. Mówię też o gorzkich momentach, kiedy ze zmęczenia ledwie mogliśmy oddychać, gdy byliśmy tak znudzeni, że czepialiśmy się siebie nawzajem, byleby tylko mieć jakieś zajęcie, albo kiedy czuliśmy

tak wielkie przygnębienie, że marzyliśmy o żołnierzu, który przyjdzie i zmiecie nas z powierzchni ziemi swoim M16. Przez ten cały czas Lee był silny. Przypominał silos zbożowy w Wirrawee widoczny z odległości wielu kilometrów: wysoki i niezawodny. Był nierozzerwalnie związany z Wirrawee, a jego obecność dawała poczucie bezpieczeństwa i pewności. Właśnie takie emocje budził we mnie Lee podczas wojny.

W każdym razie przez większość czasu.

– Masz jakieś wieści o rodzeństwie? – zapytałam, kiedy się od siebie odsunęliśmy.

Wycierałam łzy z oczu.

– Co nieco wiem. Słyszałem, że wszyscy są cali i zdrowi. Przebywają w obozie dla uchodźców paręset kilometrów stąd. Muszę jak najszybciej zadzwonić do generała Finleya. Powiedział, że do naszej następnej rozmowy będzie miał pełne informacje.

– A co z Gavinem?

– Był z nami. Nie wiedziałaś? Dziś rano zabrali go do Stratton, żeby poszukać jego rodziny.

– O, dzięki Bogu. Nic mu się nie stało?

– Gavinowi? On jest niezniszczalny.

– No więc co się z wami działo?

Roześmiał się.

– Masz dużo wolnego czasu?

Tamtego dnia miałam mnóstwo czasu, ale pozostali nie. Trzy godziny później Lee wsiadł do samochodu i zawieziono go po braci i siostry. Potem minęły trzy długie dni, zanim nasza piątka w końcu się spotkała. Wtedy chyba już wszyscy z chęcią oderwali się od rodzin, które opłoty ich jak bluszcz. Przez ponad rok marzyliśmy o ponownym zobaczeniu najbliższych, ale kiedy już ich odnaleźliśmy, no cóż, okazało się, że trzy dni w zupełności wystarczą.

Spotkaliśmy się u Homera, nad strumieniem. Miłe miejsce. Ja przyszedłam piechotą, Kevin też. Fi i Lee zabrali się razem z mamą Fi, która jechała obejrzeć jakieś nowe parcele. W każdym razie tak twierdziła. Podejrzewam, że mogła je obejrzeć kiedy indziej, ale się nad nami zlitowała.

Zabawne. Byliśmy jacyś skrupowani. Normalnie nie umawialiśmy się na takie spotkania. Przynieśliśmy całe jedzenie, jakie udało się wycygnąć, ale przy tak surowej reglamentacji żywności nie było łatwo. Można by pomyśleć, że po tych wszystkich miesiącach wojny, podczas których musieliśmy radzić sobie sami, wyłudzenie żywności pójdzie nam całkiem dobrze. Ale teraz było inaczej. Oczywiście nie chcieliśmy okradać przyjaciół i sąsiadów. Znalazłam trochę późnych jeżyn i upiekłam całkiem dobry placek – jeżyny były w porządku, w zasadzie nie da się zepsuć owoców, ale samo ciasto trochę rozmiękło.

Gwoździem programu były liofilizowane lody, które Lee dostał pocztą od generała Finleya z Nowej Zelandii. Znalazły się w paczce opisanej jako lody kosmonautów, bo podobno takimi samymi lodami żywili się uczestnicy misji kosmicznych. Wierzcie lub nie, ale miały trzy smaki: waniliowy, czekoladowy i truskawkowy. Po otwarciu opakowania – co zajęło około pięciu minut, bo paczka była bardzo mocno zamknięta – ukazywały się trzy osobne pakieciki: różowy, biały i brązowy. Wyglądały jak kawałki kredy i naprawdę były suche – chyba nigdy nie miałam do czynienia z bardziej suchą substancją. Nabrałam trochę czekoladowych i włożyłam do ust, a pozostali przyglądali mi się z zaciekawieniem. Dziwne. Najpierw sprawiało wrażenie czegoś z bąbelkami, jak sorbet, a potem wilgoć na języku nadawała temu trochę więcej smaku. Ostatecznie było całkiem słodkie i fajne, ale nie przypominało lodów.

Na opakowaniu zapewniano, że to „całkowicie naturalny produkt”, ale na liście składników znalazłam takie rzeczy jak monoglicerydy i diglicerydy, sorbinian potasu i kwas askorbinowy. Nie brzmiało mi to zbyt naturalnie.

Po lunchu wstałam i weszłam do strumienia. Najpierw po kolana, potem trochę głębiej. Kiedy przyzwyczaiłam się do zimna, popłynęłam pieskiem do głębokiego wodopoju, w którym często pływaliśmy z Homerem jako dzieci. Po chwili obok wynurzył się Lee. Jak przebiegły wąż czający się pod wodą.

– Gdzie jest reszta? – zapytałam.

– Wszyscy śpią.

Zaczął mnie rozbierać, co nie było trudne, bo nie miałam na sobie wielu ubrań. Patrzyłam, jak moje szorty powoli odpływają. Nie próbowałam ich zatrzymać. Woda obmywała mi ciało jak niekończąca się, czuła pieszczota. Jak język Lee. Już nie było mi zimno. Nie czułam do Lee takiej namiętności jak kiedyś, ale moje ciało reagowało. I to jak! Kiedy bielizna popłynęła za resztą ubrania, sięgnęłam w stronę paska jego szortów. Nie znalazłam ich. Lee już był nagi. Przysunęłam się do niego, potem jeszcze bliżej. Nigdy nie czułam intensywniejszej przyjemności. Była słodsza, silniejsza, bardziej seksowna... a potem mnie rozczarowała. Bez prezerwatywy nie mogłam go w sobie zatrzymać. Musiałam go wypuścić i nadrobić w inny sposób.

Potem było dużo śmiechu, kiedy próbowałam znaleźć ubranie. Musiałam nurkować ze dwadzieścia minut, zanim odzyskałam koszulkę. Kochając się z Lee, nie czułam się skrępowana nagością, ale teraz, kiedy obydwójce już się odprężyliśmy, byłam w połowie zakłopotana i w połowie rozbawiona, bo to wszystko wydawało się strasznie głupie, niemądre i śmieszne.

Kiedy wracaliśmy, brodząc przez płytszą część strumienia, Lee próbował wziąć mnie za rękę, ale mu nie pozwoliłam. Pobiegłam przodem. Nie wiedziałam, co czułam do niego, do nas ani do tego, co właśnie zrobiliśmy. To nie był odpowiedni czas ani miejsce. Postanowiłam, że pomyślę o tym później. Wojna dobiegła końca. Nie byłam pewna, co jeszcze się skończyło.

Kiedy wróciliśmy do pozostałych, nadal leżeli na piasku i spali albo dopiero się budzili. Ja i Lee byliśmy niesamowicie zrelaksowani i rozsialiśmy ten dobry nastrój wśród przyjaciół, częstując ich hojnymi garściami piasku i zimnej wody.

Potem, gdy już wstali, naprzeklinali się, naśmiali i gdy obrzuciliśmy się wszystkim, co tylko udało się znaleźć, wreszcie pogadaliśmy.

– Co się stało na tym cholernym parkingu dla ciężarówek? – zapytałam Homera. Sadowił się przy pniu drzewa, jakieś trzy, cztery metry od Fi.

– A co się stało z tobą? Myśleliśmy, że zabili cię gdzieś w lesie. Że już po tobie.

– Złapałam pociąg.

– Na tych torach, które znaleźliśmy z Gavinem?

Przytaknęłam.

– Naprawdę wskoczyłaś do pociągu?

Jeszcze raz pokiwałam głową.

– Aha. O tym nie pomyśleliśmy. To chyba jedyny scenariusz, jaki nie przyszedł nam do głowy.

– No, dalej, opowiadajcie, co się stało. Trzymaliście się razem? Kiedy was złapali?

– Uciekliśmy z parkingu dla ciężarówek. Dzięki tobie.

– Jak to?

– Kiedy krzyknęłaś, pobiegli za tobą – wyjaśniła Fi. – To, co zrobiłaś, było cudowne, Ellie.

– Tak – potwierdził Kevin. – Po tym jak nas złapali, kilka razy to wspominaliśmy.

Zrobiłam się czerwona jak burak.

– Widziałem, jak cię gonili po wzgórzu – przyznał Lee. – Prawie wszyscy pobiegli za tobą. Nam zostało tylko dwóch.

– Ale długo nas ścigali – powiedziała Fi. – Ze dwa albo trzy kilometry.

– Tak, chyba nawet Gavin zaczął się martwić – dodał Homer.

– Więc jak się ich pozbyliście?

Homer wszedł w jedną ze swoich ulubionych ról: zaczął opowiadać.

– Biegliśmy, ale im bardziej byliśmy zmęczeni, tym bardziej hałasowaliśmy. Dlatego pomyślałem, że musimy się wykazać trochę większą kreatywnością. Zwolniłem, zrównałem się z Lee i powiedziałem: „Może się schowasz i pozwolisz, żeby cię wyprzedzili?”. Lee jest dość bystry. Uznałem, że potrafi o siebie zadbać. Po chwili bez słowa ukrył się za drzewem. Trochę się martwiłem, że nie wspominałem o drugiej części planu, która polegała na tym, że miał ich dopaść od tyłu. Bałem się, że będzie siedział za tym drzewem do końca wojny, ale na szczęście sam wszystkiego się domyślił.

– Co zrobiłeś? – zapytałam Lee, czując znajome mrowienie w brzuchu.

Wolałabym nie zadawać tego pytania, ale wiedziałam, że tkwimy w tym razem. Nie mogłam

pozwolić, żeby Lee spędził resztę życia sam na sam ze wspomnieniem kolejnej brudnej roboty i z nikim się nim nie podzielił.

– Użyłem noża – powiedział, odwracając wzrok.

Nic więcej nie udało mi się z niego wydobyć. Podejrzewam, że to wyznanie niewiele mu pomogło.

Homer opowiedział, jak uciekali przez większość nocy, biegnąc najszybciej, jak umieli. W końcu Gavin opadł z sił.

– Czuję do siebie obrzydzenie – powiedziała Fi – ale jego nóżki nie były w stanie dalej pracować. Znaleźliśmy małe zagłębienie w połowie wzgórza, za kilkoma powalonymi drzewami. Musieliśmy go tam zanieść.

– Mówiąc „my”, Fi ma na myśli mnie – wyjaśnił Kevin.

– Żadne z nas nie zmrużyło oka – ciągnął Homer. – Za bardzo się baliśmy, a chwilami zastanawialiśmy się nawet, co się stało z tobą. Oczywiście przez dłuższy czas nawet nie zauważyliśmy, że cię nie ma, ale w końcu ktoś się połapał, że brakuje nam jednego człowieka.

– Dzięki. – Rzuciłam w niego garścią piasku.

– Kiedy zrobiło się jasno, zaszyliśmy się głębiej w lesie. Tam było bezpieczniej. Najbardziej obawialiśmy się psów. Wiedzieliśmy, że z powietrza nikt nas nie zauważy, a na ziemi żołnierze mogliby nas szukać przez miesiąc, ale psy wyczułyby Kevina w trzydzieści sekund. Sam czułem go z odległości paru kilometrów. Na szczęście nikt się nie zjawił, a kiedy się ściemniło, znowu ruszyliśmy w stronę Cavendish, zahaczając o miejsce, w którym schowaliśmy plecaki.

– Do tego czasu zdążyliśmy już cholernie zgłodnieć – dorzucił Kevin.

– O tak. I nie po raz pierwszy podczas tej wojny czuliśmy napięcie. Zwłaszcza bez naszej niezawodnej liderki. Powoli podkradaliśmy się do plecaków. W pobliżu nie było nikogo widać. Ucieszyliśmy się, że twój plecak zniknął, mimo że to ty miałaś ostatnie opakowanie mieszanki cukierków z lukrecją. Ale nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Myśleliśmy tak: „Skoro miała czas, żeby zabrać plecak, musiała się czuć dość bezpieczna. Pewnie zgubiła żołnierzy. Ale dlaczego na nas nie zaczekała?”. No więc schowaliśmy się i czekaliśmy na ciebie, ale po jakimś czasie zrozumieliśmy, że będzie z tego kolejna „niewyjaśniona historia”, o której kiedyś zaczną mówić w telewizji.

Homer odsunął się od drzewa i zbliżył do Fi, ale ona nawet na niego nie spojrzała.

– Myśleliśmy, że mogłaś zabrać swój sprzęt, bo zauważyłaś dobry cel, który można było zaatakować, ale musiałaś się spieszyć – powiedział Lee.

– W zasadzie ktoś chyba zasugerował, że poszłaś w stronę torów – przypomniał sobie Homer – ale nie mieliśmy na to żadnych dowodów. Nie wiedzieliśmy, że postanowiłaś się wybrać na wesołą przejażdżkę ciuchcią.

– Zbrzydło mi ciągle chodzenie piechotą – powiedziałam.

– Rzeczywiście chyba był jakiś problem z tą linią kolejową, bo obserwowaliśmy ją przez półtora dnia i nie słyszeliśmy ani nie widzieliśmy ani jednego pociągu. W końcu wzięliśmy tyłki w troki, zostawiliśmy ci mały miłosny liścik od Lee, który proponował kilka miejsc spotkań w Cavendish, gdybyś tam kiedykolwiek dotarła. Pewnie kartka nadal leży pod drzewem.

– Pewnie tak.

Usiadłam wygodniej i znalazłam następny liść eukaliptusa, który zaczęłam drzeć na małe kawałeczki.

– Co zrobiliście potem? – zapytałam.

– Kiedy już postawiliśmy na tobie krzyżyk? Myśleliśmy o wysadzeniu linii kolejowej, ale to wydawało się trochę bez sensu, skoro nic tamtędy nie jeździło. Tory przestały być czułym punktem. Zaczynam podejrzewać, że kawałek dalej mogły zostać uszkodzone przez jakiegoś nieodpowiedzialnego młodego wandala, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Dlatego po prostu zarzuciliśmy plecaki na plecy i ruszyliśmy w drogę. Podczas tej wojny pokonaliśmy wiele kilometrów. Mówię ci, nic mnie nie obchodzi, ile będą teraz kosztowały samochody. Kupię sobie auto i już nigdy więcej nie będę nigdzie chodził piechotą.

– Podobno przez co najmniej dwa lata nie będzie w sprzedaży nowych samochodów – powiedziała Fi. Przeturlała się na plecy i znowu znalazła się dwa metry od Homera.

– W takim razie kupię motor. Mniejsza z tym. Doszliśmy aż do Cavendish, El, i zajęło nam to trochę czasu. Ale na szczęście zobaczyliśmy, jaki skutek przyniosło wysadzenie w powietrze parkingu dla ciężarówek. Drogi pilnowało dziesięć razy więcej żołnierzy. Na ciężarówkach jeździli goście z karabinami, wszystkie konwoje były eskortowane przez czołgi, patrole pędziły tam i z powrotem. Chyba Ryan miał rację, kiedy powiedział, że możemy dać zajęcie mnóstwu żołnierzy. No więc trzymaliśmy się z daleka i dotarliśmy do Cavendish około dziewiątej wieczorem. Biednemu staremu Gavinowi znowu odpadały nogi. Dość szybko tracił zainteresowanie wojną. Fi, Kevin i Gavin ukryli go w świetlicy skautów na pierwszych przedmieściach z brzegu – nazywały się Rennie Park – a ja i Lee poszliśmy się trochę rozejrzeć. Cavendish to takie nudne, płaskie, brzydkie miasto. Wcale nie chciałbym tam wrócić. Znaleźliśmy jeden dobry cel, elektrownię, i parę innych możliwości: hotel przekształcony w coś w rodzaju klubu oficerskiego, następną stację benzynową i bank. No więc wróciliśmy i przekonaliśmy pozostałych, że wysadzenie elektrowni naprawdę uradowałoby generała Finleya, którego wtedy nazywaliśmy jeszcze naiwnie pułkownikiem. Nikogo nie musieliśmy długo namawiać.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc „elektrownia”? – zapytałam.

– No wiesz, nie znam właściwego słowa. Chodzi o jedno z tych dużych pól, na których stoją ogromne słupy wysokiego napięcia, a wszystko otacza wysokie ogrodzenie.

– Aha, okej. Rzeczywiście dobry cel.

– No pewnie. Jedyny problem polegał na tym, że oprócz ogrodzenia strzegło go sześciu żołnierzy. I już samo to pokazywało, jak wysoko cenią to miejsce. Tym bardziej nas przekonali, że powinniśmy je rozwalić.

– Ciężka sprawa.

– Tak. Ale opracowaliśmy superplan. Lee nadal miał mundur z parkingu, więc postanowiliśmy pożyczyć ciężarówkę, którą Lee miał podjechać pod bramę. Miał się tam na chwilę zatrzymać, wysiąść i podejść do wartownika z plikiem kartek w dłoni, jakby przybył z jakąś ważną oficjalną misją. A wtedy my mieliśmy wysadzić ciężarówkę w powietrze.

– Tak? Jak zamierzaliście to zrobić?

– Żaden problem – wtrącił się Kevin. – No, przynajmniej żaden poważny problem.

Wysiadając, Lee miał podpalić półminutowy lont i zacząć odliczanie. Musiał dojść do wartownika przy trzydziestu. Potem, kiedy ciężarówka będzie wylatywała w powietrze, miał zeskoczyć z nasypu, a my mieliśmy wyjść zza wzgórza przy drodze, strzelając z każdej broni, jaka nam została. Zmiotlibyśmy wszystkich, zanim zdążyliby mrugnąć.

– Jezu – powiedziałam. – Nie mogę uwierzyć, że przeżyliście i możecie mi o tym opowiadać.

– To był wspaniały plan – oznajmił Homer zdecydowanym tonem. – Na pewno by zadziałał. Przynajmniej się do Fi i położył rękę na jej dłoni, ale ona najwyraźniej tego nie zauważyła.

– Tak, tylko że wszyscy żołnierze wroga w promieniu dziesięciu kilometrów przylecieliby do nas jak pszczoły do miodu – powiedziała.

Widocznie przerabiali ten temat już wiele razy.

Homer wzruszył ramionami.

– Wszyscy się zgodzili – zapewnił mnie. – Kevin i Fi przygotowali ładunki, a ja i Lee poszliśmy poszukać ciężarówki. Podprowadziliśmy ją spod sklepu na innych przedmieściach. Kierowca zostawił kluczyki w stacyjce i poszedł coś kupić. Wskoczyliśmy z kryjówki po drugiej stronie ulicy i odjechaliśmy. To była dobra ciężarówka. Idealna wielkość. Chyba nissan albo coś w tym rodzaju.

– Mitsubishi – sprostował Lee.

– Mniejsza o to. Trzymaliśmy się bocznych uliczek, na wypadek gdyby ktoś nas gonił albo gdyby w okolicy jeździły patrole, ale wszystko było w porządku. Myślę, że w Cavendish byli tak zajęci sprawami związanymi z D-Day, że normalne życie zostało zawieszona.

– W każdym razie tak przypuszczaliśmy. Może trochę zbyt łatwo przekonaliśmy sami siebie do tej wersji. Wróciliśmy i zaparkowaliśmy za szopą, żeby ciężarówka nie było widać od strony drogi. Ale o jednym nie pomyśleliśmy.

– O helikopterze? – zapytałam przebiegle.

Homer wydawał się naprawdę wkurzony.

– Ktoś ci o tym mówił? – zapytał podejrzliwie.

Roześmiałam się. Fi odsunęła rękę, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– Widzicie? Mówiłam wam, że zabrakło nam Ellie.

Miałam wrażenie, że to ostatnie słowa, jakie chciałby usłyszeć Homer. Opowiadał dalej, ale jakoś spochmurniał.

– Usłyszeliśmy helikopter, ale pomyśleliśmy, że leci z jakąś misją, więc raczej się nie przejęliśmy. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że się nie oddała, było już za późno. Nie powiedziałbym, że spanikowaliśmy, ale nie skakaliśmy z radości. Najważniejszą rzeczą było pozbycie się broni i ładunków wybuchowych. Jeśli zamierzali nas złapać, nie chcieliśmy ich mieć przy sobie. W zasadzie to Kevin uratował nam tyłki. Na końcu świetlicy była scena, na której wystawiali chyba swoje przedstawienia i tego typu rzeczy. W kącie znalazł małą zapadnię, która prowadziła do magazynu pod sceną. Wszystko tam wrzuciliśmy, a potem przepchnęliśmy starą komodę, żeby zasłonić klapę. Fi trochę odkurzyła, żeby nie został ślad.

– Wiem, może się wydawać, że to wszystko trwało z pół godziny, ale tak naprawdę zajęło nam dosłownie minutę.

– Potem byliśmy gotowi do wyjścia. Pewnie mogliśmy próbować zatrzymać broń i strzelać, żeby jakoś uciec, ale uznaliśmy to za najkrótszą drogę do samobójstwa.

– Otworzyliśmy tylne drzwi, a właściwie ja je otworzyłem, a reszta patrzyła mi przez ramię. I zobaczyłem bardzo paskudny widok. Mniej więcej metr przede mną stał żołnierz i mierzył do mnie z cholernie wielkiego karabinu.

– W tej samej chwili – wtrącił się Kevin – drzwi po drugiej stronie otworzyły się z hukiem i wbiegli trzej żołnierze. Wyważyli te drzwi jak w filmach. A dla nas wojna się skończyła.

– To było okropne – powiedziała Fi – ale w pewnym sensie prawie poczułam ulgę. Nic nie mogliśmy zrobić. I właściwie złapali nas nie z naszej winy. To znaczy nie powinniśmy byli zostawiać ciężarówki w takim miejscu, ale kiedy już popełniliśmy ten błąd, było po nas. Przynajmniej nie musieliśmy mieć poczucia winy, że z nimi nie walczyliśmy. Nie dali nam szans.

– I nie znaleźli ładunków? – zapytałam. – No jasne, że nie. Inaczej by was tu nie było.

– Racja – powiedział Homer. – Tylko pod tym względem dopisało nam szczęście. Pociliśmy się ze strachu, kiedy wynosili nasze plecaki. Musieliśmy czekać na zewnątrz z podniesionymi rękami i słyszeliśmy, jak w środku przewracają wszystko do góry nogami, zwyczajnie demolując świetlicę skautów. Naprawdę, dla tych ludzi nie ma żadnej świętości. Ale kiepsko się starali. Wnętrze wyglądało na gołe i puste. Stał tam jakiś sprzęt sportowy, pudło starych mundurów i niewiele więcej. Od razu było widać, że tylko tamtędy przechodziliśmy.

– Tak im powiedzieliście? – zapytałam.

– Tak. Na szczęście zadawali nam mnóstwo pytań, kiedy staliśmy razem pod drzewami, więc słyszeliśmy odpowiedzi pozostałych i wiedzieliśmy, czego się trzymać. Zaczęli od Fi, bo wyglądała tak uroczo i niewinnie, a ona powiedziała, że przez całą wojnę ukrywaliśmy się w Stratton, ale kiedy walki zrobiły się zbyt straszne, uciekliśmy i właśnie szliśmy w poszukiwaniu jakiegoś bezpieczniejszego miejsca.

Homer obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i pełził jak stonoga, aż w końcu położył głowę na prawej nodze Fi.

Fi ciągnęła dalej, poklepując Homera po głowie.

– Powiedzieliśmy, że ukradliśmy ciężarówkę, bo zmęczyliśmy się marszem. Próbowaliśmy wyglądać żałośnie i niedojrzale, jakbyśmy naprawdę byli tylko niegrzecznymi dzieciakami. Myślę, że obecność Gavina sporo nam pomogła, bo każdemu, kto go nie zna, ten chłopak wydaje się dość nieszkodliwy. A kiedy odkryli, że jest głuchy, byli pod dużym wrażeniem. Dlatego zamiast zastrzelić nas na miejscu, co musiało im przejść przez myśl, zabrali nas do miejscowego aresztu wojskowego. Spędziliśmy noc z żołnierzami przymkniętymi za różne przestępstwa – powiedział Lee.

– Było okropnie – wyznała Fi. – Naprawdę trzymali tam największe męty w wojsku. Chyba

połowa z nich dała się zamknąć, żeby uniknąć walki.

– Całkiem możliwe, bo połowa z nich to byli dezterterzy – zauważył Lee.

– No, ciekawy pierwszy rozdział – powiedziałam, przeciągając się i ziewając. – Co się wydarzyło w drugim?

– Druga część to porywająca opowieść pełna seksu i przemocy – zaczął Homer. – Chociaż w zasadzie seksu w niej niewiele. Albo i wcale, chyba że jest coś, co koledzy postanowili przemilczeć. Ale przemocy było wystarczająco, żeby zaspokoić nawet sadystyczny apetyt Lee.

Nastąpiła niezręczna cisza. Chyba Homer zrozumiał, że powiedział coś złego. Podczas wojny Lee zabijał aż zbyt często, ale trudno było to uznać za jego hobby. Może był gotowy to robić, dlatego że część z nas okazała się zbyt miękka. A ostatnio chyba także dlatego, że chciał się zemścić za śmierć rodziców.

Ale nikt się nie odezwał, a Lee tylko odwrócił wzrok. Homer znowu usiadł, odkaszlnął i pospiesznie dodał:

– No więc następnego dnia zawieźli nas do więzienia dla całej hołoty, jaką udało im się przymknąć. Przed wojną była tam katolicka szkoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Niestety, Najświętsza Maryja Panna niewiele nam pomogła. To miejsce okazało się straszną dziurą.

– W części dla dziewczyn było w porządku – wtrąciła Fi.

– Dlatego że siedziało was tam tylko dwanaście – powiedział Homer. – Facetów upakowano jak zawodników rugby tworzących młyn. Mieszanka narodowości, osobowości, paskudnych nawyków...

– Paskudnych nawyków? Na przykład jakich? – Nie byłam pewna, czy Homer mówi poważnie.

– Takich jak kłótnie, bójki, totalny egoizm. Bywało naprawdę ciężko. Raz skopali mnie tylko dlatego, że jestem Grekiem. Facet z sąsiedniego skrzydła został zadźgany na śmierć, nawet nie wiem za co. Wiesz, czasami chodziło o głupoty. Na przykład pewnego dnia gość z mojego skrzydła dostał w prezencie całą górę czerstwych herbatników, bo naprawił strażnikowi komputer czy coś w tym rodzaju. Wrębał wszystko sam. Nikogo nie poczęstował. Wiem, że to bzdura, ale kiedy głodujesz, kiedy nic nie jadesz od czterdziestu ośmiu godzin, takie herbatniki naprawdę wiele znaczą. A on miał ich chyba z kilo. Tyle dobrego, że po tym obżarstwie strasznie się pochorował.

– Tak – przyznał Kevin. – Mój sąsiad bił rekordy w donosicielstwie. W ciągu pierwszego tygodnia doniósł na mnie trzy razy. Raz za zwęzdenie strażnikowi zapalniczki, potem za podesłanie liścika Homerowi i za rozwalenie telefonu. Nawet nie tknąłem tego telefonu, ale za każdym razem dostawałem łupnia. Na szczęście Lee go utemperował.

Uśmiechnęłam się do Lee, ale ton, jakim powiedział to Kevin, wzbudził we mnie lekki niepokój.

– Co zrobiłeś? – zapytałam Lee.

Wzruszył ramionami.

– Nic, o czym chciałabyś wiedzieć.

– Jak sobie w ogóle radziłeś? – zapytałam go.

– Nieźle.

Przez jakąś minutę nikt się nie odzywał, więc był zmuszony coś dodać:

– Słuchaj, to była paskudna dziura, ale nie chcę jej wspominać przez resztę życia. Wojna się skończyła. Mam inne sprawy na głowie.

Teraz brzmi to trochę ostro, zresztą Lee powiedział to dość agresywnie, ale byłam po jego stronie. Teraz musiał już myśleć o nowej wojnie. Stał się odpowiedzialny za rodzeństwo. Chciał się dalej uczyć, robić karierę, mieć normalne życie. Spośród nas wszystkich to jego czekała najtrudniejsza przyszłość. I był zdany wyłącznie na siebie. Pewnie mogliśmy mu trochę pomagać, od czasu do czasu, ale ogólnie rzecz biorąc, wszystko było na jego głowie.

Minęła spora część popołudnia, zanim skończyłam opowiadać swoją historię. Pod koniec trochę się wzruszyłam, przede wszystkim z powodu doktora Muira. Od chwili, w której szeptał do mnie przy spalarni, nikt o nim nie słyszał ani go nie widział i nie mogę się pozbyć uczucia, że jednak zginął – i to przeze mnie.

W drodze powrotnej do domu zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na żonkile posadzone kilka lat wcześniej przez Homera i jego brata George'a. Wyglądały z żyznej ziemi i były warte każdego z tych dziesięciu centów od cebulki, które chłopaki dostały za tę robotę od rodziców.

Lee przykląkł, ujął jednego w dwa palce i przyjrzał mu się w skupieniu, jakby chciał poznać jego tajemnice. Fi zerwała dziesięć, żeby zanieść do domu. Homer wziął patyk i zamachnąwszy się nim jak kijem golfowym, wzbił dwa żonkile w powietrze.

– Powinniście byli posadzić narcyzy. Lepiej pachną – powiedział Kevin.

Patrzyłam na nich z uśmiechem. Może jednak wojna nie zmienia ludzi aż tak bardzo.

Lee wyprostował się i ruszył wolnym krokiem. Nagle chwycił mnie w objęcia i zatańczył ze mną wśród zawilców.

– Przetrwaliśmy, Ellie. Przetrwaliśmy.

Epilog

Zrobiło się naprawdę dziwnie. Co druga napotkana osoba mówiła: „Boże, teraz możesz zbić fortunę!”. Skontaktowało się z nami co najmniej dziesięciu specjalistów od reklamy chcących rozmawiać o interesach, zwłaszcza w branży filmowej. Większość z nich wydawała się w porządku, nie byli zbyt nachalni ani nic w tym rodzaju, ale dziwnie było w ogóle z nimi rozmawiać. Poza tym wydzwaniało do nas mnóstwo firm. Tak bardzo brakowało nam pieniędzy, że doszliśmy do wniosku, że nie powinniśmy za bardzo wybrzydzać, zwłaszcza gdy szło o amerykańskie dolary, więc udzieliliśmy sporej liczby wywiadów, między innymi amerykańskiemu *60 Minutes*.

Tata i ja przeznacziliśmy te pieniądze na indyki i gęsi. Nigdy nie myślałam, że dożyję dnia, w którym przerzucimy się na drób, ale zostało nam tak mało ziemi, że nie mogliśmy dalej hodować owiec ani bydła. Pozostali prawie zawsze decydowali się na kurczaki, warzywa albo jedno i drugie. Tata uznał, że indyki i gęsi to lepszy pomysł, z tej prostej przyczyny, że były czymś innym, a kurczaki dość szybko się nudzą.

Ale jak wszyscy inni musieliśmy dbać o różnorodność, więc zasadziliśmy też ziemniaki, a mama rozkręciła musztardowy biznes z mamą Homera.

To zadziwiające, że tak szybko przystosowaliśmy się do nowego życia. Myślę, że ludzie to gatunek, który łatwo się adaptuje. Nie powiedziałabym, że było lekko – zdarzało się wiele dołujących, paskudnych chwil, ludzie nie potrafili się pogodzić ze zmianami – ale ogólnie rzecz biorąc, na każde dwa kroki do tyłu robiliśmy trzy do przodu.

Naprawdę nie ma sensu, żebym o tym wszystkim pisała, bo każdy wie, jak to jest.

Została tylko jedna rzecz, którą chcę zrobić, żeby zakończyć tę opowieść: muszę napisać, co się stało z Homerem, Kevinem, Lee, Fi i z dzikusami.

Kevin wyjechał do Nowej Zelandii. Jego rodzice chcieli sprzedać gospodarstwo już jakiś czas przed wojną, więc wzięli odszkodowanie i zamieszkali w Cavendish, gdzie otworzyli sklep i serwis zajmujący się piłami łańcuchowymi, kosiarkami i tego typu urządzeniami. Kevin najwidoczniej nie potrafił się z nimi dogadać, bo kilka miesięcy później skorzystał z pomocy generała Finleya, wsiadł na pokład darmowego samolotu do Nowej Zelandii i odleciał. Zamierzał znowu wygłaszać przemówienia w szkołach, tak jak już kiedyś próbowaliśmy, ale chyba przede wszystkim chciał się wyrwać z domu. Mam nadzieję, że w szkołach radzi sobie lepiej niż my wtedy. Ale nie wiem. Nie odzywał się do mnie od wieków.

Rodzice Chrisa nadal są za granicą. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze wrócą. Napisałam do nich do Irlandii, ale nie dostałam odpowiedzi.

Rodzina Fi przeprowadziła się do większego miasta. Jej mama była za bardzo zestresowana po podziale ziem. Powiedziała moim rodzicom, że w Wirrawee nie ma przyszłości. W rozmowach ze mną rodzice Fi ani razu nie wspomnieli o tym, że zniszczyłam im dom. Typowe. Wolałabym, żeby jednak coś powiedzieli.

Fi chodzi do prywatnej szkoły, w której uczą się same dziewczyny. Rozmawiamy co kilka dni, bo znowu działają telefony. Przyjedzie do mnie na wakacje.

Ze wszystkich ludzi na świecie Fi stała się tą osobą, przy której czuję się najpewniej. Wygląda na to, że na zawsze pozostaniemy przyjaciółkami.

Tak to się ułożyło między nami dziewczynami, ale z chłopakami wyszło inaczej: żaden z nich nie utrzymuje kontaktów z resztą. To trochę smutne, ale chyba potrzebują odpocząć. Nadal widuję Homera codziennie w szkole i w większość weekendów. Wróciliśmy do tej samej przyjaźni, która łączyła nas przed wojną. Ale rzadko rozmawiamy o wojnie. Jeśli się nad tym zastanowić, jeśli podejść do sprawy uczciwie, muszę jednak przyznać, że nasza przyjaźń ostatecznie nie jest taka jak kiedyś: po prostu lubię myśleć, że jest. Z jakiegoś powodu czuję się przy Homerze trochę skrępowana. Jakby wydarzyło się zbyt dużo, żebym mogła do tego podejść na luzie. Poza tym mam zbyt wyraźną świadomość, że coś jeszcze stoi nam na drodze.

Mówiąc naprawdę szczerze, chyba za bardzo go lubię. Po prostu muszę się zastanowić, jak będzie wyglądał następny etap naszej przyjaźni – dokąd teraz zmierzamy. To wszystko jest skomplikowane z powodu Fi. Fi mówi, że chce to zakończyć, że już go nie kocha, ale nie potrafi mu tego powiedzieć. Nie chce go zranić. On nadal zachowuje się tak, jakby był w niej zakochany na zabój, ale chyba w głębi serca wie, że to skończone. Kiedy mu powiedziałam, że przyjeżdża do mnie Fi, nie wyglądał na tak uradowanego, jak można by się spodziewać. To znaczy cieszył się, ale na pewno nie zareagował jak Romeo na widok Julii na balkonie.

Co dziwne, nie czuję do Lee tego co kiedyś. Przeszło mi nagle, jakiś czas temu, i nawet tego nie zauważyłam. Tamtego dnia, kiedy wrócili do Wirrawee i wszyscy ściskaliśmy się jak kłębowisko wijących się larw rośliniarki, chyba nadal go kochałam i może kochałam go wtedy nad strumieniem, ale na tym najwyraźniej się skończyło.

Lee wyprowadził się do większego miasta razem ze swoim rodzeństwem. Dostali pomoc w ramach programu wspierania ofiar wojny. Mają małe mieszkanko i Lee robi teraz przyspieszony kurs, żeby wcześniej pójść na studia. Dzwoni co parę tygodni, ale nie mogę powiedzieć, żeby te rozmowy sprawiały mi wielką przyjemność. Chyba są ważniejsze dla niego niż dla mnie. Wiem, że okropnie często czuje się samotny i przygnębiony.

Casey, Jack i Natalie wrócili do swoich rodzin. Nawet ich nie widziałam, ale dostałam kilka miłych liścików od Casey. Bardzo bym chciała znowu ją zobaczyć, tylko że na razie podróżowanie jest utrudnione i drogie.

Pewnie zabrzmi to okropnie, ale nic nie zrobiłam w jej sprawie, nie dotrzymałam obietnic danych w lesie niedaleko strumienia płynącego przez Nellie's ani nawet tych, którymi ją zmusiłam do wejścia do helikoptera. Tak, to prawda, nic nie zrobiłam i wcale nie chcę szukać usprawiedliwienia. Ale poszukam. Chyba tak to już jest: pod wpływem chwili, w strachu przed wielkim zagrożeniem, w wielkiej miłości albo wielkiej złości mówi się różne rzeczy, składa się obietnice. Potem sytuacja się zmienia. Nie do końca zapomniałam o Casey: kilka razy dzwoniłam do generała Finleya, żeby o nią zapytać, i napisałam do niej list. Ale kiedy się dowiedziałam, że odnalazła rodziców, zniknęłam z tego obrazka. Najwidoczniej było jej lepiej z nimi niż ze mną.

Co do Gavina – nigdy byście nie zgadli. Wylądował u nas.

W zasadzie panuje tu spory tłok, bo mama Corrie, pani Mackenzie, też z nami zamieszkała. Po wojnie pan Mackenzie od niej odszedł, a ponieważ ich dom został zniszczony, nie za bardzo miała do czego wracać. Była bardzo chora, przeżyła wstrząs nerwowy i tak dalej, podobnie jak moja mama, i tak samo jak ona wygląda o pięćdziesiąt lat starszej niż przed wojną, ale wydaje się trochę szczęśliwsza.

Zabawne jest to, że Gavin świetnie dogaduje się z moją mamą. I całe szczęście, bo wszystkich innych doprowadza do szału co najmniej dziesięć razy dziennie. Rano tata zazwyczaj zabiera go na pole, ale już grubo przed południem ma go dość. Od razu to widać, kiedy Gavin się wycofuje, a tata krzyczy na niego za potłuczone jajka, zbite tylne światło traktora, popsutą rurę nawadniającą albo śrubokręt, który nadaje się do wyrzucenia, bo Gavin używał go jako dłuta.

Mimo to myślę, że w głębi serca tata go lubi. Ilekroć idzie popracować, szuka Gavina i zawsze wydaje się trochę zawiedziony, jeśli chłopak akurat gra w piłkę albo jest u Homera.

Nie wiem, jak długo Gavin u nas będzie. Nadal szukają jego rodziny. Kiedy ostatni raz rozmawiałam z pracownikami Czerwonego Krzyża, usłyszałam, że według pewnych doniesień jego matka została zamordowana przez żołnierzy wroga podczas wojny i nie mogą znaleźć jego młodszej siostry. Ale nie mówiliśmy jeszcze niczego Gavinowi – i nie powiemy, dopóki nie

będziemy wiedzieli na pewno.

Prawie nigdy nie pyta o swoją rodzinę.

Całkiem możliwe, że sugestia generała Finleya dotycząca adopcji może się jeszcze ziścić, ale nie do końca tak, jak to sobie wyobrażał. Podejrzewam, że gdyby Gavin został u nas na dobre, większość obowiązków spadłaby na mamę i tatę. Ja nie planuję tu długo zabawić.

Mimo wszystko Gavin jest naprawdę trudnym dzieckiem. Jak miałby nie być po tym całym zabijaniu i przemocy? Jak wszyscy moglibyśmy być po tym normalni? Jest bardzo agresywny i łatwo wpada w szał. W szkole ciągle się skarżą, że pobił jakieś dziecko. Próbuję go nauczyć, jak nad sobą panować, jak znowu zachowywać się normalnie. Dzisiaj było dobrze. Zbudowaliśmy stóg w kształcie fortecy i zatknęliśmy flagi na wieżyczkach. Funkcję flag pełnią poszewki na poduszki, które zwędziliśmy ze skromnych zbiorów mamy trzymanyh w bieliźniarce. Nie wiem, jak zareaguje, kiedy zauważy, że zniknęły.

Gavin postawił mojego ostatniego misia na straży przy wejściu i uzbroił go w długą włócznię zrobioną z patyka. Ma chłopak wyobraźnię, bez dwóch zdań.

Pomijając to, że działa tacie na nerwy, jest całkiem przydatny. Szybko naprawia różne rzeczy, nawet jeśli przeważnie sam je wcześniej psuje. Ale jest dokładny. I świetnie sobie radzi z różnymi gatunkami drobiu. Chyba lubi nimi dyrygować.

Szkoda, że Gavin nie może polecieć do Nowej Zelandii i porozmawiać z Andreą, moją tamtejszą terapeutką. Sama chciałabym z nią pogadać. Może pewnego dnia. Parę razy gawędziłyśmy przez telefon, to wszystko. Wiem, że generał Finley obiecał spełnić każde moje życzenie, ale tak samolubna prośba nie byłaby w porządku. Mnóstwo ludzi ma większe problemy: wielu naprawdę odbiło przez tę wojnę, więc nie mogę rozpychać się łokciami. Zresztą mam tu za dużo roboty.

No, prawie skończyłam. Siedzę przy biurku w pokoju taty. Chcę to odfajkować i wyjść z domu. Jest ładny dzień. Mama maluje dom z pomocą (albo raczej pomimo pomocy) pani Mackenzie. Wybrała żółty kolor, co wydało mi się okropnym pomysłem, ale teraz muszę przyznać, że z daleka wygląda nieźle. Z bliska nie jestem pewna.

Widzę stąd starą fontannę. Kiedyś stał przy niej pomnik pani z parasolką, który został zniszczony podczas wojny. Widzę biały mostek nad strumieniem, kamiennego warana pod eukaliptusem, wiatę porośniętą winoroślą, płaski trawnik prowadzący do małego wodospadu, japoński klon, starą stodołę, śmietnik, rzędki hortensji, jezioro z kamiennym mostkiem i wysepką, druciany treliaż opleciony wisterią. I wiem, że jestem w domu.

Tylko że w pewnym sensie to złudzenie. Wszystko wygląda tak bezpiecznie, znajomo i kojąco. A w rzeczywistości jest niepewne. Nikt nie wie, jak długo potrwa pokój, czy warunki zostaną dotrzymane. Już teraz jest mnóstwo problemów. Oskarżenia i oskarżanie oskarżających. W wiadomościach nazywają to „incydentami”.

Jakby tego było mało, ciągle coś mi przypomina o wojnie. Wszędzie. Małe i duże rzeczy. Zniszczone budynki, zniszczone ogrodzenia, zniszczone ogródki, zniszczone drzewa. Zniszczone drogi i mosty. Nadal czekamy na nowy most dla Wirrawee i nie ma dnia, żeby jakaś mądrała w szkole nie dokuczała mi z tego powodu.

Poranieni ludzie. Ludzie wybuchający płaczem bez żadnego widocznego powodu. Potem się dowiadujesz, że ich matka albo ojciec, brat albo siostra zginęli podczas okupacji. Inne twarze w niektórych sklepach i domach, bo ludzie, którzy tam dawniej pracowali i mieszkali, już nie żyją.

Wczoraj znalazłam kolejną pamiątkę, kolejne przypomnienie. Małą suczkę Kevina, Flip, którą musieliśmy porzucić przy domu Corrie w pierwszym tygodniu wojny. Niewiele z niej zostało. Najwidoczniej znalazła drogę do naszego gospodarstwa. Nie wiem jak ani dłaczego. Nie mogła przyjść za naszym zapachem, bo kiedy ją zostawiliśmy, odjechaliśmy land-roverem, a przecież nie zdołałaby go wytropić. Ale wygląda na to, że zrobiła sobie małe gniazdko pod naszą szopą do strzyżenia owiec, tak jak psy, które są chore albo ranne. I chyba właśnie tam zdechła, bo znalazłam resztki jej sierści, żalostną rudą kupkę, i ciemnobrązową skórzaną obrożę. Założę się, że zrobił ją Kevin. Miała nawet małe mosiężne kółeczko z imieniem. Możliwe, że też wygrawerowanym przez Kevina. Prawdopodobnie na zajęciach praktyczno-technicznych w naszym liceum.

Nie wiem, co się stało z naszym ostatnim psem, Millie, jedynym, który przetrwał po tym, jak mama i tata nie wrócili do domu z jarmarku. Pewnie wyzionął gdzieś ducha, prawdopodobnie już parę dni po tym, jak go znalazłam, po tym okropnym, złym dniu, kiedy wesoło wróciliśmy do domu z naszej miłej wyprawy do Piekła. Gdy go widziałam po raz ostatni, był w kiepskim stanie.

Niedawno mama powiedziała: „Zrób coś dla siebie, Ellie”, więc oto, co zrobiłam. Poszłam do Piekła, zupełnie sama, co nie należy do najłatwiejszych zadań. Ale nikt nie chciał się przyłączyć, co wcale nie jest dziwne, biorąc pod uwagę to, że sama też nie miałam ochoty tam wracać. Poszłam dlatego, że chciałam przynieść zapiski schowane w chatce pustelnika. To wystarczyło. Potem zadzwoniłam do Andrei w Nowej Zelandii i poprosiłam o przysłanie tego, co napisałam i dałam jej na przechowanie, a następnie usiadłam i zaczęłam pisać tę ostatnią część. Przysięgam, że kiedy skończę, nigdy więcej nie sięgnę po długopis.

No, może jeśli w końcu będzie nas stać na komputer... Sama nie wiem, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby spróbować sił jako powieściopisarka albo ktoś w tym rodzaju. Przecież dzięki tym zapiskom zgromadziłam sporo doświadczenia. Myślę, że nie byłoby źle zostać pisarką. Lepsze to niż kopanie ziemniaków.

Czasami myślę: „Dziewczyno, podczas tej wojny zginęło przez ciebie mnóstwo ludzi. Lepiej zrób ze swoim życiem coś wyjątkowego, żeby odpokutować za tę śmierć”.

No więc tak, myślę, że niedługo stąd wyjadę. Teraz, kiedy znowu spędziłam trochę czasu w domu, kiedy porządnie przemokłam we mgle przetaczającej się po wzgórzach, w błocie jeziora i w rosie z wysokiej trawy porastającej żleb, jestem gotowa się wynieść. Nie wiem dokąd, ale prawdopodobnie do Ameryki. Bardzo bym chciała ją zobaczyć, a z pomocą generała Finleya – i jeśli zgodzę się udzielić na miejscu paru wywiadów – chyba mi się uda.

Jedyny problem to szkoła. Realizujemy z Homerem przyspieszony program, który stworzono specjalnie dla takich ludzi jak my. Nie tak bardzo przyspieszony jak ten, który realizuje Lee, ale on jest od nas mądrzejszy. Mimo to jeśli się uda, za dwa miesiące skończę liceum. Tylko że to mnóstwo roboty, a strasznie trudno było przejść w tryb pracy po tak długim okresie pozbawionym aktywności umysłowej. Teraz żałuję, że nie czytałam na angielski żadnego z tych tekstów w rodzaju *Mojej wspaniałej kariery*, która dawno temu w Piekło pochłaniała Robyn. Wtedy jej mówiliśmy, że marnuje czas.

Kiedy już skończą się egzaminy, powinnam być wolna. To będzie inny rodzaj wolności.

Dawniej historie kończyły się słowami: „I wszyscy żyli długo i szczęśliwie”. A rodzice często mawiali: „Chcę tylko tego, żeby moje dzieci były szczęśliwe”.

Moim zdaniem to wszystko bzdury. W życiu chodzi o coś znacznie więcej niż tylko bycie szczęśliwym. Chodzi o odczuwanie całej gamy emocji: szczęścia, smutku, złości, żalu, miłości, nienawiści. Jeśli spróbujesz stłumić jedną z nich, stłumisz je wszystkie. Nie chcę być szczęśliwa. Wiem, że nie będę żyła długo i szczęśliwie. Chcę czegoś więcej, chcę czegoś pełniejszego. Chcę się zbliżyć i do piękna, i do brzydoty. Chcę to wszystko zobaczyć, poznać i zrozumieć. Bogactwo i biedę, radość i okrucieństwo, słodycz i smutek. To najlepszy sposób uczczenia pamięci moich poległych przyjaciół. To najlepszy sposób uhonorowania moich rodziców, którzy sprowadzili mnie na ten świat. To najlepszy sposób, w jaki mogę wieść życie, które z dumą nazwę własnym. Chcę doświadczyć wszystkiego, co ma do zaoferowania: ŻYĆ!

Tytuł oryginału

The Other Side of Dawn Copyright © 1999 by Jomden Pty ltd.

Copyright © for the translation by Anna Gralak 2012

Projekt okładki Magda Kuc

Opieka redakcyjna Julita Cisowska

Alicja Gaładzj

Korekta

Katarzyna Onderka

ISBN 978-83-240-2316-5

Wydanie I, Kraków 2012

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

Table of Contents

Karta tytułowa

Podziękowania

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

Epilog

Karta redakcyjna

